



Autorka powieści *Goodbye, Love*

MARTYNA KELLER

Fragile Lies

Lies #2

Przywiązał ją do siebie
w każdy możliwy sposób.



MARTYNA KELLER

FRAGILE LIES

LIES #2

OŚWIĘCIM 2023



Ostrzeżenie

W książce pojawia się temat samobójstwa, przemocy psychicznej i fizycznej, także na tle seksualnym, przez co nie jest ona przeznaczona dla wrażliwych czytelników. Przedstawione w niej relacje nie są zdrowe, autorka nie popiera romantyzowania ich.

*Teraz jesteś w gwiazdach,
a sześć stóp nigdy nie było tak daleko.
Oto jestem sam między niebem a żarem,
och, to tak bardzo boli z miliona różnych powodów.*

In The Stars – Benson Boone



PROLOG

WILLARD

PÓŹNIEJ

– Więc powtórzyłeś swoje kłamstwo tysiąc razy?

W głosie mojego psychologa pobrzmiewa zdumienie. Zupełnie jakby od samego początku wąpił on w to, że uda mi się osiągnąć zamierzony cel. Ale czy tak nie było? Podczas naszego pierwszego spotkania naprawdę odniosłem wrażenie, że Ryder Callahan nie do końca na poważnie bierze moje postanowienie o powtórzeniu tej samej formułki po tysiącokroć. Teraz z dumą mogę oznajmić mu, że jednak dokonałem tego, w co on nie wierzył.

– Tak – potwierdzam. – Udało mi się powtórzyć je równe tysiąc razy.

– Podejrzewam, że sprawiło ci to trudność.

Młody mężczyzna opiera przedramiona na powierzchni solidnego biurka i wydaje się zainteresowany tym, co mam do powiedzenia. Wydawał się taki zawsze od dobrych siedmiu miesięcy, lecz dzisiaj wręcz chłonie każde jedno wypowiedziane przeze mnie słowo.

Kładę rękę na podłokietniku sofy i odwzajemniam jego spojrzenie.

– Oczywiście, że sprawiło mi to trudność – odpowiadam w międzyczasie. – Powtórzenie tyle razy jednej formułki sprawiłoby ją chyba każdemu. Często traciłem rachubę i musiałem zaczynać powtarzanie swojego kłamstwa od samego początku. Wtedy właśnie docierało do mnie, że moja Gold miała rację: cholera, to rzeczywiście nie jest takie proste.

– Ale nie poddałeś się.

– Jak mógłbym? – Kręcę powoli głową. – Jak mógłbym ją zawieść?

Nie wiem, kiedy kącik moich ust szybuje ku górze. Być może wtedy, gdy przed oczami po przymknięciu powiek na ledwie sekundę, odnajduję najpiękniejszy obraz wyryty w mojej pamięci: obraz mojej szeroko wyszczerzonej kłamczuchy. Otwieram oczy i obrzucam wzrokiem gabinet. Dominuje w nim czerń, jednak dzisiaj wydaje się on bardziej przytulny niż zazwyczaj, bo przesiąka promieniami słońca chowającego się za drapaczami chmur w Denver.

Skupiam się na ich widoku za oknami, chociaż Ryder do mnie mówi:

– Sądzę, że twoja Gold nie poczułaby się wcale zawiedziona, gdybyś jednak nie doliczył do tysiąca, wiesz?

– Jestem przekonany, że nie poczułaby się zawiedziona. Ona tak naprawdę nigdy nie była mną zawiedziona, chociaż uwierzysz, że dałem jej trylion powodów do rozczarowań?

– Coś mi podpowiada, że mogłeś dać jej ich całkiem sporo. – Mężczyzna mówi to z delikatnym politowaniem.

Odwracam się znowu ku niemu i wypuszczam westchnienie.

– No tak, przecież znasz je wszystkie... tak jak znasz naszą historię na wylot.

– Waszą i do tego mocno pokręconą – przytakuje Ryder.

Odkłada gdzieś na bok notatnik, w którym zwykł zapisywać wnioski dotyczące naszych spotkań, trwających już ponad pół roku. To o nie tak zawzięcie walczyła Gold. Chciała, bym znalazł kogoś, kto wskaże mi właściwą drogę. Bym wyszedł pewnego dnia na prostą. Dlatego staram się to robić z całych sił. Patrzę w zamyśleniu na czarny notes, leżący bezwiednie na biurku, dopóki mężczyzna głośno nie odchrząkuje.

– Wróćmy do twojego osiągnięcia, ponieważ to, czego dokonałeś, śmiało można nazwać właśnie tak.

– Nadal brzmi, jakby był pod wrażeniem. – Nie chciałeś zawieść Gold, ale czy było coś jeszcze, co popchnęło cię, żeby wytrwale powtarzać i powtarzać jedno kłamstwo?

Krzyżuję z nim spojrzenie i przez chwilę zastanawiam się nad dobrorem słów.

– Myślę, że... myślę, że zabrałem się za powtarzanie swojego kłamstwa, bo oprócz tego, że czułem,

że jestem jej coś winny, sam także chciałem po prostu przekonać się, czy jej mała obsesja przyniesie jakiś rezultat. Czy moje kłamstwo rzeczywiście zamieni się w prawdę.

Masuję dłonią skroń, nie przerywając naszego kontaktu wzrokowego.

– Na początku uważałem to za żałośnie głupie. Jak kłamstwo mogłoby stać się prawdą za sprawą powtórzenia go jak mantrę tysiąc razy? Lecz z czasem wiele się zmieniło – wspominam to z bladym uśmiechem, mimo że doskwiera mi tak naprawdę jedynie smutek.

Boże, tak bardzo tęsknię.

Tak strasznie za tobą tęsknię, Goldie.

– Marigold dała mi nauczkę. Nie nauczyła mnie niczego, bo byłem sukinsynem, który nie chciał nikogo słuchać, ale dała mi nauczkę, że powinienem wierzyć we właśnie takie największe bzdety. Wierzyć w to, że można odbić się od najgłębszego dna. Wierzyć w to, że prędzej czy później w życiu każdego nastanie upragnione lepsze jutro... A nawet wierzyć w to, że pewne więzi już na zawsze pozostaną nierozzerwalne.

Chociaż jako tako pogodziłem się z jej brakiem i tak czuję klucie w sercu, gdy uściślam:

– Teraz już wiem, że moja i jej na pewno do samego końca pozostanie właśnie taka. Nierozzerwalna i najsilniejsza mimo czegokolwiek, co znalazło się pomiędzy nami.

Ryder spuszcza na chwilę wzrok.

– Niewątpliwie taka będzie. Gold na pewno jest tego samego zdania.

Spogląda ponownie wprost na mnie, kiedy wykrzywiam z bólem usta.

– Żałuję, że od początku nie dostrzegłem tego, co Rhodes. Że ona... jest tak samo cenna jak złoto. – Przelykam, po czym zauważam swój błąd i prędko się poprawiam: – Chociaż nie, jest przecież od niego milion razy cenniejsza. Najcenniejsza. A ja jestem... byłem takim pieprzonym szczęściarzem, że chociaż przez tych kilka miesięcy ona była moja – końcówkę wypowiedam nieznacznie łamiącym się szeptem, którego się nie wstydzę.

Nie wstydzę się już właściwie niczego, skoro mój terapeuta widział mnie w najgorszym stanie. Na początku naszych spotkań krzyczałem i wrzeszczałem z kotłującej się we mnie frustracji, rwałem sobie włosy z głowy i spazmatycznie płakałem, dopóki nie zaczynałem się dusić, bo nie umiałem pogodzić się z rzeczywistością, w której nie mogłem zamknąć w ramionach swojej Marigold. Wołałem ją, aż nie zdarłem gardła, aż nie opadłem z energii. A Ryder pozwalał mi się wykończyć, jakby był przekonany, że to mi pomoże. Miał rację.

W tej chwili przypatruje mi się uważniej, a ja to zauważam.

– Coś się stało? – dociekam już normalnym głosem.

– Wybacz. – Mężczyzna odchyła się na fotelu i splata swobodnie palce na udach. – Nadal jestem pod wrażeniem tego, że siedzisz naprzeciwko i oznajmiasz, że powtórzyłeś coś tysiąc razy bez pomyłki. To nieprawdopodobne, Will. To naprawdę nieprawdopodobne.

Następnie wstaje bez pośpiechu i po tym, jak opuszcza ręce oraz poprawia mankiety białej koszuli, wsuwa dłonie do kieszeni eleganckich spodni. Zaczyna marsz przez gabinet. Dociera do wielgachnych okien i przesuwa spokojnym spojrzeniem po panoramie stolicy.

– Gdy przyszedłeś tutaj pierwszy raz i powiedziałeś, że zamierzasz tego dokonać, pomyślałem, że w życiu ci się to nie uda, a teraz... teraz zwracam ci honor – wyznaje w pewnym stopniu nostalgicznie i po dłuższym czasie wyrzuca z siebie pewne przekonanie: – Ponadto ufam, że coś, czego nie można nazwać miłością, jest w stanie się z nią mierzyć.

Również podnoszę się do pionu i ruszam mozolnym krokiem w stronę okna.

– Jeśli chodzi o Gold... akurat dla niej mógłbym zabić – wyznaję, będąc stuprocentowo poważnym. – Dla mojej *jednej i jedynej* mógłbym nawet zabić, więc co w obliczu tego, ile byłbym gotów dla niej poświęcić, mogło znaczyć powtórzenie jednej beznadziejnej frazy tysiąc razy? Nic. Wobec tego, co byłbym gotów dla niej zrobić, powtórzenie jednego kłamstwa tak wiele razy znaczy zupełnie nic, Ryder.

Przystaję obok niego, a on zerka na mnie z uniesioną brwią.

– Do jakich właściwie wniosków doszedłeś, gdy ci się to udało? Sądysz, że „metoda tysiąca kłamstw” Marigold naprawdę działa?

– Nie doszedłem jeszcze do żadnych wniosków – odpowiadam szczerze, wlepiając wzrok w krajobraz zatłoczonego Denver. – Dojdę do nich dopiero za jakiś czas. Wtedy dam ci znać, czy jej metoda była skuteczna, ale nie opowiem ci tego... Po prostu dam ci znać.

Przeczuwam, że mój psycholog nadal mi się przygląda.

– Nie rozumiem – stwierdza po krótkim namyśle. – Dlaczego mi tego wtedy nie opowiesz? Will, właściwie... jak brzmiało twoje kłamstwo powtórzone tysiąc razy?

Sądziłem, że Ryder zapyta o to od razu, ale być może nic, co dane od razu nie miało tak potężnej mocy, jak coś otrzymane dopiero po czasie starań? Wierzę, że tak będzie z nami. Ze mną oraz moją wyjątkową kłamczuchą: jedną i jedyną Goldie, której tak bardzo mi brakuje.

Po odetchnięciu pełną piersią zaczynam w końcu mówić.

– Powtórzyłem tysiąc razy jedno zdanie, a brzmiało ono...

Uśmiecham się słabo. Wpatrzony w powoli zachodzące słońce, chowające się za wysokimi drapaczami chmur, czuję rosnącą w sercu nadzieję, kiedy wyszeptuję bardzo cicho:

– ...gdziekolwiek kiedyś się odnajdziemy, właśnie tam będziemy nareszcie szczęśliwi.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

MARIGOLD

Tego poranka Nowy Jork tętni życiem mimo ponurej, jesiennej aury: jest chłodno, gęsta mgła spowija przestrzeń, a ja trzymam Rhodesa za rączkę i przeciskam się przez tłumy przechodniów spacerujących po chodnikach, chcąc jak najszybciej wsiąść w odpowiednią linię metra oraz dotrzeć do znajdującej się na obrzeżach miasta szkoły. Mały musi zjawić się w niej punktualnie. Dałam słowo, że będę o niego dbać i jestem pewna, że Willard zrozumiał moją obietnicę także jako „młody nie będzie zaliczał spektakularnych spóźnień na lekcje”.

Od czasu, kiedy ją wypowiedziałam, minęły dwie doby.

Na wspomnienie koszmaru, który się wtedy wydarzył, opuchnięte oczy znowu zachodzą mi łzami. Uświadamiam sobie, że zdołały one pozbierać się po całonocnym płakaniu w starą, męską bluzę. Prawda jest jednak taka, że nadal czuję się tak samo bezsilna i zagubiona, bo nie mam pojęcia, jak to udźwignąć. Nie wiem, jak z dnia na dzień stać się wzorową opiekunką dla dziecka, skoro nie potrafię zaopiekować się samą sobą po stracie Willa.

Gdy policjanci wyprowadzili go z mieszkania, wszystko, włącznie z moim poczuciem bezpieczeństwa, legło w gruzach. W końcu tylko przy nim czułam, że nie grozi mi absolutnie nic. Tylko jego podejrzewałam o to, że za żadne skarby nie pozwoli, by spadł mi z głowy włos.

Teraz go nie ma i wariuję do tego stopnia, że czasami przeraża mnie własny cień.

Potrzebuję, by do mnie wrócił. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie mam pojęcia, za ile go odzyskam, o ile w ogóle odzyskam. Mogli przecież odebrać mi go bezpowrotnie, a sama myśl o tym sprawia, że wydaje mi się, jakbym miała zaraz rozsypać się w drobny mak.

Przecieram wierzchem wolnej dłoni zasnute pierwszymi łzami oczy, po czym wbijam wzrok w dal i ponad twarzami śpieszących się ludzi widzę nareszcie zejście do metra. Ciągnę za sobą Rhodesa. Słyszę, jak książki przewracają się w jego wielgachnym tornistrze. Bagaż prawie go przeważa, ale chłopiec nie pozwolił mi go zabrać, odkąd wyruszyliśmy w trasę.

– Sprawa, którą Will pojechał załatwić daleko stąd, musiała być naprawdę pilna. – Mój podopieczny wypowiada nagle słowa, które delikatnie mnie stresują.

Muszę udawać, że wszystko jest w porządku, że Will po prostu na trochę wyjechał. Odwracam się ku maluchowi i odpowiadam mu mimo tego, jak mocno ściśnięte mam gardło.

– Była. Daję ci słowo, że ta sprawa była bardzo, bardzo pilna, Rhodes.

– Nawet mnie nie uściskał, zanim wyjechał... ale jeśli tym razem zapomniał albo nie znalazł dla mnie chwili, nie jestem na niego zły. Za moment wróci i naprawi swój błąd, prawda?

Przystaję w miejscu, po czym zaciskam powieki. Prędko jednak na powrót je uchylam i z trudnym do odparcia grymasem bólu na twarzy oraz nie zważając na ludzi dookoła nas, kucam przy Rhodesie, żeby poprawić poły jego za dużej kurtki. Nie może się znowu przeziębic.

– Dlaczego się zatrzymaliśmy, Goldie?

Silę się na niewyraźny uśmiech.

– Na razie uściskam cię za niego ja – proponuję. – Co ty na to? Wiem, że sposób, w jaki Will nas do siebie tuli, jest nie do podrobienia, jednak mój też chyba nie jest taki najgorszy?

– Jest super. – Malec wpada w moje ramiona. – Bardzo go lubię. Will też.

Obejmuję go z całych sił, pociągając smutno nosem.

– Skąd wiesz? Powiedział ci to?

– Dwa dni temu zaspaliśmy. Will pomagał mi się szybko ubrać do szkoły, pamiętasz? Zauważyłem, że sam z siebie się uśmiecha i pomyślałem, że to dziwne, bo on prawie nigdy się nie uśmiecha... Zapytałem go, dlaczego tym razem to robi – wspomina Rhodes. – Stwierdził, że miał dzisiaj dobry poranek. Że mogłby przywyknąć do otwierania oczu i przyciągania nas, leżących obok, do siebie. Zwłaszcza kiedy i tak przytulamy się do niego jak mały w zoo.

Chociaż mam ochotę gorzko zapłakać, ponieważ boli mnie wiedza, że w najbliższym czasie nic takiego się nie powtórzy, ciągnę małego Rhodesa za język.

– Co było potem? – Patrzę mu z bliska w oczy. – Opowiadaj.

– Zagroziłem mu, że powiem ci, że porównał cię do małpy.

Tym razem wybucham niekontrolowanym śmiechem lub też szlocham: nie jestem pewna, co właściwie w tym momencie wyrywa się z mojej piersi.

– A Will na to...?

– Że mógłbym ci o tym powiedzieć, bo droczenie się z tobą, to jego ulubiona część dnia, obok malowania ze mną ścian. Ale tak między nami... – Rhodes ciasno obejmuje łapkami moje policzki i nachyla się nad moim uchem, by wyszeptać wprost do niego: – Will tak naprawdę nie lubi ze mną malować ścian, więc w sumie to nie wiem, czy lubi też się z tobą droczyć.

Potrząsam głową, zaprzeczając jego słowom.

– Myślę, że twój wujek lubi obie te rzeczy.

– Goldie, nie wmawiaj mi, że kocha wymachiwać pędzlem... – Malec ściąga jedną rękę z mojej twarzy i grozi mi zabawnie palcem. – Dobrze wiem, że za tym nie przepada. No i przy okazji, akurat ty zawsze staniesz po jego stronie, tak jak robisz to teraz.

Obserwuję Rhodesa. Chyba mógłby mieć rację, a ja mogłabym z jakiegoś powodu zawsze odnaleźć w Willardzie coś, co skłoniłoby mnie do tego, żeby stanąć za nim murem. Ostatni raz upewniam się, że chłopcu jest wygodnie, ale przede wszystkim ciepło.

– Zgaduję, że wyszłam na kłamczuchę? – wdycham, unosząc słabo kącik ust.

– Już chyba rozumiem, dlaczego Will ciągle cię tak nazywa. – Mały ściąga drugą dłoń z mojego policzka, po czym spogląda na mnie szeroko uśmiechnięty. – Kłamczucha.

– Osz ty. – Marszczę niby gniewnie czoło. – Lepiej wiej, bo akurat tobie nikt nie dał prawa mnie tak nazywać.

Mały piszczy uroczo i odskakuje na niewielką odległość.

– Nie dogonisz mnie.

– Ależ oczywiście, że dogonię. – Ostatni raz dyskretnie pociągam nosem i wskazuję kiwnięciem na przejście w dół. – Uciekaj w stronę tej stacji metra, tylko pamiętaj...

– Bądź ostrożny – dokańcza za mnie pouczony wiele razy chłopiec. – Będę, Goldie.

To, jak rwie się do zabawy, rozczuła mnie za mocno, bym była w stanie mu się oprzeć i nie zacząć ganiać za nim po ulicach miasta. Zwłaszcza że doskonale wiem, jak wygląda jego codzienność i jak mocno cierpi przez brak kontaktu z rówieśnikami, którzy go odtrącili.

Przygnębiona klaskam w dłonie.

– Więc start!

Na mój znak Rhodes rzuca się do odrobiny pokracznego przez ciężący mu tornister biegu. Na szczęście nie jest w nim zbyt szybki, a przejście do metra znajduje się blisko, więc nie tracę go z oczu choćby na sekundę. Z trudem mijamy innych przechodniów, dając susa po schodach w dół. Dopiero na stacji postanawiam przerwać frajdę chłopca i złapać go za kaptur.

– No i co teraz, maluchu? – pytam zdyszana i dochodzę do wniosku, że widok wesołych ogników w jego oczach był wart odbycia porannej przebieżki.

Rhodes od razu łypie na mnie wrogo.

– Nie jestem maluchem – obrusza się.

– Racja. – Czochram jego włosy. – Teraz, skoro cię dorwałam, jesteś raczej moim zakładnikiem.

Mały wystawia w moją stronę język.

– Will zaraz wróci i mnie odbije, zobaczysz. Wtedy to ty będziesz naszym zakładnikiem i zrobimy z tobą, co będziemy chcieli.

Ucisk w mojej piersi daje o sobie znać na wzmiankę o powrocie Willa. Rhodes mocno wierzy, że to nastanie szybko, ale nie ma w tym nic dziwnego, skoro powiedziałam mu, że jego wujek wyjechał jedynie załatwić bardzo ważną sprawę do starego kumpla.

Przenoszę wzrok na pobliski rozkład jazdy. Przez chwilę niby próbuję coś z niego odczytać, jednak tak naprawdę zbieram się w sobie, by dalej stwarzać pozory, że wszystko gra.

– Zagonicie mnie do sprzątnania waszych brudnych skarpetek? – dociekam w końcu z wymuszonym

rozbawieniem.

– Będziemy łąskotać, dopóki nie powiesz, że mamy przestać.

– Tylko nie to. – Przykładam teatralnie dłoń do serca, a następnie zerkam pobłaźliwie na wyszczerzonego Rhodesa. – Nie bądź dla mnie aż tak okrutny, co?

– Będę. Taka zemsta brzmi fajnie.

– Ktoś tutaj wyrasta na dupka. – Opuszczam rękę i ponownie znęcam się nad jego fryzurą, wplatając palce w gęste kosmyki włosów.

Mój zaciekawiony rozmówca unosi brew.

– Na kogo?

Wzdycham, bo po raz kolejny nieumyślnie wpajam mu słowo, na którego naukę ma czas.

– To znaczy: „przepraszam, może jednak mnie oszczędzisz?” – poprawiam się i patrzę słodko na chłopca, który jedynie zakłada bojowo ręce na piersi.

– Może Will nabiera się na te oczy kota ze *Shreka*, ale ja nie.

To boli. To boli, że dosłownie wszystko choćby podświadomie sprowadzamy do tematu Willa. Być może łatwiej byłoby mi przetrwać rozłąkę z nim, gdyby nie nawiedzał mnie na każdym kroku, bo kiedy to robi, wydaje mi się, jakbym składała się tylko z silnej tęsknoty.

Trzymam rozpacz na wodzy i zwracam się do Rhodesa z propozycją.

– A co powiesz na maraton *Shreka* dzisiaj wieczorem?

Wydyma wargę w zamyśleniu.

– No... okej, ale to nie znaczy, że ci odpuszczę – zaznacza. – Nazwałaś mnie maluchem, wzięłaś mnie jako swojego zakładnika i w dodatku rozczochnałaś. Przesadziłaś, Goldie.

Mimo smutku, który się we mnie gnieździ, śmieję się pod nosem.

– W porządku, nie musisz mi odpuszczać, ale obejrzymy dzisiaj pierwszą część. Tylko najpierw posprzątam wasze mieszkanie, nadal jest w opłakanym stanie.

Po tym, jak Will je zdemolował i później przeszukała je policja, nie mogłam się zebrać, żeby ogarnąć ten wielgachny bałagan – zwłaszcza że dwa dni temu o poranku, gdy zaspaliśmy, a Rhodes oraz jego wujek byli zajęci zbieraniem się do wyjścia, znalazłam pośród niego coś, co odrobinę mnie przeraziło. Ale dzisiaj po pracy zamierzam już coś z nim zrobić. A potem zabiorę małego do swojego mieszkania, tam będzie raczej bezpieczniejszy.

– Omijam stłuczone lustro, tak jak kazałaś – mówi dumnie.

– Mój mądry chłopak – chwałę go i chwytam za rękę, bo zaraz podjedzie metro. – Zajmę się całym bałaganem, jak skończę zmianę. Później odbiorę cię ze szkoły, dobrze?

– Dobrze.

Słyszę hałas, stopniowo natężający się w jak zwykle zatłoczonych podziemiach, dlatego postanawiam powiedzieć Rhodesowi coś jeszcze, zanim zrobi się głośniejsze.

– Pamiętaj, olewaj komentarze tych nadętych dzieciaków, jeśli jakieś znowu do ciebie skierują, tak? A gdy będą ci bardziej dokuczać, masz dać mi o tym znać. Dojadę ich. – Ściskam pokrzepiająco jego dłoń, posyłając mu nieznaczny uśmiech.

Malec patrzy na mnie z wdzięcznością i stwierdza:

– Przypominasz damską wersję Willa.

– O nie, ja zamierzam ich jedynie dosyć niekulturalnie zbluzgać, a on wybiłby im wszystkie mleczaki i tłumaczył się bezczelnie ich rodzicom, że tylko im pomógł. Ewentualnie startującym do niego ojcom też by coś wybił, któryś staw, albo... – Drapię się niezręcznie z tyłu głowy. – Cóż, nie idźmy w to dalej. Po prostu Will dałby im popalić.

Rhodes obnaża zęby, ale po chwili poważnieje i ciągnie mnie za rękę w dół, bym się pochyliła. Robię to. Spomiędzy jego ust wydostaje się krótkie, nerwowe pytanie.

– Ale dzisiaj przyjdiesz po mnie punktualnie o czwartej? – upewnia się.

Dobrze wiem, z czego wynikają jego obawy o to, czy się nie spóźnię. Wczoraj musiał spędzić dwie godziny na ławce w pobliskim parku, bo policja, która znowu przeszukiwała mieszkanie Willa zatrzymała mnie na ciągle przedłużającą się rozmowę, a ja wcześniej obiecałam małemu, że po niego przyjadę. Kiedy zmachana nareszcie do niego dobiegłam, był bardzo, bardzo smutny i zdezorientowany.

Całuję go przelotnie w czubek głowy, po czym przytakuję.

– Przyjdę po ciebie równo o czwartej. A teraz wsiadamy.

Otrzymuję w zamian niepewne skinienie.

Ostatni raz sprawdzam w biegu godzinę wyświetloną na ekranie trzymanego w dłoni telefonu i oddycham z ulgą, bo podbiegam do drzwi sklepu z winylami cztery minuty przed jego otwarciem. Dziwi mnie jednak to, że próbując wcisnąć klucz do zamka, natrafiam na jakiś opór. Jak się okazuje, po drugiej stronie ktoś już wsunął do środka swój komplet.

Ściągam brwi. O co tutaj chodzi? Jestem pewna, że to ja miałam dzisiaj rano pojawić się w sklepie, tymczasem wchodząc do niego, dostrzegam stojącą za ladą i przygotowującą się do otwarcia interesu Findlayów koleżankę.

– Leah? – zaczynam. – Co ty tutaj robisz?

Zsuwam z ramienia torebkę i zdobywając się na uśmiech, podchodzę do dziewczyny, która właśnie mnie zauważa. Mam wrażenie, że delikatnie się spina, bo zaczesuje blond kosmyki za uszy, nabierając przy tym ukradkiem wdech, ale nie myślę o jej reakcji.

– To znaczy, dobrze się składa, że jesteś – poprawiam się prędko, mknąc do niej wesółym krokiem. – Mogę podziękować ci twarzą w twarz, że zgodziłaś się wziąć część popołudniowych zmian. Naprawdę bardzo mi to pomogło, jestem teraz w trudnej sytuacji i...

– Przykro mi, Marigold – znajoma przerywa mi, a jej ton jest wyraźnie zasmucony.

Przystaję w miejscu, tuż przed ladą, na której kładę torebkę.

– Dlaczego ci przykro? – Patrzę na nią z troską. – Coś się stało?

– Państwo Findlay kazali mi przyjść na tę zmianę.

– Myślę, że nie poradzę sobie zupełnie sama? – zastanawiam się rozbawiona. – Tyle razy sklep był tylko na mojej głowie i nic złego się nie wydarzyło.

Leah przełyka ślinę potwornie głośno, a to nie wróży niczego dobrego. Mam co do tego pewność i tym razem już zwracam uwagę na jej dziwne podchody.

Coś ewidentnie jest na rzeczy.

– Mam cię zastąpić – wyznaje, spuszczać wzrok na swoje buty. – Nie tylko dzisiaj, a do czasu, aż nie znajdą kogoś na twoje miejsce. Naprawdę przykro mi, że cię skreślili. Powinnaś... powinnaś raczej z nimi porozmawiać, wiesz?

Słowa dziewczyny dobiegają mnie jakby w zwolnionym tempie. Chwilę zajmuje mi przetrwanie tego, co mi przekazała, lecz gdy tylko uderza we mnie brutalna świadomość, że zostałam skreślona z listy pracowników, po moim ciele rozlewa się ogromna panika.

Nie mogę, nie mogę, nie mogę zostać teraz bez pracy. Przecież muszę utrzymać siebie i Rhodesa w trakcie nieobecności Willarda, a nie mam tysięcy dolarów oszczędności. Wpłatom palce we włosy i ciągnę bezradnie za ich końcówki, wciąż nie mogąc w to uwierzyć.

– W-wyrzucili mnie? – pytam jęśliwie. – Byłam przekonana, że dobrze się spisywałam. Byłam pewna, że przez tych kilka tygodni podołam wszystkim obowiązkom, które dostałyśmy. Jak... jak to możliwe, że się mnie teraz pozbywają?

Leah unosi wzrok i potrząsa głową, jakby sama nie знаła odpowiedzi na moje pytanie.

– Ja też byłam tego pewna, dlatego powinnaś pogadać z Findlayem – radzi mi i mam wrażenie, że współczucie w jej oczach jest szczere. – Może doszło do nieporozumienia.

Robię krok w tył, wcześniej zgarniając szarpnięciem torebkę z lady.

– Nie... nie mogę stracić tej pracy – mówię bardziej do siebie. – Nie teraz.

Wydaje mi się, jakbym tkwiła w jakimś koszmarze, jakby moje życie rozlatywało się w nim bez przerwy niczym domek z kart. Najpierw bezlitośnie odbierają mi Willa. Potem przytłacza mnie nowa rzeczywistość, w której muszę być silna dla siebie i dla małego Rhodesa, a teraz tracę jeszcze jedyne źródło utrzymania, nie wiedząc nawet, czym zawiniłam.

Mam ochotę po raz kolejny się rozplakać, bo nie wiem, co robić.

– Posłuchaj mnie. – Leah wychodzi pośpiesznie zza lady i opiera dłonie na moich drżących ze zdenerwowania ramionach. – Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, wiesz, że możesz do mnie napisać, prawda? Postaram się jakoś cię wesprzeć. Jak mogę... przyrzekam, Marigold.

Bije od niej chęć pomocy, ale to nie jej potrzebuję. Jedyne, na czym mi teraz zależy, to wyjaśnienie tej sytuacji i jak najszybsze odzyskanie pracy. Muszę zapewnić Rhodesowi i sobie podstawowe warunki do tego, by przetrwać – opłacić rachunki, włożyć coś do lodówki, kupić jakieś cieplejsze ciuchy, bo nieubłaganie zbliża się zima. Żadnej z tych rzeczy nie zrobię bez pieniędzy, a Findlayowie właśnie odcięli mnie od możliwości ich zarobienia.

Przebiegam palcami po twarzy, chcąc się jakkolwiek ocucić.

– Dziękuję – wzdycham już trochę bardziej trzeźwo, bo do tej pory nie dałam ciała w żadnej kwestii i tutaj musiała zajść jakaś paskudna pomyłka. – Nie będę zwracać ci głowy, idę zresztą od razu skontaktować się z panem Findlayem.

Leah ściąga rękę z moich ramion.

– Powodzenia, wyjaśnijcie sobie wszystko, bo coś mi tu nie pasuje.

– Wyjaśnimy... Mam nadzieję – mówię to, po czym posyłam zmartwionej koleżance ostatnie spojrzenie i odwracam się na pięcie, żeby ruszyć w jakieś zaciszne miejsce.

Nie jest łatwo znaleźć zupełnie pusty zaułek pomiędzy dwoma wąskimi uliczkami, ale kiedy mi się to udaje, zatrzymuję się obok śmietnika i cała w nerwach wybieram numer do pana Findlaya. Za pierwszym razem nie odbiera połączenia. Za drugim oraz trzecim zresztą także. Nie znam jego adresu, lecz domyślam się, gdzie mógłby teraz być.

Gdzieś, gdzie sama nie powinnam się zjawiać.

Chociaż wiem, że nie jestem tam mile widziana, i tak wsiadam w metro i po upływie około godziny dojeżdżam do szpitala, w którym – jak obilo mi się o uszy – przebywa Alex. Pobicie i obrażenia, których doznał, zatrzymują go na oddziale pewnie przez jakiś czas. Szkoda mi go i mam nadzieję, że szybko wydobrzeje, nawet jeśli okazał się dla mnie dupkiem do kwadratu i zakończył naszą znajomość tylko dlatego, że nie posłuchałam jego śmiesznego, niewyrażonego wprost „zakazu”, bym trzymała się z daleka od Willa.

Pokonuję truchtem schody prowadzące do wejścia. Właśnie wtedy przez głowę przebiega mi głupia myśl, że być może ostatnie wydarzenia na uczelni mogłyby mieć coś wspólnego z utratą przeze mnie pracy, ale... nie. Alex by taki nie był. Nie zmusiłby rodziców do zwolnienia mnie tylko dlatego, że już się ze sobą nie zadajemy.

To szczeniackie.

Nie pytam w recepcji, w której sali przebywa. Pewnie i tak niczego bym się nie dowiedziała. Zamiast tego przechadzam się szpitalnymi korytarzami, w których biel ścian aż razi w oczy, a charakterystyczny zapach drażni nozdrza, i zaglądam przez szpary w drzwiach do każdej sali. Po sprawdzeniu przynajmniej kilkudziesięciu mam zamiar się poddać, lecz wtem dostrzegam stojącego przy jednej z nich ojca Alexa. Natychmiast uderza we mnie ulga.

Maszeruję do niego szybkim krokiem, pełna nadziei, że wszystko wyjaśnimy.

– Miałam dobre przeczucie, że pana tutaj znajdę – zaczynam lekko zdyszana. – Nie dostałam odpowiedzi na wiadomości ani nie oddzwonił pan do mnie, jak prosiłam, a chciałam pilnie porozmawiać o mojej pracy w sklepie... dlatego przyszłam.

Ubrany w czarny garnitur Benjamin Findlay lustruje mnie spojrzeniem od góry do dołu. Nie wygląda na zadowolonego z mojego widoku. Zaczesauje przyprószone siwizną włosy do tyłu i obwieszcza bardzo spokojnym tonem:

– Marigold, ale ty już dla mnie nie pracujesz. Zapomniałem przekazać Leah, że wczoraj zostawiłem pod ladą wypowiedzenie dla ciebie.

Moja mina zdecydowanie rzędzie.

– Z jakiej racji mnie pan wyrzucił? – dociekam, nie biorąc pod uwagę opcji, by wyjść z budynku i odpuścić temat. – Nie mam na koncie żadnej pomyłki ani żadnego potknięcia, zawsze byłam punktualna i sumienna, starałam się dbać o sklep, jak mogłam...

– A do tego usadziłaś mojego syna na szpitalnym łóżku, wcześniej robiąc z niego idiotę w oczach reszty studentów – przerywa mi męskie prychnięcie. – Nieważne, czy byłaś punktualna, czy sumienna, nie będę przekazywać choćby centa w ręce żmii twojego pokroju.

Więc jednak, orientuję się. Więc jednak wyrzucił mnie, bo Alex maczał w tym palce. Nie powiedział pewnie ojcu o tym, że nic mu nie obiecywałam, że nie robiłam mu złudnej nadziei, że mieliśmy naprawdę

dobrze stosunki, zanim obraził się na mnie i cały świat, bo pokazałam się z Willardem na uczelni. Po prostu przedstawił to tak, jakbym zmieszała go z błotem, poniżyła i upokorzyła w najgorszy możliwy sposób, a nie takiego, do cholery, nie zrobiłam.

Jedynie uraziłam jego kruche ego i za to postanowił mi się odwdziaczyć.

– To niezgodne z prawem – odpieram, krzyżując ręce pod biustem.

– Oczywiście oficjalnie ubrałem to w inne słowa. – Łudząco podobne oczy do tych, które posiada mój dawny przyjaciel, patrzą na mnie z wyższością.

Stary Findlay wie, że nie mogę mu nic zrobić.

– Dobrze, zacznijmy od tego, że to nie ja pobiłam Alexa. – Opuszczam gwałtownie ręce. – W dodatku starałam się powstrzymać tego, który po tym, jak pański syn mnie obraził, się na niego rzucił. To nie tak, że stałam beczynnym i przyglądałam się temu, co się działo.

Obserwuję twarz mężczyzny, ale ta pozostaje niewzruszona. Zapewne niepotrzebnie przedstawiam mu w ogóle swoją wersję, ponieważ nie weźmie jej pod uwagę. Będzie trzymał stronę synalka, nieistotne, że zachował się on jak rozkapryszony dzieciak.

Nie spodziewałam się, że ten dobry Alex będzie takim mściwym skurwielem.

– Poza tym z mojej strony nic się nie zmieniło – dorzucam. – Lubiłam i nadal lubię Alexandra. Szkoda, że uniósł się honorem i zakończył naszą znajomość dlatego, że nie poczułam do niego tego, co on do mnie. Gdyby tego nie zrobił, na pewno by mu przeszło i wciąż bylibyśmy przyjaciółmi, bo tego oczekiwałam od niego od początku. Przyjaźni i niczego więcej. Nie mydliłam mu oczu wizją, że możemy skończyć ze sobą.

– Zapomniałaś dodać, że obściskiwałaś się na jego oczach z nowym chłopakiem – wtrąca Benjamin. – A to już chyba nie czyni cię taką nieskazitelną? To świadczy o tym, jaka z ciebie podła dziewczucha, skoro znalazłaś sobie innego i kazałaś Alexowi na was patrzeć.

– Nie obściskiwałam się na jego oczach z żadnym nowym chłopakiem, po prostu usiadłam na miejscu obok mojego kolegi – protestuję, gotując się powoli od środka.

Co ten pajac nagadał ojcu? Że migdałiłam się z Willardem przy wszystkich? On naprawdę zrobił ze mnie łamiącą serca sukę. Stojący naprzeciwko mężczyzna strzepuje kurz z ramienia, nie patrząc już w moim kierunku, jakbym nie była warta marnowania więcej czasu.

– Powinnaś już sobie iść, nie zmienię decyzji ani opinii o tobie – mówi. – Zraniłaś mojego syna, więc nie masz czego przy nas szukać, bo nie wywieszysz żadnej kolejnej okazji. Mogłaś wgryźć się w lepsze sfery, zostać obsypana przez Alexa prezentami i luksusem, a to, że wolałaś powzdychać sobie do kryminalisty... to był twój świadomy wybór, Marigold.

Robię długi krok w stronę faceta, nie odrywając wzroku od jego patrzących na mnie nieprzychylnie oczu.

– Nie wierzę. – Znowu wymachuję żywo rękami, bo zalewa mnie złość. – Naprawdę skreślacie mnie, bo Alex nie dostał tego, czego chciał. Skreślacie mnie, bo jego męska duma nie dała rady pozbierać się po tym, że nie rzuciłam mu się na szyję z głośnym „chcę być twoją dziewczyną”, mimo że nigdy nie dałam mu sygnału, że chcę nią być... To takie dziecinne. Niech pan przekaże synalkowi, że jest pieprzonym dzieciakiem.

Zbliżam się bardziej do mężczyzny i zadieram śmiało podbródek, by wycedzić mu coś prosto w tę poważną i w tym momencie okropnie irytującą mnie twarz.

– A do tego, że chętnie dopiero rzucę się na szyję temu kryminaliście.

Findlay kręci głową, jakby nie mógł uwierzyć w mój tupet.

– Nie produkuj się dłużej. – Odwraca się do mnie plecami. – Jedynie przyjmij do wiadomości, że już dla mnie, dla nas, nie pracujesz i zostaje ci klepanie biedy.

Przez moje żyły przetacza się jeszcze silniejsza wściekłość. *Nadziany kutas.*

– Przyjmuję to do wiadomości i, cholera, nie jest mi z tego powodu ani trochę przykro – cedzę nienawistnie, wiedząc, że nasza rozmowa właśnie dobiegła końca.

Chociaż zaraz ulatniam się spod sali, mam zamiar tam wrócić.

ROZDZIAŁ DRUGI

MARIGOLD

Stary Findlay opuszcza szpital dopiero po kilkunastu minutach. Chociaż właśnie tyle czasu upłynęło, odkąd skończyliśmy rozmawiać, jestem tak samo wściekła na to, jak zostałam potraktowana przez niego i jego syna. W końcu zemścili się na mnie jedynie za urażoną dumę Alexandra. Teraz żałuję, że było mi go szkoda. Że po cichu szukałam sposobu, by może jakimś cudem naprawić nasze relacje za kilka tygodni, gdy oboje byśmy ochłonęli.

Bo nie chciałam zrywać z nim całkowicie kontaktu. Do dzisiaj.

Upewniam się, że nikt nie patrzy, po czym wyłamiam się zza ściany i ruszam w stronę sali, pod którą wcześniej dyskutowałam z Benjaminem Findlayem. Wchodzę bez ceregieli do środka. Od razu dostrzegam leżącego na łóżku, mocno poobijanego Alexa i chociaż z początku dokucza mi smutek związany z tym, że tak skończył, prędko przypominam sobie, co uczynił.

– Co ty tutaj robisz? – pyta zaskoczony, podnosząc się delikatnie na przedramionach.

– Przyszłam podziękować. – Zrzucam z ramienia torebkę, siadam na krześle przodem do oparcia i opieram na nim dłonie. – Wykazałeś się dojrzałością, nie pozbawiając mnie pracy, której bardzo potrzebowałam, tylko dlatego, że rozeszliśmy się w złych stosunkach.

Chłopak patrzy na mnie i obnaża bezczelnie zęby.

– No i po co ta ironia?

– Powiedz mi lepiej: po co tobie było rzucanie mi kłód pod nogi? – Przekrzywiam pytająco głowę. – Chciałeś mi w ten sposób dopiec? Pokazać, że popełniłam błąd, zadając się z Willardem mimo twojego „zakazu”?

– Myślałaś, że tak to zostawię? – Alex unosi brew, przy czym kącik jego oka, które zdobi ogromne, paskudne limo, drga. – Że pogodzę się z tym, jak mnie upokorzyłaś? Wszyscy ze studiów podejrzewali, że coś między nami jest, a potem ty przysłałaś z tym... z tym żalonym śmieciem, przez co wzięli mnie za frajera, którego dziewczyna wymieniła bez wahania na najgorszą możliwą opcję. Każdy na moim miejscu postąpiłby podobnie.

Puszczam mimo uszu wzmiankę o tym, że podobno sporo osób podejrzewało nas o flirtowanie ze sobą. Jeśli on nie wierzy w przyjaźń damsko-męską, to jego interes, ale na pewno nie wszyscy z naszej grupy podzielali jego zdanie.

Pochylam się odrobinę do przodu.

– Wcale, że nie, Alex. – Zwęzłam oczy, bo on znowu jest perfidnie wyszczerzony, jakby czuł się świetnie z tym, co mi zrobił. – Ktoś na twoim miejscu na pewno nie nakręcałby się tak mocno na coś, czego od samego początku ci nie obiecywałam. Ktoś na twoim miejscu na pewno nie uniósłby się honorem i nie zaczął mnie obrażać, bo zobaczył, że usiadłam obok innego chłopaka. Ktoś na twoim miejscu na pewno nie doprowadziłby do tego, że tracę pracę, byle tylko się na mnie za to zemścić – kończąc, sznuruję usta w kreskę.

Szatyn natomiast rozkłada z trudem ręce, bo jedną z nich ma w gipsie.

– Więc wybacz, że siedzę na swoim miejscu i jednak się na tobie mścę.

Szlag by to. Nie podejrzewałam ani przez głupią chwilę, że ten idealny Alexander Findlay okaże się takim draniem: że jeśli cokolwiek nie pójdzie po jego myśli albo jeśli ktoś zrobi coś, co mu się nie spodoba, będzie z całych sił starał się zniszczyć temu komuś życie.

Zaciskam palce na oparciu krzesła, nie zrywając naszego kontaktu wzrokowego.

– Poważnie sądzisz, że należało mi się takie świństwo?

– Och, rozmawiamy o tym, co nam się należy? – Alex odpowiada mi pytaniem tak szybko, że najwyraźniej nie zastanawia się nad swoimi słowami. – A może ustalimy, co należało się twojemu gangsterowi za to, jak rozrabiał i za to, co mi zrobił?

Z chwilą, gdy dociera do mnie sens jego wypowiedzi, zamieram.

– Słucham? – wyduszam ciszej.

Przez moment nie odzywamy się do siebie.

– Powinien w końcu beknąć za swoje grzeszki, co nie? – Findlay najwyraźniej orientuje się, że się trochę zapędził, bo mamrocze całe zdanie pod nosem.

Łączę wszystkie kropki. Poluźniam też uścisk dłoni na krześle i odchylam się na nim do tyłu. Więc Alex... on za tym wszystkim stoi. Z Willem nie podejrzewaliśmy, kto na niego nakablował, a odpowiedź mieliśmy pod samym nosem.

Boże, dlaczego żadne z nas się tego nie domyśliło?

– To ty... – zaczynam ledwie słyszalnym szeptem. – To przez ciebie go zabrali.

Nadal czuję się oniemiała i mam wrażenie, jakby szok wmurował mi stopy w podłogę. Findlay nie tylko doprowadził do tego, że straciłam pracę. Wpakował także Willarda do aresztu. Jest tym, który kreuje mój koszmar. Jest tym, który stopniowo rozwała mi życie.

Sam zresztą potwierdza to na głos.

– Niech gnije za kratkami, a ty czołgaj się po dnie i ledwo wiąż koniec z końcem. Oboje jesteście siebie warci i oboje na to zasługiwaliście – wypluwa obrzydzony.

Nie spuszczam wzroku z jego okropnie pobitej twarzy. Czuję się jak sparaliżowana, ale z upływem kolejnych sekund zaczynam odzyskiwać nad sobą kontrolę. Wstaję na równe nogi. Potem zbliżam się w kilku krokach do szpitalnego łóżka, kręcąc przy tym głową.

– Jesteś takim sukinsynem, Alex.

Findlay prychnął głośno.

– A ty jesteś chyba pod kreską, co? Czekam na to, aż będziesz jeść żarcie ze śmietnika, bo nie będzie cię stać nawet na pieprzone jedzenie. Aż wylądujesz na bruku, bo nie będzie cię stać na wynajęcie klitki nawet na paskudnym Bronksie.

Skurwiel, myślę. Pierdolony skurwiel.

Jego słowa oraz niezmienny, arogancki uśmiech napędzają moją złość. Jestem pewna, że właśnie ona infekuje mój umysł i każe mi zadać mu cios, taki sam, jaki on zadał mnie. Bez pośpiechu skracam maleńki dystans, który dzieli mnie od łóżka, i przysiadam na nim. Chcę, żeby Alex poczuł się okropnie. Chcę, żeby poczuł się tak, jak czuję się od dwóch dni ja.

Zakładam nogę na nogę i przyglądam mu się z powagą.

– Szkoda, że Will nie przywalił ci mocniej – odpowiadam początkowo z lekkim oporem, który zaraz ze mnie ulatuje. – Chociaż i tak cię nie oszczędził, prawda? Czy któraś kość w twoim ciele nie jest w ogóle złamana, Alex?

Chłopaka dziwi mój kontratak. Milczy, po czym otrząsa się, ponownie wspiera na przedramionach i rzuca w moją stronę rozkaz:

– Wynoś się stąd.

Nie ruszam się o cal.

– Powiedziałem: wynocha – powtarza twardo.

Tym razem również go nie słucham. Jedynie wyciągam dłoń w kierunku jego nogi, ukrytej pod jasną kołdrą, i z westchnieniem przesuwam po niej opuszkami palców, obserwując, jak rysy twarzy Alexandra znacząco wyostrzają się w złości.

– Wiesz dlaczego lgnę do niego? – zadaję mu pytanie.

On nie prosi o odpowiedź, lecz i tak mu ją daję.

– Jest męski. – Zaglądam mu wyzywająco w oczy. – Zaborczy i stanowczy. Gdy czegoś oczekuje, nie szepcze pod nosem „wynocha”, a żąda tego tonem tak władczym, że miękną mi kolana... Gdy chce mnie sobie przywłaszczyć, nie stara się mnie w sobie rozkochać czułymi słówkami, a mącąc mi w głowie, doprowadza do tego, że nie umiem bez niego funkcjonować.

Mina szatyna tężeje bardziej. W końcu akurat on starał się rozkochać mnie w sobie tymi czułymi słówkami. Teraz nie może słuchać, jak zdradzam mu, że Willardowi udało się mnie „zdobyć” w inny sposób, mimo że nie wszystko, o czym mówię, jest prawdą.

Macham leniwie skrzyżowanymi nogami w powietrzu i kontynuuję:

– Gdy chce mnie tknąć, po prostu mnie rozbiera. Szybko i sprawnie, a potem popycha, gdzie ma ochotę, i bierze, jak ma ochotę – mówię to bez ani jednego zajknięcia.

Alex zaciska szczękę, przypatrując mi się zaciekle.

– Taka z ciebie szmata, że już się z nim bzykałaś?

– Nawet w sklepie twoich rodziców do twojego ulubionego winylu. – Chociaż wiem, że mocno przeginam, nie umiem się powstrzymać i ugryźć w język.

Odebrał mi pracę i Willarda. Niech on też odczuwa ból.

– Zadzwońię po ojca – grozi mi, na co parskam śmiechem.

– Wiesz, jak żałośnie właśnie zabrzmiałeś? – Unoszę brew i znowu przesuwam dłonią po jego nodze.

– Will powiedziałby, że jeśli nie wyjdę, on nie wyjdzie ze mnie przez całą noc.

– Jesteście, kurwa, wstrętni.

– A ty za to dopiero taki będziesz, jak Covington dowie się, że to ty go wsypałeś – stwierdzam nadal bez nerwów. – Nie odpuści ci. Dla własnego dobra nie wyściubiaj nosa z tego swojego apartamentu, bo gdy się przypadkiem spotkacie, możesz nie wyjść z tego żywy.

Chłopak odwraca głowę w bok i wbija wzrok w ścianę. Nie chce na mnie patrzeć, albo nie może, bo któreś wypowiedziane przeze mnie zdanie w pewnym stopniu go dotknęło. Powinam poczuć się źle z tym, że wyrządziłam mu krzywdę, ale chyba już nie potrafię czuć wyrzutów sumienia wobec kogoś, kto zechciał zepchnąć mnie na samo dno.

Wypuszczam powietrze.

– Zabrałeś mi kogoś, bez kogo sobie nie radzę. Zabrałeś mi pracę, bez której nie będę sobie radzić bardziej. Życzyłeś mi przed momentem życia na bruku i dojadania resztek ze śmietników. Nie zachowuj się teraz tak, jakbyś nic nie zrobił i nie zasługiwał na moją złość.

Alex przez dłuższy czas niczego nie mówi. Ja natomiast nie mam już powodów, by ciągnąć tę rozmowę. Przychodząc tu, liczyłam, że coś sobie wyjaśnimy, a dowiedziałam się tylko, że to on obrócił moje plany w pył.

Zwlekam się z łóżka.

– Naprawdę byłam przekonana, że będziemy dla siebie przyjaciółmi, którzy skoczą za sobą w ogień. Że będę mogła traktować cię jak brata, jak już znajdziesz sobie inny obiekt zainteresowania. Cholera, Alex... Miałam potwornie silną nadzieję, że tak się właśnie stanie.

Sięgam po swoją torebkę leżącą na ziemi i znowu spoglądam na chłopaka. On jednak bez przerwy wpatruje się w białą ścianę.

– A potem odkryłam, że jesteś rozkapryszonym, mściwym gnojem. – Uśmiecham się krzywo, lecz ten gest pewnie przypomina grymas. – Dziękuję za uprzykrzenie mi życia, ale nie dam ci tej satysfakcji i nie skończę ani bez dachu nad głową, ani głodując. Nie dopniesz swego.

Ruszam w stronę wyjścia. W ostatniej chwili, stojąc tuż przed drzwiami i trzymając w dłoni klamkę, odwracam głowę, by po raz ostatni spojrzeć na mizernie wyglądającego Alexandra. Akurat coś sobie przypominam. Jego niedawne słowa, które do mnie skierował.

– I wiesz co? – pytam jeszcze.

Odpowiada mi głucha cisza, ale to nie ma dla mnie znaczenia.

– Ty również okazałeś się dla mnie niczym więcej jak błędem.

Mieszkanie Willarda i Rhodesa przypomina wielkie pobojuwisko. Tak naprawdę od razu po tym, jak policja opuściła je po przeszukiwaniu, powinnam była zająć się powstałym w nim bałaganem, lecz nie miałam na to siły. Zresztą wciąż jej nie mam, bo ten poranek tylko bardziej mnie wykończył. Najchętniej położyłabym się do łóżka i pozwoliła, żeby znużył mnie sen.

Mimo tego po rozejrzeniu się wokoło podchodzę do regału, skąd wyszarpano każdą szufladę. Wkładam wszystkie rzeczy oraz dokumenty do środka każdej z nich, próbując nie myśleć o tym, ile pracy mnie czeka, żeby doprowadzić całą przestrzeń do porządku.

Sięgając po następny przedmiot, unoszę delikatnie kąciki ust. To album ze zdjęciami Covingtonów. Mój uśmiech szybko rzednie, ponieważ przypominam sobie, co w nim odnalazłam, kiedy dwa dni temu Will i Rhodes zbierali się w pośpiechu do szkoły, a ja chciałam chociaż odrobinę ogarnąć syf. Niby o tym zapomniałam, ale... ale to ciągle mnie martwi.

Zerkam na zdjęcie zdobiące pierwszą stronę w albumie. Przedstawia dwóch młodych mężczyzn,

jednym z nich jest Willard, a drugim najpewniej jego przyrodni brat, chociaż widzę jedynie połowę jego twarzy. Fotografia jest miejscami podarta. To właśnie przez fragment twarzy chłopaka stojącego obok Willa odrzucam album do jednej z szuflad, jakby mnie parzył.

To niemożliwe, żeby to była prawda. Moje podejrzenia nie mogą okazać się słuszne. Ja tylko... ja tylko musiałam sobie coś uroić.

Wtem odzywa się we mnie panika. Zaczynam wrzucać w pośpiechu rzeczy do szuflad. Zaczynam w ekstremalnie szybkim tempie porządkować bałagan i tkwię wtedy w takim transie, że po czasie mieszkanie już prawie lśni. Na koniec zostawiam rozbite lustro. Zbieram odłamki i wrzucam je na szufelkę. Chociaż czuję się wymordowana, dzielnie zgarniam z podłogi kolejne ostre elementy, uważając, by się nimi nie zranić oraz by nie zawieszać na nich wzroku.

Domyślam się, że gdybym to zrobiła, i tym razem dojrzałabym w ich odbiciu Willa.

W pewnym momencie staję się senna. Oparta plecami o starą kanapę przymykam ciężące mi powieki i nie domyślam się nawet, że akurat dzisiaj po raz kolejny we śnie przypomnę sobie coś, co wydarzyło się jakiś czas temu i o czym wolałabym nie pamiętać.

Niczego nie widzę, bo dłonie Mavericka nadal ułożone są na moich przymkniętych powiekach i pilnują, bym nie otworzyła oczu przedwcześnie. Ale chociaż nie mogę polegać na zmyśle wzroku, dobrze wiem, dokąd mnie przyprowadził. Morska bryza osiadająca na mojej odkrytej gdzieś skórze oraz ubity piasek z drobnymi kamykami, które czuję pod bosymi stopami, podpowiadają mi, że wróciliśmy tam, gdzie spotykaliśmy się, kiedy byłam podopieczną sierocińca.

Na małą plażę.

– Nadal nie wierzę, że mieszkam w Charleston już kilka lat, a nie miałem pojęcia o tym miejscu – mówi mężczyzna po tym, jak przyznaję mu się, że dobrze wiem, dokąd przyszliśmy.

– Nie pochodzisz stąd?

– Nie – odpowiada i śmieje się, ponieważ próbuję nieudolnie zabrać jego dłonie ze swoich oczu. – Hej, nie podglądaj.

– Ale zaraz się potknę i wyląduję twarzą w piasku! – wyrzucam z siebie chichot, po raz kolejny tracąc równowagę. Na szczęście Maverick w porę reaguje. Opuszcza jedną rękę, żeby przełożyć ją przez mój brzuch i przyciągnąć mnie do swojej klatki.

– Nie dam ci wylądować twarzą w piasku, chociaż i z nim przyklejonym do tych wiecznie zarumienionych policzków wyglądałabyś pięknie – mówi to z, jak sądzę, uśmiechem.

Na jego wzmiankę o moich rumieńcach na pewno palę większego buraka.

– Nie moja wina, że ciągle mnie zawstydzasz.

– Ja?

– Mhm. – Zagryzam dolną wargę.

– Niby czym? – zastanawia się zaciekawiony, wzmacniając uścisk, w którym mnie więzi.

– Sobą. Jesteś onieśmielający, zwłaszcza gdy dobrze wiesz, czego chcesz.

Mówiąc mu o tym, nie mam w głowie konkretnej sytuacji. Po chwili na myśl nasuwa mi się nasz pierwszy raz. Miał miejsce kilka tygodni temu i... tak. Maverick dobrze wiedział wtedy, czego chce. Był onieśmielająco bezpośredni. Rzucił rozkazami i niestety trochę złościł się, kiedy prosiłam, żeby nie był taki gwałtowny i porywczy. Nie chcąc go bardziej irytować, nie pisałam ani słowem przez cały czas, gdy pchał się we mnie, mimo że moje ciało stawiało mu opór, a ból doprowadzał mnie do płaczu. Ale przecież Maverick uprzedzał, że tak będzie.

Że pieprzenie rzadko kiedy nie bywa bolesne.

– Przeszkadza ci to, że dobrze wiem, co chcę od ciebie dostać? – pyta, nareszcie ściągając ręce z mojej twarzy i pozwalając mi rozejrzeć się po plaży.

Jest piękna. Pokryta promieniami wiosennego słońca i cicha. Serce rośnie mi do wielkich rozmiarów, bo zauważam nieopodal nas rozłożony koc. Maverick zabrał mnie na randkę. Lubię, gdy zabiera mnie na randki. Odwracam się ku niemu i całuję go w policzek, tym samym dziękując mu za to, że mnie tutaj przyprowadził.

Ale on nie reaguje. Jedyne na mnie patrzy. Z powagą oraz wyczekująco. Ach, tak, przecież oczekuje odpowiedzi na swoje pytanie: czy przeszkadza mi to, że dobrze wie, co chce ode mnie dostać.

– Nie wiem – mówię szczerze. – Na pewno mnie to peszy, bo nie mam pojęcia, co siedzi w głowie

dojrzałem mężczyźnie.

Potem siadam na wielkim kocu, wyglądam materiał zwiewnej sukienki w odcieniu błękitu i wystawiam bladą twarz ku powoli zachodzącemu słońcu. Maverick w tym czasie zajmuje miejsce obok mnie i przez kolejne minuty intensywnie nad czymś myśli.

– Nie może ci to przeszkadzać – stwierdza nareszcie.

Zdezorientowana odwracam się do niego.

– To znaczy?

– Jesteś moją kobietą – wyraźnie akcentuje każde słowo, odpinając guziki lnianej koszuli. – Od swojej kobiety oczekuję, że będzie na moje życzenie robić to, co zechcę. Tak samo jak ja na twoje życzenie zrobiłbym to, co ty byś chciała. Na tym polega bycie w związku.

Odpowiadam mu skinieniem, potwierdzając, że rozumiem, o czym do mnie mówi. W końcu to on z naszej dwójki wie, jak wygląda bycie z drugą osobą. Ja, oprócz niego, nie miałam żadnego chłopaka i polegam tylko na jego wskazówkach.

Mój ukochany podsuwa palec pod mój podbródek.

– Już ci to mówiłem, ślicznotko, dajemy sobie to, czego pragnie druga osoba. Tak powinien wyglądać związek pomiędzy dwojgiem ludzi. Dlatego też zabrałem cię tutaj. Chciałaś romantycznej randki? Proszę bardzo. – Zabiera dłoń i wskazuje nią na piękny krajobraz. – Ale wiedz, że ja również mogę czegoś potem chcieć i ty też będziesz musiała mi to podarować, tak?

Jego brązowe oczy śledzą uważnie moją twarz. Przez chwilę mam głupie wrażenie, jakby wymuszały na mnie udzielenie tej jedynej poprawnej odpowiedzi.

– Tak. – Kiwam pomalą głową. – Na tym polega bycie razem.

– Cieszę się, że się rozumiemy.

Maverick posyła mi oszalamiający uśmiech. Odwzajemniam go. Gdy mężczyzna opada plecami na koc, zbliżam się do jego rosnącego ciała i opieram policzek na jego odkrytej piersi. Jest mi naprawdę dobrze. Rozmawiamy o bzdurach, co chwilę wybuchając śmiechem. Przez głowę przemyka mi myśl, że chciałabym, żeby ta chwila trwała w nieskończoność.

Przerywa ją jednak odgłos przychodzącego połączenia. Patrzę, jak mój mężczyzna wyciąga z kieszeni spodni telefon. Prędko włącza urządzenie, a ja chociaż nie mam szansy dojrzeć, czyje imię wyświetliło się na ekranie jego komórki, dobrze wiem, kto do niego zadzwonił. Ponieważ ten ktoś dzwoni do niego często i od dłuższego czasu. To mnie martwi.

Dłuższą chwilę biję się z myślami, aż w pewnym momencie rzucam nieśmiało:

– Mogę cię o coś zapytać?

– Mari... oczywiście, że możesz. – Ton Mavericka jest miękki i dodaje mi odwagi. Chyba tylko dlatego, że się nim do mnie zwraca, podrywam głowę i spoglądam na niego z dołu.

– Dlaczego Camille tak często do ciebie dzwoni?

Nagle dzieje się coś, czego po cichu się obawiałam. Mężczyzna gwałtownie podnosi się do siadu, nie zważając na to, że opieram się o jego pierś. Muszę podeprzeć się dłonią, by nie uderzyć głową o twardy piasek. Przechodzą mnie zimne dreszcze, ponieważ dociera do mnie, że Maverick patrzy mi w oczy z furią wymalowaną na dotychczas spokojnej twarzy.

– Czy ty musisz zawsze, kurwa, psuć każdą miłą chwilę?

Kulę się w sobie. Nie chciałam znowu wyprowadzić go z równowagi.

– J-ja – jąkam się i instynktownie odsuwam na niewielką odległość. – Po prostu mnie to dziwi. Podobno od miesięcy nie zamieniacie ze sobą słowa, a potem widzę, że się do ciebie dobija. N-nie rozumiem tego. Stwierdziła, że chce cię z powrotem?

Mężczyzna marszczy gniewnie brwi.

– Grzebiesz mi w telefonie?

Spanikowana natychmiast potrząsam głową. Nie chcę się przy nim rozplakać, ale im bardziej nieprzyjemny staje się wobec mnie, tym gorzej radzę sobie z udawaniem, że wszystko w porządku. Maverick jest dla mnie idealny, ale nigdy, gdy coś go mocno rozdrażni.

– Nie, oczywiście, że nie... – odpieram załamana. – Nie złość się na mnie, proszę.

Obrzuca mnie rozwścieczonym spojrzeniem.

– To nie odwalaj takich akcji, do cholery.

– *Przepraszam – dukam.*

Zaciska mocno szczękę i wstaje na nogi.

– *Nie stwierdziła, że chce mnie z powrotem – wręcz wypluwa to w moją stronę. – Po prostu musimy ze sobą czasami rozmawiać, bo dorośli ludzie mają na głowie dorosłe sprawy.*

Rozchylam usta, czując się tak, jakby mnie spoliczkował. Więc ma mnie za dziecko, któremu nie powinno się tłumaczyć dorosłych spraw, ponieważ ono i tak ich nie pojmie? Ścieram łzę, która zdążyła spłynąć mi po twarzy, a potem jeszcze jedną. To naprawdę boli.

Maverick wydycha ze świstem powietrze i rusza w przeciwnym kierunku.

– *Gdzie idziesz? – pytam łamliwym głosem.*

Nawet się nie odwraca.

– *Przejsć się.*

– *Nie chciałam wytrącać cię znowu z równowagi... – Przełykam kolejne mokre ślady kreślące długie trasy po moich policzkach i skapujące na koc.*

– *Porozmawiamy o tym w domu – odpiera mój ukochany, zanim znika mi z oczu.*

Nie porozmawialiśmy o tym w domu. Nie porozmawialiśmy o tym w ciągu kolejnych paru dni, bo nie czułam się gotowa na powrót do normalności po tym, jak tamtego wieczora ciągle życzył sobie, żebym leżała jak kłoda, gdy sprawiał mi ogromny ból do samego rana.

Mimo że po czwartym razie mój głośny płacz zamienił się w rozpaczliwe wycie.

ROZDZIAŁ TRZECI

MARIGOLD

Późnym wieczorem wraz z Rhodesem kończymy oglądać film. Malec wdrapuje się wtedy na krzesło przy drewnianym stole z kartką papieru oraz resztką plakatówek. Ja natomiast ruszam do swojej kuchni, by posprzątać ją po kolacji, i próbuję się jakoś trzymać, chociaż poczucie bycia samiusienką jak palec zdecydowanie mi tego nie ułatwia.

Najchętniej ubrałabym którąś z bluz Willa, zakopała się pod kołdrą i powtarzała do upadłego, że prędko tutaj wróci oraz ukryje mnie w silnych ramionach. Wiem jednak, że nie mogę sobie na to pozwolić. Na dołowanie się wspomnieniem, które wcześniej przypomniało mi o sobie we śnie zresztą również. Mój mały gość nie powinien przecież zobaczyć mnie w chwili załamania. Myśli, że wszystko jest w porządku. Że nic się nie dzieje, bo jego wujek niedługo zjawi się z powrotem, a wraz z nim powróci nasza codzienność we trójkę.

Chciałabym wiedzieć, kiedy i czy w ogóle to się wydarzy.

Znowu czuję w piersi miazdzącą rozpacz, ale chowam ją głęboko w sobie i szoruję gąbką brudne naczynia, co jakiś czas prosząc Rhodessa, żeby szedł do łóżka. Gdy kończę sprzątać, pocieram dłońmi ramiona schowane pod materiałem rozciągniętego swetra oraz wracam do pogrążonego w półmroku salonu, gdzie chłopczyk maluje przy świetle świecy.

Przysiadam na krześle obok i zwracam się do niego łagodnym tonem:

– Pora spać, artysto.

Brązowe oczka zerkają na mnie błagalnie.

– Moment, Goldie – prosi ich uroczy właściciel. – Już kończę.

Uśmiecham się niemrawo, przysuwając palec wskazujący do jego twarzy i trącając go nim zaczepnie w mały nos.

– Albo mi się wydaje, albo wmawiasz mi to od prawie godziny.

– Przepraszam. – Skruszony brzdąc patrzy to na mnie, to na kartkę, którą pokrył warstwami farb. – Po prostu chcę dopracować mój obrazek.

Spoglądam na dzieło i czuję, jak smutek gniecie moje biedne serce, bo od razu rozpoznaję namalowanego na papierze Rhodessa, Willa oraz mnie. Postacie stworzone są nieco pokraccznie, ale ich autor zadbał, żeby miały nasze cechy. Stoją przed ładnym, jasnym domkiem w zalesionych górach, więc Willard na pewno opisywał mu, jak wygląda Kolorado, do którego mieliśmy wyjechać w poszukiwaniu spokoju za mniej niż siedem tygodni.

Nabieram drżący wdech ustami. Staram się nie rozkleić przez świadomość tego, że nasze plany stały się bardziej odległe, niż były wcześniej.

– Jest prześliczny – stwierdzam, wpatrzona w dziecięcą pracę. – Swoją drogą nie zdziwię się, jeśli w przyszłości zostaniesz artystą z prawdziwego zdarzenia.

– Możemy się umówić.

Krzyżuję spojrzenie z małym.

– Na co?

– Na randkę raczej nie, bo Will wyrwałby mi nogi z tyłka... – Posyłamy sobie delikatne uśmiechy. – Ale umówmy się, że pozwolisz mi dłużej popracować nad moim obrazkiem, a ja jak już rzeczywiście zostanę kiedyś artystą z prawdziwego zdarzenia, pierwszą wystawę w mojej supergalerii sztuki zadedykuję właśnie tobie. To jak?

Nie powstrzymuję chichotu, mimo że w oczach stają mi łzy wzruszenia albo tęsknoty. Sama nie do końca wiem, co konkretnie się za nimi kryje, ale wiem za to, że uwielbiam Rhodessa i jestem przekonana, że ta kwestia nie ulegnie zmianie nigdy.

– Twoja propozycja jest kusząca, ale jutro masz szkołę, kochany. Musisz przespać przynajmniej kilka godzin, żeby jakoś przetrwać wszystkie lekcje.

Rhodes moczy postrzępioną końcówkę pędzla w czerwonej farbie. Potem przygryza niewinnie wnętrze policzka i koncentruje uwagę na swoim dziele.

– Pójdę do łóżka za dziesięć minut, zgoda?

Widząc, jaki jest szczęśliwy, nie jestem w stanie odciągnąć go od stołu. Ciekawi mnie, czy Will też miał z nim taki problem, a jeśli tak... czy też miękł za sprawą jego prosiącego tonu. Wstając mozolnie na nogi, ponownie sprawdzam na zegarze aktualną godzinę.

– No dobrze. – Przeczesałam dłonią poplątane po całym dniu włosy. – Dziesięć minut, ale po nich maszerujesz na kanapę i próbujesz zasnąć na swojej połowie.

Cień radości przemyka przez uroczą buźkę chłopca. Zaraz jednak nie ma po niej śladu, ponieważ zostaje zastąpiona przez zmartwienie. Chcę zapytać, czy coś się stało albo czy coś może trapi Rhodesa, ale on spogląda na mnie i odzywa się pierwszy.

– A ty spróbujesz nie tęsknić tak bardzo mocno, okej?

Skołowana nie odchodzę od stołu.

– Słucham?

– Ja spróbuję zasnąć, a ty spróbujesz nie tęsknić tak bardzo mocno za Willem. Odkąd wyjechał, słyszę, jak po cichu za nim płaczesz... każdej nocy odrobinę głośniej.

Rhodes co prawda nie przygląda mi się w sposób, jakby miał mi coś za złe, ale i tak czuję się zmieszana oraz zła. Zmieszana, bo nie chcę, żeby brał mnie za histeryczkę, która jest w totalnej rozsypce przez chłopaka, oraz zła, bo nie powinnam była dopuścić, by w ogóle usłyszał, że od dwóch dni rzeczywiście wypłakuję z organizmu chyba wszystkie łzy.

Zmieniam się w żaloszny wrak.

Jakim cudem wsiąknęś we mnie aż tak? Jakim cudem sprawiłeś, że nie mogę funkcjonować normalnie, bo moja normalność nagle po prostu zaczęła składać się z twoich ukradkowych spojrzeń, dotyku twoich dłoni i z twoich niewypowiedzianych na głos próśb, bym całowała wszystkie twoje paskudne blizny, Will?

Pękam i znowu opadam na krzesło, chowając bezsilnie twarz w dłoniach. Jestem słaba. Jestem okropnie słaba i przeraźliwie mocno zależna od więzi, która nie chciałam, by powstała między mną a Willardem. Jak mam sobie bez niego radzić? Jak mam to robić?

Opuszczam ręce i przecieram niechlujnie palcami zapłakane oczy.

– Przepraszam. – Tak prędko chcę wyrzucić z siebie to jedno słowo, że się nim krztuszę. – Naprawdę, ja... przyrzekam, dzisiaj będę o wiele ciszej. Jakoś nad tym zapanuję, żebyś nie miał większych problemów z zaśnięciem niż do tej pory.

Rhodes odkłada pędzel na bok. Następnie przesuwa niepewnie małą dłoń po pokrytej ubytkami powierzchni stołu, żeby dotknąć opuszkami palców wierzchu mojej. Robi mi się odrobinę lepiej na ten gest.

– Nie przejmuj się, przecież nie jestem na ciebie zły – zapewnia mnie chłopiec. – Raczej mi przykro, że jest ci bez Willa aż tak ciężko.

– W ciągu ostatnich tygodni spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu. Robiliśmy dużo rzeczy wspólnie. To chyba się na mnie troszkę odbiło i teraz...

– Teraz czujesz się bez niego samotna.

Próbuję wciągnąć zatkanym nosem powietrze.

– Strasznie – potwierdzam. – Strasznie samotna i nieszczęśliwa, bo twój wujek stał się dla mnie okropnie ważny i gdy nie ma go obok, nie wiem, co powinnam ze sobą zrobić.

Jeszcze kilka dni temu przebudziłam się ze swojego zwykle niedługiego snu z głową opartą na jego piersi. Wiedząc, że i on na pewno nie śpi, bo wstaje przecież najwcześniej. Wiedząc także, że kiedy tylko zorientuje się, że i ja tego nie robię, pośle mi dziarski uśmiech oraz wypowie standardowe dla naszej dwójki: „oby ten dzień dał ci w kość”.

Boże, tęsknię choćby za głupim sposobem, w jaki łaskotał czule mój bok palcami obejmującej mnie w pasie ręki, mówiąc mi właśnie to.

Mała kopia Willa zsuwa się z krzesła i zatrzymuje tuż obok mnie. Nie puszcza mojej dłoni, a ja patrzę na nią zaszklonymi oczami i przeklinam fakt, że nie udało mi się powstrzymać łez, nawet jeśli już prawie sześciolatek nie wygląda, jakby ich widok mu przeszkadzał.

– Uszy do góry, Goldie – stara się mnie pocieszyć i robi to w tym swoim uroczym stylu. – Will do nas wróci, a wtedy nie odstąpi cię na krok. Wiem o tym ja i wiesz o tym ty.

Rozczulona kiwam głową i dochodzę do wniosku, że Rhodes to mój promyk. To mój maleńki powód, żeby jednak garnąć się do walki z koszmarem, w którym się znalazłam.

– Za tobą też mocno się stęskni i tobą też będzie chciał się nacieszyć – szeptam.

– Ale to nie ja jestem kimś, z kim potrzebuje być już zawsze.

W głowie aż huczy mi od jego słów. Nie jest on w żadnym wypadku świadomy tego, co istnieje pomiędzy mną a Willem: że tak naprawdę za naszą potrzebą, by być blisko siebie, stoi szkodliwe przywiązanie. Takie, które wielu ludzi nazwałoby najpewniej okropnym i wstrętnym. Dlatego nie chcę rozwijać z nim tego tematu. Bo to nie wydaje się właściwe.

– Rhodes... – Początkowo nie mogę jednak skleić sensownego zdania.

– Tak?

– Masz zbyt mądrą gadkę jak na swój szczeniacki wiek.

– Bo jestem małym geniuszem.

Uśmiecham się blado.

– Nie wątpię w to.

Malec wskakuje na poprzednie miejsce i zamyślony spogląda na swój rysunek. Dopiero po paru sekundach przenosi wzrok na mnie i przyznaje mi się do czegoś.

– A tak serio, Will zapytał mnie, czy miałbym coś przeciwko, gdybyś w tym stanie, gdzie są wielgachne góry i dużo lasów... – Robi nienaturalną pauzę, a ja domyślam się, z czego to wnika. Po prostu zapomniał nazwy.

– W Kolorado – podpowiadam.

Potakuje od razu.

– Tak, w Kolorado. Will zapytał, czy miałbym coś przeciwko, gdybyś została właśnie tam z nami na dłużej. Powiedziałem, że potwornie bym tego chciał. Tylko nie rozumiałem, dlaczego on tego chce, skoro niedawno cię nie lubił... a on stwierdził, że to co było kiedyś, jest teraz zupełnie nieistotne. Ponieważ teraz potrzebuje cię przy sobie zatrzymać na tak długo, aż w końcu przekona cię, że twoje miejsce jest właśnie przy nim.

Spomiędzy ust wyrywa mi się pełen udręki wydech.

– Więc to były słowa Willa.

– To były słowa Willa. – Rhodes poprawia się na krześle. – Wciąż nie mogę się w tym do końca połapać, rozmowy z dorosłymi bywają skomplikowane.

Dusi mnie płacz, którego nie wypuszczam. Willard naprawdę myślał o mnie poważnie w ciągu ostatnich dni poprzedzających jego aresztowanie. Uwzględnił mnie w swoich planach, również w tych dalekich. Zamierzał najpierw zatrzymać mnie przy sobie, a potem przekonać, że moje miejsce jest u jego boku. Czyli... czyli chciał, żebym została z nim. Nie na określony czas. Po prostu z nim.

A świadomość tego tak łatwo łamie mnie na kawałki.

Nie myślę za dużo. Wstaję, podchodzę koślawo do Rhodesa, po czym schylam się i przytulam do chłopca najmocniej, jak mogę, chociaż w tej pozycji jest mi ekstremalnie niewygodnie. Długo trwamy przytuleni do siebie, pośród półmroku.

– Dziękuję – wyduszam to z siebie z trudem.

Malec obejmuje mnie ciasno rączkami.

– Za co?

– Jesteś wspaniałym pocieszycielem.

– Więc dlaczego nadal płaczesz? – zastanawia się.

– Bo cieszę się, że mam swoich dwóch chłopaków.

Całuję jednego z nich w gęstą czuprynę i odsuwam się, żeby przed nim ukucnąć oraz spojrzeć na niego z dołu. Ponownie przetykam łzy, zwłaszcza gdy chłopczyk szczerzy się szeroko, wypowiadając na głos pewną obietnicę.

– Będziemy twoimi rycerzami, a ty będziesz naszą księżniczką.

– Przestań – protestuję poruszona, bo ten maluch prędzej czy później wykończy mnie swoim urokiem.

Nie mogę powstrzymać cisnącego mi się na usta uśmiechu. Marzy mi się dla nas właśnie taka przyszłość. Ja, Rhodes i Will w spokojnym Kolorado. Nie mam pojęcia, czy na zawsze, ale choćby kilka

miesiące spędzone ze sobą dalej brzmi w porządku.

– Dlaczego mam przestać? – Ciągnie mnie lekko za kosmyk rozczochranych włosów. – Przecież się śmiejesz, a ja chciałem, żebyś miała lepszy humor.

Przewracam zaszklonymi oczami z rozbawieniem.

– Śmieję się, ale przez łzy, jakbym była stuknięta.

– Tak też robisz to pięknie.

Raczę go pacnięciem w nogę.

– W tej chwili marsz do łóżka, bo schowam ci farby, mój cholernie idealny dzieciaku – grożę mu, a on tym razem nie przywiązuje wagi do tego, że nazwałam go dzieciakiem.

Jeśli coś go obchodzi, to jedynie wzmianka o ukochanych plakatówkach.

– Hej, szantaże są nie w porządku! – oburza się błyskawicznie.

– Tak? – palę głupa i podnoszę się do pionu.

– Mówiłem, że przypominasz mi Willa. On tak jak ty je lubi.

Podchodzę do pościelonej kanapy, którą udało mi się wcześniej rozłożyć, i siadam na jednej połowie. Rhodes dmucha na płomień świecy, żeby ją zgasić, i zaraz usadawia się obok w wygodnej pozycji, krzyżując nogi. Widzę to mimo ciemności, które zalewają całe mieszkanie.

Widzę do tego, że chłopiec patrzy prosto na mnie.

– Ty także mi go przypominasz – przyznaję szczerze.

Nie wydaje się zdziwiony moim stwierdzeniem.

– Will mówi, że jestem nawet bardziej podobny do niego niż do własnego taty.

Prąd przebiega po moim kręgosłupie, a wszystko przez wzmiankę o jego ojcu. Tym tchórzliwym bracie Willarda, który zniszczył mu życie i którego fragment twarzy ciągle mam przed oczami. Pragnę wymazać go z pamięci, ale nie potrafię.

Sięgam po kołdrę i nakrywam nią dłonie, by ukryć ich drżenie.

– Nigdy go nie widziałam – mamroczę, bo przecież tak naprawdę nie miałam okazji przyjrzeć mu się w pełnej krasie. – Nie mogę powiedzieć, czy Will ma rację.

Długo toczę bitwę z samą sobą. Zastanawiam się, czy wypowiedzieć pewne pytanie, ponieważ nie jestem przekonana, czy chcę znać na nie odpowiedzi. Lecz w którymś momencie ono jakby samo wypełnia przestrzeń między nami.

– Rhodes... a jak ma na imię twój tata?

Szkrab marszczy brwi.

– Nie wiem. Po co mi to wiedzieć?

– W sumie masz rację. – Potrząsam głową, mówiąc sobie w duchu, że powinnam zostawić swoje beznadziejne podejrzenia za sobą, zanim zwariuję. – Chodźmy spać.

Małuch posyła mi uśmiech i posłusznie kładzie się na swojej części kanapy. Robię to samo. Opadam plecami na nasze prowizoryczne łóżko, nakrywając nas oboje kołdrami. Leżymy na bokach, zwróceniem do siebie plecami. Skupieni na ciszy i otaczającym nas mroku.

A ja tej nocy płaczę za Willem jedynie troszeczkę ciszej.

Kolejne dni okazują się gorsze od poprzednich. Znalezienie pracy w Nowym Jorku to niełatwe zadanie, zwłaszcza kiedy obwieszczam potencjalnym pracodawcom, że nie jestem studentką albo że mam pod opieką dziecko i powinnam dostosować swoje godziny pracy też pod nie. W dodatku Rhodes coraz częściej dzwoni do wujka, a ja boję się, że w końcu znajdzie on jego komórkę, którą wetknęłam do starej skrytki w korytarzu.

Wtedy mogłabym pęknąć do końca i powiedzieć mu prawdę. Nie chcę tego.

Chcę natomiast dowiedzieć się czegokolwiek w sprawie Willarda, więc po południu postępuję paskudnie niemądrze. Jestem jednak zbyt zdesperowana, żeby zdusić w sobie potrzebę udania się za miasto, w okolice opuszczonego domu. Mam nadzieję, że zastanę tam Jake'a i Rossa. Nie zamierzam rzecz jasna się z nimi konfrontować. Zamierzam tylko... jeśli tam rzeczywiście są, a mogą być, zamierzam tylko podsłuchać, czy wiedzą coś o moim Willu.

Widok ogromnej polany budzi we mnie smutek.

Pamiętam zbyt dobrze czas spędzony w tym miejscu z *nim*. Najpierw zjawiłam się tutaj, żeby dał mi swój samochód, a innym razem zerwaliśmy się z uczelni i ganiałiśmy się po tym błocie we mgle. Oddałabym wiele, żeby móc z nim się znowu tak beztrosko podroczyć.

Niebo powoli zasnuwają ciemne chmury, natomiast wiatr staje się coraz bardziej porywisty. Rozglądam się po pustkowiu. Podążam przed siebie ścieżką stworzoną przez ślady opon samochodów. Na widok jednego zaparkowanego obok znajomego domu, czuję, jak rozrasta się we mnie strach. Czyli mogą tu być. Ci, dla których pracuje Covington.

Jake i Ross.

Przemykam bezszelestnie pod jedno z wybitych okien. Zakrywam usta dłonią i uważnie nasłuchuję. Z początku nie dobiega mnie żaden dźwięk. Taki stan rzeczy utrzymuje się przez kolejne minuty. Dopiero po ich upływie przez ciszę przedziera się donośny głos.

– Mówiłem, że prędzej czy później powinie mu się noga. To gówniarz.

Mężczyzna, który złapał mnie na polanie. To on. Jestem o tym przekonana. Dreszcz przechodzi mi po plecach, ale nie wycofuję się, ponieważ mam wrażenie, że ich rozmowa dotyczy Willa. W końcu akurat jemu powinna się noga... a raczej postarał się o to Findlay.

Przywieram plecami do wilgotnych cegieł, bez przerwy trzymając dłoń na wargach.

– Ale jaki cwany – mówi drugi typ. – Od pięciu lat unikał aresztu.

Pięć lat, powtarzam te słowa w myślach. *Od tyłu Will dla nich pracuje.*

– Co nie zmienia faktu, że tym razem go nie uniknął. – Rozlega się pstryknięcie. Zapewne zapalniczki. – Gdzieś tam usłyszałem, że podobno ciągle przedłużają mu pobyt.

– Sam im się nie wywinie. Podzwoń, gdzie trzeba.

– Podzwoń, gdzie trzeba... – burczy bandzior.

– Wiesz, że z niego doiliśmy najwięcej i że w to akurat warto się włączyć.

– Właśnie z tego powodu sprawię sobie nieco zachodu. Kasa, odkąd go zawinęli trochę się, kurwa, nie zgadza. – Mężczyzna brzmi na zirytowanego.

– Więc dbajmy o swoje interesy. Załatw to.

Staram się nadażać za ich rozmową. Przyswajam ją. Wychodzi na to, że Will miał rację. Ci gangsterzy tak łatwo z niego nie zrezygnują. Nie, skoro dostarczał im dużo pieniędzy. Wiem, co chciałam – że przebywa w areszcie i że Jake i Ross będą starali się go wyciągnąć – dlatego czym prędzej stamtąd więcej, zanim któryś z nich mnie zauważy.

Do mieszkania docieram po ponad godzinie tłuczenia się podmiejskimi autobusami. Powinnam teraz przyrzucić coś na kolację, by Rhodes zjadł coś ciepłego. Maluch jest w szkole na próbie przedstawienia, które niedługo będą wystawiać dzieciaki. Umówiliśmy się, że odbiorę go stamtąd o piątej, więc widząc, że wskazówki zawieszzonego na ścianie zegara wskazują trzecią, ruszam od razu do salonu, by tam zrzucić z siebie ciuchy.

Powinnam się pośpieszyć.

Ściągając z siebie płaszcz, spoglądam w stronę okna, za którym roztacza się widok na pogrążony w ponurej aurze Bronx. Ciemne, raczej burzowe chmury przechodzą nad niesławną dzielnicą, a ja nie wiem, dlaczego nagle pogrążam się w jakimś dziwnym transie i podchodzę o wiele wolniejszym krokiem do szyby, w której odbiciu widzę siebie.

Stojąc przed nią, przebiegam po niej delikatnie palcami i przyglądam się jej z bliska. Uśmiecham się na naiwne wrażenie, że oprócz zniekształconej siebie, dostrzegam w niewyraźnym odbiciu stojącego za mną Willarda. To nadal boli.

To, że w każdym odbiciu widzę jego.

– Wszystko się sypie – zaczynam prawie bezgłośnie.

Pod opuszkami czuję zimno, ale w dalszym ciągu przebiegam nimi po oknie.

– Dosłownie wszystko się sypie, a ja nie mam bladego pojęcia, jak temu zapobiec, Will – wypowiadam te wszystkie słowa i każde jedno zostawia rysę na moim pogubionym sercu.

Oczy zaczynają mnie piec, ponieważ przyglądając się zakłamanemu odbiciu, wciąż widzę w nim oprócz swojego także to drugie. Mój najdroższy Will stoi za mną nieruchomo z dłońmi włożonymi do kieszeni spodni i patrzy na mnie przygnębiony.

Jemu również. Jemu również jest na pewno tak samo trudno.

– Od tygodnia nie mogę znaleźć pracy – wyznaję, nie zważając na to, że mój głos staje się łamliwy. – Boję się, że jeśli tak dalej będzie, nie spełnię obietnicy, którą ci dałam, i nie zaopiekuję się dobrze Rhodesem, a tak strasznie nie chcę cię zawieść. Zresztą sama nie chcę, by mały odczuł, że czegoś mu brakuje, bo okropnie mi na nim zależy.

Zaciskam pięść na szybie i czuję się, jakby coś rozkruszyło mnie do samego końca.

– Ale na tobie... Boże, Will. – Łapię płaczliwy wdech do płuc. – Mój cholerny kłamco, na tobie zależy mi tak przeraźliwie mocno, jak na nikim przedtem.

Opieram bezsilnie czoło o twardą powierzchnię okna i zaciskam powieki.

– Wróć do mnie i przytul... – wykrztuszam kompletnie rozbita, potrzebując tego całą sobą i jeszcze bardziej. – Błagam cię. Choćbym miała to robić bez przerwy i na pieprzonych kolanach, błagam, wróć i już nie odchodź.

Rozdygotana otwieram oczy i widzę, że mój oddech osiadł na szybie pod postacią pary. Poluźniam zaciśniętą dłoń. Zsuwam ją niechlujnie w dół. Oddalam twarz od swojego odbicia i ciągle widzę za sobą zasmuconego Willa. Wygląda tak, jak go zapamiętałam. Rany, on wygląda dokładnie tak. Ale dlaczego jest na wyciągnięcie mojej ręki, choć tak naprawdę wcale nie jest?

Ledwo wytrzymuję starcie z własnymi urojeniami. Ponieważ nie ma nic, czego pragnęłabym w tym momencie mocniej niż obecności tego jednego chłopaka, który chociaż stoi za mną, dobrze wiem, że nie jest prawdziwy.

– Nie rób tego, nie odchodź i nie sprawiaj, że muszę się po tym pozbierać, bo ile razy ode mnie odejdziesz, tyle razy nie dam rady poskładać się do kupy – dokańczam szeptem, po którym długo słyszę wyłącznie dołującą ciszę.

– Goldie?

Odwracam się natychmiast.

– Will? – pytam w pustą przestrzeń.

Ruszam się z miejsca. Przetrzęsam rozgorączkowanym spojrzeniem salon. Krążę po mieszkaniu, poszukując w każdym jego kącie właściciela głosu, który mam wrażenie, że rozniósł się gdzieś obok mnie. Im dłużej jednak błąkam się tam i z powrotem niczym bezpieczni pies, tym bardziej wszystko nasuwa mi na myśl jedną, boleśnie prawdziwą odpowiedź:

Nie było go tutaj ani przez chwilę, lecz w mojej głowie tkwił ciągle.

ROZDZIAŁ CZWARTY

MARIGOLD

Wieczory stają się zimniejsze, ale przede wszystkim coraz bardziej przygnębiające, bo żaden następny nie przynosi wieści na temat Willa. Męczy mnie niepewność, co się z nim stanie. To, że jego powrót do mnie, do nas, tkwi cały czas pod znakiem zapytania i nie zanosi się, by ten stan rzeczy uległ zmianie... A naprawdę chciałabym, żeby jego obecność przerwała rutynę, w której utknęliśmy wraz z małym Rhodesem, odkąd zostaliśmy zupełnie sami.

W tym momencie brniemy razem przez wciąż upiornie mglisty oraz podejrzanie opustoszały Bronx. Mamy splecione dłonie, a chłopiec wcina kanapkę, którą kupiłam mu po drodze w sklepie, mimo że zaraz zjemy przygotowaną przeze mnie kolację. Nawet jeśli sama nie mam apetytu, muszę dbać, by mój podopieczny nie chodził głodny. Jego wujek na pewno do tego nie dopuszczał, więc ja także nie mogę na to pozwolić.

Idziemy przed siebie w ciszy, którą chłopiec nagle przerywa.

– Szkoda, że Will wciąż nie wrócił. – Brzmi na nieco zdołowanego. – Bardzo chciałem, żeby przyszedł jutro na przedstawienie i zobaczył scenografię, którą do niego zrobiłem.

Nieszczęsne przedstawienie w szkole Rhodesa wypadło naprawdę nie w porę, ponieważ najbliższa mu osoba nie będzie mogła świętować z nim jego małego sukcesu. Dla mnie też nie jest to do końca szczęśliwy termin – musiałam zrezygnować z jednej rozmowy o pracę na rzecz jutrzejszego wydarzenia. Nigdy w życiu nie zostawiłabym jednak małego na lodzie, kiedy sala, w której odbędzie się występ, będzie wypełniona po brzegi rodzicami innych dzieci.

Spoglądam na malucha i dla niepoznaki unoszę słabo kącik ust.

– Hej, nic go nie ominie. Przecież ja będę na widowni... – Kołyszę delikatnie małą dłonią w powietrzu, by skupić na sobie uwagę chłopca. – Pstryknę kilka fotek, a potem, kiedy Will pojawi się tutaj z powrotem, pokażemy mu razem, co ładnego stworzyłeś, gdy go nie było.

Delikatnie zasmucony Rhodes spogląda na mnie z dołu.

– To troszkę nie to samo, Goldie. Super, gdyby, wiesz, obejrzał to na własne oczy.

– Wiem, kochany – wyduszam szept, a potem mimo wrażenia, że właśnie pęka mi serce, kucam przed brzdącem i dodaję: – Ale Will na pewno będzie nam wdzięczny, jeśli damy mu jeszcze chwilkę na załatwienie ważnych spraw. Myślisz, że możemy mu ją dać?

Chłopiec odpowiada niepewnym skinieniem.

– Możemy... Chociaż strasznie zaczyna mi go brakować.

– Jesteś niesamowicie wyrozumiały – chwałę go i zerkam na niedojedzoną kanapkę, którą trzyma w drugiej dłoni. – A teraz wcinaj.

Podnoszę się i ruszamy przed siebie. Szukam wtedy w myślach tematu, który mogłabym poruszyć, żeby choć na moment oderwać Rhodesa od myślenia o Willu, ale coś innego szybko odwraca naszą uwagę.

– On chyba też chciałby kawałek.

Zerkam kątem oka na malucha, po czym rozglądam się wokoło i marszczę brwi, bo nie dostrzegam pośród mgły nikogo oprócz nas.

– Kto? – zastanawiam się.

– On. Nie widzisz go?

– Chyba musisz pokazać mi tego kogoś palcem, nawet jeśli tak nie wypada – wzdycham z pobłażliwym uśmiechem, raz jeszcze przetrząsając spojrzeniem najbliższe otoczenie.

W tym samym momencie Rhodes ciągnie mnie za rękę w stronę niedużego zaułka znajdującego się obok. W międzyczasie rozdziela nasze dłonie i zatrzymuje się przy wielkim koszu na śmieci, tuż przed siedzącym na nim maleńkich rozmiarów, burym zwierzątkiem.

– Ten kotek – uściśla. – Wygląda na głodnego. Mogę podzielić się z nim kanapką?

Zagryzam wnętrze policzka, patrząc z daleka w brązowe oczy malucha. Widzę w nich prośbę oraz tę

niewinną, dziecięcą ekscytację i aż robi mi się przykro, że muszę ją zgasić.

– Nie sędzę, by to był dobry pomysł – odpieram z zawahaniem. – Tak samo nie sędzę, żeby dobrym pomysłem było dotykanie go, Rhodes.

Drugą część zdania dodaję, bo uśmiechnięty do zwierzaka chłopiec wyciąga akurat powoli rękę w jego stronę, zapewne żeby go pogłaskać. Gdy jednak sens moich słów dociera do szkraba, zerka on na mnie przez ramię z nieco markotną miną.

– Dlaczego?

Wypuszczam tchnienie i wyjaśniam:

– Wygląda na bardzo zaniedbanego. Mógłby cię czymś zarazić.

– Ale spójrz, jaki jest biedny.

– Też mi go szkoda, ale poważnie, lepiej się cofnij – nalegam łagodnie.

Kotek próbuje dosięgnąć pyszczkiem dłoni Rhodesa. Ten piszczy na to cicho i odsuwa od niego kanapkę, którą trzyma, na bezpieczną odległość. Później kręci bezradnie głową, jakby chciał mu przekazać, że najchętniej oddałby mu ją całą, ale niestety nie może.

– Goldie, kiedy on mnie polubił... – mówi. – Sama widzisz.

Przyznaję mu rację.

– Widzę. Naprawdę to widzę.

– Może weźmiemy go ze sobą, skoro nie ma właściciela?

Już chcę kategorycznie zaprotestować, gdy Rhodes natychmiast dodaje:

– Mógłbym wystawić swoje rysunki na sprzedaż, żeby opłacić wizytę u weterynarza, jeśli boisz się, że coś mu dolega, ale proszę, weźmy go. Tutaj nie przeżyje zbyt długo. Zatruje się resztkami jedzenia albo ktoś go potrafi. – Wydyma uroczo dolną wargę w podkówkę i drepta w moim kierunku zdeterminowany. – Nie możemy na to pozwolić. Nie pozwólmy.

Nie mogę mu ulec, nawet jeśli to, co mówi i co jest gotowy zrobić, by zatrzymać kociaka, jest cholernie urocze. Muszę za to wybić mu ten pomysł z głowy, bo wszystko przemawia za tym, że nie możemy pozwolić sobie teraz na przyciągnięcie jakiegokolwiek zwierzaka.

Kładę dłoń na jego ramieniu i przyciągam go za nie czule do swojego boku.

– Kochany, nie mamy zbytnio warunków na pupila... – przekazuję mu to szczerze przygnębiona, bo potwornie chciałabym go uszczęśliwić. – Poza tym posiadanie kota wiąże się z dodatkowymi kosztami. No i najważniejsze: co Will powiedziałby, gdyby zastał go w mieszkaniu?

– Pewnie zapytałby, od kiedy szczury w naszym bloku są takie przerośnięte.

Śmieję się cicho, potrząsając głową na odzywkę w typie Covingtona.

– Tak, z Willa czasami jest niezły ignorant.

– Ale nie byłby na nas zły za przyciągnięcie Farfocla. – Rhodes mruga parokrotnie, nie odrywając ani na moment spojrzenia od mojej twarzy. – Will rzadko jest na nas zły.

Ściągam brwi, bo wyłapuję pewien szczegół w jego wypowiedzi.

– Czeka, nazwałbyś kota Farfocel?

– Nie podoba ci się?

– To ładnie imię. – Tym razem powstrzymuję chichot, nie chcąc urazić chłopca swoją reakcją na to, co wymyślił w pośpiechu. Farfocel. Tylko on mógłby tak nazwać kota. Will chyba pękłby ze śmiechu... a ja przecież tak strasznie tęsknię za sposobem, w jaki się śmieje.

Na ziemię sprowadza mnie pełne nadziei pytanie chłopca:

– Więc weźmiemy go?

Robię kwaśną minę.

– Nie patrz tak na mnie, Rhodes.

– Umiliłby nam czekanie na Willa, a potem każdy dzień – przekonuje mnie, okropnie zawzięty.

Szlag, tę zawziętość ma chyba po wujku, nasuwa mi się. – Goldie, zgódź się, no.

Przenoszę spojrzenie na leżącego w śmieciach kotka. Zdążył zwinąć się w kłębek, co świadczy o tym, że jest mu zimno. Im dłużej mu się przyglądam, tym bardziej moja własna wrażliwość zaczyna mieszać mi w głowie.

– Opiekowanie się żywym zwierzakiem to odpowiedzialność, wiesz? – zwracam się do Rhodesa poważnym tonem, a on obejmuje mnie mocno rękami w pasie i od razu zapewnia:

– Będę odpowiedzialny. Zajmę się Farfoclem najlepiej, jak mogę.

Obrzucam go fałszywie karcącym spojrzeniem.

– Jesteś małym wymuszaczem.

– A Will dużym.

– Słucham?

– Słyszałem, jak go tak nazwałaś, kiedy zasnęliśmy przy filmie tamtej nocy, zanim wyjechał załatwiać sprawy – wyznaje mały, na co odrobinę błędnę, bo pamiętam doskonale, co wtedy robiliśmy z Willem. W dużej mierze przez to nie obudziliśmy się w porę, a powinniśmy, chociaż alarm nie zadzwonił, ponieważ oboje jesteśmy raczej rannymi ptaszkami.

Wlepiam wzrok w ziemię, w czasie gdy Rhodes kontynuuje:

– Powiedziałaś, że jest okropnym wymuszaczem, bo miałaś całować go wtedy, gdy bohater całował bohaterkę, a on specjalnie cofał ciągle film do ich jedyne go pocałunku – zdradza rozbawiony, natomiast ja... cóż. Również mimowolnie się uśmiecham.

Raczej blado, ale pamiętam, jak dobrze czułam się tamtej nocy. Jak dobrze czułam się, gdy wszystko wydawało się proste, Will był wtedy daleki od wpadnięcia w szal, a naszym jedynym zmartwieniem było przeczekaanie siedmiu tygodni dzielących nas od wyjazdu z Bronxu.

Teraz mamy na koncie o wiele więcej zmartwień, które wyniszczają mnie i zapewne jego też. Wykończona samym myśleniem o nich wracam do rzeczywistości i skupiam uwagę na przytulającym mnie nadal chłopcu.

– Rhodes, czy ty udawałeś, że śpisz i nas podsłuchiwałaś? – Mrużę podejrzliwie oczy, a chłopiec na ten widok szczerzy się szeroko.

– To weźmiemy Farfocla?

– Weźmiemy, ale tobie zatyczki do uszu, gdy wrócimy od weterynarza. Tak żeby już nigdy przed zaśnięciem nie rozpraszały cię żadne odgłosy, zwłaszcza kiedy wróci do nas Will – mamrocze nieco zawstydzona, po czym odsuwam od siebie Rhodessa. – A teraz w tył zwrot.

– Wrócimy od weterynarza? – powtarza za mną. – To znaczy, że...

– Tak – potwierdzam, nim zdąży dokończyć zdanie. – Jedziemy sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku, więc weź go, ale staraj się nie obściskować się z nim za bardzo.

– To znaczy tak jak ty z Willem? – Chłopiec jeszcze śmieiej obnaża zęby.

– Rhodes – upominam go.

– Wybacz. Jesteście całkiem zabawni.

Przewracam oczami, mimo wszystko wesoło. On w tym czasie mknie do kosza na śmieci, żeby wyłowić z niego kota. To znaczy, Farfocla, który ochoczo do niego przylega, bo pewnie czuje zapach jedzenia. Wygląda na naprawdę wygłodzonego, a jest taki malutki.

Naprawdę będę musiała postarać się z całych sił o znalezienie pracy, żeby poradzić sobie z utrzymaniem naszej dwójki i do tego jeszcze zwierzaka. Nie powinnam była ulegać Rhodesowi w tej kwestii, ale... mam do niego niewyjaśnioną słabość i ile razy próbuję mu odmówić, tyle razy smuci mnie wizja zobaczenia jego zdołowanej miny.

A niech mnie, Covingtonowie mają na mnie najgorszy wpływ.

Do mieszkania wchodzimy we trójkę, dopiero gdy odhaczamy wizytę u pobliskiego, podobno niezbyt drogiego weterynarza, a potem zgarniamy jeszcze kilka najpotrzebniejszych rzeczy dla kota w sklepie zoologicznym. Wtedy przemykam od razu do kuchni, żeby odgrzać kolację, a Rhodes idzie moim śladem, przytulając do piersi nowego pupila.

– Musimy dać mu się tutaj zaaklimatyzować, więc niech sobie pohasa – mówię to też dlatego, że chłopiec najpewniej nie ruszy zapiekanki, jeśli nie odłoży na bok Farfocla.

Dobrze, że wykonuje moje polecenie natychmiast. Następnie siada na krześle przy stoliku w salonie, kładzie na nim swobodnie łokcie i podpira brodę na dłoniach.

– Chyba nie powinien za bardzo przywiązywać się do tego mieszkania, co? Niedługo i tak wyjedziemy z Willem do tego stanu, gdzie jest dużo lasów i bardzo wysokich gór... – słysząc, że znów uciekła mu nazwa, nie przestając kręcić się po kuchni i nasuwam mu brakujące słówko:

– Do Kolorado.

– Mhm.

Dopiero po krótkiej chwili orientuję się, co powiedział, i silny, głęboki żal znowu wżera się w mój krwiobiegi. Wszystko dlatego, że nie mam zielonego pojęcia, czy niedługo rzeczywiście wyjedziemy z Willem gdziekolwiek, skoro on... nadal przebywa w areszcie.

– Fakt – zdobywam się mimo wszystko na cichą odpowiedź. – Farfofel nie powinien zbyt przywiązywać się do tej rudery.

Zaraz przekładam szybko podgrzane danie na talerz i zanoszę je do salonu, w którym przebywa Rhodes. Kładąc przed nim kolację, mówię jeszcze szeptem:

– Smacznego.

Chłopiec podwija zbyt długie rękawy bluzy i spogląda na mnie z dołu.

– A jak zjem wszystko, będę mógł pomalować dzisiaj trochę dłużej? – pyta proszącym tonem, zgarniając w dłoń widelec. – Muszę dodać do swojego obrazka Farfocla.

Zerkam na leżący na drugim końcu stołu malunek i znowu czuję ucisk w piersi na widok tego, co przedstawia. Chociaż nieprzyjemne uczucie dokucza mi przez kolejne sekundy, silę się na uśmiech, kiedy na powrót krzyżuję spojrzenie z maluchem.

– Będiesz mógł pomalować dzisiaj trochę dłużej... Ale domaluj go na głowie Willa.

Rhodes zapowietrza się tak prędko, jak ja kończę mówić.

– Zabije mnie, jak to zobaczy!

– Co ty, powie, że świetnie ci wyszło, bo jest miłośnikiem zwierząt.

Mrugam do niego znacząco, na co mój podopieczny zwięża podejrzliwie oczy.

– Podpuszczasz mnie – stwierdza bez namysłu.

Poważnieję i zaprzeczam ruchem głowy.

– Wcale nie.

– Wcale tak. – Wyszczерzony, ponieważ zdołał mnie przejrzeć, Rhodes odkłada widelec na stół, co odrobinę mnie dziwi, ale czekam na to, co zrobi potem... a on zeskakuje z krzesła i podchodzi do mnie w kilku krótkich krokach. – Goldie?

Patrzę na niego z góry i unoszę pytająco brew.

– No?

– Gdyby moja mama kiedyś do mnie wróciła, chciałbym, żeby była taka jak ty.

Przez jakiś czas tkwię w zawieszaniu. Wpatrzona w wielgachne oczy Rhodesa po prostu nie mogę uwierzyć, że naprawdę przyznał mi się do czegoś takiego: że byłby zadowolony, gdyby jego niestety nieżyjąca – o czym sam nie wie – mama była taka jak ja. Ogarnia mnie wzruszenie, chociaż naprawdę nie mam pojęcia, co zobaczył w kimś mojego pokroju.

Nie jestem dla niego wystarczająca. Nigdy nie byłabym.

Rozczulona mrugam parokrotnie, by odpędzić łzy, po czym siadam chwiejnie na krześle i rozkładam bardzo szeroko ręce, aby móc porwać pomiędzy nie przyglądającego mi się malucha. On natychmiast wbiega we mnie z impetem, na co wypuszczam smutny chichot.

– Chodź tutaj... – Pociągam w pośpiechu nosem i uśmiechając się, obejmuję go najmocniej, jak mogę. – Jesteś moim oczkiem w głowie i to nigdy się nie zmieni.

Rhodes czym prędzej mi się rewanzuje.

– A ty jesteś najważniejszą dziewczyną w moim życiu i to też nigdy się nie zmieni – wydycha ściśnięty, ale jednocześnie wyraźnie szczęśliwy.

– Koniec czułości, bo się rozkleję.

Poważnie się o to boję, ponieważ zaczynam drzeć z emocji. Rhodes jedynie śmieje się pod nosem i przywierając do mnie kurczowo, dzieli się ze mną czymś jeszcze.

– Nie mogę doczekać się tego, aż wyjedziemy stąd we czwórkę.

Zaciskam powieki, skrycie ciesząc się, że akurat w tej chwili nie widzi mojej twarzy i malującego się na niej na pewno smutku.

– Jeszcze troszkę, kochany – udaje mi się z trudem wydusić szept, gdy głaszczę kojąco dłonią jego plecy. – Jeszcze troszkę musimy poczekać...

Tej nocy, gdy zasypiam, powtarzam, że *trochę* nie potrwa wcale długo, lecz nie udaje mi się powtórzyć mojego kłamstwa tysiąc razy.

Wiosna w Charleston jest naprawdę przyjemna. Spacerując promenadą, wystawiam twarz w kierunku słońca i nawet delikatnie się uśmiecham, wsłuchana w odgłos spokojnego szumu fal. Czar pryska jednak, gdy czyjaś dłoń obejmuje mnie w pasie. To Maverick przyciąga mnie śmiało do swojego boku. Z chwilą kiedy to robi, wbijam od razu niepewny wzrok w ziemię, a on zaczesuje wolną dłońią moje włosy za plecy, żeby móc mi się dokładnie przyjrzeć.

– Mari? – zagaduje mnie. – Wszystko gra?

Przez moje ciało przetacza się niepokój. Mimo to odpieram:

– Tak, skąd to pytanie?

– Mówię do ciebie od kilku minut, a ty nadal bujasz w obłokach.

Powstrzymuję niedorzeczną chęć, żeby od niego odskoczyć. Ukrywam ją głęboko w sobie. Przecież Maverick jest moim partnerem i nawet jeśli ostatnio nie potraktował mnie właściwie, miał do tego prawo. Przecież związki na tym polegają. Na wzajemnym dawaniu sobie tego, czego oczekuje druga połówka. Choć na początku nie podobał mi się ani ten fakt, ani to czego oczekiwał ode mnie mój chłopak, to nie mogę mu niczego odmawiać, skoro tego chce.

Muszę być dla niego dobra. Muszę być idealną dziewczyną, dlatego staram się rozluźnić, nawet jeśli chodzenie nadal sprawia mi nieduży problem po tym, co zrobił ze mną Maverick.

– Przepraszam, ostatnio często odpływam – odpowiadam z westchnieniem, spoglądając na idącego obok mężczyznę z niemymi przeprosinami. – To chyba przemęczenie.

– Nie powinnaś brać wszystkich zmian, ślicznotko.

Udaje mi się przemóc i nakryć jego dłoń swoją.

– Powinam, jeśli chcę zarobić na wymarzone studia.

– Więc nie chodzi o mnie? – upewnia się, poprawiając drugą ręką okulary przeciwsłoneczne założone na nos. – Nie zrobiłem nic złego?

Węzeł zacieśnia się w moim gardle. Przypominam sobie wszystko, co wydarzyło się przedwczoraj: to, jak wytrącony z równowagi pchnął mnie na stół w jadalni, ścisnął w dłoni materiał mojej sukienki i jednym pociągnięciem zsunął ją siłą z mojego ciała, aż jej niewielkie guziki rozsypały się po stole oraz podłodze. Pamiętam, że gdy słyszałam, jak rozpinał w pośpiechu rozporek spodni, to na nich skoncentrowałam całą uwagę.

Na guzikach mojej poszarpanej sukienki.

Pamiętam też, że kiedy złapał moje biodro, a następnie zbliżył mnie do siebie jeszcze bardziej, sięgnęłam po jeden i zamknęłam go w pięści. Wtedy również zaparłam się mocno przedramionami o blat i zapłakałam gorzko, ponieważ rwący ból był nie do zniesienia. Wydawało mi się, jakby Maverick miał mnie zaraz rozszarpać. Moje biodra uderzały rytmicznie o krawędź stołu, chwiejącego się z każdym pchnięciem, które wykonywał. Moje serce krajało się, bo nic, co próbowałam wyskamleć, nie przebiło się przez jego sapnięcia i jęki.

Nie wiem, jakim cudem po wszystkim, cała obolała, oblepiona potem i pozbawiona głosu, który zmarnowałam na nieudolne próby prześlągnięcia go, doczołgałam się do łóżka. Nie wiem, jak udało mi się zarejestrować jego upiornie brzmiący szep, gdy niedługo po wzięciu prysznicą położył się obok mnie. Maverick powiedział mi wtedy, że to mu się należało.

A ja przytaknęłam cichutko, choć do rana moczyłam łzami swoją poduszkę.

– Nie... – potwierdzam pod nosem. – Nie zrobiłeś niczego złego.

Nie reaguję, kiedy Maverick uśmiecha się w mój ulubiony, piękny sposób i całuje mnie przelotnie w policzek, bardzo blisko ust.

– Wejdziemy? – proponuje, przenosząc wzrok chyba na kawiarnię znajdującą się obok. – Kupię ci coś słodkiego, cukier na pewno doda ci sił.

Nie protestuję.

– W porządku.

Odczuwam ulgę, za którą się karzę, bo wcale nie powinnam jej czuć, gdy mój ukochany wyprzedza mnie, by otworzyć mi drzwi. Posyłam mu uśmiech i mam nadzieję, że w jego oczach nie wypada on krzywo. Zmierzam do lady. Podziwiam jasny oraz przytulny wystrój lokalu. Na ścianach znajdują się tapety przedstawiające Charleston. Odnajdując nareszcie wzrokiem witrynę ze słodkościami, szukam czegoś dla

siebie, jednak coś odciąga mnie od wyboru deseru.

A jest to głos. Kobięcy i aksamitny.

– Skarbie? Co ty tutaj robisz?

Odwracam głowę. Widzę ubraną w biały garnitur nieznaną, która akurat wstaje z jednej z kanap i wpatruje się nieprzerwanie w... mojego Mavericka. Ściągam brwi. To jakaś jego znajoma? Ale dlaczego nazywa go „skarbem”?

Prędko zostaje wyprowadzona z błędu.

– Cam? – wykrztusza mój partner. – A ty?

– Przyszłam z Hazel na kawę – obwieszcza roześmiana kobieta, zmiatając sprzed nosa niesforne pasmo jasnych, muśniętych słońcem włosów. – Wiesz, poplotkować o pracy, o tobie.

Siedząca na tej samej kanapie brunetka chichocze cicho.

– Widzę, że twój mąż całkiem niezłe się trzyma.

– Prawda? Przykuwa spojrzenia.

Stoję w miejscu, jakby ktoś mnie zaczarował. Patrzę tylko na piękną i olśniewającą Camille. Żonę Mavericka. Tę samą, z którą podobno od dawna mu się nie układa. Jeśli tak jest, to dlaczego ona zareagowała na jego widok w ten sposób? Dlaczego się nim chwali przed koleżanką?

Nie mam pojęcia, ale ani na moment nie spuszczam wzroku z pani Hudson. Rany, jest taka... perfekcyjna. Ma prześliczny i zaraźliwy uśmiech. Jasną cerę bez skaz. Gęste blond loki i nienaganną sylwetkę. Wygląda na młodszą, niż rzeczywistość jest. Wygląda jak marzenie każdego mężczyzny, zwłaszcza że do tego sporo pracuje i zajmuje wysokie stanowisko.

Powieka zaczyna mi drżeć. Przy niej czuję się... po prostu zerem.

– Z kim przyszedłeś? – zwraca się do Mavericka tym samym przyjemnym tonem, kiedy zauważa mnie u jego boku. – Nie przedstawisz nas?

Maverick poprawia rękawy lnianej koszuli, po czym opuszcza ręce i wzdycha.

– Marigold, to Camille, moja żona – zaczyna, patrząc to na mnie, to na blondynkę. – Cam, to Marigold, moja była podopieczna z sierocińca. Spotkaliśmy się przypadkiem i wybraliśmy się na spacer, żeby trochę powspominać stare dzieje.

Boli. Boże, to tak strasznie boli.

– Och, to ekstra – świergocze Camille. – Na pewno macie dużo do obgadania. Liczę, że mój mąż nie był bardzo surowy. Niesamowicie lubi się rządzić.

Mimo chęci, by zalać się łzami, pozostaję dzielna.

– Nie – odpieram równie miło. – Nie był taki.

Wykręcam się ważnym telefonem, który muszę pilnie wykonać, i na wiotkich nogach wychodzę z kawiarni. Nie czekam na Mavericka. Ruszam w drogę powrotną do domu, i dopiero po drodze dwa razy wybucham płaczem. Nic nie rozumiem. Dlaczego on i jego żona mają taki dobry kontakt? Dlaczego przedstawił mnie w ten sposób? Jakbym była dla niego nikim.

Po prostu nikim.

Chciałabym zapaść się pod ziemię. Ta chęć dokucza mi przez kolejne kwadransy, które upływają mi na leżeniu w łóżku i porównywaniu się do pięknej Camille. Dopiero po ich upływie słyszę odgłos przekręcanej w drzwiach klucza. Zdyszany Maverick zaraz wpada do sypialni.

Zwlekam się więc z materaca i roztrzęsiona do niego podchodzę.

– O co tutaj chodzi? – wydecham bardzo szybko i przez to nieco nieskładnie. – Dlaczego wygląda to tak, jakby wszystko pomiędzy wami było w jak najlepszym porządku? Dlaczego przedstawiłeś mnie jako swoją byłą podopieczną, Maverick?

Mężczyzna kładzie dłonie na moich dygoczących ramionach.

– Uspokój się, Mari – nalega, patrząc na mnie czule.

– Przestań. – Strącam gwałtownie jego ręce, czując tak wiele emocji naraz: smutek, złość, niepokojenie z tym, co zrobił. – Nie każ mi się uspokoić, tylko powiedz prawdę.

Przetykam łzy i nie spuszczam rozżalonego wzroku z jego twarzy.

– Cam była w tej kawiarni z koleżanką, a my umówiliśmy się, że w oczach innych nadal będziemy przykładowym małżeństwem – wyjaśnia spokojny, jakby nie zrobił wcale niczego złego. – Musieliśmy odegrać szopkę, rozumiesz?

Kręcę powoli głowę.

– Nie okłamuj mnie – szeptam zapłakana.

Maverick tym razem kładzie ręce na moich biodrach i z ich pomocą przyciąga mnie do siebie. Uderzam twarzą w jego twarde tors. Z początku chcę mu się szybko wyrwać, lecz on mi na to zdecydowanie nie pozwala, więc nie marnuję więcej sił.

– Kochanie, nie miałem wyjścia – twierdzi, brząc mimo wszystko wiarygodnie. – Musiałem się dać w to wciągnąć. Musieliśmy to jakoś zagrać, żeby Hazel nie nabrała podejrzeń.

Zadzieram brodę i zrozpaczona raz jeszcze krzyżuję z nim spojrzenie.

– Masz pojęcie, jaką szpilę wbileś mi w serce?

– Przepraszam – odpięra skruszony, przebiegając palcami wyżej, aż do mojej talii skrytej pod sukienką. – Niedługo to się skończy. Niedługo wręczę jej ten przeklęty pozew, Mari. Do tego czasu musisz być silna i jakoś przelknąć tę beznadziejną sytuację, tak?

Budzi się we mnie coraz gorsze zmęczenie, kiedy słyszę, co do mnie mówi.

– Ona ciągnie się w nieskończoność. Ty ciągniesz ją w nieskończoność.

Ponownie próbuję się uwolnić, natomiast on ponownie mi na to nie pozwala. Mało tego wzmacnia chwyt, w którym mnie więzi, aż sprawia mi on ból. Coś zmienia się wtedy w jego zachowaniu. Coś migocze w jego ciemnych oczach. Coś, czego zaczynam się bardzo bać.

– Myślisz, że tego chcę? – wypluwa mi to przeraźliwie zły prosto we wciąż zapłakaną twarz. – To po prostu skomplikowane. Nie mogę za jednym zamachem zburzyć swojego życia. Muszę się na to przygotować, a żeby się przygotować, potrzebuję czasu.

Widzę, że znowu do tego doszło. Maverick... znowu go rozdrażniłam. Chryste, zrobiłam to. Nie mogę teraz przy nim zostać, skoro wiem, co może mi zrobić, będąc w nerwach. Właśnie dlatego staram się wyswobodzić spomiędzy jego ramion. Najpierw proszę, żeby mnie wypuścił. Kiedy jednak te prośby nie przynoszą rezultatu, obieram zupełnie inną, ryzykowną taktykę.

– Odsuń się – żądam przestraszona. – Nie chcę z tobą rozmawiać. Zraniłeś mnie.

Mężczyzna patrzy na mnie zaciekle. Ma mroczne spojrzenie i uniesiony kącik ust.

– Wynagrodzę ci to – zapewnia i zaczyna obsypywać moją szczękę żarliwymi pocałunkami.

Otwieram szeroko oczy. Nie... proszę, nie.

– Nie chcę, żebyś mi to wynagradzał – zaprzeczam jęklonie.

Wiercę się, szarpnię i szamotam. On zsuwa jedną dłoń na mój pośladek i ścisną go zdecydowanie zbyt mocno. Zagubiona wydycham powietrze w jego pierś i niczego nie mogę dostrzec przez kolejne łzy przysyłające mi pole widzenia.

Trzęsę się. Chcę odsunąć. Jednak nie dostaję na to szansy.

– Maverick, naprawdę nie potrzebuję tego... – wydycham płaczliwie.

– Cichutko – szepcze, podwijając moją sukienkę do góry i zsuwając niechlujnie moje majtki. Jednocześnie przykleja usta do mojej szyi. – Jeszcze będziesz jęczeć w kółko „dziękuję”.

– Wystarczy, że dasz mi to przemyśleć... – skomlę. – Na pewno poczuję się lepiej.

Mój ukochany zaciąga się zapachem mojej skóry.

– Dorośli mężczyźni znają lepsze sposoby, by udobruchać swoje małe, obrażone ślicznotki. Pozwól, że udobrucham swoją – sapie nakręcony, nim popycha mnie na łóżko.

Opadam na materac ze szlocham, lecz zanim zdążę się podnieść oraz uciec gdziekolwiek, on już leży na mnie. Szepota mi w usta, że popełnił błąd i musi mi go wynagrodzić. Robi to tak długo, aż nie jestem w stanie składać zdań i błagać, by się odsunął.

Dziwne pohukiwanie wyrzywa mnie z kolejnego koszmaru. Otwieram szeroko wilgotne oczy i z przyspieszonym oddechem śledzę rozbieganym spojrzeniem ciemności mieszkania. Dopiero gdy mam pewność, że pośród mroku nie widzę żadnego cienia, połużniam uścisk palców na pościeli i delikatnie podnoszę się do siadu, starając się nie obudzić pochrapującego Rhodesa.

Coś krztusi mnie w gardle. To chyba krzyk o pomoc, który w sobie zatrzymałam.

Przez jakiś czas siedzę zmarnowana na kanapie, aż w końcu wstaję i pokracyjnym krokiem podchodzę do okna. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, w przeciwnym razie mam wrażenie, że uduszę się przez wszystkie paskudne emocje, które we mnie nagłe wybuchły.

Uspokajam się, kiedy siedzę na zewnątrz, na najwyższym stopniu schodów na przejściu

ewakuacyjnym bloku i patrzę w czarne niebo. W pewnym momencie kulę się w sobie i otulona chłodem nocy oraz prawie niezmaconą niczym ciszą, wyszeptuję drżącym głosem:

- Żaden koszmar nie bolał mnie tak jak ten, podczas którego ciągle jesteś daleko ode mnie. Wykrzywiam z bólem usta i ledwo znoszę silną tęsknotę rozdzierającą mi serce.
- Boże, Will... – Potrząsam głową. – Naprawdę ani jeden nie bolał mnie aż tak...

ROZDZIAŁ PIĄTY

MARIGOLD

Długo odwlekałam w czasie wizytę na uczelni. Chyba po prostu oficjalne rozstanie ze studiami nie wydawało mi się tak pilne jak wypełnianie nowych obowiązków, które spadły na mnie niespodziewanie. Teraz zresztą i tak cudem znalazłam wolną godzinę pomiędzy kolejnymi rozmowami o pracę a przedstawieniem odbywającym się w szkole Rhodesa – gdyby nie ona oraz fakt, że jestem akurat niedaleko szkoły, pewnie nadal bym tutaj nie zajrzała.

Trzymam w dłoni dokumenty i wychodząc z gabinetu, gdzie zostałam obsłużona przez dość niesympatyczną panią, próbuję upchać je w pośpiechu do zawieszanej na ramieniu torebki. Jestem tym tak zaaferowana, że nawet nie orientuję się, że ktoś idzie z naprzeciwka. Bagaż zsuwa mi się z ramienia wskutek zderzenia z jakimś chłopakiem i upada z łoskotem na podłogę w opustoszałym korytarzu. Bez żadnego słowa od razu kucam nad rozsypanymi rzeczami.

Właśnie wtedy odzywa się dobrze znany mi głos:

– No proszę, kto to wrócił z podkulonym ogonem?

Moja ręka zastyga w powietrzu, gdy chcę sięgnąć nią po leżące nieopodal klucze. Cholera, akurat on musiał mi się napatoczyć. Pieprzony Findlay, którego miałam nadzieję już nigdy nie spotkać.

Czym prędzej chwytam w dłoń pęk i upycham go na dno torebki.

– Czy my przypadkiem nie ustaliliśmy, że jesteśmy dla siebie nikim, Alex? – wzdycham z marszu zmęczona jego obecnością i podnoszę się z pozycji kucającej. Mogąc już spojrzeć na chłopaka z normalnej wysokości, przyglądam mu się z ukosa. – Och, przecież jakiś czas temu dokładnie to zrobiliśmy, więc dlaczego mnie teraz zaczepiasz?

Alexander mimo upływu czasu wciąż nie wygląda zbyt dobrze. Rany na jego twarzy nie zdążyły się zagoić, odznaczają się na niej różnorakie siniaki, nieestetyczne szramy i zadrapania. No i ten nos... widać, że był nastawiany.

Willard naprawdę zgniótł go na miazgę.

– Po prostu na twoim miejscu raczej nie próbowałbym wznawiać tutaj nauki – mówi ze stoickim spokojem, nie odrywając spojrzenia od moich oczu.

Krzyżuję ramiona pod biustem i parskam krótkim śmiechem.

– Bo co? Nie boję się ani ciebie, ani twoich dziecinnych docinków.

– Bo masz opinię szmaty, a pogardliwe spojrzenia, niemiłe komentarze czy obleśne propozycje innych chłopaków mogą okazać się dla ciebie dość nieprzyjemne.

Zdezorientowana poważnieję.

– Co ty bredzisz?

Alex robi długi oraz powolny krok w moją stronę. Nie ruszam się. Stoję nieruchomo, a on zaczyna obchodzić mnie dookoła, zastanawiając się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Któryś z nas musiał skończyć ze zszarganą reputacją – stwierdza nareszcie nieco ciszej, jakby ktoś miał nas podsłuchać.

Odruchowo rozglądam się ukradkiem po korytarzu. Jest pusty. Wszyscy są na zajęciach. Findlay także przeczesuje wzrokiem otoczenie, lecz szybko ponownie skupia się na mnie.

– Albo to ja mogłem wyjść na frajera, który uganiał się za tobą po nic, albo ty na łatwą panienkę wskazującą każdemu do łóżka – szepta do mojego ucha. – Więc proszę, wszyscy sądzą, że jednocześnie pieprzyłaś się ze mną i Covingtonem. Że obracaliśmy cię na zmianę.

Sztwnieję w przeciagu jednej głupiej sekundy.

– Ty świni... – wypluwam nienawistnie.

Nie wierzę, że to zrobił. Że rozgadał coś takiego na mój temat. Nawet jeśli nie studiuje już aktorstwa i nie będę mieć styczności z ludźmi, którzy uważają mnie przez niego za taką, która przed każdym rozkłada nogi, czuję się cholernie poniżona i upokorzona.

Odwracam się do Findlaya, unoszę jedną rękę i mocno go popycham.

– Wiesz, co on ci za to zrobi? – cedzę przez zęby.

Ten buc jedynie unosi kącik ust i wygładza zdrową dłonią materiał białej koszuli na piersi, który przed momentem pogniotłam.

– Żeby móc zrobić mi cokolwiek, musiałby wyjść na wolność... – rzuca z manierą. – A sądząc po tym, jak marnie nadal wyglądasz i że nadal ledwo dajesz sobie ze wszystkim radę sama, twój kochaś ciągle przebywa za kratkami. Nic się nie zmieniło. Nic a nic.

– Zaraz wszystko się zmieni – zaprzeczam. – Odzyskam go. Wtedy dorwie cię znowu w swoje łapy, a ja tym razem nawet nie zaprotestuję, gdy będzie chciał się nad tobą pastwić.

Politowanie przemyka przez zielone oczy chłopaka.

– Możesz łudzić się dalej, że do tego dojdzie.

Wie, że uderza w mój najczulszy punkt. Ma świadomość tego, że jeśli coś może obecnie niemalże mnie spoliczkować, to jest to choćby najbardziej niewinne przypomnienie o tym, gdzie przebywa mój Will. Jak na zawołanie odczuwam wypełniającą serce rozpacz.

Mimo to panuję nad drżeniem dolnej wargi i głosu. Panuję nad każdą reakcją, która mogłaby zdradzić Alexowi, że swoimi słowami osiągnął zamierzony cel – rozproszył mnie.

– Nie muszę się łudzić, że zostaniesz sponiewierany, bo wiem, że Will wycisnie z ciebie więcej krwi niż poprzednio – odpieram wściekle lodowatym tonem. – Będzie cię prał, aż stwierdzi, że odwdzieczył ci się wystarczająco za to, co zrobiłeś. Po wszystkim pozbędzie się śladów i wywinie, jeśli znowu spróbujesz go o coś oskarżyć.

Mówienie takich rzeczy i zgrywanie zimnej suki nie jest w moim stylu. Nie mogę się jednak ogarnąć. Targa mną zbyt duża wściekłość na Alexa za to, co wyprawia: za to, że za całym złem, jakie wydarzyło się w moim życiu w ciągu ostatnich tygodni, stoi właśnie on.

Poza tym wciąż prowokuje mnie bardziej. Podsyca mój gniew. Bawi go mój stan, bawi go sytuacja, w której się znalazłam, bawi go to, że moje życie zamienia się w gruzy. Tracę wobec niego wszystko, na czele z jakimkolwiek szacunkiem, zwłaszcza gdy dorzuca:

– Jesteś taka naiwna... – Owiewa ciepłem oddechu przestrzeń za moim uchem. – Ale to jeszcze dotrze do ciebie z każdym kolejnym wieczorem, który spędzisz sama jak palec. W końcu uświadomisz sobie, że przeznaczeniem twojego kochasia jest pobyt w pace.

Mam ochotę splunąć mu w tę rozbawioną twarz. Zanim zdążę odpyskować, słyszę dobiegający mnie skądś gwizd. Natychmiast odsuwam się od Alexa i odwracam głowę w bok. Dostrzegam dwóch chłopaków wychodzących właśnie z pobliskiego kibla.

– O, przepraszamy gołąbeczki – woła jeden z nich.

To chyba... Nick z naszego kierunku? Nie zastanawiam się nad tym zbyt długo, bo moje myśli zaprzęta Alex i jego podejrzany, szeroki uśmiezek poprzedzający oblesną odpowiedź.

– Nic się nie stało. Nie zdążyliśmy się zabawić.

Zaciskam szczękę, bo przy tym kładzie dłoń na moim biodrze. Oczywiście, że chce potwierdzić swoją wersję o tym, jaką to nie jestem szmatą, którą miało dwóch facetów naraz. Rozzłoszczona czym prędzej zrzucam jego wstrętą dłoń, po czym biorę zamach kolanem.

Trafiam perfekcyjnie w jaja tego dupka. Oby się skurczyły. Albo mu odpadły. Z każdej opcji będę zadowolona równie mocno.

– Aua, kurwa. – Alex wydusza głośny syk, a jego dłoń wędruje na krocze.

– Kutas – warczę, doprawiając swój popis uderzeniem go torebką w skrzywioną gębę. – Pójsz to ty możesz znowu na oddział, bo chyba coś ci dolega, skoro pleciesz jebane bzdety.

Wypuszczam powietrze przez nos. Przypatruję się jęczącemu z bólu Alexowi i rany, robi mi się trochę lepiej, bo dostał to, na co zasłużył za tę swoją nędzną gadkę cwaniaka. Odwracam się do patrzących na mnie z uniesionymi brwiami chłopaków. Obaj mają ręce wetknięte do kieszeni ciemnych bluz i już wcale a wcale się nie szczerzą.

Zbliżam się do nich z pochmurną miną.

– A wy zastanówcie się, czy Willard Covington naprawdę pozwoliłby, by ktoś chociaż zerknął na to, co przywłaszczył sobie on – bąkam niemiło. – Bo wydaje mi się, że gdybyście wy albo ten oszust to zrobili, akurat Will krótko po tym powycierałby wami podłogę.

Po wypowiedzeniu tych słów szybko ich wymijam i ruszam do wyjścia z budynku. Nie obchodzi mnie, w jaki sposób będą mnie postrzegać, ale niech chociaż wysilą szare komórki i pogłównują, czy zaborczy i brutalny Willard aby na pewno dzieliłby się mną z kimkolwiek.

Na zewnątrz mimo późnej pory nadal jest jasno. Opatulam się materiałem płaszcza i pozbywam myśli związanych z Alexem oraz szopką, którą odstawił. Zamiast zaprzętać sobie tym głowę zerkam na jeden z elektronicznych billboardów znajdujący się na wysokim budynku i odczytuję z niego godzinę. Mam jakieś trzy kwadranse, by dotrzeć do szkoły, ponieważ załatwianie ostatnich spraw ze studiami zajęło mi więcej czasu, niż planowałam.

Zdążę. Może ledwo, ale dotrę przed rozpoczęciem przedstawienia.

Thuczenie się metrem, a potem szaleńczy bieg przez park okazują się nieprzyjemnym doświadczeniem, lecz niedługo później wpadam do właściwej sali. Tam widok szerokiego uśmiechu na twarzy małego Rhodesa wynagradza mi cały potworny pośpiech. Całuję chłopca w policzek, siadam na jednym z krzeseł w zatłoczonym pomieszczeniu i łapię oddech.

– Przyszłaś – mówi odrobinę zaskoczony.

– Przecież obiecałam, że przyjdę. – Zaczynam zrzucać z siebie płaszczy, jednak widząc, że maluch zagryza niewinnie wargę i przypatruje mi się uważnie, nagle nieruchomieję. – Co?

– Nic. Biegłaś tak szybko, że się potargałaś.

Rhodes wyciąga nieśmiało dłoń w stronę mojej fryzury. Posyłam mu szczery uśmiech i pochylam się delikatnie do przodu, żeby mógł jej dosięgnąć.

– Popraw mi włosy – szepczę konspiracyjnie. – Byle szybko, żeby nikt nie zauważył.

Chłopiec wygładza je rączką. Kąciki ust uniesione ma wysoko ku górze.

– Goldie, nawet rozczochrana wyglądasz pięknie.

– Tak, tak – przytakuję rozbawiona. – Lepiej dawaj gazu za kulisy, bo już zaczynacie. Pamiętaj: niczym się nie denerwuj, bo pójdzie ci świetnie, tak?

Mój mały rozmówca salutuje mi w zabawny sposób.

– Tak. – Robi kilka kroków w tył i wypina dumnie pierś.

Do twarzy mu w czarnej koszuli. W podobną będę musiała ubrać swojego Willa, gdy tylko w końcu zjawi się na Bronksie z powrotem. Upewniam się, że Rhodes wygląda schludnie oraz nienagannie, a następnie ja również salutuję jemu.

– Zrobię kilka zdjęć dla Willa, więc uśmiechaj się szeroko.

– Będę – zapewnia mnie. – Jeszcze raz dziękuję, że tu jesteś.

– Nie masz za co, kochany. – Patrzę na niego rozczulona i zaciskam pięści najmocniej, jak jestem w stanie, pokazując mu je. – Trzymam za ciebie kciuki. Zawsze będę.

Chłopczyk przemyka za kulisy, bo oprócz tego, że zrobił scenografię na przedstawienie, będzie również odgrywał w nim pewną rolę. Gdy znika, zdejmuję do końca płaszczy, zawieszam go na oparciu krzesła i przeczesuję wzrokiem wypełnioną dumnymi rodzicami salę.

Mam wtedy cichą nadzieję, że tego wieczora ja wystarczę małemu Rhodesowi.

– Myślisz, że Farfocel jakoś przetrwał bez nas te kilka godzin?

Wyławiam z torebki klucze i staram się jak najprędzej wsunąć właściwy do zamka drzwi, żebyśmy z Rhodesem nie sterczeli długo przed blokiem na coraz gorszym zimnie. W takich chwilach odrobinę żałuję, że nie udało mi się odnaleźć nigdzie kluczyków do auta Willa. Przebijanie się przez Nowy Jork metrem i częste spacerowanie w chłodne, jesienne wieczory okazują się raczej uciążliwe. Bardzo nie chcę, żeby któregoś z nich mały przypadkiem się przeziębził.

Otwieram przed nim drzwi i przepuszczam go, by wszedł do środka pierwszy.

– Na pewno przetrwał popołudnie sam bez najmniejszego problemu – wracam do tematu kota, krocząc za chłopcem do betonowych schodów. – Ale wydaje mi się, że będzie na ciebie obrażony, że zostawiłeś go na tak długo.

Rhodes łypie na mnie mimochodem.

– O nie. Co mam zrobić, żeby mi wybaczył?

– Proponuję, żebyś się z nim trochę pobawił, tylko ostrożnie, jasne? – zaznaczam wyraźnie i wspinam

się po stopniach. – Myślę, że kilka przysmaków też załatwi sprawę.

Świst nocnego powietrza wdziera się do środka znajdującym się na półpiętrze, wybitym oknem. Spoglądam na widok rozciągający się za nim i czuję ciarki na plecach, bo szare blokowisko pod osłoną prawie czarnego nieba prezentuje się doprawdy mrocznie i upiornie.

Odruchowo przyspieszam kroku, a wraz ze mną robi to chłopiec.

– Pewnie masz stuprocentową rację – zgadza się ze mną w międzyczasie i sięga po moją opuszczoną wzdłuż tułowia dłoń. – Prysmaki załatwią sprawę. Jesteś wielka.

– A ty mały – odpieram wesoło.

Malec błyskawicznie fuka.

– Hej, nie o to mi chodziło!

– Wiem. Wiem, mój dorosły artysto.

Parskam cichym śmiechem i przystaję przed drzwiami do własnego mieszkania. Je również otwieram bez najmniejszego problemu. Rhodes wpada natychmiast do kawalerki jak prawdziwa torpeda, zapewne żeby odnaleźć w jej głębi swojego pupila. Na szczęście wie, że musi obchodzić się z kotkiem ostrożnie. Rozmawialiśmy na ten temat już wczoraj.

– Idź umyj najpierw ręce, dobra?! – wołam za nim i odkładam torebkę na komodę.

Malec za moment odkrzykuje krótkie:

– Pewnie!

Zanim ruszę do kuchni, żeby odgrzać nam coś do jedzenia, przeglądam powiadomienia na telefonie. Nie widzę odzewu od żadnego potencjalnego pracodawcy. Ani jeden numer nie próbował się ze mną skontaktować, a to naprawdę porządnie mnie podłamuje, bo z każdym dniem budżet mój i Rhodesa nieznacznie się kurczy. Musimy mieć przecież za co żyć.

– Goldie? – słysząc donośne pytanie chłopca, wracam do rzeczywistości.

Wrzucam komórkę do torebki, po czym ściągam płaszcz i odwieszam go.

– Tak? – dopytuję równie głośno.

– Chyba nie działa lampa.

Marszczę brwi.

– Jak to nie działa lampa? – powtarzam za nim i kieruję się do łazienki, przy której stoi mój zdezorientowany podopieczny. Ma nieco niechlujnie podwiniete rękawy eleganckiej koszuli i mokre ręce, więc już zdążył je umyć. Teraz wskazuje kiwnięciem na włącznik światła.

– Spójrz.

Posłusznie próbuję zapalić starą lampę, lecz robię to bezskutecznie. Nawet najmniej wyraźna wiązka światła nie przepędza z łazienki gęstych ciemności. Trochę mnie to niepokoi, ale może po prostu przepaliła się żarówka? Takie rzeczy przecież się zdarzają. Spoglądam w dół, bo akurat Farfoceł zaczyna krążyć pod moimi nogami, miaucząc.

Przebiegam palcami wzdłuż nasady włosów i stwierdzam:

– Zaczekaj, sprawdźmy inne.

Znam rozkład pomieszczeń jak własną kieszeń, dlatego bez trudu docieram do salonu. Tam jednak zabawa włącznikiem światła także nie przynosi efektu. Zaczynam poważnie się martwić. Co jeśli odcięli nam energię elektryczną? Miałam ostatnio urwanie głowy i opłacenie rachunków mogło mi po prostu z niej wypaść. A tego bym nie chciała, bo jak miałabym wytłumaczyć Rhodesowi, że nie mamy w mieszkaniu rzeczy tak podstawowej jak prąd?

Wtem mała rączka tarłosi rąbek mojego swetra.

– I co, i co? – docieka zaciekawiony chłopiec. – Działa?

Wylapuję w ciemnościach jego spojrzenie i przez chwilę nie odzywam się choćby jednym słowem. Dobrze jednak czuję, jak mocno wali moje pobudzone zdenerwowaniem serce.

– Chyba jest jakaś awaria prądu – odpowiadam mimo nieprzyjemnego wrażenia, że coś stało w moim gardle. – Pójdę zapytać sąsiadów, czy też mają podobny problem, a ty poszukaj Farfocla, bo raczej znowu gdzieś nam zniknął w pola widzenia, okej?

Rhodes przystaje na to bez mrugnięcia okiem.

– Dobrze.

Przechadzając się zaciemnionym korytarzem w swoim mieszkaniu, myślę, że z pytaniem o problem z

prądem udam się do staruszka, który mieszka obok Willa. Kiedyś okazał się dla mnie miły, dlatego podejrzewam, że tym razem nie przepędzi mnie spod swoich drzwi. Niedługo później rzeczywiście tego nie robi, lecz mówi mi coś, co mocno mnie smuci.

U niego wszystko gra. Musiałam więc nie zapłacić rachunków na czas, a że Willard nie miał możliwości, by zapłacić swoje, przeniesienie się do jego mieszkania niczego nam nie da.

Schodzę jeszcze na parter, żeby skontrolować, czy znajdę jakiś list w skrzynce. Rzecz jasna wyciągam z niej wezwanie do zapłaty. Staruszka, która wynajmuje mi kawalerkę, pewnie też niedługo zrozumie, że coś jest nie tak, i odezwie się do mnie z opóźnieniem.

Szlag.

Szlag, szlag, szlag.

Wracam na siódme piętro męczeńskim krokiem. Po drodze wymyślam beznadziejnie żalony plan. Liczę, że pomoże mi on ukryć przed Rhodesem, że nie wszystko jest w porządku. Nie chcę, żeby martwił się sprawami dorosłych. Ma prawie że sześć lat. To dziecko.

Wkraczam w mrok swoich czterech ścian i zamykam za sobą drzwi na klucz.

– Znalazłeś Farfocla – zauważam, gdy jestem już w salonie, a światło księżycy wdziera się do pomieszczenia niezastłoniętym oknem i pada na siedzącego na kanapie chłopca.

Trzyma on ostrożnie swojego burego pupila.

– Tak, skrył się w bluzie Willa i zostawił na niej trochę sierści. Chyba mu się za to oberwie – odpiera rozradowany malec. Zaraz marszczy ze zdziwieniem nos i pyta: – Jesteś smutna?

Siadam obok niego na obdartej sofie.

– Nie, dlaczego?

– Tak mi się wydaje. Byłaś u naszych sąsiadów? Co ci powiedzieli?

– Że przez kilka kolejnych dni mogą występować w bloku problemy z energią elektryczną – kłamię, ale nie widzę innego wyjścia z tej patowej sytuacji. *Przecież prawda nie wchodzi w grę.* – Podobno kartka wisi na drzwiach wejściowych. Musieliśmy ją przeoczyć.

Rhodes zwiesza głowę i wlepia spojrzenie w spokojnego kota.

– Nie było jej na drzwiach – wspomina. – Pamiętałbym.

Wiercę się dyskretnie na siedzeniu.

– Musiałeś być zajęty myśleniem o Farfoclu – przekonuję go i uśmiecham się w sposób, który mam nadzieję nie pozostawi w nim wątpliwości, że to moja wersja jest prawdziwa.

Bratanek Willa głaszcze pupila po grzbiecie, milcząc.

– W sumie... może tak było – mamrocze w końcu. – Ale co my teraz zrobimy?

– Nic, przeczekamy to. Przez jakieś kilka dni zaciśniemy zęby i poczujemy się jak na obozie przetrwania w ogromnej i ciemnej dżungli – dzielę się z nim swoim pomysłem i w duchu modłę, by małemu przypadł on do gustu. – To może być fajna przygoda, co myślisz?

Do czasu aż nie ureguluję rachunków, musimy dać sobie radę bez prądu. Na szczęście Rhodes wydaje się naprawdę ucieszony wizją wymyślonej przeze mnie gry. Podskakuje aż w miejscu, dbając o to, by nie wypuścić z objęć Farfocla.

– Tak, będziemy się super bawić!

Smutek zagnieżdża się w mojej piersi, lecz dzielnie przyozdabiam twarz radością.

– Taką mam nadzieję. – Wstaję na nogi i podchodzę do okna, by możliwie jak najbardziej je odsłonić i wpuścić do środka więcej światła odbijanego przez księżyc.

Podekscytowany chłopiec podąża za mną spojrzeniem.

– Rozpalimy ognisko?

Cichy śmiech jakimś trafem wydostaje się spomiędzy moich ust.

– Nie możemy puścić z dymem całego budynku. Zaświecimy świece.

– Co dalej? – docieka zachwycony Rhodes. – Musimy znaleźć pożywienie.

Udaję, że intensywnie się nad tym zastanawiam.

– Tym zajmę się ja – decyduję nareszcie. – Ty i Farfocel zbudujcie nam bazę z kołder i poduszek. Musimy przecież gdzieś się schronić przed złą pogodą oraz dzikimi zwierzętami.

Malec odkłada na bok zwierzątko i zaczyna pokazywać coś żywo rękami.

– Zbudujemy taką duuuużą, na wypadek gdyby nagle dołączył do nas Will.

Oczy błyszczą mu zapalem. Moje natomiast delikatnie pieką, dlatego czym prędzej ruszam do kuchni, żeby odnaleźć w niej coś, co zjemy przed zabawą w pobyt w dżungli.

– W takim razie zadania rozdzielone – obwieszczę w tym samym momencie, panując nad lekko przenikniętym przygnębieniem głosem. – Lecę poszukać nam czegoś na kolację. Nie możemy przecież umrzeć z głodu, bo okazalibyśmy się bardzo słabymi zawodnikami.

– Tylko wróć szybko, Goldie – słyszę rozbrzmiewającą za plecami prośbę.

Odwracam głowę przez ramię i kiwam głową do Rhodesa.

– Troszeczkę się boję, więc masz to jak w banku.

Mały schodzi z sofy. Mimo że od razu chciałby zabrać się za zbudowanie bazy dla nas, co potwierdza poduszka, którą trzyma kurczowo w dłoni, znajduje chwilkę na coś, czego się nie spodziewam. Chłopczyk podbiega i przytula się do mnie bardzo mocno.

– Nie bój się – prosi czule, obejmując rękami moje nogi. – Ochronię cię.

Wykrzywiam z bólem usta i czuję ulgę, że Rhodes nie jest w stanie tego dostrzec. Tak strasznie chciałabym zapewnić mu wszystko to, na co zasługuje. Chowam w dłoni tył jego głowy i głaskam go palcami po gęstej czuprynie, walcząc z chęcią, by znowu się rozplakać.

– Wiem, kochany – odpowiadam prawie że bezgłośnie szepem.

Potem zniżam się do jego poziomu i przyciągam go mocniej.

– Ja ciebie też ochronię. Daję słowo, że to zrobię.

Że dla ciebie zawsze będę starać się być najsilniejsza, dopowiadam to w myślach, nie wiedząc, że pewnego dnia akurat tej obietnicy nie dam rady dotrzymać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

MARIGOLD

Z samego rana zjawiam się gdzieś, gdzie zdecydowanie nie powinna stanąć moja noga. Nie jestem już przecież związana z biznesem państwa Findlayów, a do tego nie mam z nimi dobrych relacji. Muszę jednak porozmawiać z Leah, która zadzwoniła do mnie wczoraj z pytaniem, czy wpadnę na chwilę do sklepu z winylami. Nie mam pojęcia, co kryje się za jej prośbą, ale nie próbuję się nawet tego domyślać, bo na głowie mam całą listę zadań do wypełnienia.

Najpierw muszę opłacić zaległe rachunki za prąd, potem zabrać Rhodesa do szkoły, a w końcu wybrać się na kolejne rozmowy o pracę. Mam to na uwadze, gdy siedzę na krześle za ladą i słucham z zainteresowaniem, jak układa się koleżance. Leah porządnie się rozgaduje, gdy krąży po pomieszczeniu i rozkłada nowe płyty. Potem to ja opowiadam jej, co u mnie, i kiedy tylko kończę mówić, słyszę jej markotny pomruk:

– Nie wiedziałam, że z Findlaya taki buc.

Oglądam trzymany w dłoni winyl, ale zaraz odkładam go na blat i skupiam spojrzenie na stojącej przy witrynie blondynce.

– Z którego?

– Och, obaj zachowali się nie w porządku – mówi zła. – Jak mogli wyrzucić cię z pracy, tylko dlatego, że urażony Alexander zechciał się na tobie w ten sposób zemścić?

Spuszczam wzrok na podłogę. W sumie pogodziłam się już z tym, co się stało.

– Jeszcze gdybyś rzeczywiście go zwodziła, okej, rozumiałabym to, ale nie daj sobie wmówić, że wina leży po twojej stronie, skoro od początku postawiłaś sprawę jasno: nic między wami nie będzie – dorzucą zirytowana Leah. – Alexander to świnią. Jeśli nie dałby rady patrzeć na ciebie i innego chłopaka, mógł po prostu stwierdzić, że kończycie waszą przyjaźń i rozstajecie w dobrych stosunkach, a nie próbować cię pograżyć i to w takim dziecięcym stylu.

– Kiedyś zapytałaś mnie, czy sądzę, że byłby zdolny szepnąć na ucho rodzicom, by się mnie pozbyli, w razie gdyby zobaczył mnie z innym chłopakiem – wspominam naszą rozmowę. – Wtedy łudziłam się, że nie zrobiłby tego... A jednak zrobił o wiele więcej.

Unoszę spojrzenie znad swoich trampek, akurat gdy Leah staje przed ladą.

– Męska duma poważnie bywa krucha – podsumowuje i patrząc na mnie troskliwie, opiera ręce na drewnianej powierzchni dzielącego nas blatu. – Cholera, nie daj mu tej satysfakcji, że ci dokopał. Poważnie, Marigold, nie daj.

Natychmiast kręcę głową.

– Nie zamierzam – oznajmiam. – Jeszcze znajdę inną, lepszą pracę, a ten chłopak, którego straciłam... odzyskam go. Wszystko się jakoś znowu ułoży.

Nie pozostało mi nic innego, jak wierzyć, że tak będzie, nawet jeśli od trzech tygodni nic nie wskazuje na to, żeby Will miał opuścić areszt oraz wrócić do mnie i Rhodesa.

– Właściwie z pracą mogłabym ci trochę pomóc – obwieszcza nagle nieco bardziej rozpromieniona Leah. – W tej sprawie do ciebie zadzwoniłam.

Delikatnie prostuję się na krześle.

– Tak?

– Kojarzysz to lodowisko, które co roku jest otwierane w Central Parku?

Chwilę zastanawiam się nad pytaniem koleżanki, jednak po czasie wdycham ze zrezygnowaniem, bo nie słyszałam nigdy o wspomnianej przez nią atrakcji. Znając życie, okaże się kultowa, a ja wyjdę na naprawdę niedoinformowany przypadek, ale dobra, niech tak będzie.

– Właściwie to nie... Mieszkam w Nowym Jorku od prawie dwóch miesięcy – przyznaję, na co Leah rozchyła usta i prędko je zamyka.

Macha ręką w powietrzu.

– Faktycznie, umknęło mi to.

Posyłam jej niezręczny uśmiech.

– W każdym razie moja dobra znajoma szuka pracowników odpowiedzialnych za wypożyczanie łyżew albo sprzedawanie wejściówek – tłumaczy podekscytowana. – Sama bym się na to załapała, ale jestem strasznym zmarzluchem i ta praca chyba przyprawiłaby mnie o odmrożenia drugiego stopnia. Mogę dać ci na nią namiary.

Jestem przekonana, że moje oczy rozbłyskują nadzieją, gdy się upewniam:

– Naprawdę?

Leah poprawia swój koński ogon i kiwa głową.

– Jeśli nie odrzuca cię taka praca, to pewnie, że tak.

– Nie, skądże. – Wstaję gwałtownie z krzesła i zaczynam przechadzać się po pustym sklepie. – Nie odrzuca. Ale czy twojej znajomej nie przeszkadzałoby to, że opiekuję się prawie sześciolatkiem i muszę je brać pod uwagę podczas układania grafiku?

Zazwyczaj kiedy o tym wspominałam, spotykałam się z jedną i tą samą odpowiedzią: „Niestety musimy pani podziękować”, dlatego widząc teraz, że mina Leah nie rzednie na moje ostrzeżenie, czuję się bardzo uskrzydłona. Może tym razem spotkam się z innym podejściem?

– Jest wyrozumiała – odpiera moja rozmówczyni, sięgając po kolejne płyty bezładnie leżące na ladzie. – O ile nie będziesz przy nim za bardzo wybrzydzać, będzie okej.

Zatrzymuję się tuż obok niej z poczuciem, że spadła mi z nieba.

– Nie będę. Jakoś wszystko sobie poukładałam, żeby nie musieć.

– W takim razie wróżę ci zagrzanie tyłka w nowej pracy.

Koleżanka mruga do mnie porozumiewawczo, a ja z trudem powstrzymuję pisk radości. Wiele wskazuje na to, że los w końcu się do mnie uśmiecha. Jeśli znajomej Leah rzeczywiście nie będzie przeszkadzało, że opiekuję się małym Rhodesem. Mocno na to liczę.

– Rany... ratujesz mi życie – wzdycham z wręcz namacalną wdzięcznością, zaglądając prosto w niebieskie, radosne oczy. – Teraz naprawdę potrzebuję jakiegokolwiek pensji.

Leah przytula do piersi trzymane w dłoniach płyty.

– Cieszę się, że mogę pomóc.

Odwraca się na moment, przekłada winyle do jednej ręki i drugą sięga po karteczki samoprzylepne znajdujące się na ladzie. Bierze jeszcze leżący obok długopis oraz zapisuje na żółtym papierku ciąg cyfr. Trochę dziwi mnie, że jest w stanie nakreślić na nim najpewniej numer znajomej z pamięci, ale w takim razie musi naprawdę dobrze się z nią znać. A to raczej zadziała na moją korzyść, jeżeli spotkamy się w przeciągu kolejnych kilku godzin.

– Tutaj masz namiary, powołaj się na mnie. – Odrywa karteczkę od reszty i wciska mi ją w dłoń. – Najlepiej idź tam od razu i załatw sprawę możliwie jak najszybciej.

Nie zamierzam zwlekać ani chwili, dlatego zgarniam torebkę z blatu i czym prędzej zawieszam ją sobie na ramieniu, kurczowo ściskając w dłoni kontakt do potencjalnej szefowej.

– Pewnie – rzucam i szczęśliwa kieruję się żwawym krokiem do drzwi. Nim chwytam za klamkę i przez nie wychodzę, uciekam jeszcze raz wzrokiem w kierunku lady. – Leah?

Dziewczyna ściga brwi, lekko zdezorientowana.

– Tak?

– Strasznie dziękuję – odpieram szczerze. – No i miłej pracy.

– A tobie powodzenia – mówiąc to, macha mi na pożegnanie.

Po raz pierwszy od dawna nie zmuszam się do uśmiechu. To nim odpowiadam Leah i po kilku sekundach wychodzę na zatłoczoną o poranku ulicę Nowego Jorku. Chociaż ludzie pędzą tam i z powrotem, ja stoję na samym środku chodnika oraz wystawiam twarz w stronę zachmurzonego nieba. Zamykając przy tym oczy, czuję, jak wypełnia mnie płomyk nadziei.

Może ten najgorszy czas powoli przemija?

Na rozmowę z dziewczyną odpowiedzialną za rekrutację do pracy na lodowisku umawiam się po południu, dlatego stwierdzam, że najpierw zaprowadzę Rhodesa do szkoły, a dopiero potem udam się do

Central Parku. Maluch zaczyna dzisiaj lekcje o późniejszej porze, więc wchodząc do mieszkania po otwarciu drzwi kluczami, widzę go bawiącego się na podłodze z Farfocelem.

On także prędko dostrzega mnie w korytarzu. Ostrożnie odkłada kota, wstaje, otrzepuje spodnie i podbiega do mnie w ekstremalnie szybkim tempie.

– Długo cię nie było, Goldie.

– Wybacz. – Patrzę na niego przepraszająco i schylam się, by móc pogłaskać pupila, który znalazł się pod moimi nogami. – Byłam dopytać, kiedy skończy się awaria prądu.

Farfoceł miauczy, na co śmieję się pod nosem. Wydaje mi się, że dobrze maskuję kłamstwo i że mam w tym wprawę, niezależnie od tego, jak okropnie to brzmi. Tak naprawdę musiałam za ostatnie pieniądze opłacić zaległe rachunki. Nasza sytuacja nie wygląda teraz za ciekawie.

– No i kiedy się skończy? – pyta zaciekawiony Rhodes.

– Dzisiaj albo jutro.

– Uff, to super. – Wypuszcza głośno powietrze i szczerzy się. – Zabawa w ciemną dżunglę była fajna, ale nie na krótszą metę.

Unoszę kącik ust i poprawiam go:

– Chyba dłuższą metę.

– No... o to mi chodziło.

– Zbieraj się – rzucam rozbawiona, a następnie ostatni raz przebiegam po grzbiecie pupila i podnoszę się do pionu. – Zaprowadzę cię do szkoły.

Chłopiec posłusznie zakłada na siebie kurtkę oraz czapkę.

– Nie musisz zaprowadzać mnie do szkoły – stwierdza i sięga jeszcze po tornister.

Wiem o tym. Malec doskonale zna tę trasę i wiele razy odbywał ją samotnie, lecz Will wyznał mi kiedyś, że stara się do tego nie dopuszczać. W końcu to dzieciak, mądry, ale nadal dzieciak. Sama więc również staram się unikać zostawiania go w tym czasie bez opieki.

– Mam po drodze. – Otwieram przed nim drzwi. – Więc chodźmy.

Na klatce schodowej jak zwykle nie spotykamy nikogo. Czasami wydaje mi się, jakby tak naprawdę nikt nie mieszkał z nami w bloku, lecz to wrażenie mija wraz z zapadnięciem zmroku: ostatnio o tej porze z najniższych pięter budynku dobiegają różne dziwne odgłosy.

Z Rhodesem schodzimy po betonowych schodach. Nieprzyjemne uczucie, jakby podeszwy moich butów kleiły się do oślizgłej powierzchni stopni, towarzyszy mi przy każdym kroku. Zerkam kątem oka na małego, który idąc, przesuwając palcami po pokrytej graffiti ścianie.

– Goldie? – pyta w pewnym momencie i odwraca się do mnie.

– Słucham cię.

– Zaczyna się listopad.

– Nie przebłagam Świętego Mikołaja, żeby przyszedł wcześniej, Rhodes – przerywam mu nagle i uśmiecham się przy tym z politowaniem. – Co to, to nie.

Brzdąc wzrusza niewinnie ramionami.

– Nie... nie o niego mi chodziło.

Przytakuję skinieniem.

– Więc o co?

– Ja i Will mamy urodziny tego samego dnia – wspomina, przez co z marszu gdzieś we mnie zaczyna budzić się stres. Wzmianka o Willardzie nie może wróżyć niczego dobrego, a przynajmniej nie może nie pozostawić mnie w ogólnym rozrachunku z silniejszym bólem serca.

– Tak, wiem o tym – odpieram nieco ciszej i odwracam wzrok.

– Dwudziestego drugiego listopada. Myślisz, że wróci do nas do tego czasu? Chciałbym jak co roku świętować je razem z nim.

Ja natomiast chciałabym zaoferować Rhodesowi dobre wieści. Oznajmić mu, że jego wujek po trzech niemiłosiernie dłużących się tygodniach nareszcie do nas wraca. Jednak... nie mogę tego zrobić, ponieważ wciąż nie wiem absolutnie niczego. To tak bardzo przygnębiające.

Korzystając z faktu, że wychodzimy na zewnątrz, zbieram myśli.

– Sądzę, że Will bardzo postara się wrócić do nas na wasze urodziny. – Zmiotam sprzed nosa rozwiane wiatrem włosy. – Co zazwyczaj wtedy robicie? Możesz mi o tym powiedzieć.

Rhodes uśmiecha się. Zauważam to, kiedy wlepiam spojrzenie w jego buzię.

– Jeździmy metrem.

– Metrem? – dziwię się.

Spodziewałabym się wszystkiego, ale nie przejażdżki metrem.

– Jest wtedy ślicznie ozdobione, a ja bardzo lubię świąteczne ozdoby, więc jeździmy nim przez cały dzień – wyjaśnia chłopiec i chwytą w powietrzu moją dłoń.

Odważam się uścisk, kompletnie ignorując mijanych przez nas ludzi i koncentrując się wyłącznie na swoim małym podopiecznym.

– Will nie ma nic przeciwko?

– Ma. Ale nie mówi tego głośno.

– No tak. – Błady uśmiech wstępuje na moją twarz. – W takim razie w tym roku przejadę się przystrojonym w świąteczne ozdoby metrem razem z moimi chłopakami.

Skrycie liczę, że naprawdę do tego dojdzie. Że za miesiąc Will będzie już z nami, że wtedy rozłożymy się we trójkę na siedzeniach nowojorskiego metra i będziemy podziwiać bombki, łańcuchy świetlne i nie mam pojęcia co jeszcze, przywieszane do siedzeń i poręczy. Widok tego wszystkiego musi wprowadzać pasażerów w magicznie świąteczny nastrój.

Sama również chciałabym go poczuć, bo od dawna nie obchodziłam świąt. Ostatni raz robiłam to z mamą, natomiast podczas pobytu w sierocińcu zawsze wykręcałam się od nich chorobą, bo nie czułam, że ktokolwiek stamtąd był mi na tyle bliski, żeby się z nim spoufalać. Teraz mam Willa i Rhodesa. Właśnie z nimi mogłabym... właśnie z nimi mogłabym po raz pierwszy od lat spędzić ten czas, choćbyśmy nie mieli w mieszkaniu choinki albo nie fundowali sobie prezentów. Obeszlibyśmy się bez tego. Tak czy inaczej byłoby raczej miło i przyjemnie.

Z transu wyrywa mnie radosny podskok chłopca.

– Rezerwuję miejsce między wami!

Entuzjazm w jego głosie brzmi rozkosznie.

– Aż tak lubisz uwagę naszej dwójki? – pytam wesoło.

– Po prostu muszę was jakoś od siebie odkleić.

Przewracam oczami z rozbawieniem.

– Oj, Rhodes...

– No co? – docieka głupekowato, jakby nie miał nic na sumieniu.

– Musimy przekonać Willa do obejrzenia kultowego *Grincha* – wypalam to, co mi ślina na język przynosi, i szeroko wyszczerzona wystawiam zaciśniętą w pięść dłoń w stronę chłopca, by zbić z nim szybkiego żółwika. – Sztama?

Brzdąc prędko unosi rączkę.

– Sztama.

– A teraz w drogę – zarządzam miękko i spoglądam na zegarek oplatający nadgarstek, żeby skontrolować czas.

Rhodes powinien zjawić się w szkole za godzinę. Natomiast ja za dwie muszę trafić do Central Parku na rozmowę o pracę. Czując, że chociaż ten jeden raz mam wiele rzeczy pod kontrolą, wracam spojrzeniem do nieciekawej okolicy oraz wypuszczam pełen ulgi wydech.

Taki sam wydobywa się ze mnie po tym, jak kończę dyskutować z Mirandą, znajomą Leah i jednocześnie moją nową szefową. Dostałam tę robotę, z czego niezmiernie się cieszę. Teraz nie mogę nawalić ani zaliczyć żadnej wtopy. Muszę trzymać się tej pracy, choćby nie wiem co. Z takim podejściem ponownie tego dnia przemierzam niesławny Bronx.

Wchodząc do bloku, czuję nerwowy skurcz w żołądku. Nie podejrzewam, dlaczego tak jest, ale zaraz zrzucam winę na niepewność związaną z tym, czy zastanę w mieszkaniu prąd. Miał wrócić dzisiaj albo jutro. Oby oddali nam go jak najprędzej. Mam taką nadzieję, kiedy wspinam się po schodach w zapyziałym budynku i znów nie mijam po drodze absolutnie nikogo.

Wtem zatrzymuję się na którymś półpiętrze, bo dostrzegam postać stojącą przed drzwiami mojego mieszkania. W pierwszej chwili odczuwam niepokój. Jest zakapturzona i odwrócona tyłem do mnie. W drugiej zaś... w drugiej zaś serce omal nie wyrywa się z mojej piersi, kiedy tajemniczy gość przywołany świstem mojego oddechu odwraca się w moim kierunku.

Czas staje w miejscu. Bodźce docierają do mnie jakby w zwolnionym tempie. Oczy zachodzą mi plamą od dłuższego niemrugania, a dłoń zaciskam na brudnej barierce z obawy, że za chwilę osunę się na schody. Nie mogę w to uwierzyć. Czy to dzieje się naprawdę?

– Will? – wyduszam drżącym głosem, nie spuszczać niewyraźnego wzroku z tak bardzo znajomej twarzy pokrytej bliznami. Z twarzy chłopaka, który chyba stoi naprzeciwko i bacznie się we mnie wpatruje, o ile umysł kolejny raz nie płata mi figli.

Natychmiast wyczuwam w sobie potrzebę przekonania się, czy on tu jest, czy to tylko moje następne brutalnie prawdziwe urojenie. Puszczam barierkę i wbiegam jak najprędzej na schody. Chcę pokonać dwa stopnie na raz, ale wtedy potykam się i upadam. Potargane włosy zachodzą mi na twarz. Podpieram się wyciągniętymi w ostatnim momencie rękami. Ale nie dbam o to, że prawie wybiłam sobie wszystkie zęby. Jedynie podrywam głowę i patrzę na chłopaka.

Wtedy słyszę ten sam kpiący ton który sprawia, że zaczynam się trząść:

– Ale z ciebie, kurwa, łamaga.

Nie mam wątpliwości. Ani jednej. Choćby najmniejszej. Stoi tutaj. Mój Will stoi naprzeciwko. Dostałam go z powrotem. Wrócił do mnie, tak jak obiecał, że pewnego dnia to uczyni. A ja nie wiem, co mam ze sobą zrobić, nawet jeśli noc w noc tak bardzo mi go brakowało, że bez przerwy snułam wizje o tym, jak będzie wyglądało nasze kolejne spotkanie.

Dygoczę z emocji. Podnoszę się nieco wolniej z wilgotnego gruntu i na wiotkich nogach ponownie zaczynam wchodzić na górę. Gdzieś w połowie drogi do Willa nie umiem zapanować nad chęcią, żeby już teraz, nagle poczuć, że mam go w końcu po tygodniach naszej rozłąki.

Rzucam się do biegu i wpadam na niego z impetem.

– Boże, Will... – wykrztuszam żałością w jego pierś i zaciskam kurczowo palce na materiale czarnej bluzy, którą ma na sobie.

Chłopak jedynie zatrząskuje mnie pomiędzy silnymi ramionami. Najmocniej jak tylko potrafi. Czuję to dobrze, bo aż odcina mi dopływ powietrza. Cudem nabieram go ustami pomiędzy wybuchem płaczu a nieskładną próbą wypowiedzenia czegokolwiek. Przecież jest tak wiele rzeczy, które chciałabym, żeby wiedział, a jeśli o nich wie, to żeby je sobie przypomniał.

Na przykład to, że nic się nie zmieniło i wciąż, choćby nie wiem co, chcę go z powrotem.

– Hej, cicho – szepcze zadziwiająco miękko i po tym, jak obejmuje wielką dłonią tył mojej głowy, głaszcze go czule palcami, wplątując je raz po raz w pasma moich włosów. – No już, cicho, Gold... Ja też za tobą potwornie tęskniłem.

To nadal uderza we mnie paskudnie mocno. Świadomość, że wrócił. Will otacza mnie całym potężnym ciałem, a ja kulę się jak dziecko i chowam ufnie w jego mocnym, zaborczym uścisku. W tej chwili nie liczy się dla mnie już nic więcej. Wyłącznie on. Zapach jego ciała, choćby zmieszany z tym paskudnym smrodem unoszącym się po całej klatce schodowej. Dotyk jego dłoni nieprzestającej bawić się delikatnie moimi włosami, a nawet tempo jego oddechu.

Mam ochotę zapłakać na jego bliskość i dokładnie to robię.

– Nie mogłem przestać za tobą tęsknić – słyszę jego wyznanie i zalewając się łzami, opieram bezradnie czoło o jego rozbudowaną pierś. – Ani jednej nocy nie spędziłem inaczej niż na myśleniu o tobie i o młodym. Na zastanawianiu się, jak sobie beze mnie radzicie.

Trzymam w zaciśniętych pięściach materiał jego bluzy, nadal trzęsąc się i trzęsąc. Will natomiast ciągle przytrzymuje mnie przy sobie, niczym najcenniejszy skarb.

– Wiesz... tak naprawdę wracałem do was ciągle, nawet jeśli ani razu nie stanąłem przed waszymi drzwiami – wzdycha, a następnie ściąga ze mnie szorstkie ręce, żeby ułożyć je na moich zażawionych policzkach i z ich pomocą podnieść moją głowę.

Odczuwam niewyobrażalny ból na widok jego oczu z tak bliskiej odległości. Niezmiennie są cudownie brązowe. Niezmiennie są wypełnione troską i uwagą. Moje natomiast zasnuje wilgocią, kiedy zbliżam się bardziej do Willa i trącam go nosem w brodę.

– Czulaś, że to robiłeś... – odpowiadam ledwie słyszalnie.

Mój kłamca składa przeciągłe muśnięcie ust na moim czole.

– Robiłem to, bo nic się nie zmieniło. – Na powrót ucieka spojrzeniem do mojej napuchniętej twarzy i obserwując ją, kręci pomału głową. – Jesteście moim wszystkim.

– Czułam i wciąż czuję, że jesteśmy twoim wszystkim – dodaję cichutko.
– A to, że powtarzałem do upadłego, że o mnie nie zapomnisz, również czułaś?
Przełykam łzy i uśmiecham się szeroko mimo tego, że płaczę.

– Nie musiałeś tego powtarzać – wykrztuszam to z siebie niemalże bezgłośnie i tym razem to ja potrząsam głową. – Przecież za żadne skarby bym nie zapomniała. Nie o tobie.

Will przesuwam kciukami po moich policzkach. Kącki jego ust również słabo się unoszą.

– Tak czy inaczej się tego bałem. Zabawne, prawda? – Nabiera powietrza. – Istnieje tyle lęków, a ja cierpię tylko na jeden... Znalezienie się w rzeczywistości, w której oznajmiasz mi, że już mnie nie potrzebujesz, i odchodzisz po kryjomu dokądkolwiek.

Nie trzymam w sobie marnego protestu:

– To się nie zdarzy.

Oczy chłopaka gonią uparcie za moimi.

– Błagam cię, Goldie. – Will przełyka. – Niech nigdy przenigdy się nie zdarzy.

Desperacja pobrzmiewająca w jego głosie sprawia, że coś pomału kruszy się gdzieś głęboko we mnie. Dlaczego on w ogóle zakłada, że byłabym w stanie przestać go potrzebować? Jeśli jestem czegoś pewna, to tego, że nie umiem już normalnie funkcjonować, gdy nie ma go przy mnie. Ostatni czas utwierdził mnie w tym najlepiej. On płynął, a ja... a ja wariowałam.

Nakrywam dłońmi jego, ułożone na moich policzkach.

– Czy ty masz pojęcie, jak bardzo odchodziłam od zmysłów, gdy straciłam cię na te trzy tygodnie? – pytam załamana, niemalże dławiąc się oddechem. – Rany, masz w ogóle pojęcie, jak okropnie mocno mi na tobie zależało przez ten cały czas, mimo że nie było cię obok mnie?

Willard marszczy delikatnie brwi.

– Powiedziałaś: zależało? – wyszeptuje niepewnie.

Wtulam się w jego dłoń i parskam śmiechem mimo łez.

– Wciąż zależy, mój kłamco. Tak strasznie mi na tobie zależy, że nie wiem, jak dałam radę znieść najkrótszy moment bez ciebie.

Te słowa coś w nim budzą. Jego brązowe oczy nieznacznie ciemnieją.

– Ja pierdolę, chodź tutaj – prosi może i nawet błagalnie, opuszczając gwałtownie ręce. – Chodź do mnie. Błagam cię, zbliż się najbardziej. Potrzebuję tego jak powietrza, przyrzekam.

– Czego? – dociekam ciszej.

– Ciebie. – Niespodziewanie kładzie wielkie ręce na moim tyłku. Ścisza go mocno, podnosi mnie bez żadnego trudu, po czym popycha z siłą wprost na drzwi mieszkania i zaczyna dyszeć mi wprost w rozchylone usta. – Moją. Pod sobą. Nie mogącą oddychać.

Ból przetacza się przez moje plecy, lecz nie dbam o to.

– Ktoś nas...

– Zobaczysz? – Wyłapuje moje spojrzenie i styka nasze czoła, prawie nakrywając moje usta swoimi. – Ochrzani? Okrzyczy? Proszę, zajebicie, bardzo.

Świat wiruje na najwyższych obrotach. Ledwo cokolwiek rejestruję, bo Will dociska mnie roslym i ciężkim ciałem do drzwi. Teraz nie sposób byłoby odnaleźć pomiędzy nami chociażby cal niechcianego dystansu: mój biust stapia się z jego torsem przez ubrania, moje wargi ocierają się o wargi chłopaka, wdychamy wypuszczone przez siebie powietrze.

Napięcie gromadzi się w dole mojego brzucha.

– Scałuj je – mówię, oplatając go szczelniej nogami w pasie.

Will w odpowiedzi napiera na mnie mocniej, czuję go całą sobą. Jak przygniata mnie swoją wielką posturą, jak nade mną dominuje, jak raz jeszcze ścisza niedelikatnie w dłoniach moje pośladki, wyrwijając sobie z mojej falującej piersi krótkie westchnienie.

Zaraz zbliża śmiało usta do mojego wilgotnego policzka. Przywiera do niego wargami. Przejeżdża nimi po mojej skórze, a ja obejmuję jedną ręką jego kark i przyciągam go do siebie jeszcze bliżej, pragnąc utwierdzić się w przekonaniu, że naprawdę go odzyskałam.

– Co mam scałować? – pyta głupio, choć już wypełnił moją prośbę.

– Moje łzy. Wszystkie po kolei.

Chłopak posyła mi mroczny uśmiešek.

– Poważnie sądzisz, że powstrzymam się przed scałowaniem ich na raz?

– No tak – przypominam sobie i również się uśmiecham, wierzchem drugiej dłoni przebiegając w delikatny sposób po pociągłych bliznach zdobiących jego twarz. – Ty nie umiesz ani nie chcesz powstrzymać się przed niczym.

– Szczególnie gdy w grę wchodzi ty.

Mówi to i scałowuje znowu kilka moich łez.

– Ja? Co ja niby mam w sobie takiego wyjątkowego, że tak bardzo mnie chcesz? – zastanawiam się i wypuszczam cichy chichot, bo usta Willa niesamowicie mnie łaskoczą.

Ich właściciel powoli się odsuwa, ale robi to tylko po to, żeby zająrzeć mi cholernie głęboko w oczy. Coś dziwnego krąży w powietrzu, gdy początkowo wpatrujemy się w siebie bez żadnych słów. Coś, co przyprawia mnie o wrażenie, jakby gorąco trawiło każdy skrawek mojego ciała. Will też to czuje. Dociska mnie do drzwi i przejeżdża dłońmi po dole moich ud, naznaczając je ciepłem swojego chciwego i prymitywnego dotyku.

– Nie wiem – przyznaje, ocierając się ustami o moje.

Pozwalam mu na to. Tak bardzo chcę, by mnie pocałował.

– Nadal nie wiem, dlaczego trzymam cię przy sobie i mam to głupie wrażenie, że nie mogę pod żadnym pozorem pozwolić ci się wymyknąć. Jakbyś co najmniej... miała w sobie coś, czego nie odnajdę już nigdy w nikim innym, choćbym szukał wieczność.

Szczerzę się szeroko i wbijam lekko paznokcie w jego kark.

– Jestem niepowtarzalna?

– Jesteś jedyna – mówi to bez zawahania i gryzie zaczepnie moją dolną wargę, pozostawiając na niej znajome pulsowanie. Potem ponownie opiera swoje czoło o moje i przymykając powieki, wydobywa z siebie szept: – Jesteś jedyną, której podświadomie chciałem.

Moje serce pędzi w szaleńczym galopie. Mam ochotę krzyknąć ze szczęścia, jednak zamiast tego także zamykam oczy i pozwalam sobie na chwilę wyciszenia. Trwamy z Willem tak przez kilkanaście sekund, dopóki chłopak nie sięga jedną dłonią do kieszeni mojego płaszcza. Wyciąga z niej klucze do mieszkania. Wsuwa właściwy w zamek drzwi, lecz zanim zdąży je otworzyć, zniecierpliwiona i stęskniona przyciągam go za kark oraz całuję te jego przekłete usta.

Myślę wtedy, że Will na krótki moment zrezygnuje z otwarcia kawalerki, jednak on, nie przestając gonić zawzięcie za moimi wargami, sięga na oślep za klamkę. Zaczyna wchodzić ze mną na rękach do środka. Uśmiecham się. Chłopak natomiast poprawia mnie na sobie, zamyka kopniakiem drzwi i pokazuje mi, jak wygląda najbardziej brudny pocałunek, jakiego mogłabym doświadczyć. Jego język wdzierają się do moich ust i zahacza zaczepnie o mój. Otumaniona doznaniem wzdycham i ani mi się śni odsuwać. Raz, że Will nie dałby mi na to szansy, i dwa, że szorstki oraz zaborczy sposób, w jaki się ze mną obchodzi, przyprawia mnie o ciarki.

Zziębnięta opieram dłonie na jego napiętych ramionach.

– Przewróć się... – udaje mi się wymruczeć.

Brunet uśmiecha się kącikiem ust i zrzuca mnie na kanapę. Odbijam się od niej plecami i wpadam wprost na niego, gdy przypiera mnie sobą do niewygodnego obicia i odpiera kpiąco:

– Jeszcze nie miękną mi nogi na twój widok, Harding.

– Jeszcze – wydycham podniecona. – To kwestia czasu.

Czarne pasma włosów opadają mu na czoło, więc odgarniam je niedbałym machnięciem drżących palców. Następnie skupiam się na pociemniałych tęczówkach szukających czegoś na mojej rozbawionej twarzy. To niewiarygodne, jak szybko przez tego chłopaka przechodzę ze skrajności w skrajność. Przecież jeszcze przed chwilą dławiałam się łzami, a teraz policzki boją mnie od przeraźliwie szerokiego uśmiechu. Litości, ma mnie.

Willard Covington zagarnął mnie dla siebie w każdym znaczeniu tego słowa.

– Czy ty masz jakiś niecny plan wobec mnie? – pyta z uniesioną brwią.

– Może?

Nachyla się nad moim dekoltem i składa na nim muśnięcie.

– Porozmawiajmy o nim. – Cały czas patrzy mi prosto w oczy.

– Chcesz ze mną rozmawiać, trzymając usta na moim ciele? – Wybucham śmiechem i czując stado

motyli fruujące w moim podbrzuszu, gdy Will zaciska ręce na mojej talii, sunąc nimi zmysłowo wzdłuż całej jej długości oraz wprawiając mnie w najprawdziwszy obłąd.

– Tak lubię rozmawiać z tobą najbardziej, kłamczucho – przyznaje i mruga do mnie.

Później kradnie mi przelotnego buziaka. Nawet on jest jednak mocny i agresywny.

– Kretyn... – parskam rozbawiona. – Auć!

Miejsce na szyi, w które ugryzł mnie Will, mocno pulsuje.

– Masz coś jeszcze do dodania? – pyta zwycięsko.

– Być może.

Mój duppek jedynie całuje mnie ponownie.

– Zamieniam się w słuch.

Chowam w dłoniach jego ozdobioną paskudnymi bliznami twarz i czuję rozlewające się w klatce piersiowej ciepło... może i nawet kolejne łyzy, tym razem wzruszenia, gromadzące się pod powiekami. Rany, tak straszliwie mi go brakowało. To nie jest możliwe do ubrania w słowa, ten rodzaj tęsknoty, który gnieździł się we mnie przez trzy ostatnie, najgorsze tygodnie.

Teraz, po tym czasie, jestem do czegoś przekonana i mówię o tym na głos, posługując się dyskretnym szeptem:

– Wyglądasz jak ktoś, z kim teraz zamierzam ułożyć sobie przyszłość.

Willard nie odrywa uważnego spojrzenia od moich ust, a potem oczu.

– Nawet jeśli ona miałyby nie okazać się kolorowa? – pyta ostrożnie.

Kiwam głową w geście zgody. Robię to pewnie. Bardzo pewnie.

– Nawet jeśli miałyby nie okazać się właśnie taka.

Podrywam się lekko i wracam do czegoś, co tak niewyobrażalnie uwielbiam. Trzymając nadal w dłoniach twarz chłopaka, naznaczam śladem muśnięć każdą jedną pokrywającą ją, nieestetyczną szramę. Robię to w pośpiechu, jakbym za moment ponownie miała go stracić. Willard czeka cierpliwie, aż skończę czule traktować jego blizny. Nie odzywa się, nawet kiedy opadam plecami na obicie kanapy i patrzę na niego z dołu zasnutymi łzami szczęścia oczami.

Aż w końcu chłopak nabiera potężny wdech nosem i nachyla się nad moimi wargami.

– Kurwa, Gold. – Całuje je krótko, lecz wygłodniałe. – Nigdy mi tego nie odbieraj...

Przebiegam troskliwie palcami po jego policzkach, wpatrzona w niego jak w obrazek.

– Czego?

– Nadziei, że to się ziści, kiedy tak cholernie tego teraz pragnę.

Jego głos lekko drży, jakby naprawdę obawiał się, że to zrobię.

– Nie odbiorę ci jej – zaprzeczam. – Zamiast tego po prostu ci coś dam.

– Co mi dasz?

Zsuwam dłonie po jego skórze, by sięgnąć po tę jego.

– Siebie – odpieram prawie bezgłośnie i przykładam rękę Willa do swojej piersi, w okolice spokojnie bijącego serca. Jednocześnie składam mu obietnicę, której jestem pewna, że dotrzymam, choćby nie wiem co: – Dokąd będę istnieć. Do mojego ostatniego dnia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

MARIGOLD

Nie pamiętam, kiedy zasnęłam. W pewnym momencie po prostu odpłynęłam, uwięziona w uścisku leżącego za mną Willa. Teraz, słysząc odgłosy przechodzącej nad miastem burzy, pomału się wybudzam, a on wciąż trzyma mnie przy sobie, z ręką przełożoną przez mój brzuch. Pomrukuje na przyjemne uczucie bycia osaczoną i odwracam głowę. Widzę, że chłopak mi się przygląda, dlatego delikatnie się do niego uśmiecham. Will za to z nadal poważną miną zabiera dłoń i powolnym ruchem odgarnia mi z policzka pasma włosów.

Jestem przekonana, że nie zostawił mnie samej choćby na chwilę i czuję się naprawdę dobrze z tą myślą.

– Nie miałaś nic lepszego do robienia, zamiast przytulania mnie do siebie, gdy spałam? – pytam szeptem, natomiast on jak urzeczony skupia się na widoku moich ust.

– Podejrzewasz, że cokolwiek mogło wydać mi się lepsze?

– Nie zgrywaj romantyka.

Wzdycha krótko.

– Wybacz. Następnym razem powiem, że nie mogłem ściągnąć z siebie twojego wielkiego tyłka, więc zostałem przy tobie dłużej, niż rzeczywiście chciałem.

Przewracam oczami z rozbawieniem, po czym zmieniam pozycję. Leżąc przodem do Willa, sięgam po sznurek jego bluzy i nawijam go na palec. Zamyślona bawię się nim, milcząc. On także milczy, ale ta cisza pomiędzy nami wydaje się tylko błoga i uspokajająca.

– Nie chcę, żebyś mnie więcej opuszczał – przyznaję w końcu półgłosem.

– Ja też nie chcę cię więcej opuszczać, Gold.

Kładzie dłoń na moim biodrze i przyciąga mnie do siebie. Jestem tak blisko niego, że mogę wtulić twarz w jego szyję. Will w odpowiedzi opiera brodę w moich włosach i zaciąga się ich zapachem. Długo zastanawiam się, czy poruszać pewien temat. Chciałabym jednak o czymś wiedzieć, bo niepewność gryzie mnie w środku.

– Mogę zadać ci pytanie?

– Śmiało – rzuca bez zawahania.

– W areszcie... Było ci bardzo ciężko?

Z początku zostawia mnie bez reakcji. Mam wtedy w głowie najgorsze scenariusze. Wyobrażam sobie, że był upokarzany i poniżany, że jego pobyt w zamknięciu przypominał tortury. Moje domysły nie okazują się jednak trafne.

– Tam albo jest ciężko tobie, albo to ty sprawiasz, że innym tak jest – odpiera obojętnie, a ja po przetrwaniu jego słów uświadamiam sobie, że to on był tym, który stwarzał zagrożenie.

Odsuwam twarz od jego szyi, by móc zajrzeć mu w oczy. Wydaje się niewzruszony, gdy o tym mówi. Zupełnie, jakby nic się nie stało, jakby nie spędził wielu dni odizolowany od świata. Jakby zaprogramowany, by przetrwać, nie wyrządzał innym krzywdy. Wiem, że był zdolny to robić. Mój Will jest brutalnym agresorem.

Bywa nim nawet wobec siebie i mnie.

– Nie chcę wiedzieć, prawda? – Puszczam jego bluzę. – Nie chcę wiedzieć, ile złego zrobiłeś w ostatnim czasie, byleby przetrwać tygodnie spędzone w celi.

Chłopak kręci głową.

– Nie chcesz.

– W porządku – przytakuję, skoncentrowana wyłącznie na brązowych tęczęwkach wpatrzonych wprost w moje. – Ale nieistotne, co byś mi powiedział, zniosłabym każdą prawdę, skoro twoje wybory doprowadziły do tego, że znalazłeś się tutaj znowu, cały i zdrowy.

– To paskudne podejście.

Muszę przyznać mu rację. Być może jednak mieszkając na brudnym Bronksie, blisko okropnego Willarda, ja sama stałam się kimś złym: zwykłą egoistką. Nie zdziwiłabym się, jeśli z czasem po prostu przesiąkłabym do cna tym, co paskudne.

– Nie obchodzi mnie, jakie ono jest. – Dosięgam palcami jego pokrytej zarostem szczęki i przesuwam po niej opuszkami. – Jesteś dla mnie najważniejszy.

Chociaż ostatnie zdanie wydobywam z siebie cholernie cicho, Will je słyszy. Nagle zawisa nade mną, opierając przedramię obok mojej głowy, by się podeprzeć. Jego spojrzenie zjeżdża na moje usta, lecz zaraz wraca do oczu.

– Patrzyć na mnie, jakbyś oczekiwała czegoś w zamian. Oczekujesz ode mnie czegoś w zamian, Marigold?

Mrugam parokrotnie.

– Nie – kłamię, bo jednak chcę usłyszeć od niego coś podobnego.

Cień uśmiechu przemyka przez groźną, pokrytą bliznami twarz.

– Wiem, że tak, kłamczucho. – Przysuwa wargi do moich, nieznacznie rozchylonych, i wpuszcza pomiędzy nie zmysłowo brzmiący szept: – Ale nie martw się, bo tylko się z tobą droczę. Tak się składa, że ty też jesteś dla mnie najważniejsza... razem z Rhodesem jesteście dla mnie najważniejsi.

Leżąc pod nim, uderzam go pięścią w pierś.

– Nie cierpię cię.

Nie mam pojęcia, jak doszło do tego, że tak przeraźliwie mocno potrzebuję zapewnienia, że ja również coś dla niego znaczę. Przed sekundą dał mi do zrozumienia w żartach, że tak nie jest, a moje plecy oblał zimny pot. *Co my sobie zrobiliśmy?*

Od myślenia o tym odciąga mnie szybki pocałunek w usta.

– Też za tobą nie przepadam – pomrukuje przy nim Will.

Oddaję pieśczoć, chociaż nie kryję urazy. Na dowód wplatom dłoń w jego włosy i ciągnę za nie, ilekroć jego język zderza się z moim. Chłopak w międzyczasie siada na mnie okrakiem i przypiera mocniej do kanapy. W mieszkaniu rozlega się tylko odgłos naszych odnajdujących się ust, szelestu ubrań i nieprzemijającej burzy.

Marzyłam o tym. Noc w noc.

Toczymy bitwę. Żadne z nas nie chce odpuścić, ale jestem przekonana, że na końcu zrobię to ja. Willard gryzie moje usta. Mam wrażenie, że już puchną. Ciągle zatapiam dłoń w jego włosach, natomiast on obejmuje swoimi moją talię. Zajęci walką, nieświadomie coraz bardziej przesuwamy się na skraj kanapy i po przetoczeniu lądujemy na podłodze.

Wybucham śmiechem, odsuwając się od niego.

Jestem zdyszana i zapewne strasznie potargana, ale równocześnie szczęśliwa jak dawno nie byłam. Siedzę na równie zziąjanym chłopaku i schylam się odrobinę, trzymając ręce na jego torsie. Przez głowę przebiega mi myśl, że Will wygląda z tej perspektywy diabelnie przystojnie. Mogłabym wpatrywać się w niego non stop, bez najkrótszej przerwy... w dodatku mogłabym robić to z uwielbieniem, jeśli nie pamiętałabym, jak przed chwilą się ze mną droczył.

– Mam ochotę użreć cię w cholerny nos – przyznaję szczerze.

Will porusza głupkowato brwiami i poprawia mnie na sobie.

– Obyś źle wycelowała i z tym gryzieniem trafiła w usta.

Prycham na głos.

– Jesteś bezczelny.

Zaczynam ściągać sweter, ponieważ robi mi się gorąco.

– Niezaspokojony tobą – poprawia mnie, ale nie widzę jego twarzy, bo akurat ściągam przez głowę ubranie. Zniecierpliwiony Will nieoczekiwanie przyspiesza ten proces. Szarpie za materiał i rzuca go ze mnie, a następnie odkłada niedbale gdzieś na bok.

Chwyta mnie gwałtownie za kark i atakuje moje usta. Całuje je wedle swoich własnych pokręconych upodobań. Nie ma dla nich litości, a ja pozwalam mu na wszystko, bo cokolwiek robi, wywołuje to we mnie przyjemnie intensywne dreszcze.

Dopiero gdy mi odpuszcza, szczerzę się i dorzucam:

– W dodatku porywczy. Niesamowicie porywczy.

Podnoszę się do siadu. Will zawiesza wtedy spojrzenie na moim czarnym staniku ozdobionym koronką. Im dłużej patrzy na mnie, półnagą i siedzącą na nim, tym bardziej coś zmienia się w jego do tej pory pożądanym spojrzeniu. Zaczynam się skrycie denerwować, zwłaszcza że zsuwa ręce z moich ud i odwraca wzrok w bok.

Coś źle zrobiłam? Nie wyglądam dobrze?

– Will? – przywołuję go niepewnie.

– Mhm.

To głupie. Nie mogę go o to pytać.

– Wiem, kto cię wsypał – zmieniam temat, ale on w dalszym ciągu nie spogląda w moim kierunku. Natychmiast eksploduje we mnie smutek na myśl, że nie potrafi na mnie patrzeć, kiedy praktycznie nie mam na sobie ubrań.

Aż tak zmieniłam się przez te tygodnie?

– Findlay – wtrąca. – Słyszałem zarzuty, które mi postawiono. Między innymi znalazło się tam pobicie, a przecież to on był jebaną ofiarą. Umieć dodać dwa do dwóch.

– To był on – potwierdzam i nie chcąc go dłużej zniesmaczać tym, jak wyglądam, wstaję z niego czym prędzej, by poszukać przypadkowej koszulki. – Co teraz, no wiesz, z tobą?

Próbuję udawać, że wszystko gra, choć jest mi przykro. Na szczęście od razu odnajduję leżący na oparciu krzesła biały podkoszulek. Narzucam go na siebie i ze ściśniętym gardłem odwracam się do Willa, który zdążył podnieść się z podłogi.

Tym razem... patrzy na mnie.

– Nic – mówi, podchodzi do stołu i zabiera z niego butelkę z wodą. Upija spory łyk. – Jake i Ross dali radę mnie wyciągnąć, ale nie obejdzie się bez procesu. Mogę czekać na niego, przebywając na wolności, ale gliny na pewno będą miały mnie na oku.

Krzyżuję ramiona pod biustem, chcąc bardziej się zakryć.

– Więc nie wrócisz na razie do sprzedawania tego gówna.

– Na razie. Wciąż mam przecież do odpracowania siedem tygodni.

Chciałabym do niego podejść i go przytulić, ale nie wiem, czy się na to zdobędę. Boję się, że nie będzie chciał mnie dotykać po tym, co przed momentem zobaczył. Stojąc w miejscu, w bezpiecznej odległości od Willa, spuszczam wzrok na panele i wzdycham.

– Wolałabym, żebyś nie opychał dłużej dragów. Utrata ciebie naprawdę mnie bolała, a kolejna na pewno zaboląaby tylko bardziej.

– Nie stracisz mnie – zapewnia łagodnie. – Na razie się tym nie zajmuj.

Będę. Jestem pewna, że będę przejmować się tym, że ma dług do spłacenia oraz tym, że z jakiegoś powodu odczuwa opór przed patrzeniem na moje ciało. Obie te rzeczy sprawiają, że pragnę skulić się w sobie i zasnąć, by o tym nie pamiętać.

– A jak wy sobie radziliście?

Słyszacząc pytanie, od razu odzyskuję fason.

– Było trochę krucho z kasą, odkąd Findlayowie wyrzucili mnie z pracy. – Unoszę nieśmiało wzrok i jakoś wytrzymuję nieczytelne spojrzenie Willa. – Ale oprócz tego nie najgorzej. Zadbaliśmy o Rhodessa najlepiej, jak umiałam.

– Wyrzucili cię z pracy?

W jego tonie da się wychwycić troskę.

– Po tym, co się stało na uczelni, Alex postanowił się na mnie zemścić – tłumaczę, gryząc wnętrze policzka.

Mina Willa znacząco tężeje.

– Żeby ja nie postanowił zemścić się na nim – wypluwa zły i z marszu przystępuje do przesłuchania. – Jakoś jeszcze próbował sobie z tobą pogrywać? Marigold, próbował tego? A może coś ci zrobił? – Robi do mnie krok. – Czy ten skurwiol coś ci zrobił?

Opuszczam ręce.

– Nic oprócz tego, że wywalili mnie przez niego z pracy, spokojnie – kłamię ponownie i szukam tematu, by skierować naszą rozmowę na inne tory.

Nie chcę, żeby Will przypadkiem wypadł z mieszkania i poszukał Alexa za plotki, które

rozpowiedział na mój temat: że jestem szmatą i że obracało mnie dwóch chłopaków naraz. Miałby problemy, a przecież nie potrzebuje ani jednego więcej, zwłaszcza z policją na ogonie.

Zerkam na swoją koszulkę ze spranym nadrukiem i krzywię się.

– Ugh, Farfoceł zostawia wszędzie sierść.

Dla niepoznaki strzepuję z niej jakieś brudy, choć one nie są wcale winą biednego kociaka, który zaszył się nie wiadomo gdzie. Stojący nieopodal Will unosi za to pytająco brew, co widzę łypiąc na niego ukradkiem.

– Dobrze się czujesz? – zastanawia się.

– No, tak. Czemu pytasz?

– Co to niby Farfoceł?

– Nasz kot – obwieszczam.

– Co, kurwa?

– Nasz kot – powtarzam. – Znaleźliśmy go niedawno z Rhodesem na śmietniku. Powinien płatać się gdzieś po mieszkaniu. Ach, a ja powinnam go nakarmić... zaczekaj.

Przemykam do kuchni, bo faktycznie zapomniałam o wsypaniu do małej miseczki karmy dla kota. Naprawiam swój błąd. Willard, który poszedł za mną, przygląda mi się, kiedy to robię. Nie odzywa się. Chyba w jego mózgu zachodzą właśnie procesy myślowe. To całkiem zabawne. Mimowolnie zapominam o tym, co stało się wcześniej, i parskam śmiechem.

– Czy wy przygarnęliście pod moją nieobecność sierściucha? – upewnia się.

Kładę na podłodze miseczkę i wzruszam z rozbawieniem ramionami.

– Musieliśmy cię kimś zastąpić, okej? – droczę się z nim.

– Ty mała, wredna prowokatoroko.

Piszczę, bo zostaję podniesiona i usadzona na kuchennym blacie.

– Will! – Przytykam dłoń do ust.

– Chciałaś mnie zastąpić kotem?

Chłopak opiera ręce na krawędziach blatu, lecz jednocześnie zachowuje pomiędzy nami pewien dystans. To niezmiennie mnie zastanawia i smuci, jednak spycham swoje domysły na dalszy plan i próbuję się zrelaksować. Nie przychodzi mi to łatwo, ale daję radę.

– Postaw się w mojej sytuacji... nie miałam się do kogo przytulić w nocy.

On unosi kącik ust, odwraca wzrok, a po sekundzie znowu wierci mi nim dziurę w twarzy.

– Teraz przekaż mu, że może zejść z warty, bo w nocy masz się już do kogo przytulić.

– A jeśli lepiej mi z nim niż z tobą?

– To się go pozbędę.

Prostuję się i raczę go pacnięciem w ramię.

– Jesteś nie tylko bezczelny, ale też okropny – obruszam się i koduję w głowie, że muszę jednak mieć na oku Willa i niewinnego Farfocla.

Najlepiej jeśli nie będą na siebie wpadać i to wcale nie dlatego, że podobno moim łóżkowym partnerem stał się kot... Po prostu lepiej, żeby nie był w pobliżu, gdyby Covington wpadł we wściekłość. Mógłby czymś niefortunnie oberwać. To zawsze jakieś ryzyko.

Brunet odpycha się niespodziewanie od blatu.

– Idę wziąć prysznic. Cuchnę pierdłem.

– To ja zrobię listę zakupów – stwierdzam.

Zeskakuję na podłogę. Później odprowadzam Willa wzrokiem i dopiero mając pewność, że wszedł do łazienki, chwytam rąbek bluzki. Ciągnę materiał do góry, przez co odsłaniam swój brzuch oraz biust. Przez chwilę obserwuję swoje ciało. Tkwię w zawieszeniu i zastanawiam się, czy prezentuję się aż tak... źle? Jednak okazuje się, że ta chwila jest znacznie dłuższa, niż mi się wydawało. Wtem słyszę bowiem trzask drzwi.

Will skończył brać prysznic.

Prędko opuszczam bluzkę i wracam do salonu. Tam widzę go, ubranego jedynie w szare spodnie dresowe. Przeszukuje starą szafę. Mam w niej trochę jego ciuchów, więc znajdźcie coś dla siebie. Zgarnęłam je z mieszkania chłopaka, kiedy podczas jego nieobecności miałam trudniejszy dzień. To, co mnie dziwi, to fakt, że sprawia wrażenie, jakby odłączył się od rzeczywistości. Wszystko robi machinalnie, nie zwraca

uwagi na otaczający go świat.

Powoli męczą mnie kłamstwa, które sobie wciskamy. Im dłużej ze sobą przebywamy, tym bardziej uzmysławiam sobie, że coś jest na rzeczy, że żadne z nas nie chce pokazać się temu drugiemu bez maski po upływie tygodni. Zupełnie jakby... nic nie wróciło do normy.

A świadomość tego tak boleśnie mnie przygnębia.

– Coś się stało? – zagajam, idąc powoli do niego.

Will zerka na mnie.

– Nie, dlaczego?

– Wydajesz się nieswój.

– Minie mi, gdy zobaczę młodego.

Kropłe wody spływają z końców włosów chłopaka, a jego odkryte mięśnie pracują z każdym ruchem, który wykonuje, wertując zawartość szafek. Obdarzam uwagę blizny zdobiące jego ciało. Ucisk w moim dołku daje o sobie znać, ponieważ jest ich więcej niż wcześniej.

Zatrzymuję się obok niego i czuję się strasznie drobna, sięgając mu zaledwie do piersi.

– Dziś czwartek... za kilka godzin miałam odebrać go z kółka artystycznego. Możemy pojechać po niego razem – proponuję, kładąc dłoń na jego szerokim ramieniu.

Co prawda nikt niepożądany nie powinien nadal zobaczyć nas w swoim towarzystwie, ale wycieczka pod szkołę Rhodesa nie wydaje się wielkim ryzykiem – znajduje się ona na zamkniętym terenie i bardzo, bardzo ciężko jest się tam dostać. W dodatku Will wspominał mi kiedyś, że Jake i Ross nie zapuszczają się w te tereny miasta. Mają tam jakieś zatargi z innymi bandziorami, dlatego chociaż w tych okolicach możemy poczuć się niewidzialni.

– Pewnie – zgadza się. – Pojedziemy razem.

Chcę się uśmiechnąć, choćby krzywo, ale to niemożliwe, kiedy mam przed oczami świeże rany. Jedna z nich znajduje się na jego bicepsie. Owiewam ją urywanym oddechem i staram się nie rozkleić, bo jest wstrętne głęboka i pociągła. Sposób, w jaki powstała, na pewno bolał... a on przecież znosił do tej pory wystarczająco dużo bólu.

– Byłeś dzielny, Will – wyduszam z trudem. – Byłeś bardzo dzielny.

Odwraca się przodem do mnie i ujmuje w dłonie moją twarz. Z początku nic nie mówi, jedynie przygląda mi się z bliska. Moim drżącym ustom i zapłakanym oczom. Aż w końcu odgarnia włosy za plecy, by odsłonić moją twarz i pocałować każdy jej cal.

– Ty też, Goldie – szepcze między całusami. – Tak cholernie dzielna...

Ponownie mnie dotyka. Robi to, jakby ktoś ściągnął mu jakąś blokadę, jakby nic go przed tym nie powstrzymywało. Nagle jego ręce znajdują się na mojej talii i przyciągają mnie do twardej klatki piersiowej. Wpadam na Willa z zabójczą siłą, a on dobiera się do mojej szyi. Kąsa ją bez opamiętania, wczepiając zęby w skórę odrobinę zbyt głęboko.

– Wyglądasz zajebiście pięknie... – wydycha, liżąc jej zagłębienie.

Rodzi się we mnie coś dziwnego. Coś na kształt niepokoju.

– Pociągasz mnie jeszcze bardziej, niż to zapamiętałem.

Nie rozumiem. Więc jednak może na mnie patrzeć i mnie dotykać? Otwieram zamknięte w którymś momencie oczy i wlepiam niewyraźne spojrzenie w okno, o którego szybę bębni deszcz. Covington z warknięciem zasysa moją skórę tam, gdzie wcześniej. Trzyma mnie w objęciach stanowczo i zdecydowanie. Niemalże mnie przy tym miażdży.

Nabieram wdech, ledwo wytrzymując jego natarcie. To kurewsko boli, ale wmawiam sobie, że zaraz minie. Will zaraz się mną nasyci i zaoferuje mi pieśszczoty. W końcu tak długo się nie widzieliśmy i ja także najchętniej przywłaszczyłabym go sobie jak najprędzej.

– Powiedz mi, kłamczucho – szepta zdyszany. – Jak ja bez ciebie nie oszalałem?

Wypuszczam cichy jęk. Choćbym chciała nie protestować, nie jestem ze stali. Odchylam głowę, dając mu znak, że starczy, że nie dam rady tak dłużej. Jednak on tkwi w jakimś amoku. Chyba robi mi malinkę, ale sama nie wiem, bo nie czuję miejsca na szyi, które tak sobie upodobał. Szklistymi oczami przetrząsam pokój i staram się jakoś wyrwać.

– Zwolnij troszeczkę, dobrze?

Will zastyga w bezruchu. Puszcza moje ciało, jakby go parzyło. Zwiesza wzrok na swój tors, po

którym spływa nie tylko woda z końców jego włosów, ale także moje łzy. Potem odnajduje spojrzeniem moją zapłakaną twarz ozdobioną mimo wszystko słabym uśmiechem... oraz szyję, która czuję, że niemiłosiernie pulsuje. Jej widok w zupełności wystarczy.

Wystarczy, żeby wpadł w najprawdziwszą panikę.

– Ja... – Nie może złożyć zdania. Wydaje się pogubiony i raczej dopiero dociera do niego świadomość, że przeholował. – Masz jakiś lód? Musisz mieć. On na pewno ci pomoże. Zaczekaj, pójde po niego. Poważnie, minuta i jestem z powrotem...

Wychodzi, zanim zdążę go zatrzymać.

– Will, zaczekaj!

Nic sobie nie robi z moich nawoływań. Wbiega do kuchni i rzuca się w stronę lodówki. Niemalże wrywa z niej szuflady zamrażarki w poszukiwaniu lodu. Ból, który mi sprawił, nie może mierzyć się z tym, który odczuwam, widząc go zdruzgotanego tym, co uczynił, na pewno nieświadomie. Widziałam, w jakim znalazł się transie. Był... a właściwie nie był sobą.

Wyciąga worek z kostkami lodu, który na szczęście nie zdążył się całkiem rozmrozić przez brak prądu, i doskakuje do mnie.

– Nie chciałem – wydobywa z siebie żalostny jęk. – Nie chciałem, Goldie. Próbowałem się na ciebie nie rzucać jak zwierzę. Wiesz, że próbowałem, prawda?

Przykłada zimny okład do mojej szyi, a do mnie coś dociera.

– Dlatego odwróciłeś przedtem wzrok. W ten sposób tego próbowałeś...

W jego spojrzeniu widzę bezradność i niepewność. Wszystko jest takie szczere i niewymuszone. Nie wiem, jak zapanować nad łzami kumulującymi się od moimi powiekami. Will sprawia wrażenie przestraszonego i nie ma pojęcia, jak mi pomóc.

Ostrożnie traktuje lodem skórę na mojej szyi, gdzie się wyżył.

– Nie dość, że wcześniej byłem agresorem, to teraz do tego jestem dzikusiem, który ledwo pamięta, jak powinien się z tobą obchodzić – mówi i wypuszcza pełen udręki wydech.

Zabieram od niego okład i patrzę na niego troskliwie. Nie chcę, by się katował. Fakt, trochę się przestraszyłam, ale gdy tylko powiedziałam *stop*, on przestał. Po prostu nie wyczuł, że się zagalopował. Patrząc na niego z dołu, czuję, jak coś rwie mnie od środka.

– Will, tylko troszeczkę piecze mnie szyja – wyszeptuję miękko.

On wykrzywia usta i mknie spojrzeniem gdziekolwiek, byle nie spoczęło na mojej twarzy. Wstydzi się. Widzę, że tak strasznie wstydzi się tego, co mi zrobił.

– Idź na korytarz i spójrz w lustro – rozkazuje mi. – Jest sina.

Odwraca się plecami do mnie i uderza gwałtownie ręką w blat.

– Kurwa mać, robi się cała sina!

Podskakuję w miejscu na jego głośny ryk. Nie potrzebuję ani jednej jego reakcji więcej, by zrozumieć, co właśnie przejmuję nad nim kontrolę... ten okropny szal. Zalewa mnie ciepło na myśl, że Will może stracić nad sobą panowanie. Pamiętam, jak ostatnim razem podpalał sobie wtedy dłonie. Odkładałam lód i zbliżam się do niego, obejmując jego twarz.

– Spokojnie, hej... ona naprawdę tylko troszeczkę mnie piecze – przekonuję go łagodnie i uśmiecham się delikatnie mimo łez spływających powoli po policzkach. – Nie wściekaj się na siebie. Nie znowu. Proszę cię, weź głęboki oddech i nie wściekaj się.

Oczy Willa iskczą żywą, nieposkromioną nienawiścią do samego siebie. Jego nozdrza falują, usta wyginają się w grymasie, którego widok sprawia, że pęka mi serce. Ledwo stoję na nogach, kiedy chłopak odciaga mnie od siebie tak ostrożnie, jak jest w stanie to zrobić.

– Nie daję rady... – wyznaje załamany. – Muszę stąd wyjść.

Wymija mnie i bez ani jednego słowa więcej kieruje się do zaciemnionego korytarza. Podążam za nim, chociaż nie widzę praktycznie niczego, chociaż prawie upadam z każdym postawionym krokiem. Nie mogę go wypuścić. Nie chcę go wypuszczać.

– Will, dokąd idziesz? – wykrztuszam załamana.

– Dokądkolwiek, zanim wszystko rozpierdolę. – Zakłada pierwszą lepszą bluzę znaną na komodzie. Potem obdarza mnie ostatnim, pełnym bólu i niemych przeprosin spojrzeniem. – Włącznie z tobą.

Patrzymy na siebie. Potem on wychodzi. Rozlega się głośny trzask drzwi i grzmot przypominający o

tym, że na zewnątrz wciąż panuje paskudna burza. Osuwam się powoli po ścianie i zwijam w kłębek, powtarzając po cichu, że nic mu się nie stanie.

Powtarzam to wiele razy, ale nie tysiąc.

ROZDZIAŁ ÓSMY

MARIGOLD

Chowam w pośpiechu ostatnie zakupy do jednorazówki. Mam zamiar jak najprędzej wyjść z osiedlowego sklepu, pokonać ponure uliczki deszczowego Bronxu i wrócić do mieszkania. Nie wiem, czy Willard ma przy sobie jakiegokolwiek klucze, a nie chcę, żeby spędzał choćby chwilę na brudnej klatce schodowej, nawet jeśli sam najpewniej nie uznałby tego za nic złego.

Kasjerka starej daty liczy pieniądze i co jakiś czas zerka w moją stronę z nietęgą miną. Upewniam się wtedy, że sporych rozmiarów szal dobrze zakrywa moją siną szyję. Akurat w jednej kwestii Will miał rację: ona wygląda okropnie. Odznaczają się na niej ślady jego zębów oraz kilka rozległych malinek. Będę musiała użyć sporej ilości starych kosmetyków, by jakkolwiek to zakamuflować z samego rana przed pracą.

Wychodząc na zewnątrz, zadzieram brodę i wbijam wzrok w niebo. Nadal zasnowią ją burzowe chmury. Zaraz zapewne znowu lunie jak z cebra, dlatego bez dłuższej zwłoki ruszam przed siebie, ciągle rozglądając się wokoło i upewniając, że nikt za mną nie podąży. Pośród prawie że rozlatującej się, szarej zabudowy bloków oraz upiornych ulic nie dostrzegam jednak nikogo. Zwłaszcza że żarówki w latarniach, które mijam, są przepalone i ledwo działają.

Maszeruję przed siebie i po kilku minutach oddycham z ulgą na widok celu.

Nagle słyszę za sobą szmer. Ktoś wbiega we mnie oraz oplata ciasno palcami moje przedramię. Oszołomiona natychmiast puszczam reklamówkę i próbuję się wyrwać, jednak przestaję, gdy tylko słyszę znajomą barwę głosu.

– Gold, to ja...

Zdmuchuję sprzed nosa włosy i spoglądam na stojącego obok Willa. Ma na głowie kaptur, w którym chowa część twarzy, lecz i tak wyłapuję na niej zmęczenie. Wzdycham smutno, patrząc na niego również wykończona. Ten dzień naprawdę dał nam obojgu w kość.

– Nic ci się nie stało? – pytam cicho i kucam nad porozrzucanymi po chodniku zakupami, by schować je do siatki. W międzyczasie unoszę wzrok na chłopaka. – Gdzie byłeś?

On także kuca. Pomaga mi, ale posługuje się tylko jedną ręką. W drugiej trzyma chyba jakiś przedmiot. Chowa go za plecami. Zastanawiam się, co to takiego, lecz po chwili orientuję się, że Will stale mi się przygląda.

– Poważnie po tym wszystkim, co się wydarzyło najpierw pytasz mnie, czy nic mi nie jest? – docieka poważny i wciąż przeszywa mnie spojrzeniem na wskroś.

– Martwiłam się o ciebie, więc tak.

– Jest okej. – Zwiesza głowę i chowa ostatnie produkty do siatki. – Załatwiałem kilka spraw, starałem się ochłonąć i jakoś, no wiesz, ogarnąć.

– Wiem. Cieszę się, że ci się to udało.

Oboje wstajemy. Will zabiera ode mnie zakupy.

– Mam coś dla ciebie – oznajmia. – Trochę na przeprosiny.

Marszczę brwi, ignorując silny powiew wiatru, który targa śmieciami leżącymi na zaniedbanych chodnikach. Czuję, jak plątają mi się pod nogami, ale mimo to zbliżam się do Willa tak bardzo, że czubki naszych butów stykają się ze sobą.

– Masz coś dla mnie? Przecież nie możemy sobie pozwalać na żadne prezenty, choćby te na przeprosiny – przypominam. – Musimy odkładać pieniądze na wyjazd do Denver i...

– Och, nie gadaj tyle – uciska mnie i wystawia poharataną dłoń w moim kierunku. Chowa w niej kilka zwiędłych już, ciemnożółtych kwiatów. – Trzymaj.

Uśmiecham się delikatnie, patrząc to na nie, to na jego twarz.

– W sensie „proszę”, tak? – poprawiam go subtelnie.

Nie jest tajemnicą, że Will i dobre maniere zdecydowanie nie idą w parze, ale chciałabym chociaż raz usłyszeć, że przemawiają przez niego właśnie one.

– Proszę – powtarza za mną, wciąż trzymając przed sobą mały bukiet.

Przyjmuję prezent i szczerzę się bardziej.

– Dziękuję. Są śliczne.

Może i nie prezentują się najpiękniej, ale dla mnie i tak takie są. Przyciskam je do piersi i patrzę na chłopaka nieprzerwanie skupionego wyłącznie na mnie. Stoimy na środku chodnika, tuż przy sobie, znosząc wiatr i pierwsze krople deszczu, a ja i tak czuję się szczęśliwa.

Grdyka Willa delikatnie podskakuje, kiedy ten przełyka.

– To aksamitki. Twoje imię oznacza aksamitkę.

– Zwróciłeś na to uwagę... – dziwię się.

Nie sądziłam, że to zrobi.

– Sprawdźmy, czy ty zwrócisz na coś swoją.

Chcę zapytać, o co mu chodzi, ale wtem on opiera siatkę z zakupami na zgięciu łokcia, schyla się i bez żadnego trudu bierze mnie na ręce z taką siłą, że aż podskakuję w jego ramionach. Zaskoczona przywieram do jego ciepłego ciała. Ściskam w dłoni bukiet zwiedłych aksamitek, podczas gdy Will idzie do budynku z pokerowym wyrazem twarzy.

– Co ty wyprawiasz? – wyduszam, nic z tego nie rozumiejąc.

Chłopak zerka na mnie mimochodem.

– Przenoszę cię przez całe bagno, które mamy przed blokiem, żebyś przypadkiem do niego nie wpadła.

Rozchylam z wrażenia usta. Przez jakiś czas patrzę z niedowierzaniem na Willa, aż w końcu uciekam wzrokiem do niedawno powstałych kałuż. Są ogromne, burza, która wcześniej przeszła nad Nowym Jorkiem, trwała przecież kilka godzin.

– To miłe – odpowiadam nieco ciszej.

– To, że niosę cię do mieszkania na rękach?

– To, że przyznajesz się do tego, że zawróciłam ci w głowie.

Dobrze pamiętam, co Will powiedział mi również pewnego deszczowego wieczora jakiś czas temu: że tylko dziewczynę, która zawróciła mu w głowie, przeniósłby nad tym całym syfem na rękach, by się nie ubrudziła. Wtulam się w jego pierś i przymykam powieki.

Rany. Jestem tą dziewczyną.

Jestem też wykończona, ale jednocześnie cholernie mi dobrze, gdy mój Will trzyma mnie strasznie blisko i nie puszcza choćby na moment. Zamknięta w jego zaborczym uścisku wręcz na własnej skórze czuję bijącą od niego siłę. Zupełnie jakby składał się tylko z niej, nieposkromionej i dzikiej, wprawiającej mnie ciągle w mniejsze lub większe przerażenie.

Słyszając echo jego chlupoczących butów, otwieram oczy. Weszliśmy już do bloku, wszędzie jest ciemno oraz zimno. Mam wrażenie, jakby coś oślizgłego przylepiało mi się do skóry, kiedy chłopak zaczyna wchodzić ze mną na rękach na górę po betonowych stopniach.

Wzdrygam się na myśl, że to zapewne wszechobecny brud.

– Odłożę zakupy, a potem możemy jechać po Rhodesa – rzucam w pewnym momencie, odrywając wzrok od pokrytych malunkami, obdartych ścian i wbijając go w twarz Willa.

Brunet przytakuje.

– Pójdę w tym czasie do siebie. Mieszkanie wciąż jest pewnie w opłakanym stanie, więc szybko je ogarnę i...

– Posprzątałam je – przerywam mu.

– Posprzątałaś. – Brzmi na zdziwionego.

– Możecie śmiało do niego wrócić. – Podsuwam pod nos aksamitki. – Musisz tylko przenieść tam rzeczy młodego, bo mam ich całkiem sporo na górze, ale to kwestia chwili.

Will rozmyśla nad wypowiedzianymi przeze mnie słowami.

– Trochę twoich rzeczy też przydałoby się do nas podrzucić.

Zdezorientowana marszczę nos.

– Dlaczego?

– Bo będziesz z nami mieszkać.

Wyrzucam z siebie mimowolnie parsknięcie.

– Czy ty nawet nie zapytałeś mnie o zdanie?

– A czy wyglądam, jakbym był nastawiony na negocjacje? – odbija piłeczkę, natomiast ja nie wytrzymuję i wybucham cichym śmiechem, akurat gdy zostaję postawiona na ziemi, bo docieramy do mojego mieszkania.

– Jesteś takim stanowczym dupkiem.

Otwieram drzwi błyskawicznie znalezionym w kieszeni płaszcza kluczem, a jego dłoń łąduje na mojej talii.

– Po prostu daj mi to, co wam potrzebne.

W mojej głowie rodzi się szatański plan. Od razu po wejściu do kawalerki ściągam z siebie rękę Willa i odbieram od niego zakupy. Kładę je na komodzie w korytarzu, na której zrzędzeniem losu siedzi wygodnie mały Farfofel. Biorę go w dłoń i przekazuję swojemu towarzyszowi, który, cóż... Lekko mówiąc, nie jest z tego faktu ani trochę zadowolony.

Nawet nie wie, jak powinien go trzymać, jedynie przyciska skuloną kulkę do klatki.

– Poważnie? – Karci mnie tym swoim ostrym spojrzeniem.

Zapalam światło i powstrzymuję chichot.

– On idzie w pierwszej kolejności.

– Nie może w ostatniej?

– Liczysz, że do tego czasu skorzysta z otwartych drzwi i ucieknie? – Uśmiecham się, w międzyczasie zastanawiając się, czy znajdę gdzieś u siebie karton. Jeśli włożę do niego rzeczy, szybciej uwiniemy się z ich przeniesieniem do czterech ścian Willa.

– Masz mnie – słyszę jego kpiącą odzywkę.

Zerkam na niego z pobłażaniem.

– Po prostu schodź już.

Przez kolejne pół godziny oddaję w jego ręce wiele szpargałów. Willard znosi je do siebie i gdy uznajemy, że ogarnęliśmy wszystko, umawiamy się, że za pięć minut spotkamy się na parkingu przed blokiem. Ja – gdy zadzwonię jeszcze do Leah i podziękuję jej za znalezienie mi pracy – a on, jak już mniej więcej upcha wszystkie rzeczy w mieszkaniu.

Po rozmowie z koleżanką biorę do ręki płaszcz i wychodzę na pograżoną w czerni klatkę schodową. Nie mijam nikogo, kiedy po zamknięciu kawalerki wtykam w uszy słuchawki podpięte do telefonu oraz zaczynam schodzić na niższe piętra.

Na szóstym, tuż przy drzwiach Willa, dzieje się coś, czego się nie spodziewam.

Ktoś je otwiera. Zamyka w mocnym chwycie ręki moje ramię i szarpnięciem wciąga w mrok korytarza. Popycha mnie na ścianę i nakrywa swoim ciałem. W zatrważająco szybkim tempie eksploduje we mnie strach. Wystarczy jednak zaledwie jeden wdech nosem, bym poczuła zapach mojego Willarda oraz zrozumiała, że to on zamyka teraz w wielkich dłoniach moją talię i sunie szorstkimi dłońmi w górę oraz w dół, a na końcu zsuwa je na biodra.

Oszołomiona upuszczam płaszcz i zarzucam mu rękę na kark, by przyciągnąć jego twarz ku swojej. Patrzymy na siebie z bardzo blisko, oboje wydychając w swoje usta powietrze.

– Czy to już podchodzi pod uprowadzenie? – pytam, szczerząc się.

On także unosi złowieszczo kącik ust.

– Może.

– Masz dużo za uszami, nie powinieneś do tego uprowadzać niewinnych sąsiadek. – Z chwilą, kiedy to mówię, jedna słuchawka wypada mi z ucha. Muzyka nie przestaje co prawda w nich grać, ale dobrze słyszę, co szepta mi w twarz zadowolony Will.

– Nie mogłem się przed tym powstrzymać.

– Nie mogłeś? – Zadzieram nos, trącając nim jego brodę.

– Moja niewinna sąsiadka jest bardzo piękna – wydycha.

Na pewno pałę buraka. Nie wiem, czy on to widzi. Stoimy w całkowicie pustym i pograżonym w ciemnościach mieszkaniu: ja przyciśnięta do ściany i on przypierający mnie do niej w naprawdę bezkompromisowy sposób. Słyszymy tylko stłumioną piosenkę i swoje głośne, urywane oddechy. Opieram tył głowy o twardą powierzchnię i mrugam parokrotnie.

– Nie mów mi takich rzeczy – proszę, starając się uspokoić drżenie nóg.

Will wsuwa kolano pomiędzy nie. Rozchylam usta, bo dosięga nim miejsca między moimi udami. Och, szlag. Patrzy mi głęboko w oczy, gdy napiera nim na moją kobiecość, będąc na pewno świadomym tego, że przyprawia mnie o wrażenie, jakbym miała zaraz zemdleć.

Ściągam z jego głowy kaptur, a on zadaje mi prędko pytanie:

– Dlaczego mam ich nie mówić?

– Bo zacznym bardziej wierzyć w cuda.

Mam wrażenie, że w ciasnym korytarzu robi się goręcej, o ile to w ogóle możliwe. Zaczynają pocić mi się skronie, czuję, jak przylepiają mi się do nich pojedyncze pasma włosów i to, jak chłopak stara się być ostrożny w kontakcie z moim spragnionym jego dotyku ciałem.

– Co jest twoim cudem? – szepta dyskretnie.

– Bycie z tobą do samego cholernego końca, Will.

Opieram pięści na jego torsie i patrzę na niego z dołu.

– Jeśli uda nam się przetrwać wszystko i skończymy ze sobą, to będzie przecież nic innego jak cud.

Do tej pory uważałam, że nie dojdzie do tego za żadne skarby, ale teraz... – milknę na krótką chwilę, starając się w pośpiechu dobrać właściwe słowa – ...teraz z każdym dniem, gdy mówisz mi takie rzeczy, gdy starasz się być dla mnie lepszy, tak bardzo chcę, by do tego doszło, że zaczynam w to wierzyć i przed zaśnięciem trzymam za *nas* kciuki do bólu.

Im dłużej utrzymujemy ze sobą kontakt wzrokowy, tym niespokojniej drży moje serce.

– Chcąc, żeby akurat tobie i mnie, nam razem, przydarzyło się coś nierealnego – kończę niemalże bezgłośnie, wyczekując, sama nie wiem, jakiej reakcji z jego strony.

Will przenosi jedną dłoń na moją siną szyję i gładzi ją czule palcami.

– W takim razie oboje tego chcemy, Goldie.

– Ty też...

– Twoje marzenia to moje marzenia – obwieszcza bez choćby grama zawahania. – Ale chyba bratnie dusze tak po prostu mają, wiesz? – Posyła mi nieznaczny uśmiech, lecz ten zaraz znika, bo chłopak marszczy czoło. – Matko, słuchasz takich smętów.

Wypuszczam parsknięcie i wyjmuję z ucha drugą słuchawkę. Przy okazji przecieram palcami oczy, które zdążyły mi się odrobinę zaszkląć w trakcie mojego wyznania.

– Moje życie to smęt – stwierdzam.

– Oddasz mi jego kawałek?

Powaga w głosie Willa podpowiada mi, że on wcale nie żartuje. Nie analizując już absolutnie niczego, obejmuję palcami jego pokrytą szramami twarz i wzruszona kiwam pewnie głową, potwierdzając, że właśnie tak postąpię.

– Każdy. Każdy jeden... Tylko zatańcz ze mną.

Brunet mruży oczy.

– Nie wydziwiał, co?

– Chcę z tobą zatańczyć – naciskam, słysząc, że w moich słuchawkach rozbrzmiewa melodia piosenki *Someone To Stay*, którą bardzo lubię. Jest spokojna oraz melancholijna, a ja chciałabym wiedzieć, jakie to uczucie wtulić się w Willa i się z nim pokołysać.

On spuszcza wzrok i cofa się o jeden, długi krok.

– Nie potrafię ani prowadzić cię w tańcu, ani tym bardziej obchodzić się w nim z tobą ostrożnie – zdradza odrobinę zakłopotany.

Widzę, że się denerwuje. Zapewne oprócz tego, że nigdy nie tańczył z dziewczyną, pamięta też o tym, co zrobił kilka godzin temu – że nie umiał wyczuć, kiedy powinien był przestać mnie dotykać, by się nie zagalopować. Smutna przesuвам bardzo powoli kciukiem po jednej z blizn zdobiących jego twarz.

– Możesz postarać się to zrobić – odpieram miękko.

– Jest wiele rzeczy, które bym dla ciebie zrobił...

Domyślam się, że nic nie wskóram.

– Ale nie jest nią właśnie ta – dokańczam za niego.

– Ale nie ma takiej, której bym ci odmówił.

Patrzy wprost na mnie, kompletnie zaskoczona, kiedy wyciąga z kieszeni moich spodni telefon i odpina od niego słuchawkę. Melodia wypełnia korytarz. Obserwujemy się początkowo bez słów, aż w końcu

Will z lekkim oporem kładzie jedną rękę na moim boku i z jej pomocą przyciąga mnie do siebie maksymalnie blisko. Drugą zaś splata z moją w powietrzu.

Coś we mnie wybucha.

To chyba gorąco spowodowane tym, że akurat on zdobył się dla mnie na coś tak intymnego... Przeznaczonego dla osób połączonych ze sobą więzią. Ponieważ sposób, w jaki pokrącznie się kołyszymy, przytuleni do siebie i wpatrzeni sobie w oczy, można by rzec, że jest uczuciowy, subtelny i może nawet uroczy, o ile takie słowo mogłoby nas w ogóle określić.

Opieram policzek na jego piersi i zamykam oczy, pogrążając się w transie.

– Mamy mało czasu – zauważam słusznie po dłuższej chwili.

– Całe szczęście.

Nie udaje mi się powstrzymać następnego uśmiechu.

– Wal się. – Wbijam paznokcie w jego szerokie ramię.

– Co za inteligentna odzywka. – Will wydaje się rozbawiony.

Uchylam powieki i zaglądam w otaczające nas ciemności.

– Zarezerwowana specjalnie dla ciebie.

– Co jeszcze rezerwujesz specjalnie dla mnie?

Odsuwam twarz od jego klatki piersiowej i zbliżam usta do jego. Nie robię jednak niczego więcej. Po prostu pragnę, żeby Will utkwiał w nich wzrok i zrozumiał, że tylko on może je całować. Żeby pojął, że jest jedynym cholernym chłopakiem w moim pokręconym życiu.

– To – odpowiadam i składam krótkiego całusa na jego brodzie.

On oblizuje wargę i szczerzej splata nasze złączone dłonie.

– Rety, Gold... spróbuję – wydusza z siebie na pewno nieprzemysłany szept. – Spróbuję z całych sił pokazać ci, jak tak naprawdę wygląda szczęście. Daj mi tylko czas.

Odwzajemniam jego spojrzenie i ani mi się śni przestać to robić. Wydaje mi się, jakby mnie sobą hipnotyzował. Jakby był w stanie przyciągać mnie do siebie bardziej i bardziej, ale nie tylko fizycznie. Raz jeszcze zbliżam usta do jego brody i składam na niej muśnięcie.

– W porządku, Will – mówię wtedy ledwie słyszalnie.

A potem znowu wtulam część twarzy w jego rozbudowaną pierś i wsłuchuję się w piosenkę wypełniającą skąpany w czerni korytarz, w którym niezgrabnie tańczymy. Przytuleni do siebie i pełni naiwnej nadziei, że nasz cud jednak pewnego dnia się wypełni.

Will you fix me up?

Will you show me hope?¹

– Łap.

Siedząc na fotelu pasażera w gracie Willa, odwracam się i chwytam w locie rzuconą w moją stronę czarną czapkę z daszkiem. Nawet jeśli wiem, że chłopak dał mi ją, by nikt z daleka nie dostrzegł, że w samochodzie siedzę z nim właśnie ja, roześmiana, i tak zadaję mu pytanie:

– Wstydzisz się mnie?

Odpala silnik i przenosi na mnie spojrzenie.

– No, a co sobie myślałaś? – prychna drwiąco.

Zakładam nakrycie głowy i przewracam oczami.

– Po prostu jedźmy już. – Rozsiadam się wygodnie na swoim miejscu i dziwię, bo przez kolejne sekundy wciąż stoimy w miejscu. Zdezorientowana spoglądam na kierowcę. – Will?

Dociera do mnie, że skoncentrował się na widoku mojej odsłoniętej szyi.

– Jasne – mamrocze i wlepia wzrok przed siebie. – Jedźmy już.

Robi mi się go okropnie szkoda, bo jestem przekonana, że to go bez przerwy dręczy. Myśl o tym, czego nieumyślnie dopuścił się wobec mnie. Przygnębiona sięgam po kluczyki włożone do stacyjki i wyjmuję je gwałtownie, zanim Covington zdąży ruszyć.

On nadal przygląda się kroplom deszczu rozbryzgującym się na szybie.

– Zapatrzyłeś się na moją szyję, prawda? – pytam niepewnie.

Od razu rozwiewa moje wątpliwości.

– Tak.

Przysuwam się do niego i obejmuję dłonią jego kolano.

– To już nawet nie piecze – przekonuję go zasmucona.

Zaciska szczękę, ale mimo to nakrywa moją rękę swoją.

– Ona wygląda okropnie, Gold. – Nareszcie się do mnie odwraca. W jego oczach widzę żal i poczucie winy, którego przenigdy nie spodziewałam się w nich dostrzec. – Ja sam czuję się okropnie. Dałem ci słowo, że będę się starał cię nie krzywdzić. Tymczasem...

Potrząsam głową, by się nie produkował.

– Skrzywdziłbyś mnie, gdybyś nie przestał. Po prostu trudno ci wyczuć moment, kiedy powinieneś to zrobić, ale przecież popracujemy nad tym. Proszę, nie bój się mnie teraz dotykać.

Gdy zapewnił mnie, że jeśli z nim zostanę, postara się mnie nie krzywdzić, dobrze wiedziałam, jak to będzie wyglądało: liczyłam się z tym, że tak łatwo nie uda nam się uśpić jego demonów. Powstrzymać napadów agresji napędzanych błahostkami albo – tak jak teraz – że zbliżając się do mnie, będzie umiał sam sobie wyznaczyć odpowiednie granice.

Nie jestem zdziwiona. Nie mam mu niczego za złe. Sobie także nie, chociaż akurat siebie powinnam za to wszystko obwinić – jedynie najgłupsza ja mogła wejść w to dobrowolnie. Prawda wygląda jednak tak, że tu nie było innego wyjścia. Przywiązałam się. Nie wyobrażałam sobie już codzienności bez Willarda u mojego boku. Mogłam tylko z nim zostać.

Teraz posyła mi wymuszony uśmiech.

– Wciąż mnie nie skreślasz i zamiast tego wyciągasz do mnie rękę.

Odwzajemniam jego gest w równie niemrawym stylu.

– Bo jesteś tego wart, mój cholerny kłamco – odpieram łagodnie i przekazuję mu kluczyki do auta. Will je przyjmuje. Patrzy na mnie przez kilkanaście kolejnych sekund. Dopiero po ich upływie składa długi pocałunek na moim czole i odpala znowu silnik.

Ruszamy w drogę odrobinę mniej smutni. Pokonujemy ją początkowo w ciszy, lecz gdy wyjeżdżamy z Bronxu, postanawiam powiedzieć o czymś chłopakowi.

– Rhodes na pewno ucieszy się na twój widok. Nie było dnia, żeby nie poruszył twojego tematu – wspominam to z ogromnym bólem serca, ale też ulgą, bo te męki dobiegły końca.

Jesteśmy ponownie we trójkę. Willard, mały artysta oraz ja.

– Więc nie był na mnie zły? – dopytuje brunet. – Że zniknąłem?

– Nie. – Rysuję na delikatnie zaparowanej szybie auta bliżej niezidentyfikowany wzorek i wyglądam za nią. Widzę parę osób uciekających przed deszczem pod dach starej knajpy, brzydkie budynki i ciemniejące niebo. – To wyrozumiały dzieciak. No i mądry.

– Po wujku.

Śmieję się cicho.

– Tak sobie mów – bąkam i przypominam sobie coś ważnego. – Powiedziałaś mu, że byłeś bardzo daleko stąd. Pomagałeś staremu kumpłowi, więc przyjmijmy tę wersję, okej?

Will nie zgłasza sprzeciwu.

– Okej.

Po dłuższym czasie docieramy na obrzeża miasta, pod szkołę, w której uczy się Rhodes. Maluch akurat z niej wychodzi, razem z kilkorgiem innych dzieci uczęszczających na zajęcia dodatkowe. Szybko dostrzega wysiadającego z samochodu Willarda. Wtedy bardzo wyraźnie się rozpromienia i rzuca do biegu, by zaraz wpaść w szerokie ramiona wujka.

Opuszczam niespiesznie auto i opieram się plecami o jego brudną karoserię. Przez kolejne minuty nie odrywam spojrzenia od malucha i jego wujka, zajętych sobą. Po prostu uśmiecham się nieznacznie i myślę, że wszystko powoli wraca do normy.

Pytanie tylko: *na jak długo?*

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

MARIGOLD

Poranki z moimi chłopakami zwykle okazują się chaotyczne. Myślę jednak, że po prostu taki jest ich urok i nie zamieniłabym tych codziennych wyścigów z czasem na nic innego. Zwłaszcza że w podobnych okolicznościach możemy z Willem pluć na siebie jadłem przy każdej możliwej okazji, a my, cóż... naprawdę lubimy sobie dogryzać i się ze sobą sprzeczać.

To raczej się już nie zmieni.

Spoglądam na swoje odbicie w lustrze i upewniam się, że korektor zakrył ślady na mojej szyi. Na szczęście na lodowisku, gdzie pracuję od przeszło tygodnia, nikt nie dostrzegł na niej niczego, a sama praca tam okazała się naprawdę w porządku. Powoli odbijam się więc od dna.

Nagle orientuję się, że zjawił się przy mnie mały Rhodes.

– Wzięłeś pracę domową? – zagajam od razu.

Zdziwienie wkrada się na jego buźkę.

– Jaką pracę domową?

Chryste, co ja z nimi mam?

– Will, czy ja wyglądam na niańkę, która będzie mieć za ciebie głowę na karku? – wypalam bez namysłu i zaraz czuję, że wielka dłoń chwyta moją talię.

To pan gospodarz pojawił się znikąd obok i szepta mi do ucha:

– Nie pogardziłbym tak zajebiście zgrabną niańką.

– Szlag, znowu pomyliłam wasze imiona – uświadamiam sobie i krzyżuję spojrzenie najpierw z Willardem, a potem z małym Rhodesem, mówiąc: – Ty, zabieraj łapska. Ty, szukaj zeszytu.

Pierwszy z nich oczywiście nie wykonuje mojego polecenia, natomiast drugi okazuje się nieco bardziej posłuszny i idzie w głąb mieszkania.

– Widziałaś go gdzieś? – pyta jeszcze.

Wypuszczam powietrze.

– Na łóżku. Śmigaj po niego i jedziemy.

Zostajemy z Willem zupełnie sami w długim korytarzu. Dziwi mnie trochę widok intensywnego skupienia na jego twarzy, kiedy czyta coś na telefonie trzymanym w wolnej dłoni. Postanawiam upewnić się, że nie stało się nic poważnego.

– Hej, wszystko gra? Kto do ciebie napisał?

– Mechanik. – Chłopak prędko blokuje ekran, chowa komórkę do kieszeni spodni i posyła mi krótkie spojrzenie. – Będę musiał podskoczyć dzisiaj do warsztatu i zmienić opony.

Sama nie wiem, czy brzmi to dla mnie wiarygodnie, bo jego reakcja wyglądała trochę podejrzanie, ale niech będzie.

– Och, okej – przytakuję. – A potem? Masz jakieś plany na resztę dnia?

– Nic konkretnego. Jeśli pytasz, czy zdążę na twój wieczorny popis, to na pewno tak... Zresztą mówiłem przecież, że nie będę puszczał cię samej do tej speluny, choćby nie wiem co.

– Nadal masz coś przeciwko, żeby tam w ogóle chodziła, nawet z tobą, prawda?

– Prawda.

Wczoraj znalazłam sposób na dorobienie kasy i jest nim okazjonalne grywanie na pianinie w jednej z knajp na Bronksie. Występy odbywają się późno w prawie rozlatującej się kamienicy na rogu głównych ulic i nie są świetnie płatne, ale nawet sześćdziesiąt dolarów brzmi dobrze, biorąc pod uwagę naszą sytuację i to, że mamy zamiar wyjechać za kilka tygodni do innego stanu.

Will z pomocą ręki, którą trzyma na mojej talii, obraca mnie do siebie przodem.

– Marigold, nie musisz pracować na lodowisku i do tego jeszcze zarywać nocy na występach w takim miejscu. Poradzimy sobie bez tego. Znajdę jakąś dorywczą pracę, a potem...

Kręcę głową, dając mu sygnał, by nie kontynuował.

– Lubię grać. Godzina spędzona przy pianinie to nie zarwana noc, Will. Raczej łatwe i szybkie sześćdziesiąt dółców, które na pewno nam się niedługo przydadzą. No i nic mi się nie stanie w tej dziurze, skoro podczas występów będziesz miał mnie cały czas na oku.

Brunet spogląda gdzieś za moje plecy, a potem znowu na mnie.

– Nie odpuszczisz, co nie?

– Nie powiesz mi, o co ci tak naprawdę chodzi, co nie?

Marszczy czoło.

– Słucham?

– Okej, martwisz się o mnie, ale oprócz tego coś jest na rzeczy – wysnuwam wniosek. – Coś, co sprawia, że zrobiłbyś wszystko, bylebym tylko nie weszła do tej knajpy. Co to takiego?

Długo obserwujemy się bez słów. Wydaje mi się, że wtedy Will rozstrzyga w głowie dylemat, czy wyznać mi prawdę, czy też zatrzymać ją dla siebie. Czuję się w tym wszystkim coraz bardziej zagubiona, bo nie mam nawet beznadziejnych podejrzeń, dlaczego mógłby być taki zawzięty w odciąganiu mnie od miejsca, w którym przecież będzie ze mną bez przerwy.

– Chodź – mówi w końcu i chwyta mnie za nadgarstek.

Potem otwiera drzwi i zaciąga na klatkę schodową. Tam siada na schodach i przyciąga mnie na swoje kolana. Niemalże z nich zlatuję, ale Will w ostatniej chwili mi na to nie pozwala. Obejmuje ręką moje nogi i wygląda, jakby mój ciężar nie robił na nim najmniejszego wrażenia.

– Dlaczego wyszliśmy z mieszkania? – dociekam zbita z tropu. – Nie chciałeś, żeby Rhodes nas usłyszał?

– Tak.

– Rozumiem. – Spuszczam wzrok na swój wisiołek w kształcie księżycy i chwytam go pomiędzy palce, zaczynając się nim nerwowo bawić.

– Wspominałem ci, że mój starszy brat lubił chodzić po takich miejscach, jak to, w którym masz teraz grać. – Will śledzi powoli palcami całą długość mojego uda, robiąc to jakby w zamyśleniu. – Zanim zniknął, chodził do nich noc w noc. Pamiętasz?

Przytakuję. Ta opowieść utkwiała mi w głowie.

– Uwodził tam bardzo młode dziewczyny, które zazwyczaj wymykały się z domów wbrew ostrzeżeniom rodziców, dobrze wiedzących, jak niebezpiecznym miejscem jest Bronx. Później wyprowadzał je i wykorzystywał choćby w brudnych zaułkach. Był jebanym zbrodźcą z całkiem atrakcyjną gębą, co ułatwiało mu okręcanie sobie nastolatka wokół palca.

Wzdrygam się, bo w mojej pamięci wciąż żyją pewne domysły, które ilekroć o nich pomyślę, przyprowadzają mnie o chęć zwymiotowania całej zawartości żołądka. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby okazało się, że mam rację. Nie wiem, co zrobiłby Will, gdyby okazało się, że ją mam.

– W knajpie na rogu głównych ulic poznał matkę Rhodesa – kontynuuje, w międzyczasie powoli przetykając. – Tę, która potem przez niego, po urodzeniu młodego, popełniła samobójstwo, skacząc z przejścia ewakuacyjnego na beton pod naszym blokiem.

Mam wrażenie, że te słowa mrozą mi krew w żyłach.

– To miejsce źle ci się kojarzy – odpieram cicho, bo wszystko składa mi się w spójną całość. – Dlatego wolałbyś, żebym tam nie chodziła.

Will wzmacnia chwyt na moim udzie.

– Spójrz na mnie, Gold.

Spełniam jego rozkaz bez zawahania.

– Po prostu nie chcę, żeby jakiś skurwiół pokroju mojego brata cię sobie upatrzył. – Zagląda mi w oczy. Nie potrzebuję innego potwierdzenia, że jest ze mną szczerzy. – Nawet jeśli będę w pobliżu, będę miał też na pewno ochotę rozpiardolić wszystkich, którzy spróbują choćby wodzić za tobą wzrokiem w sposób, w który *on* wodził za tamtymi dziewczynami.

Rozumiem go. Naprawdę go rozumiem, dlatego zarzucam mu ręce na kark i przytulam się do niego mocno. Nie zamierzam jednak rezygnować z możliwości zarobienia pieniędzy za występy. Będę musiała przekonać go, że tamten rozdział jest zamknięty i się nie powtórzy.

– Za niedługo, gdy znajdziemy się już w naszym pięknym Denver, nie będziemy musieli martwić się o nic takiego... ani o to, że nie zwiążemy końca z końcem – staram się delikatnie odciągnąć go od myślenia

o przeszłości i po ułożeniu brody w jego włosach, przesuwam paznokciami po jego karku. – Nie będziemy musieli martwić się o nic.

Chłopak spogląda chyba w stronę wybitego okna, za którym rozciąga się widok na obskurną dzielnicę. Ja także koncentruję się na nim i nie mówię nic więcej. Jedyne trwam w jego objęciach i skrycie marzę o tym, by czas płynął o wiele szybciej.

– I jak ci się u nas podoba?

Narzucam na siebie płaszcz, po czym odwracam się do stojącej w drzwiach niedużej szatni Mirandy. Moja szefowa opiera się swobodnie ramieniem o ich framugę i wygląda na zaciekawioną tym, jak minął mi kolejny dzień w nowej pracy. A minął mi on lepiej niż dobrze. Nie ma nic trudnego w sprzedawaniu wejściówek na słynne lodowisko w Central Parku.

Kąciaki moich ust szybują ku górze jakby mimowolnie.

– Jest super – przyznaję szczerze. – Wszyscy są tacy mili i zyczliwi... Kiedy mam jakiś problem, od razu oferują pomoc. Naprawdę to doceniam.

Miranda klaszcze w dłonie.

– Świetnie. Do mnie też możesz się zwracać, jeśli czegoś nie wiesz albo coś sprawia ci trudność. Nie gryzę – podkreśla, uśmiechając się perliście.

Odpowiadam jej skinieniem.

– Pewnie, dziękuję.

– Widzimy się jutro?

Sięgam po torebkę.

– Widzimy się jutro – rzucam wesoło, posyłam ostatnie spojrzenie Mirandzie i ruszam w stronę wyjścia z szatni, a potem opuszczam niewielki budynek znajdujący się nieopodal atrakcji, którą oblegają dzisiaj zarówno mieszkańcy Nowego Jorku, jak i turyści.

Metro również, zresztą jak zwykle, pęka w szwach. Nie chcę jednak, żeby Rhodes sam pokonywał drogę na Bronx, dlatego stwierdzam, że go odbiorę, zrobię jakiś obiad i przymuszę do nauki na sprawdzian. W międzyczasie, będąc blisko szkoły, wyciągam z kieszeni telefon z zamiarem zadzwonienia do Willa. Może kręci się gdzieś w okolicy i nas zgarnie?

Odbiera dopiero po piątym sygnale. Odzywam się pierwsza:

– Will? Dotarłeś do tego mechanika?

– Właśnie u niego jestem, wcześniej byłem na mieście.

– Jasne. – Przecieram pomalutką twarz. – Skończyłam zmianę, czekam na młodego. Może, jak już ogarniesz sprawę z samochodem, dasz radę przyjechać po nas pod szkołę?

– Nie.

Skołowana zatrzymuję się w miejscu, ale nie dlatego, że Will odmówił. Zastanawia mnie powód, dla którego zrobił to tak nagle i w ogromnym pośpiechu.

– Nie? – powtarzam za nim.

Przez moment odpowiada mi cisza, co trochę mnie dziwi, bo przecież jest u mechanika. Tam raczej nie powinno być tak cicho.

– To znaczy... zjedź mi tutaj kilka godzin, więc lepiej wróćcie sami do domu – poprawia się, a ja nic z tego nie rozumiem. Czy on coś przede mną ukrywa? Właściwie czy na pewno przebywa teraz tam, gdzie twierdził, że jest?

Zaczynam podejrzewać, że mija się wobec mnie z prawdą.

– Skoro tak mówisz – mamrocę pod nosem.

– Na razie, kłamczucho.

– Na razie.

Kończę połączenie i siadam na ławce obok szkoły. Czekając na Rhodesa, postanawiam, że później upewnię się, czy Willa nie ma w miejscu, w które liczę, że już się nie zapuszcza. Sprawdzam to równo półtorej godziny później, po odprowadzeniu młodego do mieszkania. Wtedy wsiadam w podmiejski autobus z nadzieją, że moje przypuszczenia okażą się niesłuszne.

Zrzuwany dom i tym razem prezentuje się mrocznie pośród pustej przestrzeni i coraz bardziej

ciemniejącego nieba. Oplatom zmarznięte ciało rękami i podbiegam ku budynkowi. Oddychając przez usta, staram się pozbyć wrażenia, jakbym miała udławić się śliną od nadmiernego wysiłku. Jednak i tak się nią krztuszę na widok auta Willa.

Stoi zaparkowane za rudera. A to oznacza, że mnie okłamał.

Zanim wchodzę do środka, sprawdzam, czy jest sam. Nie słysząc rozmów, wkraczam niepewnie do wnętrza. Nigdy tu nie byłam. Nie wiem, jak poruszać się po tej jednej wielkiej ruinie. Dom jest w stanie surowym. Widzę cegły oblepione pajęczynami i pokryte graffiti. Do tego wszędzie zauważam dużo kurzu i brudu. Zimno. Czuję również wszechobecne zimno.

Deptam pył i małe kamyczki, posuwając się do przodu.

Staram się być cicho. Nawet jeśli gdzieś tutaj znajduje się jedynie Will, mam wrażenie, jakbym była intruzem, który nie powinien pałętać się po tym miejscu. W końcu słyszę znajomy głos. To Covington burczy coś do telefonu. Staję za ścianą przed jednym z pomieszczeń i widzę, że rzuca komórkę na prowizoryczny stolik składający się z desek.

Dostrzegam na nim dużo woreczków z narkotykami.

Odejmuje mi mowę. Wrócił do tego? Nic mi nie powiedział? Nie dał mi nawet znać, że znowu podjął ryzyko i w każdej chwili ktoś może go po raz kolejny aresztować? Zaciskam dłoń na lodowatych cegłach i czuję, jakby ktoś przyłożył mi czymś ciężkim w głowę.

Nie wymagałam od niego, by dzielił się ze mną wszystkim. Ale akurat tym powinien. Rozżalona pociągam nosem i wylaniam się zza ściany.

– Niech zgadnę: mechanik w gratisie do swoich usług rozdawał klientom darmowy towar, a ty się na niego załapałaś – zaczynam z pretensją, walcząc z drzeniem głosu, a Will rozchyła nieznacznie usta. – Albo nie, zapytał, czy mu go przechowasz. A może...

– Marigold... – przerywa mi natychmiast, potrząsając głową.

Siadam na jednej z cegieł i ciasno obejmuję kolana rękami.

– Co Marigold? – dopytuję z urazą, ale i udręką. – Próbuję wymyślić wspólną wersję wydarzeń, która pasowałaby do tego, co powiedziałaś mi przez telefon jakiś czas temu i do tego, co mam przed oczami teraz, więc dłaczego brzmisz, jakbyś nie mógł mnie słuchać?

Walczę z silnym płaczem, który powoli narasta w mojej piersi. Zagryzam z całych sił wargę, żeby tylko go nie wypuścić, a Willard opiera wyprostowane ręce na deskach i zwiesza bezsilnie głowę, jakby się w tym wszystkim okropnie pogubił.

Milczymy, oboje tak strasznie cierpiąc.

– Okłamałem cię – wyznaje nareszcie ledwie słyszalnie, przecierając ręką wygięte w grymasie bólu usta. – Nie byłem u żadnego mechanika.

Zaciskam powieki i właśnie wtedy pierwsze łzy spływają mi po policzkach. Myślę jednak, że nie stoi za nimi tylko wiedza o tym, że Will kłamał. Przypominam sobie bowiem, że ja także ciągle nie jestem z nim do końca szczerą, chociaż tylko się czegoś domyślam.

Hipokrytka. Ale z ciebie żaloszna hipokrytka. Nie powinnaś mieć do niego pretensji, skoro sama nie jesteś lepsza i wciąż dusisz głęboko w sobie coś okropnego.

Słyszając westchnienie, wyrzucam niechciane myśli z głowy.

– Zgarniałem towar od Jake'a. Muszę go opchnąć. Nie chciałem, żebyś wiedziała, bo na pewno przeżywałabyś to kurewsko mocno... a ja nie cierpię, gdy marnujesz siły na płkanie z mojego powodu.

Uchylam z wysiłkiem powieki i podnoszę się chwiejnie na nogi.

– Dziwisz mi się, że tak to przeżywam? – pytam załamana, przetykając wilgoć, która znalazła się w moich ustach. – Znowu ryzykujesz. Stąpasz po najcieńszej linii. Jak miałabym tak po prostu przyjąć do wiadomości myśl, że w każdej chwili może dojść do naszego kolejnego pożegnania? Nie chcę się żegnać. Mam dość po tamtym razie. Mam tego serdecznie dość, Will.

Każde słowo, które wypowiadam, zdaje się przepalać moje ściśnięte gardło. Idę koślawo do Willa, a on odsuwa się nagle od blatu i w kilku krokach niweluje dystans pomiędzy nami, ale nie dotyka mnie. Po prostu patrzy mi w oczy swoimi, pełnymi smutku i skruchy.

Uwalniam prędko wydech, a za nim pierwszy szloch.

– Nie mam na to wszystko siły – dukam, cała roztrzęsiona. – Boże, ja nawet nie mogę nie wyobrazić sobie, że przechodzimy przez to znowu. Czy ty w ogóle wiesz, jak to...

Will pęka... on pęka. Wplata palce we włosy i zaczyna je sobie desperacko rwać.

– Boli? Czy wiem, jak to boli?! – krzyczy przeraźliwie głośno, a jego klatka piersiowa unosi się w ekstremalnie szybkim tempie, kiedy wydobywa ryk: – Pojmij nareszcie, że wiem!

Bezradność w jego głosie kruszy mnie od wewnątrz. Wpatruję się w Willa, krztusząc się płaczem, a on opuszcza gwałtownie ręce i kładzie je na moich rozdygotanych ramionach. Zaraz przytula mnie do siebie tak prędko, że wyrywa mi się jęk.

Zapłątana w jego ramionach moczę mu bluzę łzami.

– Kurwa mać – wydycha, obejmuje palcami tył mojej głowy i z całej siły wciska moją twarz w swoją pierś. – Myślałem, że jestem niezniszczalny, dopóki nie siedziałem w tej jebanej celi z daleka od ciebie... dopóki nie przytrafiło nam się to, co się przytrafiło. Myślałem, że jestem właśnie taki, ale to głupie kłamstwo... Ja też mogę się rozsypać. Naprawdę mogę.

Zrozpaczona obejmuję go w pasie i chlipię cichutko, nie dając sobie rady.

– I jeśli coś jest w stanie temu zapobiec, to mam pewność, że chodzi o ciebie... na milion procent chodzi właśnie o ciebie, Goldie – dokańcza łamiącym się tonem i całuje mnie czule równe cztery razy we włosy.

Każdy jeden trafia prosto w moje serce, przed czym nie mogę się uchronić.

– Po prostu mnie przytul – szeptam żałośnie między urywanymi oddechami, przywierając do niego z całych sił. – Proszę cię, przytul mnie mocniej...

Mój Will nie mógłby schować mnie w ramionach szczelniej. Przez dłuższą chwilę trwamy w tej samej pozycji, ja uwięziona w uścisku jego silnych rąk i on, z brodą opartą na czubku mojej głowy. Stoimy pośrodku zrujnowanego pomieszczenia, oboje także zrujnowani. Robi mi się zimno. Mam wrażenie, że chłód wżera się w każdy skrawek mojego ciała.

Wypłakuję coraz więcej łez.

Im dłużej myślę o tym, że Will wrócił do handlowania narkotykami, tym bardziej czuję się zraniona, bo wiem, że skoro tak się stało, mogę ponownie zostać bez niego, i to na dłużej. Być może nawet i na zawsze, ponieważ kolejnego błędu nikt mu już nie podaruje.

Dlaczego wszystko znowu spycha nas na najgorsze dno?

– Muszę tańczyć jak mi zagrają – przypomina mój kłamca.

Nie byłam gotowa na to, co zrobi ze mną świadomość, że ten koszmar być może zacznie się od nowa. A teraz... teraz jestem przekonana, że jeśli on osiągnie nas znowu, nie będę umiała znaleźć w sobie wystarczająco dużo siły, by go przetrwać.

On mnie po prostu wykończy.

Will odsuwa się delikatnie. Ciągłe trzyma dużą dłoń na tyle mojej głowy i głaska ją opuszkami palców, patrząc mi przy tym nieprzerwanie w zapłakane oczy. Widzę jakimś cudem, że jego są nieznacznie szkliste, i łkam, nie potrafiąc się opanować.

– Nie mogę im się sprzeciwić, dopóki jestem ich dłużnikiem – ciągnie zmarnowany. – Nie mam wyboru. Nie mam wyjścia. Nie mam nic prócz planów, o których myśląc, mogę zacisnąć zęby i to wszystko jakoś przeczekać.

Współczucie rozrasta się gdzieś we mnie.

– Przepraszam – wyszeptuję całkowicie rozbita, żałując tego, jak go zaatakowałam, nawet jeśli zrobiłam to w silnej panice, że za moment ponownie go stracę. – Nie wzięłam pod uwagę tego, jak ty się czujesz, a przecież to ty znajdujesz się w tym najgorszym położeniu.

– My się w nim znajdujemy. Znajdujemy się w nim we trójkę jeszcze przez kawał czasu.

Na powrót przyciska moją twarz do torsu, widząc, że właśnie tego teraz potrzebuję: żeby mnie sobą osaczył i już nie puścił choćby na marną sekundę.

– Przykro mi, maleńka – wydycha beznadziejnie, a ja czuję całą sobą, że i on opada powoli z sił, przytłoczony rzeczywistością. – Tak strasznie mi przykro z naszego powodu.

Mi też, Will. Mi też jest bardzo, bardzo przykro z naszego powodu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

MARIGOLD

Późną nocą siedzimy na przejściu ewakuacyjnym bloku, pośród chłodu i mgły. Stykamy się ramionami i gadamy o bzdurach. Staram się nie pokazywać po sobie, że coś jest nie tak, lecz ciągle dopadają mnie coraz większe wyrzuty sumienia. W końcu miałam za złe Willardowi, że przemilczał swój powrót do dilerki, tymczasem nadal zachowuję dla siebie przecucie, które mogłoby zaboлеć nas bardziej niż cokolwiek innego, gdyby okazało się słuszne.

Naprawdę jestem żalną hipokrytką.

Ale tak bardzo nie chcę, by mój Will wiedząc, że akurat *ten* mężczyzna zrobił sobie ze mnie narzędzie do zaspokajania najgorszych potrzeb, nie mógł przemóc się, by mnie dotknąć. Co jeśli pomyślałby, że oczekiwałam podobnego traktowania? Przecież wcale tak nie było.

Zerkam na niego niepewnie. Mówi żywo o jutrze: o urodzinach Rhodesa i o prezencie, który mu kupił, a także parska cichym śmiechem, opowiadając mi o ich wspólnej, corocznej tradycji, polegającej na jeźdźeniu godzinami udekorowanym świątecznymi ozdobami metrem. Sama nie odzywam się słowem, zastanawiając się, jak wydusić z siebie prawdę.

Jest mi okropnie wstyd, kiedy przysuwam się jeszcze bliżej niego.

– Will? – zaczynam prawie bezgłośnie.

Zrelaksowany odwraca się do mnie.

– Tak?

Słowa zatrzymują się w mojej krtani. Jak mam mu to przekazać?

– C-chciałabym ci o czymś powiedzieć – jąkam się delikatnie i czuję, jak żołądek zaciska mi się z nerwów w jeden ogromny supeł. – To znaczy... tylko się tego domyślam i nie jest to nic pewnego, ale myślę, że powinieneś mieć o tym pojęcie.

Patrzy w moim kierunku nieco zbity z tropu, ale potakuje.

– Pewnie, o co chodzi?

Biorę potwornie głęboki wdech. Właśnie wtedy ciszę przerywa odgłos przychodzącego połączenia. Will wyciąga komórkę z kieszeni bluzy i sprawdza, kto dzwoni do niego o późnej porze. Jego mina podpowiada, że najchętniej wcale nie odbierałby tego telefonu.

– Za moment do tego wrócimy – wzdycha. – Muszę z kimś coś przegadać.

– Jake albo Ross? – zgaduję.

– Mhm.

– W porządku, leć.

Odsuwam się, by mógł wstać. Zostaję na schodach zupełnie sama: z wielkim mętlikiem w głowie i bez planu, jak to wszystko rozegrać. Od razu chowam bezradnie twarz w dłoniach i przesuwam nimi w dół, próbując zetrzeć z niej zmęczenie, ale to nic nie daje. Nadal czuję się wycieńczona całym dniem, ale też wizją powrotu do najgorszego etapu swojego życia.

Nie chcę do niego wracać.

Długo obgryzam nerwowo paznokcie, aż dochodzę do wniosku, że jednak za żadne skarby nie wydobędę z siebie teraz prawdy. Podnoszę się i podchodzę do barierki. Omiatam wzrokiem zamgloną dzielnicę. Widzę pojedyncze osoby pałętające się po chodnikach. To raczej pijaki albo ćpuny. Chodzą na boki, niektórzy krzyczą jak obłąkani. Cieszę się, że Will postanowił mieć mnie na oku i pójdzie ze mną na występ. Bez tego zapewne bym zrezygnowała.

Po chwili wraca na przejście ewakuacyjne. Zatrzymuje się obok mnie, a następnie opiera nonszalancko przedramiona na balustradzie i odrobinę pochyła się do przodu.

– Śmiało, już możesz się rozgadać.

Spoglądam na niego z opóźnionym refleksem.

– Odłóżmy ten temat na potem. Powinniśmy iść, żeby się nie spóźniła.

– Na pewno? – Willard mruży podejrzliwie oczy, skanując nimi moje, mam nadzieję, że spokojne. – Brzmiałaś, jakbyś chciała coś z siebie nareszcie wyrzucić.

Wmawiam sobie, że następnym razem dokładnie tak postąpię.

– Na pewno. W sumie to nic, co nie mogłoby poczekać, a wolę dotrzeć na miejsce o czasie. Właściciel jeszcze potrąciłby mi z pensji... – mówię to z niezadowoloną miną, którą robię na pokaz. Natomiast Will, mimo że najchętniej wierciłby mi dziurę w brzuchu, odpuszcza.

Nie brzydz się mnie, jak już wszystko wyjdzie na jaw. Nie brzydz, proszę.

Przez całą drogę do celu jak zwykle się przekomarzamy. Zapominam dzięki temu o wszystkim innym i wkraczam do rudery z nieco chłodniejszą głową. Gości, mimo późnej pory, przesiaduje tu dużo. Większość stanowią mężczyźni. Siedzą przy drewnianych, porysowanych stołach, popijając piwo i głośno rechocząc chyba z mojego powodu. Wzdrygam się delikatnie. Will wyczuwa, że jestem niespokojna i w szybkim tempie oplata mnie mocno ręką w pasie.

Pocieszona jego gestem wchodzę w głąb.

Oglądam ściany, na których znajdują się obdarte tapety z panoramą szarego Bronxu, i staram się nie krzywić na zapach staroci zmieszany z potem. To miejsce nie mogłoby być bardziej brudne i nieprzyjemne. Niewyraźne światło lamp daje minimalny ogląd na salę oraz bar, do którego zmierzamy raczej niechętnie. Tam odnajdujemy starszego właściciela knajpy, a on prowadzi nas na tyły lokalu i pokazuje nam małą klitkę, gdzie mogę zostawić rzeczy.

Gdy tylko zostajemy sami, pośród mroku i stłumionej przez papierowe ściany jazzowej muzyki dobiegającej z sali, Will zamyka w uścisku dłoni moje policzki. Robi to tak mocno i niespodziewanie, że aż podskakuję w miejscu, nieprzygotowana na podobny ruch z jego strony.

– Kurwa, proszę cię, Gold... naprawdę proszę – wypowiada każde słowo w ogromnym pośpiechu, a jego zamglone desperacją ślepią nie przestają gonić za moimi oczami, mimo ciemności panujących naokoło nas.

Moje gardło schnie na wiór, ponieważ on... prosi. Ponadto w sposób, jakby jego życie zależało od tego, czy mu ulegnę. Skrycie przestraszona wyduszam z siebie ciche pytanie:

– O co?

Chłopak wznosi rozbiegane spojrzenie ku sufitowi, jednak prędko na powrót skupia się na mnie.

– To musi być pierwszy i ostatni raz, kiedy tu przyszliśmy – ciągnie na jednym wdechu i zamyka w mocniejszym chwycie moją twarz, potrząsając nią lekko. – Nie chcę, żebyś poświęcała się aż tak i przyłądziła w podobne miejsca nawet ze mną. Pragnę z całych jebanych sił trzymać cię od nich z daleka. Jeśli uważasz, że ta kasa jest nam strasznie potrzebna, stanę na głowie, żeby ją zdobyć, ale niech twoja noga tu więcej, do cholery, nie postanie, dobra?

Początkowo się nie odzywam. Jedynie kręcę pomału głową, sparaliżowana myślą, że jestem dla niego aż tak ważna. Will stanąłby na głowie, jak sam powiedział, bylebym tylko czuła się komfortowo i nie przychodziła do takich ruder, gdzie stanowią atrakcję dla oblechów.

Nie mam pojęcia, jak dobrnęliśmy do tego momentu, ale przeraża mnie to, że ja też chwyciłabym się wszystkiego, aby i on poczuł się chociaż trochę lepiej. Po prostu... szczęśliwszy.

– Wiem, że zależy ci na tym, by mnie chronić, ale spójrz na siebie – zdobywam się nareszcie na odpowiedź i nie mogę zapanować nad swoim łamiącym się głosem. – Spójrz, jakie to ty codziennie podejmujesz ryzyko, żebyśmy tylko mieli za co się stąd wynieść. Nie możesz dźwigać tego wszystkiego na barkach sam. Ja też chcę coś zrobić. Zdobyć jakoś tę kasę. Choćbym miała przychodzić tu co jakiś czas i wysłuchiwać okropnych komentarzy, tak bardzo chcę cię chociaż odrobinę odciążyc, Will. – Pociągam nosem. – W końcu jestem twoją...

– No właśnie – przerywa mi cicho i przesuwając palce dłoni nadal ułożonych na mojej twarzy tuż pod zmęczone oczy. – Kim ty tak właściwie dla mnie jesteś, co?

Uśmiecham się słabo mimo silnego smutku, który się we mnie rozrasta. Potem nabieram krótki wdech ustami i spoglądam na wargi Willa, delikatnie rozchylone, jakby w oczekiwaniu.

– Jestem dziewczyną twojego życia.

Prycha z rozbawieniem, ale bije od niego przygnębienie.

– Wiesz, że jestem przekonany o tym, że trafiłaś w punkt?

– Wiem – potwierdzam rozbawiona, ale też zdołowana. Staram się odpędzić niechciane łzy, które

bardzo pragną popłynąć. – Ale czy mógłbyś nie prosić mnie już więcej, żebym siedziała na tyłku, kiedy ty wypruwasz sobie żyły i ciągle się narażasz, aby było nam w przyszłości lepiej? Pozwól, że ja też postaram się o to, żeby kiedyś było nam dobrze... okej?

Krzyżuję z nim spojrzenie. Will wydaje się tak samo niepewny.

– Jak mam się przemóc, co? – pyta prawie niesłyszalnie.

Obejmuję dłońmi jego uniesione nadgarstki i patrząc mu prosto w oczy, składam krótkie muśnięcie na wewnętrznej części jednego z nich.

– Pomyśl, że żadne zaczepki nie robią na mnie wrażenia. Że to tylko godzina i kiedy trwa, odłączam się od rzeczywistości – przekonuję go spokojnie. – Wspominam czasy, gdy grałam na pianinie z mamą. Znajduję się w kompletnie innym wymiarze. Do tego czuję się bezpiecznie, bo mam pewność, że jesteś blisko i w razie czego zainterweniujesz.

Brunet wypuszcza ze zrezygnowaniem powietrze zalegające w płucach.

– Panno Harding! – słyszymy wołanie zza drzwi.

Przymykam na krótko powieki i je uchylam.

– Już idę! – odkrzykuję w stronę, skąd dobiegło ponaglenie właściciela, po czym znowu odnajduję pośród gęstej czerni spojrzenie brązowych oczu. Willard opuszcza bezsilnie ręce. Splata je za karkiem oraz odwraca się do mnie plecami i robi dwa kroki do przodu.

– Nie wiem, Gold – rzuca w międzyczasie pogubiony.

Podłamana podchodzę do niego powoli.

– Zanim się obejrzyysz, będzie już po wszystkim. – Kładę ostrożnie dłoń na jego ramieniu i przytulam do niego głowę. Jeszcze kilka minut stoimy tak w ciemnościach, ja oparta o niego oraz on, nieprzekonany, czy moje występy w tym miejscu to dobry pomysł.

Chociaż straszliwie się martwi, nareszcie się poddaje.

– Dobrze.

Ucieszona wspieram się na palcach stóp, całuję go przelotnie w szczękę i nie chcąc dłużej testować cierpliwości właściciela lokalu, odsuwam się z zamiarem jak najszybszego przemknięcia na salę, gdzie w rogu znajduje się stare pianino. Nim zdołam jednak wyjść, ręka Willarda zaciska się na moim przegubie oraz zatrzymuje mnie w miejscu.

– Zaczekaj. – Jego szept roznosi się po ciemnej klitce, w której z każdą upływającą minutą robi się tylko bardziej duszno i ciasno, przynajmniej tak mi się wydaje.

Przywołana przez chłopaka spoglądam na niego.

– Tak?

– Powodzenia. – Pociera czule kciukiem moją skórę i pozostawia na niej mrowienie. – Do tej pory ci się do tego nie przyznałem, ale uwielbiam to, jak grasz.

Moją twarz rozjaśnia nieznaczna radość.

– Poważnie?

– Każdą przerwę na uczelni, którą spędziłaś przy pianinie, ja spędziłem, oglądając i słuchając cię zza najbliższej ściany – zdradza, a moją klatkę piersiową zalewa niewyjaśnione ciepło. Nie sądziłam, że komuś spodobałoby się to, jak obchodzę się z pianinem, a w szczególności nie sądziłam, że spodobałoby się to akurat jemu.

Kąciki moich ust unoszą się jeszcze wyżej.

– Chciałeś zabrzmieć jak stalker?

– Jak romantyk.

– Prawie ci wyszło. – Śmieję się i zabieram rękę, bo naprawdę goni mnie czas. Idąc pomału tyłem do drzwi, wciąż wpatruję się w stojącego w miejscu Willarda, mimo że przez ciemność dostrzegam jedynie zarys jego ciała. Mając jednak pewność, że mnie słucha, wydobywam z siebie tajemnicze: – Dziękuję, że próbujesz.

Milczy przez chwilę, nic z tego nie rozumiejąc.

– Czego próbuję? – pyta w końcu.

– Sprawiać, żebym czuła się najlepiej.

W mgnieniu oka znajduje się znowu przy mnie i głaszcze knykciami moją skroń.

– Chcę wynagrodzić ci każdy jeden raz, kiedy wbrew mojej woli dzieje się ze mną coś niedobrego i

czujesz się źle – odpiera szczerze, a jego grdyka delikatnie przy tym drga. – Jestem ci wdzięczny za każdy jeden dzień i każdą jedną noc, którą jeszcze przy mnie trwasz.

Wzruszenie rozlewa się po moim ciele. Will naprawdę docenia to, że mimo wszystko przy nim trwam. Ale jak mogłabym go opuścić, kiedy jest dla mnie tak strasznie ważny? Kiedy wiem, że to on jest tym chłopakiem, na którego czekałam przez ten cały czas?

– Nie musisz – szeptam. – Nie musisz, wiesz?

Wtem drzwi otwierają się i staje w nich wkurzony właściciel knajpy.

– Przyszedłeś tu grać czy ucinać sobie pogawędki? – burczy niemiło.

Sprawia wrażenie mocno zniecierpliwionego, dlatego zerkam na Willa ten ostatni raz i idę za mężczyzną długim korytarzem w stronę wejścia na salę. Tam siadam przy pianinie. Mimo że nie rozgrzałam dobrze palców w trakcie marszu tutaj, to po czasie coraz swobodniej wygrywam melodię jednej z ulubionych piosenek. Wtedy odpływam daleko myślami. Przypominam sobie, jak mama uczyła mnie tego, co sama umiała. Byłam taka szczęśliwa.

Zamierzam znowu taka być, dlatego gram dalej.

– Wleczesz się, Harding!

Wybiegam jak torpeda z obskurnej knajpy, trzymając w zaciśniętej dłoni zarobione sześćdziesiąt dolarów, i próbuję nadażyć za cholernym Willardem. Chłopak idzie przed siebie spokojnym tempem. Ma dłonie wetknięte do kieszeni spodni i nie odwraca się, podczas gdy ja, cała potargana oraz na pewno czerwona na twarzy, gonię go jak szalona.

– Nie dogryzaj moim krótkim nogom! – kłócę się z nim i w nieprzerwanym biegu chowam kasę tam, gdzie będzie najbardziej bezpieczna, czyli do stanika pod warstwą reszty ubrań. Rozbawiony Willard w tym czasie zerka na mnie przez ramię i unosi prowokująco brew.

– Bo co?

– Bo zrobią ci krzywdę – zapowiadam, szczerząc się szeroko.

Brązowe oczy mojego rozmówcy iskrzą szczerym zadowoleniem.

– Skopią mnie przez sen?

Parskam naprawdę głośno.

– Żebyś się nie zdziwił! – Wybucham śmiechem i z rozpędu wskakuję na plecy niczego niespodziewającego się Willarda. On pomimo zaskoczenia, natychmiast układa dłonie pod moimi udami i poprawia mnie na sobie, nie zatrzymując się nawet na moment, jakby nic się nie zmieniło i nadal szedł do przodu bez dźwigania nadprogramowego bagażu, czyli mnie.

Nadal wesołej i uszczęśliwionej nie wiadomo do końca czym.

– Dobrze się czujesz? – pyta zrelaksowany.

Widzę to, ponieważ na moment odwraca głowę w moim kierunku. Zarzucam mu w tym momencie rękę na szyję i obejmuję go mocno, przytulając się do jego ciepłego ciała.

– Obraziłeś je, więc dasz im teraz odsapnąć i mnie ponosisz. – Mam na myśli swoje nogi, o czym on doskonale wie. Od razu zadaje mi pytanie przesiąknięte ironią:

– Coś do tego?

Marszczę brwi, bo zauważam biały ślad na twarzy Willa.

– Czekać, nie odwracaj się – mówię i przebiegam skostniałymi palcami jednej dłoni po jego policzku.

Otwieram szerzej oczy. – To śnieg... sypie pierwszy tegoroczny śnieg.

Rozradowana rozglądam się po opustoszałym Bronksie. Gęsta mgła wciąż spowija całą przestrzeń skupiającą w sobie brzydkie kamienice, paskudne bloki i zaśmiecone ulice. Ale nawet taka dziura wygląda magicznie, kiedy z nocnego, ciemnego nieba spada rzadki puch. Pojedyncze płatki osiadają na mojej twarzy, podczas gdy wystawiam ją ku górze.

Zachwycona napawam się chwilą, a Will szczypie mnie w łydkę.

– Pięknie, a ty łazisz porozbierana – mamrocze pod nosem.

– A ty to co, hm?

Obejmuję go mocniej rękami i pochylam się do przodu. On patrzy przed siebie z powagą. Nie mogąc się powstrzymać, całuję szybko jedną z jego blizn, jednak nawet to nie hamuje go przed odburknięciem dwóch ostrzegawczo brzmiących słów.

– Nie pyskuj.

Zagryzam dolną wargę, powstrzymując następny uśmiech.

– Daj mi powód, dlaczego nie powinnam – droczę się z nim.

– Pierwszym, co zrobię, jak już cały Bronx zostanie zasypany przez to zimne gówno, będzie wrzucenie cię w największą zaspę, jaką tylko znajdę – stwierdza i wcale nie sprawia wrażenia, jakby sobie ze mnie żartował. – Potem zaczekam, aż się w niej udusisz.

Przyciskam swój zmarznięty policzek do jego.

– Brzmi brutalnie – odpieram rozweselona.

– Więc się pilnuj.

– Ugh, mam całe mokre włosy – zauważam niechętnie, bo czuję, że robią się one cięższe wraz z każdą upływającą minutą, którą spędzamy na zimnie. – Wyglądam jak straszyciło.

Willard podchwytuje temat i rzuca kpiąco:

– Że dopiero z mokrymi włosami tak wyglądasz?

Prostuję się na jego plecach i uderzam go w łopatkę.

– Wiesz co?

– Co?

– Pstro. – Sprzedaję mu szczeniacką odżywkę, po czym dostrzegam, że stoimy już pod najniższym piętrem przejścia ewakuacyjnego naszego bloku, skąd wcześniej przedostaliśmy się na chodnik. – Postaw mnie i podsadź. Muszę się jakoś wspiąć.

– Mogę cię przerzucić – oferuje chłopak.

Patrzę to na niego, to na balkon.

– W sumie to możesz.

Wzruszam ramionami i zaraz pozwalam, by Will najpierw mnie z siebie ściągnął, a potem rzeczywiście przerzucił przez barierkę na przejście ewakuacyjne. Gdybym była bardziej roztropna, pewnie uczepiłabym się czegoś ręką w locie, żeby nie upaść, ale tego nie zrobiłam.

Więc wylądowałam jak długa na metalowych kratkach z bólem pleców, szczypiącymi od mrozu policzkami i śmiechem. Zaczynam się nim wręcz dusić, patrząc na niebo, z którego spada coraz więcej wilgotnego śniegu. Mrugam, żeby pozbyć się go z rzęs.

Nagle dostrzegam stojącego tuż nade mną Willarda.

– Ja pierdołę, zabiłem cię? – pyta lekko spanikowany.

Nie przestaję się śmiać, chociaż mogę obudzić sąsiadów.

– Z czego się chichrasz? – Brunet ściąga brwi.

– Jakie to było głupie...

Przewraca oczami.

– Wstawaj, idiotko.

– Czekał, już korzystam z pomocy twojej ręki, dżentelmenie – pryham sarkastycznie, na co Will schyla się i kiedy myślę, że zaoferuje mi swoją dłoń, po prostu podnosi mnie z ziemi i stawia na nogi bez najmniejszego wysiłku, jakbym była głupim manekinem.

– Rany boskie – mówi. – Przestań się tak śmiać.

Wystawiam w jego stronę język.

– To mnie nie słuchaj.

– Jesteś głośna.

– To twój problem.

Obnażam prowokująco zęby.

– Mam cię uciszyć? – zastanawia się na głos.

Podchodzę do schodów i wchodzę na pierwszy stopień.

– Nie uda ci się – odpowiadam z przekonaniem.

– Tak sądzisz?

Nie odpowiadam. Po prostu rzucam się do biegu po stopniach, wciąż co rusz wybuchając śmiechem i znosząc śnieg syjący mi w twarz. Słyszę za sobą ciężki oddech i nie potrzebuję innego potwierdzenia, że Will wziął sobie za punkt honoru dogonienie mnie. Teraz przeskakuje przez schody zwinnie niczym zwierzę, a ja zwiewam przed nim na górę, ile mam sił w nogach, myśląc, że dawno nie czułam się tak beztrosko i

dobrze.

Na szóstym piętrze zostają szczelnie zamknięta w szerokich ramionach. Wtulam się w nie, połykając mroźne powietrze i przecierając palcami zażawione od zimna oczy. Zdyszany Willard natomiast przebiega dłonią po moich plecach, by mnie jakoś rozgrzać.

– Jesteś taka uparta – mamrocze rozbawiony.

Podrywam głowę i zaglądam mu w oczy.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Liczyłem, że się poślizgniesz i wyrznisz na tych schodach.

Moja mina zdecydowanie rzędzie.

– Ty skończony durniu – obruszam się.

Chłopak wskazuje kiwnięciem na okno.

– Dobra, włącz już – rozkazuje mi.

Najpierw jednak odsuwa się i robi mi miejsce, bym mogła wskoczyć do środka. Robię to błyskawicznie i zaraz stoję w zaciemnionym salonie jego mieszkania, zadowolona z tego, jaki obrót przybrała ta noc. Przeczesuję wnętrze spojrzeniem. Wszystko jest chyba na swoim miejscu, włącznie z farbami plakatowymi Rhodesa, więc młody raczej nie wyściubił nosa z sypialni i grzecznie spał. Na wszelki wypadek zaglądam do pomieszczenia i przez szparę w drzwiach upewniam się, że cicho pochrapuje. Will, nie wiedzieć kiedy, staje tuż za mną.

Przez chwilę oboje przyglądamy się drzemiącemu maluchowi.

– Gdzie idziesz? – pyta prawie bezgłośnie pan gospodarz, gdy odwracam się na pięcie z pewnym zamiarem. Szybko wyciągam dłoń w kierunku jego mokrej czupryny i wplatam w nią palce, odnajdując w skąpanym w mroku korytarzu jego baczne spojrzenie.

– Po ręczniki. Musimy się przecież wysuszyć, no nie?

– Zrób herbatę, ja ogarnę ręczniki – decyduje chłopak.

Przytakuję. Też napiłabym się czegoś ciepłego, dlatego przechodzę do kuchni i jak najciszej wyciągam z szafki dwa kubki, do których wrzucam torebki z herbatą. Całość zalewam przygotowanym w międzyczasie wrzątkiem. Czekając, aż wszystko się zaparzy, opieram wyprostowane ręce na krawędziach blatu i podskakuję radośnie na palcach stóp.

Wydaje mi się, jakby motyle miały mi zaraz wyfrunąć z brzucha. Ta noc okazuje się naprawdę przyjemna. Po raz pierwszy od dawna chociaż na moment zapominamy z Willem o wszelkich problemach i bawimy się jak dzieci. Oderwani od okropnej rzeczywistości, w której ledwo wiążemy koniec z końcem i ciągle obawiamy się, czy uda nam się stąd pewnego dnia uciec.

Wtem ktoś zachodzi mnie od tyłu i nakrywa mi całą głowę jakimś materiałem. Prędko uświadamiam sobie, że to Will suszy ręcznikiem moje włosy, nie będąc przy tym delikatnym. Na pewno jest złośliwie wyszczerzony, bo niczego nie widzę i nie mogę się odsunąć.

– Willard! – karcę go cicho, próbując się nie uśmiechać.

– Co? – pyta głupekowato. – Pomagam ci.

Szarpiemy się, dopóki nareszcie mi nie odpuszcza.

– Jezu, kręci mi się w głowie. – Przytykam dłoń do czoła i sięgam po swoją herbatę, upijając jej nieduży łyk. Napój przyjemnie mnie rozgrzewa, ale nie tak jak ledwo słyszalny, chrapliwy śmiech tego durnia, który porywa drugi kubek.

– Aż tak na ciebie działałam?

– Też coś. Pij i idziemy spać. Jutro czeka nas wielki dzień.

– Urodziny Rhodesa – odpowiada spokojnie Will.

Opiera się łędwiami o krawędź blatu i patrzy na mnie z góry. Ja natomiast na chwilę odkładam herbatę na bok. Dopiero potem zatrzymuję się przed nim z lekko zadartą brodą. Stoimy przez chwilę w ciemnym pomieszczeniu bez słów, aż w końcu go poprawiam:

– Wasze urodziny.

Wpuszczam ten szept prawie że w jego usta i składam na nich delikatny pocałunek. Następnie uchylam przymknięte przed sekundą powieki oraz spoglądam w ciemne oczy chłopaka, do którego tej nocy przywiązałam się jeszcze mocniej, i dokańczam dyskretnie:

– Więc już teraz wszystkiego najlepszego, mój kłamco.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

MARIGOLD

Słyszac ciężkie kroki dochodzące z korytarza, zaczynam się denerwować. Szybko podsuwam jasną pościel pod sam nos i zaciskam na jej skrawku drobne pięści. Oby Maverick nie przyszedł do mnie z życzeniem, żebym okazała się posłuszna, bo na samą myśl, że miałabym to zrobić, do moich oczu napływają łzy. Może i nie powinno smucić mnie to, że mój mężczyzna ciągle mnie pragnie, ale tak jest, bo zaspokojenie jego potrzeb zostawia mnie z poczuciem upokorzenia.

Wchodzi do sypialni ubrany w białą koszulę oraz eleganckie spodnie. Od razu zbliża się do szafy i jedynie łypie na mnie mimochodem, co nieco mnie uspokaja, bo raczej niczego nie oczekuje. Kamień spada mi z serca. Zwłaszcza że Maverick dochodzi do pewnych wniosków.

– Strulaś się czymś? – pyta po namyśle. – Kiepsko wyglądasz.

– Głupio mi kłamać, ale czuję, że tylko tak się przed nim uchronię.

– Raczej tak – przytakuję niewyraźnie. – A ty... wychodzisz gdzieś?

– Ze znajomymi, idziemy do knajpy, tej na promenadzie. Zabrałbym cię, ale dobrze wiesz, jak jest. – Wydycha powietrze i z wprawą wiąże na szyi czarny krawat. – Nadal musimy się ukrywać, ślicznotko. Nie chcemy przecież, żebym wyszedł na zdrajcę, prawda?

– Posyła mi zachęcający uśmiech, a ja odwzajemniam go w słabym stylu.

– Bardzo tego nie chcemy.

– Super, że się rozumiemy. Dziękuję, że nadal jesteś taka wyrozumiała. Bardzo to doceniam, kochanie – dodaje, natomiast we mnie tak naprawdę rodzi się silny, uporczywy żal.

– Jak długo jeszcze to będzie trwało? To nasze bycie sekretem?

– Nie ma za co – odpieram mimo wszystko, lecz bardzo cicho.

– Odwraca się do mnie z pytaniem zadany troskliwym tonem:

– Potrzebujesz czegoś?

– Nie, nie chcę zabierać ci czasu. Wyglądasz, jakbyś się śpieszył.

– Och, błagam, nie myśl nawet, że dotarcie na miejsce o czasie jest dla mnie bardziej istotne niż ty. – Brzmi na odrobinę oburzonego moim tokiem rozumowania i podchodzi do mnie, zakopanej w kołdrze. – Zrobisz mi chociaż herbatę i włączysz jakiś film. Co powiesz na komedię?

– Będzie w porządku.

– Robi mi się odrobinę cieplej na sercu, kiedy widzę go zmartwionego moim stanem zdrowia. Mężczyzna nachyla się nade mną i składa pocałunek na moim czole, nim wychodzi z sypialni i kieruje się zapewne do kuchni, by tam przyrządzić mi coś do picia. W takich chwilach myślę, że trafiłam z nim w dziesiątkę. Że mój Maverick jest tym samym idealnym Maverickiem, którym był dla mnie w sierocińcu. Nie tym strasznym facetem oczekującym brudnych rzeczy.

– Myślę o tym, ale niedługo, bo słyszę dźwięk przychodzącej wiadomości. Najpierw podejrzewam, że to Millie napisała do mnie po kilku dniach ciszy z jej strony i sięgam po swój telefon leżący na szafce nocnej. Na ekranie nie widzę jednak ani jednego powiadomienia. Przekręcam się na drugi bok i orientuję się, że to wyświetlacz komórki Mavericka, znajdującej się na jego połówie łóżka, pozostaje podświetlony.

– Waham się, czy mu go zanościć. Wtedy nadchodzi kolejny SMS i chociaż odwracam wzrok, nie chcąc go zobaczyć, i tak uświadamiam sobie, że to Camille pyta Mavericka, czy dostanie urlop, bo chciałaby wyjechać z nim gdzieś na kilka dni.

– Natychmiast wracam do poprzedniej pozycji i zaciskam z bólem powieki. Chce mi się wyć, gdy wszystko ciągle wskazuje na to, że mój ukochany tak naprawdę świetnie dogaduje się ze swoją żoną. Podobno uczucie pomiędzy nimi się wypaliło i niedługo mają wziąć rozwód, ale powoli przestaję w to wierzyć. W końcu te ich czule wiadomości, nasze ostatnie spotkanie z Camille w kawiarni i do tego fakt, że Maverick wciąż odwleka przekazanie jej pozwu... to nie daje mi spokoju i nadal tylko bardziej mnie smuci. Czy mój ideał mógłby grać na dwa fronty?

Czy od początku mógłby uznawać mnie za tę drugą?

Z letargu wytrąca mnie jego ponowne pojawienie się w pokoju. Maverick podchodzi do mnie z kubkiem w ręce, a ja próbuję wyglądać wtedy na bardzo chorą. Przynajmniej przez to nie zapyta, czy wszystko w porządku... a nic nie jest w porządku po tym, co przeczytałam.

Kładąc herbatę obok, wychodzi w moją stronę z propozycją:

– Mogę też pójść szybko do apteki, po co tylko zechcesz.

– Nie musisz – zaprzeczam, czując potwornie gryzącą mnie w środku obawę. – Obejrzę film, a później może zasnę. Myślę, że strasznie długi sen postawi mnie na nogi.

– Więc wracając, postaram się cię z niego nie obudzić.

– Okej.

Mężczyzna uśmiecha się w ten swój oszalamiający sposób i podchodzi do odtwarzacza, by włączyć mi obiecany film. Nie przywiązuję jednak do niego uwagi. Głowę zaprzęta mi niepewność co do tego, czy mój Maverick nie uknuł żadnego planu. Moje domysły są okropne, a on pewnie niewinny, ale jak wytłumaczyć, że to wszystko wygląda... właśnie tak?

Jeśli naprawdę miałby mnie tylko za drugą opcję, chyba bym się załamała.

– Maverick? – przywołuję go niepewnie.

Spogląda na mnie spokojny.

– Słucham?

Oczy szklą mi się wbrew mojej woli, a słowa zdają się palić mnie w krtani.

– Ta cała sytuacja ze mną i Camille... – zaczynam kompletnie pogubiona, mnąc w palcach koldrę – ...ona nie jest ci na rękę. Męczy cię tak samo, jak męczy mnie, prawda?

Ściąga brwi i wstaje na nogi.

– A masz co do tego wątpliwości, Mari? – Po chwili ponownie zatrzymuje się tuż przed łóżkiem i kuca przede mną, leżącą na boku. – Jasne, że najchętniej oddzieliłbym już grubą kreską przeszłość z nią i teraźniejszość z tobą. Teraz to ty jesteś moim oczkiem w głowie.

– Tylko nim? – dociekam.

Zaczyna bawić się kosmykiem ciemnych włosów, który opadł mi na twarz. W tym czasie zaglądam prosto w jego brązowe oczy, w których nie odnajduję ani odrobiny zdenerwowania, ani zawahania. Gdyby kłamał, chyba nie brzmiałby ani nie wyglądał tak wiarygodnie, prawda? A może jest zadziwiająco dobrym kłamcą? Ja... sama już nie mam pojęcia, co sądzić.

Maverick przygląda mi się z dołu z miłością i zainteresowaniem.

– Jesteś moją kobietą. Nie obchodzi mnie żadna inna.

Chcę zostać sama, dlatego nie dopytuję o nic więcej.

– Jasne – odpieram tylko. – Kocham cię bardzo mocno.

– A ja ciebie, ślicznotko. W razie czego będę pod telefonem, tak?

Wstaje, obchodzi łóżko i sięga po urządzenie, a ja przytakuję.

– Tak. Jedź bezpiecznie.

Patrzę, jak opuszcza sypialnię i nie mogę wyrzucić z głowy ani wiadomości, którą otrzymał od żony, ani myśli, że być może tak naprawdę pojechał spotkać się do restauracji z nią. Zadręczam się tym przez godzinę, potem jeszcze jedną... aż pękam. Muszę to sprawdzić, bo oszaleję. Postępuję niemądrze i okropnie, ruszając dokądś za nim, ale nie dam rady tak dłużej.

Zbieram się, po czym wychodzę z mieszkania cała w nerwach.

Chociaż na zewnątrz jest ciepło, i tak niespokojne drzę, gdy po dłuższym czasie tłuczenia się miejskimi autobusami docieram na promenadę. Tego wieczoru spaceruje po niej ogrom ludzi. Wtapiam się więc w tłum, wypatrując restauracji, do której raz zabrał mnie mój ukochany, i zamieram, bo po kilkunastu minutach poszukiwań... namierzam go wzrokiem w jej głębi.

Podchodzę bliżej knajpy, ale nie wchodzę do środka. Zamiast tego stoję przy stolikach znajdujących się na zewnątrz i próbuję się nie rozplakać, widząc śmiejącą się z czegoś parę. Maverick i Camille przyszli tutaj sami. Nie spotkał się ze znajomymi. Jest tutaj z nią.

Grymas bólu wpełza mi na twarz. Okłamał mnie. Może... ciągle to robi.

Dusi mnie pierwszy szloch. Bardzo staram się go z siebie nie wydobyć, a przynajmniej zatrzymać go w sobie, dopóki nie dotrę z powrotem do mieszkania. Czym prędzej obracam się na pięcie, żeby do niego

wrócić, ale w tym momencie zderzam się z jakimś chłopakiem. Z początku myślę, że to po prostu klient, lecz odgłos rozbitego szkła, który huczy w mojej głowie przez kolejne sekundy, uzmysławia mi, że wpadłam na kelnera.

Wszystkie pary oczu lądują na nas. Nie wytrzymuję. Pozwalam, by łzy popłynęły mi po twarzy i błyskawicznie klękam nad zbitymi naczyniami, tak samo jak pracownik knajpy. Boże, narobiłam bałaganu... jakby niewystarczająco dokopał mi fakt, że zobaczyłam ich razem.

– Rany, bardzo przepraszam... – dukam, chlipiąc. – Nie chciałam, naprawdę nie.

– Nie martw się. Zaraz to ogarnę.

Głos pracownika restauracji jest przyjemnie łagodny i dodaje mi nieco otuchy, podobnie jak jego szczery uśmiech. Zapatruję się w niego o kilka sekund za długo, starając się wyrazić samym spojrzeniem, że jest mi okropnie głupio i bardzo go przepraszam.

Wtem czyjaś ręka zaciska się władczo na moim ramieniu, podnosi mnie szarpnięciem do góry i odciąga od skołowanego kelnera. Nie wiem, co się dzieje, kiedy ktoś popycha na ławkę znajdującą się niedaleko. Dopiero kiedy ląduję na niej tyłkiem z loskotem, rozumiem, z kim mam do czynienia.

Ze wściekłym jak diabli Maverickiem.

– Co ty tutaj robisz? – warczy gniewnie.

Przestraszona jego tonem i wyrazem poczerwieniałej twarzy odsuwam się na sam skraj siedzenia. Coraz więcej mokrych śladów toruje sobie drogę po moich policzkach, bo dużo razy widziałam swojego chłopaka złego, ale przenigdy ogarniętego aż taką dziką furią.

Teraz zaciska gwałtownie palce na moim podbródku i ciągnie go ku sobie.

– Zapytałem: co ty tu, kurwa, robisz? – wypluwa coraz bardziej rozdrażniony i zaciska szczękę. – Najpierw sprawdzasz mi telefon, a potem za mną łazisz? Taka jesteś nieufna, he?

Patrzę na niego piekącymi oczami i oddychając spazmatycznie, szybko zaprzeczam.

– Nie, ja... uznałam, że wyjście na świeże powietrze dobrze mi zrobi i...

– Oczywiście – prycha zajadle. – Przyłazłaś tutaj, wściubiłaś nos w nie swoje sprawy i przy okazji zepsułaś mi nastrój na resztę wieczoru. Jesteś z siebie zadowolona, Marigold?

Milczę dłuższą chwilę, bo przez panikę nie mogę niczego z siebie wydusić.

– A-ale co ty tu właściwie robisz z nią? – pytam w końcu głosem jedynie odrobinę silniejszym od beznadziejnego szeptu. – Nie powinieneś mi tego w-wytłumaczyć?

Maverick puszcza moją brodę z taką siłą, że aż odrzuca mnie do tyłu.

– Co tu jest do tłumaczenia? Czekamy na resztę znajomych. Czy to takie dziwne, że mamy kilku wspólnych po tylu latach małżeństwa? No oczywiście, że nie. Skończ nareszcie wmawiać sobie, że coś wciąż mnie z nią łączy, bo popadasz w jakąś jebaną paranoję. To, co ci mówię, jest prawdą, więc jak słyszysz, że pomiędzy mną i Camille nic nie ma, masz tak myśleć.

Jego źrenice zwężają się złowrogo, a ja krztuszę się własnym płaczem.

– Teraz przespacerujesz się grzecznie do domu na tym swoim świeżym powietrzu i zaczekasz tam na mnie – cedzi i wlepia w moją twarz mroczne spojrzenie, a ja dobrze wiem, czego jest zapowiedzią. Skurcz w moim podbrzuszu daje o sobie prędko znać. Ja... nie, nie chcę.

Wyduszam z siebie nędzny, błagalny szept.

– Maverick...

– Marsz do mieszkania – żąda twardo i odsuwa się na pewną odległość, bardzo niezadowolony oraz niewiarygodnie surowy. – Nie psuj mi jeszcze bardziej tego wieczoru.

Wstaję z ławki i na wiotkich nogach kuśtykam najpierw do wyjścia z promenady, a później do najbliższego przystanku autobusowego, ani razu nie odwracając się za siebie. Nie wracam do mieszkania. Wiedząc, co mi grozi, jeśli się w nim pojawię, wybieram bezpieczniejsze wyjście. Calutką ciepłą noc spędzam na plaży blisko sierocińca, powtarzając pewne kłamstwo:

Jeszcze będzie taki idealny, jaki był kiedyś.

Otwieram bardzo szeroko szczypiące oczy i zaczynam błdzić rozgorączkowanym spojrzeniem po pograżonym w ciemnościach pomieszczeniu w poszukiwaniu miliona potwierdzeń, że znajduję się w bloku na okropnym Bronksie. Mam duszności. Mój oddech niepokojąco świszczy. Ktoś coś do mnie mówi, jednak jeszcze przez dłuższą chwilę nie mogę się otrząsnąć.

– Gold? – Will... on do mnie szepcze? – Gold, to tylko koszmar.

Coś miłego przebiega po moim odkrytym ramieniu. Mija kilka kolejnych minut, zanim dochodzi do mnie, że to opuszki palców chłopaka leżącego za mną na kanapie czule głaskają moją skórę. Wlepiam wzrok w rzadki śnieg padający z nocnego nieba i przetykam ślinę.

– Obudziłam cię, prawda?

– To bez znaczenia.

– To żalosne, że nie daję ci odpocząć po naprawdę ciężkim dniu – odpieram niemrawo, czując się z tym, co się stało, cholernie źle. – Może powinnam iść spać na górę, do swojego mieszkania? Tam przynajmniej nie będę nikomu przeszkadzać. Tak, to świetny pomysł. – Podnoszę się do siadu, zmuszając zastygłe mięśnie do posłuszeństwa i dorzucam wydyszany w pośpiechu szept: – Wezmę tylko kilka rzeczy, jakiś koc... co ty najlepszego wyprawiasz?

Dłoń Willa w którymś momencie zacisnęła się wokół mojego przedramienia.

– W tym momencie? – pyta, jak gdyby nigdy nic, i unosi przy tym delikatnie brew. – Mówię ci, że pieprzysz jak najęta. Po prostu leż na swoim miejscu, a ja udam, że nie słyszałem tej jebanej głupoty o twoim przeniesieniu się na piętro wyżej.

Patrzmy na siebie przez chwilę w milczeniu: on leżąc nadal na kanapie z roztrzepanymi włosami, rozchyłonymi ustami i spojrzeniem, które we mnie utkwiał, tak uważnym, że aż przyprawiającym mnie o gęsią skórę. Natomiast ja... siedząc na niej i nieśmiało zerkając w jego kierunku z przekonaniem, że akurat w tym momencie mu wyłącznie przeszkadzam.

W końcu spuszczam zrezygnowany wzrok i robię to z bólem serca.

– Ale to wyjdzie ci na dobre – odpowiadam niepewnie, próbując nabrać uspokajający wdech nosem. – Wypoczniesz. Chciałabym, żebyś nareszcie wypoczął, Will.

Wzdycha i ciągnie mnie ostrożnie ku sobie.

– Ściągnij bluzę – nakazuje w międzyczasie. – Jesteś cała spocona i możesz się zgrzać. Jeśli chcesz odwrócić się do ciebie plecami i tak zaśniemy znowu. Będę w razie czego obok, tylko po prostu bez szans, żeby cię tknąć, bo widzę, że się boisz. Czy to wydaje ci się okej?

Chcę zaprzeczyć, zapewnić go, że naprawdę mogę iść „spać” do swojego mieszkania, ale z każdą kolejną sekundą gromadzi się we mnie coraz większa pewność, że Will absolutnie mi na to nie pozwoli. Dlatego w końcu poddaję się i ściągam bluzę. Potem kładę się na kanapie w tej samej pozycji co przedtem i zmęczona podkładam dłonie pod policzki.

– Nie – odpowiadam po cichu. – Wolałabym, żebyś mnie objął.

On długo zostawia mnie bez żadnej reakcji.

– Jesteś przekonana, że tego, no wiesz... potrzebujesz?

Zaglądam w mrok i uśmiecham się słabo.

– Na milion procent.

Przekłada rękę przez mój brzuch i przygarnia mnie do swojego ciała. Nieśmiały sposób, w jaki to robi, kompletnie do niego nie pasuje, ale ja rozpływam się nad nim i nie mogę przestać. Nie mogę także wygonić żalu, który rozlał się w mojej piersi, gdy znowu dopadła mnie pewna świadomość. Nie obdarzę Willa miłością. Nie zrobię tego choćby za wieczność... a tak strasznie chciałabym, by pojął, że to, co czuję, gdy jest blisko, nie jest wcale od niej słabsze.

Teraz przytula mnie do siebie, a ja składam się wyłącznie z silnego uwielbienia: uwielbiam jego stanowczy uścisk, w którym czuję, że nic mi nie grozi, uwielbiam jego spokojny oddech łaskoczący moją skórę i ukradkowe pocałunki składane na moim ramieniu nawet po tysiakkroć. Mam wrażenie, że tym wszystkim zaklina mnie w rzeczywistości, w której z całego serca chcę, żebyśmy już ciągle byli razem. Że oddaje mi strzępki szczęścia, które jeszcze, gdzie indziej, pewnego dnia możemy spróbować złapać w całości.

Zamykam oczy, a w moim krwiobiegu zaczyna płynąć błogi spokój. Znajduję się na granicy świadomości, kiedy słyszę, jak Will coś do mnie cicho mówi.

– Jeśli chcesz, możemy to zrobić.

Uchylam ociężale powieki.

– Co?

– Powtarzać, że wszystko będzie dobrze, aż doliczymy do tysiąca.

Zamieram. Przez moment tkwię w bezruchu i wpatruję się tępo w padający z nieba śnieg i jego płatki

osiadające na szybach okien. Aż w końcu ostrożnie przekręcam się na drugi bok, by móc objąć spojrzeniem poważną twarz Willarda. Udaje mi się zrobić to bez żadnego trudu jedynie dlatego, że jestem przyzwyczajona do panujących w mieszkaniu ciemności.

Wtedy zbliżam się do niego. Nasze usta dzieli może żalospny cał, a my wpatrujemy się w siebie z oddechami wstrzymywanymi w płucach, jakbyśmy oboje nie mieli bladego pojęcia, co powiedzieć. Jakby nas obojga przeraziło to, że naprawdę bylibyśmy w stanie razem powtarzać jedno i to samo *będzie dobrze*, tysiąc razy niezależnie od tego, jak głupio to brzmi.

– Poważnie chcesz powtarzać ze mną kłamstwo? – upewniam się, chociaż w głębi duszy wiem, że wcale nie żartowałam. – Przecież będziemy robić to do rana i jeszcze dłużej.

Pozostaje stuprocentowo poważny, gdy obejmuje dłonią mój policzek.

– Chcę robić z tobą cokolwiek do końca życia i jeszcze dłużej, Marigold.

Tracę ostrość widzenia i długo nie mogę skleić poprawnego zdania przez wzruszenie, które zdaje się zalegać w moim gardle. Im dłużej patrzę na Willa z tak bliskiej odległości i im dłużej on ze słabym uśmiechem głaszcze palcami moją twarz, tym bardziej chciałabym, by akurat nam się poszczęściło. By nasze zakończenie jednak okazało się dobre.

Chociaż nie powinno, mam zamiar trzymać za nas kciuki do samego końca.

– Jak do tego doszło, Will? – pytam nagle głosem tak cichym, że zastanawiam się, jakim cudem był w stanie mnie dosłyszeć i ściągnął brwi. – Jak doszło do tego, że staliśmy się tacy?

Styka nasze czoła, ale w subtelny, intymny sposób.

– Jacy?

– Swoi. – Pomrużuję prędko kilka razy, starając się powstrzymać kolejne łzy i unoszę kąciuki ust. – Gotowi dać sobie wszystko. Przygotowani na każde wyrzeczenie, byle tylko się wzajemnie chociaż odrobinę uszczęśliwić... jak i kiedy to się w ogóle wydarzyło, co?

Oczy chłopaka, mimo że są wykończone i podkrążone, iskrzą delikatnie. Jego dłoń na moment przestaje sunąć po moim policzku. Obejmuje go. Leżymy przy sobie, pośród mroku, nieprzerwanej ciszy i sypiącego za oknem śniegu, oboje w równym stopniu ze sobą szczerzy.

– Nie mam pojęcia – stwierdza Will. – Nie zależało mi na tym. Nawet tego nie chciałem. Ale skoro to już się wydarzyło, nie róbmy z tym nic. Tak jest mi dobrze, kłamczucho. Pomimo że trudniej mi też bawić się w dilerkę z myślą, co mam do stracenia, i do tego jeszcze zachowywać nas w tajemnicy, to jest mi dobrze i nie chcę z tego rezygnować.

Krztuszę się łzami, które spływają mi do ust, natomiast on całuje moje czoło i zastyga z wargami przytkniętymi do niego.

– Chcę przeczekać kolejne tygodnie i uciec z tobą jak najdalej.

To pochranione. To, że w jednym momencie zanoszę się bezgłośnym płaczem, ale też uśmiecham, co na pewno przypomina grymas. Will za to odsuwa się na niewielką odległość i wtedy krzyżujemy spojrzenia. Mimowolnie zwracam uwagę na blizny pokrywające jego twarz. Myślę, że pamiętam już ułożenie każdej z nich. Gdyby ktoś zakrył mi oczy opaską, i tak byłabym w stanie prześledzić ich ciąg palcami.

– Wciąż o nich myślę – wyznaję i nie muszę dodawać nic więcej, by zrozumiał, co takiego chodzi mi po głowie. – Jak ich powstawanie musiało cię boleć. Czasami sama myśl o tym doprowadza mnie do żalospnego płaczu, wiesz? Byłeś jedynie chłopakiem, który chciał jakoś przetrwać w okropnym miejscu... jedynie nim.

– To było beznadziejne – odpowiada.

– Co takiego?

– Moje nastawienie. – Ściąga dłoń z mojego policzka i swobodnie przenosi ją na mój bok, by przyciągnąć mnie do siebie mocniej. – Masz rację, latami wmawiałem sobie, że liczy się dla mnie tylko przetrwanie tutaj, a później wyjechanie stąd dokądkolwiek.

Patrzę na niego zdezorientowana.

– Dlaczego brzmisz, jakbyś miał do siebie o to żal? O normalne podejście, Will... przecież każdy na twoim miejscu myślałby podobnie: że chce tylko stąd uciec.

– Było normalne, ale nie do końca właściwe – tłumaczy pokrętnie. – Dopiero gdy się pojawiłaś, zrozumiałem, że powinno liczyć się dla mnie coś ponadto. Gonienie za szczęściem. Nie tylko wyrwanie się

stąd, a także dążenie, aby nareszcie być szczęśliwym, Gold. Także to.

Śmieję się cicho przez łyzy nieprzestające kreślić dróg po moich policzkach.

– Możemy gonić je wspólnie – zapowiadam.

– Liczyłem, że dokładnie to powiesz.

Bez zastanowienia chowam napuchniętą twarz w zagłębieniu jego szyi i oczekuję, że zatrzaśnie mnie w ramionach najszczelniej... a on rzeczywiście to robi, jakby potrafił przejrzeć na wylot moje podświadome pragnienia. Czując, że ten jeden raz mimo koszmaru, który mnie nawiedził, mogłoby udać mi się przespać resztę nocy, staram się przez kolejne minuty oderwać od szarej i smutnej rzeczywistości. Trzyma mnie przy niej jednak dzwoniąca komórka Willarda.

– Twój telefon... – mruczę mu w szyję, na co on chyba wyciąga go z kieszeni.

– Halo? – rzuca do słuchawki.

Nie rozumiem niczego z rozmowy, którą prowadzi. Zresztą w tym dialogu Will jest raczej słuchaczem. Osoba, która do niego zadzwoniła, chyba przekazuje mu dużo informacji. Ciekawe, kto to. Jest bardzo, bardzo późno, o ile nie wcześniej, więc nie podejrzewam, o co w tym wszystkim może chodzić. Wtem Willard burczy coś do komórki. Podnosi się do siadu, rzuca urządzenie na stolik znajdujący się przed nami i przeciera dłońmi strudzoną twarz.

Zaniepokojona również siadam na kanapie, tyle że na klęczkach.

– Muszę... – zaczyna bezradnie. – Kurwa mać.

Uderza mocno i niespodziewanie zaciśniętą pięścią w blat. Wprawiony w nieznacznym ruchu mebel trzęsie się, a ja już domyślam się, o co w tym wszystkim chodzi. Opieram skroń o biceps Willarda i zadaję mu ciche pytanie:

– Musisz iść, prawda?

– Nie chcę iść – odpięra natychmiast.

Jego głos przesiąka niepokojem.

– Dlaczego teraz? – pyta albo siebie, albo też mnie, i zerka na moją twarz zraniony tym, co musi zrobić. *Przecież nie ma innego wyboru. Musi tańczyć, jak zagrają mu Jake i Ross.* – Dlaczego znowu nie mogę się sprzeciwić, kiedy tak strasznie chcę z tobą zostać?

Sięgam po dłoń, którą uderzył w stolik, i przyciągam jego poharatane knykcie do warg. Znaczą wszystkie krótkimi muśnięciami, skrycie licząc, że to go uspokoi.

– Jest dobrze. Poradzę sobie sama, przecież... zaraz zrobi się jasno – przekonuję go i silę się na niewyraźny uśmiech, który mam nadzieję, że doda mu trochę otuchy. – Nie martw się tym, że właśnie mnie zawodzisz. Pod żadnym pozorem się o to nie martw, bo tego nie robisz, tak?

Zwiesza żałośnie głowę i zaciska z bólem usta w kreskę.

– Szkoda mi. Jest mi po prostu strasznie szkoda.

Puszczam jego dłoń, wstaję i kucam tuż przed nim.

– Czego, najdroższy? – dopytuję czule. – Powiesz mi, czego?

Na powrót podrywa głowę i zagląda mi prosto w oczy.

– Każdej minuty, którą nam zabierają.

– Ale ja nigdzie się nie wybieram – odpowiadam miękko. – Wrócisz do mnie. Zresztą zawsze wracasz. Wtedy odwieziemy Rhodesa do szkoły... w drodze zaplanujemy wasze urodziny. Nie mogę się doczekać aż pojeździmy metrem, kiedy będzie ozdobione mnóstwem dekoracji. Spędzimy miło ten dzień i nie będziemy pamiętać o tym, co stało się teraz.

Opieram policzek na jego kolanach, a on wplata palce w moje włosy.

– Nie smuć się, mój dzielny kłamco – szeptam troskliwie.

Willard zostaje ze mną jeszcze kilka minut. Po ich upływie wstaje na nogi, w milczeniu zbiera się i wychodzi z mieszkania. Wraca dopiero nad ranem, gdy robi się nieco jaśniej: z cichym wyznaniem, że tęsknił oraz ani na sekundę nie przestał.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

MARIGOLD

– Mogę już otworzyć oczy?

Uśmiecham się, widząc, jak Rhodes wierci się niecierpliwie na swoim miejscu. Jest wieczór, siedzę razem z moimi chłopakami w zatłoczonym o tej porze metrze i wszyscy podziwiamy milion świecących się ozdób, którymi zostało przystrojone. To znaczy: robimy to z krótką przerwą, bo akurat nadeszła pora, żebyśmy z Willem wręczyli maluchowi jego prezent urodzinowy. Kazałam więc młodemu zasłonić ręką oczy, a jemu raczej się to nie spodobało.

– Nie – odpieram wesoło. – Jeszcze moment.

Upewniam się, że w kolorowej torebce prezentowej znajdują się dwa zestawy farb i wielka czekolada. Potem zerkam radośnie na siedzącego obok, zakapturzonego Willarda, który przygląda mi się z niezmienną powagą i trzyma swobodnie rękę na oparciu mojego siedzenia.

– O co wam chodzi? – jęczy przeciągle Rhodes. – Jesteście jacyś dziwni. Mieliśmy oglądać świąteczne ozdoby, a wy ciągle każecie mi na nic nie patrzeć.

– Po prostu coś dla ciebie mamy.

Przenoszę na niego wzrok i parskam cicho, widząc że macha tymi swoimi krótkimi nogami w powietrzu. Z chwilą, kiedy dociera do niego sens moich słów, przestaje to robić i rozchyła z wrażenia usta.

– Coś dla mnie macie?

– W końcu dzisiaj są twoje urodziny, więc z Willem coś ci kupiliśmy. – Wystawiam w jego stronę prezent i obnażam bardziej zęby. – Możesz już opuścić łapkę.

Rhodes piszczy uroczo i czym prędzej przechwytuje swój prezent. Przy okazji nieco za duża czapka opada mu na twarz, więc jego wujek błyskawicznie mu ją poprawia.

– Farby? – wydycha zaskoczony chłopiec. – Dwa zestawy farb?

– Tak wyszło, że oboje wpadliśmy na to samo. Ale jeśli wolałbyś, żebyśmy zwrócili jeden zestaw i zamiast niego skombinowali coś innego, śmiało daj znać.

– Nie, nie – zaprzecza od razu i wyciąga jedno opakowanie, by obejrzeć je błyszczącymi z ekscytacji oczami. – Ekstra, że nie będę musiał ich bardzo oszczędzać... dziękuję!

Rozczulona przechylam głowę i nie odrywam wzroku od rozpromienionej buźki malca. Nie sądziłam, że jakiegokolwiek dziecko mogłoby niemalże skakać pod sam sufit, bo otrzymało na urodziny farby plakatowe. Szkoda, że na tę chwilę z Willem nie możemy pozwolić sobie na podarowanie mu czegoś jeszcze. Musimy jednak zacisnąć pasa, bo każdy cent może przydać nam się przy wyjeździe do Denver. Oby tam udało nam się stanąć na nogi i dać Rhodesowi więcej.

Przez chwilę wszyscy milczymy. Mały solenizant staje się wtedy odrobinę zakłopotany, jakby coś go nurtowało, ale nie mógł przełamać się, by zadać pytanie. Spoglądamy po sobie z Willem. Nie musimy używać słów, by wiedzieć, że oboje zwróciliśmy na to uwagę.

– No wyduś to z siebie – zachęca go nareszcie wujek, po tym, jak znowu utkwiał w nim swoje spokojne spojrzenie. – Widzimy, że chcesz nas o coś bardzo zapytać.

– A czy jak wrócimy do domu, będę mógł malować do późna?

– No nie wiem...

Nie przestaję się szczerzyć, kiedy przysłuchuję się ich rozmowie. Podczas gdy trwa, na krótko przenoszę wzrok gdzie indziej: przeczesuję nim udekorowane metro. Naprawdę panuje w nim wyjątkowa, świąteczna atmosfera. Poręcze, których nikt raczej by nie dosięgnął, owinięte są łańcuchami świetlnymi, a do okien przyklejone są kolorowe płatki śniegu. Do tego z sufitu zwisają ozdoby w kształcie choinek... Rhodes miał rację. Jest tutaj naprawdę pięknie.

Moja mina rzędzie, gdy pośród tłumu pasażerów, dostrzegam znajomą twarz.

Zimny pot oblewa moje plecy w zatrważająco szybkim tempie. Oddech więźnie mi w płucach, chyba zacznę się powoli dusić. A wszystko przez to, że *ten* mężczyzna, albo ktoś bardzo do niego podobny, stoi

daleko ode mnie. Wpatruje się wprost w moje na pewno szeroko otwarte z przerażenia oczy, mrużąc podejrzliwie swoje, jakby zaskoczył go widok, który zastał.

Zaczynam powtarzać swoje kłamstwo: *to wcale nie jest on, to nie może być on.*

Jednak jego postać nie znika z mojego pola widzenia. Zniekształca się za to odrobinę, bo do oczu napływają mi pierwsze łzy. Co jeśli to jednak on? Doścignął mnie? Zamierza się zemścić? Wygląda niemalże tak, jak go zapamiętałam. Jest przystojny. Prezentuje się oszłamiamjąco dobrze, co na pewno wciąż przyciąga młode dziewczyny... ale czy robi im to samo, co robił mnie? Czy pierze im mózg, a potem je sobie podporządkowuje?

– Marigold?

Słyszę głos Willarda i odzyskuję rezon.

– Tak? – wydobywam z siebie szept. – Pytałeś mnie o coś?

– Co sądzisz o tym, żeby Rhodes malował dzisiaj do późna – powtarza i marszczy delikatnie czoło, zdziwiony moją reakcją.

Ja natomiast próbuję nie wpaść w jeszcze większą panikę. Nie udławić się powietrzem, które wciągam teraz pośpiesznie do płuc, ale w dyskretny sposób. Nie pozwolić popłynąć łzom. Jeśli ten mężczyzna znalazł mnie po dłuższym czasie, na pewno mnie nie oszczędzi, a zrujnuje.

Czując, że moi chłopcy wyczekują odpowiedzi, odchrząkuję i stwierdzam:

– To jego dzień, w dodatku jutro sobota. Jak dla mnie mógłby.

Mały wyrzuca z siebie entuzjastyczne: „jupi”. Will za to ściąga rękę z oparcia krzesła, obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do swojego ciała z ostrożnym pytaniem:

– Co się dzieje?

– Nie rozumiem. – Staram się panować nad drżeniem głosu. – Co ma się dziać?

– Odleciałaś gdzieś – zauważa z westchnieniem. – No i się zagapiłaś... na co?

Wskazuję kiwnięciem na okno, na którym znajdują się dekoracje.

– Na te wszystkie ozdoby. Naprawdę jest tu całkiem ładnie.

Pewnie ktoś trzeci uznałby moją reakcję za wiarygodną, ale Willard... nie wiem, za jaką uznaje ją on. Zwłaszcza że wpatruje się we mnie w nieczytelny sposób i sprawia, że krew w moich żyłach aż wrze z niepokoju, który odczuwam, mając wrażenie, że wyłapuje moje kłamstwo. Jednak nawet jeśli to robi, nie mówi niczego. Po prostu szuka wokoło piekielnie uważnym i groźnym spojrzeniem czegoś, co mogłoby mnie choć odrobinę przestraszyć.

Oby tego nie odnalazł.

– Chciałbym takie u nas – odzywa się nagle wpatrzony z rozmarzeniem w szyby Rhodes. – Goldie, myślisz, że możemy namalować farbami śnieżynki na oknie?

Silę się na niewyraźny uśmiech.

– Możemy, mój mały artysto.

Po kilku godzinach, w trakcie których wracamy do mieszkania i testujemy jego nowe farby, nieco się uspokajam. Ale tylko nieco, bo w pewnym momencie okazuje się, że Will musi zejść na dół i zmyć z betonu krew kolejnej osoby, która odebrała sobie życie w trakcie naszej wieczornej nieobecności na Bronksie. Zostaję więc sama z odrobinę już śpiącym chłopcem w salonie oświetlonym jedynie niedużym ogniem świecy.

– To nie wygląda jak śnieżynka – stwierdza z rozbawieniem mój mały podopieczny i wskazuje przy tym palcem na okno, gdzie nawet jego wujek namalował coś swojego po naszych naprawę długich namowach.

Kąciki moich ust szybują w górę.

– Ale nie mówimy tego Willowi, okej?

– Zgoda, nie mówimy. A gdzie on tak właściwie poszedł?

– Naprawić samochód – kłamię. – Coś w nim szwankowało.

Rhodes wydaje się trochę przygaszony.

– To chyba niedobrze.

– Nie martwmy się tym, to pewnie nic takiego – przekonuję go i widząc, że dzieciak długo ziewa, kucam przed nim. – Och, ktoś tu już powoli opada z sił. Pościelę ci łóżko, dobrze?

Brązowe oczka patrzą na mnie pytająco.

– A położysz się ze mną?

Pstrykam go w nos.

– Oczywiście, że tak. Weźmiemy jeszcze Farfocla.

Po wypowiedzeniu tych słów wstaję i zgarniam kota z kanapy. Na szczęście przybrał on na wadze, odkąd zabraliśmy go ze śmietnika. Teraz odłożony na starą podłogę w sypialni przygląda mi się przez cały czas, który upływa mi na ścieleniu łóżka. Akurat gdy kończę, pokój zalewają ciemności, bo Rhodes najwyraźniej zdmuchnął świecę w salonie i teraz nie dobiega tu ani jedna wiązka światła. Oboje wskakujemy pod kołdry i śmiejemy się, bo Farfocel wciska się pomiędzy nas. Zaraz zamykamy oczy i próbujemy zasnąć pośród wszechobecnego mroku.

– Goldie? – dociera do mnie nieśmiałe pytanie.

Nie uchylam powiek.

– Słucham?

– A jak ty byś chciała świętować swoje urodziny?

Wypuszczam przyciszony, szczery śmiech.

– Do nich jeszcze trochę daleko, kochany.

– No i co z tego? – Mały najwyraźniej zamierza drążyć podjęty przez siebie temat, dopóki nie zaspokoi swojej dziecięcej ciekawości. – Opowiedz mi, jak chciałabyś je spędzić.

Długo zostawiam go bez odpowiedzi, ponieważ nie myślałam jeszcze o tym, jak chciałabym, by wiosną wyglądały moje następne urodziny. Po czasie w mojej głowie rodzi się jednak wizja, która wprawia moje serce w odrobinę szybsze bicie. Dzielę się nią z Rhodesem.

– Chciałabym wybrać się na piknik – zaczynam nieśmiało. – Na ogromną polanę, gdzie będzie bardzo dużo kwiatów i gdy będzie świeciło słońce. Słuchać ulubionych piosenek i wypychać policzki słodkościami... – ciągnę z lekkim uśmiechem, widząc to wszystko oczami wyobraźni. – Do tego, żeby ktoś głaskał mnie czule po włosach i powtarzał bardzo cicho, że nigdy nie spotkał i nie spotka kogoś takiego jak ja. Chciałabym leżeć tak, póki nie nastanie noc i dopiero wtedy zasnąć z myślą, że wszystko w moim życiu się ułożyło.

Trwam w przyjemnym transie jeszcze przez kilkanaście sekund.

– Chyba tak chciałabym spędzić urodziny, wiesz? – dodaję przyciszonym tonem, jednak nie uzyskuję żadnego komentarza. Pomału otwieram więc oczy, pytając ostrożnie: – Rhodes?

Pośród czerni dostrzegam buźkę pochrapującego chłopca. Obejmując ją czule palcami, wpatruję się w sześciolatka i nie dowierzam w to, jak strasznie przywiązałam się także do niego. Nie wyobrażam sobie teraz poranków bez poganiania go do szkoły oraz wieczorów bez domywania mu rąk z farb plakatowych. Jest moim małym, dzielnym artystą.

– Śpij dobrze, maluchu – życzę mu.

Potem wstaję z łóżka i bezszelestnym krokiem ruszam do zaciemnionego korytarza. Zanim zamykam drzwi pokoju, patrzę na Rhodesa ostatni raz. Myślę, że prześpi resztę nocy bez problemów. Ostatnio udaje mu się to robić coraz częściej, co bardzo cieszy i mnie, i Willa.

No właśnie... Will. Powinam go poszukać.

Najpierw wychodzę na przejście ewakuacyjne, jednak patrząc z góry na plac, nie widzę, by ktoś domywał beton. Wszystko więc przemawia za tym, że Covington, nie chcąc, aby jego bratanek widział ślady krwi na jego dłoniach, poszedł ogarnąć się do mojego mieszkania. Raz tak zrobił, dlatego bez zwłoki wracam do środka, zgarniam z komody klucze, którymi w następnej kolejności zamykam drzwi i ruszam po betonowych stopniach na wyższe piętro.

Wkraczam w mrok korytarza i już od progu słyszę docierający z łazienki szum wody. Will bierze prysznic. Zbliżając się do pomieszczenia, rozmyślam nad tym, jak zareagowałby, gdybym powiedziała mu, że od jakiegoś czasu strasznie potrzebuję, żeby zagarnął sobie mnie całą. Mimo że odrobinę się tego boję, to potwornie go pragnę i chciałabym, by wiedział, że ufam mu nawet na tyle, by po tym wszystkim, co mi się przytrafiło, pójść z nim o krok dalej.

Z wahaniem sięgam za klamkę drzwi. Wchodząc do obskurnej łazienki, czuję chłód, który podpowiada mi, że chłopak kąpie się w lodowatej wodzie. Wzdrygam się na samą myśl o tym i podchodzę do umywalki oraz znajdującego się naprzeciwko niej lustro. Długo toczę bitwę z samą sobą, aż w końcu ściągam z siebie rozciągnięty sweter i zostaję w samym czarnym, koronkowym staniku oraz jeansowych

spodniach.

Wpatrzona w swoje odbicie połykam tchnienie. Moje ciemne jak węgiel włosy stają się coraz rzadsze, a cera zaniedbana. Mimo to gdzieś we mnie tli się słaba nadzieja, że Will spojrzy na mnie jak na dziewczynę, z którą chciałby się przespać. Skurcz odzywa się w moim podbrzuszu, gdy tylko myślę o tym, że miałyby między nami do czegoś takiego dojść.

– Co ty tu robisz? – pyta zdziwiony, a ja otrząsam się, odwracam i zauważam, że brunet zdążył już wciągnąć na siebie szare spodnie dresowe.

Wpatruję się w niego z gulą w gardle.

– Zastanawiam się.

– Nad czym? – docieka z powagą.

– Jak poprosić cię, żebyś mnie dotknął.

Will kręci powoli głową i podchodzi do mnie bez pośpiechu. Z każdym krokiem, który stawia, robi mi się coraz cieplej. Utrzymujemy intensywny kontakt wzrokowy, mimo że wokół jest przeraźliwie ciemno. W międzyczasie chłopak zwraca się do mnie zachęcającym tonem:

– Po prostu powiedz, jak i gdzie.

– Nie rozumiesz.

Spuszczam wzrok, a po chwili na powrót go unoszę.

– Chciałabym, żebyś poszedł ze mną do łóżka, Will.

Nie mam pojęcia, jak długo to trwa: jak długo stoimy w ciasnej i zapylonej łazience, wpatrzeni w siebie i milczący. Wiem natomiast, że im dłużej taki stan rzeczy nie ulega zmianie, tym bardziej moja dolna warga zaczyna drżeć z obawy o to, że zostanę przez niego odrzucona, zwłaszcza że poważny wyraz jego pokrytej bliznami twarzy nie zmienia się ani odrobinę.

Wtem przenikliwe spojrzenie Willa zsuwa się z moich oczu na rozchylone usta.

– Kurwa, zabrzmieć jak kutas, ale najchętniej naprawdę bym cię w nim wykończył, Gold – wydycha z udręką, robi ostatni krok w moją stronę i chowa w swojej wielkiej dłoni cały mój policzek. – Wyglądasz jak dziewczyna, której dotykasz i nie masz tego dosyć.

Z każdym wypowiedzianym przez niego słowem mój umysł wariuje. Czuję bijące od niego napięcie: Willard chyba naprawdę walczy z chęcią, by się na mnie rzucić. Zamiast tego tylko napiera na mnie gwałtownie, a jego rosła i potężna sylwetka uderza o moją. Moment otarcia się jego mokrego po kąpieli torsu o mój biust jest jak rażenie piorunem. Z trudem hamuję sapnięcie, podczas gdy on chowa w dłoniach tym razem oba moje policzki i podrywa moją głowę, by mieć pewność, że go słucham i ani na sekundę nie przestaję tego robić.

– Tyle że nie mogę pozwolić sobie względem ciebie na nic więcej. Mam wrażenie, że to nie przyniosłoby niczego dobrego... – Zaciska usta i na moment odwraca wzrok. – Że albo przypomniałoby ci się coś złego, albo nie okazałbym się na tyle ostrożny, na ile chciałbym.

Skupia się znowu na mnie, przetyka ślinę i wypuszcza wyznanie w moje wargi:

– A uwierz, patrzę teraz na ciebie i jedyne, czego potrzebuję, to sprawdzić, co czułbym, mając pod sobą swoją kłamczuchę i doprowadzając ją do utraty zdrowego rozsądku.

Moje nogi stają się zupełnie wiotkie, bo czuję go doskonale. Jego prężne ciało ścierające się z moim, jego szorstką, pokrytą nieestetycznymi bliznami skórę, dotykającą mojej nareszcie nie przez ubrania... a nawet jego okazałą męskość wbijającą się w mój brzuch.

Nie myśląc już dłużej, rozpalona szepczę:

– Potrzebuję, żebyś się przełamał. Moje myśli ostatnio krążą tylko wokół tego, do czego może między nami dojść. Wiem, że możesz czuć opór, ale wiem też, że nie powinieś, bo potraktujesz mnie właściwie. Naprawdę zaczęłam ci ufać, rozumiesz? Zaczęłam to robić.

Wspieram się na palcach stóp i uwalniam nierówny oddech w jego brodę.

– Proszę cię...

Nie muszę dodawać już niczego więcej.

– Kurwa mać – warczy zirytowany, zsuwa dłonie z moich policzków i czym prędzej zaciska je na moim tyłku, żeby bez wysiłku mnie podnieść. – Jestem pewny, że prędzej czy później gorzko pożałuję tego, co pozwoliłem ci ze sobą zrobić, przekłeta Marigold Harding.

Chcę odpowiedzieć, ale nie dostaję ku temu najmniejszej szansy. Wszystko przez to, że Willard

miażdży moje usta swoim agresywnym natarciem. Całuje je, potem gryzie, wręcz się w nie wżera, pozostawiając na nich ślad zębów i silne pulsowanie. Przytrzymując mnie jedną ręką przy sobie i drugą obejmując mój kark, rusza do zaciemnionego salonu, jak się domyślam.

Tam zrzuca mnie na kanapę i przyszpila mnie do niej całym ciężarem mięśni. Nachylony nad moją twarzą, odgarnia mi z niej niedbałym ruchem dłoni poplątane włosy.

– Ciągłe czynisz mnie tylko bardziej zachłannym – mamrocze zdyszany.

Zaglądam mu głęboko w oczy i czuję, jak przesiąkam podnieceniem.

– Bądź taki. Potrzebuję, żebyś mnie chciał.

– Nie podejrzewasz, na ile sposobów cię chcę.

Znowu odnajduje drogę do moich ust. Tym samym tłumi mój jęk, bo akurat kiedy przywłaszcza sobie moje wargi, ociera się nabrzmiałą erekcją o mój brzuch w bardzo nieprzyzwoity sposób. Zrzucam mu ręce na szyję i przyciągam bliżej siebie, a on, nie przestając mnie całować, rozpina guzik moich spodni, zsuwa je ze mnie i odrzuca gdzieś na ziemię.

Potem odsuwa się i składa szybkie muśnięcia na moim czole, skroni, nosie i podbródku. Śmieję się cicho, po czym dobieram się do jego warg i kradnę mu buziaka.

– Ale chcę też wiedzieć, jeśli choć przez sekundę poczujesz wątpliwości – mówi zasapany, śledząc dłońmi wcięcie w mojej talii i patrząc wprost na mnie. – Jeśli popełnię gdzieś błąd. Jeśli posunę się za daleko i jeśli zapragniesz, żebym z ciebie zszedł i się wycofał.

– Będziesz o tym wiedział – przytakuję.

Wykorzystując okazję, przyglądam mu się nieśmiało z dołu i zaczynam błędzić palcami po jego ozdobionej podłużną szramą piersi. Mknę opuszkami w dół, do bardzo delikatnego zarysu sześciopaku, w czasie gdy on ciężko dyszy i nie odrywa ode mnie iskrzącego się wzroku.

– Will? – przywołuję go cicho.

– Tak?

– Nie byłam pewna, czy wytrzymam jeszcze choćby jedną noc bez poczucia, że chociaż raz, przez pewien czas, nic nie może nas rozdzielić – wyznaję, na co nabiera wdech nosem, schyla się nieco i wciąż krzyżując ze mną spojrzenie, całuje wilgotnymi wargami mój dekolt.

– Dostaniesz je, Gold... dostałabyś wszystko na swoje głupie skinienie palcem.

Rozgrzana posyłam mu ledwie zauważalny uśmiech. Will nie odwzajemnia go, pozostaje nieczytelny i skupiony, kiedy zsuwa ze mnie dół bielizny. Chociaż delikatnie się spinam, nie każe mu się wycofać. Nie robię tego ani teraz, ani kiedy sam zsuwa z bioder dresy, po czym zatapia się we mnie powoli, ale aż po nasadę z pomrukiem zadowolenia.

Dreszcz przetacza się przez każdy skrawek mojego ciała. Spocona opieram dłonie na szerokich, męskich barkach i wyduszam cichutki jęk, bo moment, w którym ktoś się we mnie znalazł, nigdy nie wydał mi się tak przyjemny. Will całuje moją szczękę i wysuwa się ze mnie na chwilkę, tylko po to, by wbić się we mnie raz jeszcze, nieco śmieiej.

Wyduszam sapnięcie.

Wydaje mi się, jakby z każdym następnym pchnięciem chłopaka, moje nogi składały się z waty. Przytrzymując się kurczowo jego silnych ramion, pozwalam mu na wszystko, co ciągle przynosi mi tylko więcej przyjemności. Will naznacza śladem zębów mój obojczyk, lecz nim zdąży zrobić to samo z drugim, podrywa głowę i wyłapuje pośród mroku moje spojrzenie.

– Zaczekaj – sapie. – Kurwa, nie założyłem przecież...

Potrząsam głową i uśmiecham się smutno.

– Nie musiałeś. Nigdy nie zostanę matką.

Ściąga brwi.

– Nie?

Przełykam nadmiar śliny, a on znowu się we mnie porusza.

– Przeszkadza ci to? – dopytuję, widząc w nim pewną zmianę.

– Dlaczego miałoby? – pyta z nieznacznym zawahaniem.

Nie kontynuujemy tej rozmowy. Will pogłębia ruchy i wydobywa nimi ze mnie kolejne ciche jęki. Czuję, jak brud z kanapy nieprzyjemnie oblepia moje spocone plecy, ale nie dbam o to, bo jestem bliska spełnienia. Obejmując szczelnie dłońmi poważną twarz chłopaka, wmuszam mu w wargi pocałunek, nad

którym on prędko przejmuje kontrolę.

Wpycha mi język do ust, a ja dochodząc, rozchylam je szerzej.

Mija chwila, zanim i on osiąga orgazm. Zdyszany opada wtedy na mnie całym ciałem i opiera policzek na moim dekolcie, a ja wplatam dłoń w jego wilgotne po kąpielii włosy i powoli coraz lepiej kontaktując, nie wierzę, jak dobrze było mi z Willardem. Mam pewność, że jego priorytet stanowiło to, bym czuła się komfortowo, i czułam się tak przez każdą jedną sekundę.

Dopiero po pewnym czasie schodzi ze mnie, kładzie się na skraju kanapy i okrywa nas oboje zgarniętym z podłogi kocem. Opieram więc policzek na jego piersi oraz przymykam błogo powieki, nie powstrzymując uśmiechu, który wkrada się na moją twarz. Mogłabym nie ruszać się stąd już nigdy. Po prostu leżeć z nim w ciemnościach, niczego nie mówiąc.

Nagle dociera do mnie jego zachrypnięty szept.

– Gold? – Obejmuje mnie i przyciąga jeszcze bliżej siebie.

– Tak?

– Cieszę się, że padło na ciebie.

Zdezorientowana uchylam powieki i na niego spoglądam.

– Ale co? – dociekam, nic nie rozumiejąc z jego wyznania.

– Cieszę się, że akurat o tobie potrafisz myśleć, że zawsze byłeś mi pisana, nawet jeśli prawda wygląda zupełnie inaczej – mówi to z przekonaniem, skupiony wyłącznie na moich oczach, natomiast ja myślę o tym przez kolejne minuty, nawet jeśli wiem, że zdążył już zasnąć.

Willard ma rację. Nie jesteśmy sobie pisani. Nie jesteśmy bratnimi duszami, ale chcemy sobie wmawiać, że tak jest. Mieć coś w zastępstwie za miłość, która między nami nie zaistnieje. To smutne, ale co innego nam zostało? Przygnębiona wtulam się w niego mocniej, ale z jakiegoś powodu, którego początkowo nie umiem wyjaśnić, nie mogę zmrużyć oka.

Później jednak domyślam się, co mi w tym przeszkadza: po prostu pamiętam o tym, co stało się w metrze i kogo tam chyba zobaczyłam.

Schowana w ramionach Willa, czuję się gorzej, bo mam świadomość tego, że nadal coś przed nim zatajam. Nie mogąc tak dłużej, wyswabdam się z jego uścisku, schodzę z kanapy i ubieram się w swoje porozrzucane po pokoju ciuchy. Na koniec przecieram bezradnie dłońmi twarz. Jeśli coś może podnieść mnie na duchu, to tylko wiedza o tym, że *on* wcale nie jest spokrewniony z moimi chłopakami. Gdyby jednak był... jeden z nich by mi nie wybaczył.

Tego, że przemilczałam swoje podejrzenia.

Wiedząc, że wyrzuty sumienia nie dadzą mi spać, spoglądam na Willa i czule przejeżdżam palcami po jednej z blizn na jego twarzy. Następnie opuszczam swoją paskudną kawalerkę i wracam do mieszkania Covingtonów. Tam zapalam świecę, klękam przed regałem znajdującym się w salonie i wyciągam wszystkie albumy ze zdjęciami, jakie tam znajdują.

Na żadnej starej fotografii nie widzę mężczyzny, który zrujnował mnie w każdy możliwy sposób. Zapatruję się w następne, aż w przypadkowym momencie wracam pamięcią do swojego ostatniego wspomnienia, którego on jest częścią.

Zatrzymuję się przed drzwiami do sypialni z mocno bijącym sercem. Minęło już czternaście miesięcy, odkąd Maverick powiedział, że niedługo wręczy Camille pozew rozwodowy. Nie mam siły być dłużej cierpliwa. Chciałabym w końcu wyjść z nim na miasto i móc trzymać go wtedy za rękę. Kraść mu pocałunki, kiedy tylko najdzie mnie ochota. Przestać się ukrywać. Musi mnie zrozumieć, tak jak ja przez cały czas rozumiałam jego i czekałam, aż uporządkuje swoje życie.

Wchodzę do pokoju i widzę, że leży na łóżku, czytając coś na laptopie. Chyba ma dobry humor, bo gdy mnie zauważa, od razu posyła mi uśmiech. Głupio mi, że zaraz prawdopodobnie jego nastrój zmieni się o sto osiemdziesiąt stopni, nawet jeśli planuję załatwić to delikatnie.

Patrzę mu w oczy. Po wzięciu głębokiego oddechu oznajmiam:

– Mam dość, Maverick. Chcę, żebyś w końcu skończył tę farsę.

Odkłada komputer na bok i podnosi się do siadu.

– Słucham? – upewnia się, że dobrze mnie usłyszał.

Mnę nerwowo w palcach skrawek swojej sukienki.

– Albo zadzwonisz teraz do Camille i powiesz jej o nas, albo ja do niej zadzwonię i zrobię to za

ciebie. – Mój głos łamie się nieznacznie, bo bardzo mnie to boli. – Zbyt długo odwlekasz w czasie ten beznadziejny rozwód. Minęło czternaście miesięcy, a ja nie wytrzymam ani jednego więcej. Czuję się wykończona tym całym ukrywaniem się. Potrzebuję zmian, bo oszaleję.

Przykro. Jest mi tak strasznie przykro, że muszę rozwiązywać to w ten sposób.

– Stawiasz mi ultimatum? – Maverick brzmi na zirytowanego.

– Nie dam rady dłużej znosić poczucia, że jestem tą drugą – odpowiadam natychmiast, rozkładając bezsilnie ręce i czując pieczenie pod powiekami. – Proszę cię, zrozum mnie.

Mężczyzna wstaje i podchodzi do mnie w kilku szybkich krokach. Nagle chwyta w dłoń moje włosy i ciągnie za nie strasznie mocno, wystawiając moją twarz ku swojej.

– Posłuchaj... chyba ci się coś pomyliło, jeśli sądzisz, że możesz stawiać mnie pod ścianą – wypluwa rozdrażniony. – To ja zadecyduję, kiedy powiem o wszystkim Camille, a ty będziesz grzecznie się z tym zgadzać i cofniesz swoje wcześniejsze słowa.

Mimo bólu, który odczuwam, protestuję:

– Nie cofnę. Jeszcze dzisiaj wyznam jej prawdę.

Mój bunt go rozwściecza. Maverick puszcza moje włosy, popycha mnie na łóżko i patrzy, jak opadam na nie z jękiem. Obraz przed moimi oczami się rozmywa, ale widzę, że brunet zakasuje rękawy swojej czarnej koszuli i zmierza do mnie z czającą się w spojrzeniu furią.

– Nie pojedziesz. Nie będziesz, kurwa, w jebanym stanie. Przysięgam ci to.

Przerażenie uderza we mnie jak huragan. Zanim zdążę się podnieść, mężczyzna wdrapuje się zwinnie na materac i siada tuż przy mnie. Obejmuje masywnymi palcami jednej ręki moją szyję, za pomocą drugiej zaś podsuwa do góry moją sukienkę i wpycha ją bez ostrzeżenia w moje majtki. Wydobywam z siebie spazmatyczny szloch.

– P-puść mnie – dukam w hysterii.

Wsuwa we mnie palce, a ja nie wiem, ile ich jest. Wiem jedynie, że to boli.

– Odechce ci się wtrącać w nie swoje sprawy – powtarza nisko.

Łkam rozpaczliwie, szarpiąc się, ile mam sił.

– Maverick, powiedziałam, żebyś przestał!

Wydzieram się. Zaczynamy ze sobą walczyć, a mnie chyba cudem udaje się trafić go kolanem w najczulsze miejsce. Błyskawicznie przetaczam się wtedy po łóżku i zanosząc się płaczem oraz potykając o własne nogi, wybiegam z sypialni i mieszkania. Domyślam się, że za mną ruszy, dlatego wbiegam na wyższe piętro, siadam na schodach i zatykam usta dłońią.

Jestem cała roztrzęsiona. Mam ochotę wyć. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Słyszę, że Maverick także opuszcza mieszkanie. Nawet go nie zamyka. Zapewne jedyne, co się dla niego teraz liczy, to powstrzymanie mnie przed pojechaniem do Camille. Jeśli tak bardzo zależy mu na tym, by się o nas nie dowiedziała, pewnie tak naprawdę nigdy nie zamierzał brać z nią rozwodu. Pewnie... pewnie naprawdę miałam być tylko jego zabawką.

Boże, byłam taka naiwna.

Wstaję z trudem i widzę przez okno, że jego samochód wyjeżdża z parkingu. Prędko wracam do domu, wyciągam walizkę i pakuję do niej swoje rzeczy. Na końcu sięgam jeszcze po telefon, w którym mam zapisany numer Camille. Będąc daleko stąd, zamierzam zadzwonić i powiedzieć jej o wszystkim. Nie obchodzi mnie, czy to ją ruszy, czy może to jej nie obejdzie. Ja na jej miejscu chciałabym wiedzieć, co ukrywał przede mną mąż przez kilkanaście miesięcy.

Blok opuszczam zapłakana i rozdygotana, mając w głowie jedną myśl: moja ucieczka od Mavericka Hudsona zaczyna się właśnie teraz.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

MARIGOLD

Początkiem następnego tygodnia dostaję kolejną propozycję wystąpienia w ohydnej spelunie. Na szczęście we wtorki odbywam na lodowisku popołudniowe zmiany, dlatego nie martwię się, że jutro przyjdę do pracy ledwo żywa, i w środku nocy zjawiam się z Willem w knajpie. Tam przez godzinę gram kilka kawałków na pianinie, a po jej upływie nie odwracam się nawet w stronę pijanej publiczności, tylko prędko przemykam na tyły lokalu. Zgarniam jeszcze rzeczy z ciasnej kanciapy i wychodzę na korytarz, w którego mroku stoi Covington.

Poznaję go bez trudu mimo panujących wszędzie ciemności oraz kaptura, który założył na głowę. Idąc ku niemu, uśmiecham się delikatnie, a on rozkłada ręce i gdy jestem już tuż przy nim, zamyka mnie w uścisku. Wie doskonale, że tego potrzebuję. Silnego poczucia, że będąc w tak okropnym miejscu, nie grozi mi przy nim absolutnie nic.

Zaraz odsuwa się, zabiera ode mnie nasze okrycia i pyta:

– Wracamy do domu?

Przytakuję bez namysłu.

– Tak, marzę o tym, żeby w końcu się położyć.

– W takim razie chodź. – Will chwyta mnie za rękę i zaczyna ciągnąć w stronę sali, skąd dobiegają głośne rozmowy zmieszane z jazzową muzyką. Wkraczam do niej z dudniącym w piersi sercem i niezmienną chęcią, by zapaść się pod ziemię, kiedy skupiamy na sobie mnóstwo zaciekawionych spojrzeń... no i wrażeniem, że jeszcze chwila przebywania tutaj, a zwymiotuję.

Nie cierpię tej odrażającej mieszanki tytoniu i stęchlizny.

Podążam za chłopakiem, który toruje sobie i mnie przejście, rozpychając się w tłumie szerokimi barkami. Ktoś przeklina siarczyście, ale po Willu zupełnie to spływa. Maszeruje przed siebie, patrząc na wszystko z totalnym niewzruszeniem.

W połowie drogi do wyjścia zatrzymuję się jednak w miejscu, bo doznaję olśnienia.

– Czekał, zapomniałabym... – Potrząsam ręką swojego towarzysza, by zwrócić na siebie jego uwagę, a on odwraca się do mnie z uniesioną brwią. – Nie wzięłam przecież wypłaty. Szybko podskoczę po nią do właściciela na bar, no a ty rzecz jasna razem ze mną.

Brunet wie, że musimy tam iść, bo jeśli teraz nie upomnę się o kasę, to pewnie w ogóle jej nie dostanę, dlatego też odpowiada mi krótkim skinieniem.

– Z chęcią potowarzyszę odrobinę dłużej gwieździe wieczoru – odpiera, unosząc przy tym nonszalancko kącik ust. Na określenie, które mi nadał, śmieję się cicho, a następnie obracam na pięcie i ruszam w odwrotnym kierunku na poszukiwania właściciela tej meliny.

– Szybko się uczysz – rzucam jeszcze do Willa i rozdzielam nasze dłonie.

On idzie tuż za mną.

– Czego?

– Tekstów, od których dziewczynom miękna serca.

– Wolę posługiwać się sztuczkami, od których miękna im kolana – mówi to i szczypie mnie w pośladek, za co rozbawiona od razu karcę go pacnięciem w rękę. Cóż, przynajmniej próbuję go w nią trafić, bo cały czas jestem zwrócona twarzą do baru, dokąd zmierzamy.

Nagle chłopak styka swój tors z moimi plecami.

– Poza tym obchodzi mnie jedynie, jak reagujesz na to wszystko ty. – Wpuszcza niski pomruk wprost do mojego ucha, po czym gryzie bezwstydnie przy wszystkich jego płatek. – Moja paskudna codzienność składa się z uganiania się tylko za jedną dziewczyną, kłamczucho.

Szczerzę się bardziej i w końcu zatrzymuję w miejscu, bo docieramy do celu. Później odwracam się przodem do Willa oraz opieram dłonie na jego skrytej pod ciemną bluzą klatce.

– Ona niedługo nie będzie aż tak paskudna, a przybliży nas do tego chociaż trochę moje kolejne

sześćdziesiąt dolicz – zapowiadam rozweselona, po czym wspieram się jak najwyżej mogę na palcach stóp i składam niewinnego buziaka w kąciку jego ust.

Przygląda mi się i jestem pewna, że nie przestaje, podczas gdy stoję już przodem do baru i próbuję przywołać chyba niebędącego i tym razem w dobrym nastroju właściciela, który właśnie przygotowuje zamówienia dla swoich podejrzanie wyglądających klientów.

– Proszę pana? – wołam go nieco głośniej, by mógł mnie dosłyszeć.

– He? – Facet zauważa mnie dopiero po kilku sekundach, ale nie wydaje się zadowolony z mojego widoku. – Ach, to ty. Zaczekaj chwilę, mamy dziś niezły ruch.

– Jasne.

Opieram przedramiona na blacie i krzywię się, bo ten okazuje się lepki. Prędko zabieram ręce i omiadam spojrzeniem wnętrze lokalu. Nic nie zmieniło się w nim od czasu naszej ostatniej wizyty... Myślę nawet, że chociaż nie mogę mieć o tym pojęcia, nic nie zmieniło się w nim od kilkunastu lat. Przez jakiś czas rozglądałam się po knajpie, ale trwa to do pewnego momentu.

Dopóki mój wzrok nie łąduje na jednym z klientów.

Mężczyzna, którego wyłapałam w tłumie, stoi pod jedną ze ścian i patrząc wprost na mnie, popija swoje piwo. Mam wrażenie, że uśmiecha się zadziornie, jakby dobrze wiedział, że samą swoją obecnością, bez wysiłku sprawił, że cała zaczęłam się niemiłosiernie trząść i cholernie denerwować. Nie przerywam naszego kontaktu wzrokowego. Ciągle jedynie bardziej upewniam się w okrutnym przekonaniu, że mój najgorszy koszmar mnie doścignął.

Znajduję się na skraju hysterii.

Podświadomie czułam, że to zrobi: że po tym, jak od niego związałam, a do tego niedługo potem zniszczyłam jego małżeństwo, będzie chciał mi się za to zrewanżować. Nie wiem konkretnie, w jaki sposób, ale teraz, kiedy go zobaczyłam, przerażenie sprawia, że nie mogę się ruszyć. Nie mogę wydusić z siebie niczego prócz urywanego i przyspieszonego oddechu.

Maverick oblizuje usta, jakby w zastanowieniu.

Składam się z paniki, nie do końca jestem w stanie pojąć, co się tak właściwie dzieje. Ktoś chce mi chyba coś dać, ktoś inny zabiera tę rzecz i potrząsa moim ramieniem. Spuszczam wtedy błyskawicznie wzrok, odrywając go od Mavericka Hudsona. Mężczyzny, który gdy byłam zaledwie nastoletnią podopieczną sierocińca, wykorzystał to, że jak większość młodych dziewczyn stamtąd marzyłam o swoim wybawicielu otaczającym mnie opieką i miłością. Później wpoił mi swoją definicję związku. Zrobił sobie z naiwnej mnie narzędzie, na którym mógł się wyładować w dowolny sposób i wobec którego mógł dać upust najgorszym zamiarom.

Załamana odwracam się do Willa i patrzę na niego szklistymi oczami. Muszę mu o wszystkim jak najprędzej powiedzieć, bo jedynie on może uchronić mnie przed wściekłością Mavericka. Ale co jeśli moje domysły okażą się prawdziwe? Jeśli to jego przyrodni brat?

Widzę tak wiele podobieństw pomiędzy nimi. Jakby tego było mało, Maverick pojawił się w Charleston w podobnym czasie do tego, kiedy ojciec Rhodesa uciekł od opieki nad nim. W dodatku to zdjęcie rodzeństwa, które kiedyś znalazłam... co prawda był na nim widoczny wyłącznie fragment twarzy drugiego chłopaka, ale tyle wystarczyło, bym nabrała podejrzeń.

Will chowa do kieszeni pieniądze i ujmuje w dłoń mój policzek.

– Co się znowu stało, Marigold?

W mieszkaniu, decyduję. Powiem mu prawdę w mieszkaniu. Tam, bez świadków, będę mogła wyrzucić z siebie wszystko z płaczem, bez którego nie przebrnę przez wspomnienia.

– Nic. – Siąkam nosem i ścieram przegubem ręki łzę, która wypłynęła mi spod powieki. – Miejsce, w którym jesteśmy, jest po prostu okropne i naprawdę chcę już stąd iść.

Chłopak nie odpowiada. Jedynie zaciska usta i czym prędzej wyprowadza mnie z zatłoczonej knajpy, a ja zanim z niej wychodzimy, wyłapuję w półmroku spojrzenie brązowych oczu, w których czai się wyraźny, złowieszczy błysk. Ten, który tak dobrze znam.

Wykrzywiam z bólem usta. Mam ochotę znaleźć się jak najdalej stąd.

– Mówiłem, że nie musisz tutaj przychodzić – mamrocze Will, kiedy stoimy już na zewnątrz, na rogu dwóch pustych ulic. Otacza nas ciemność nocy, nieustający grudniowy chłód oraz stłumiona muzyka docierająca tutaj z lokalu.

Od razu zaczynam iść w stronę naszego bloku, bojąc się, że *ktoś* za nami wyjdzie.

– Tylko raz poczułam, że nie dam rady zostać tu dłużej – odpieram w międzyczasie i chcę dać sobie czas na przemyślenie tego, co powiem mu w mieszkaniu, więc zmieniam temat rozmowy: – Powiedz mi lepiej, dlaczego przez cały dzień siedziałeś z nosem w komórce, co?

Uśmiecham się dla niepoznaki i zmazuję resztę łez. Oby Will pomyślał, że naprawdę chwilowo przytłoczyła mnie ta speluna oraz wszystkie typy, które spędzają tam dzisiaj czas, i niczego nie analizował. Na to będzie miał kolejne godziny, jak już wyjawię mu całą prawdę.

Mam tylko nadzieję, że jakoś ją wytrzyma.

Teraz bierze głębszy wdech, zrównuje ze mną tempo kroków i podaje mi mój zimowy płaszcz, który od razu na siebie narzucam. Sam także zakłada swoją kurtkę, po czym spogląda na mnie z krzywo uniesionym kącikiem ust i mówi, czego szukał na telefonie:

– Przeglądałem oferty wynajmu mieszkań na obrzeżach Denver.

Na pozór spokojniejsza odwzajemniam jego spojrzenie.

– Znalazłeś coś ciekawego?

Przytakuje, ale odrobinę niemrawo.

– Jedną kawalerkę, wolną dopiero za pięć tygodni. Skromną i niedużą, w dodatku daleko od centrum... ale myślę, że na początek byłaby okej. Dopóki nie dorobiliśmy się jakiejś fajnej chatki w górach, z daleka od wszystkich, raczej byśmy tam przetrwali.

– Na pewno dalibyśmy sobie radę. – Zmazuję opuszkami palców z jego pokrytego bliznami policzka śnieg, który zaczął przed momentem sypać.

On natomiast wyciąga telefon i mi go podaje.

– Spójrz – zachęca mnie.

Oglądam zdjęcia i staram się na nich skoncentrować, ale nie jest to proste, gdy po głowie bez przerwy krąży mi myśl, że za kilkanaście minut wyrzucę z siebie coś, co chowałam w głębi duszy od dłuższego czasu. Mimo to udaje mi się przejrzeć ogłoszenie od deski do deski. Gdy kończę, dochodzę do pewnych wniosków i oddaję Willowi jego własność.

– Za taką cenę ktoś może nam ją szybko sprzątnąć sprzed nosa – stwierdzam, bo nie jest ona wysoka, a kawalerka wygląda całkiem w porządku. – Pisałeś już do właściciela?

Brunet drapie się po tyle głowy.

– Nie – przyznaje po dłuższym namyśle. – Mieszkanie wydaje się niezłe, ale ciągle mam coraz więcej wątpliwości, czy to wszystko po prostu wypali.

– Daj znać, że jesteśmy zainteresowani – namawiam go, ale widząc, że nie przynosi to żadnego skutku, decyduję się załatwić to sama. Najpierw muszę jednak odciągnąć jego uwagę od tego tematu, a tak się składa, że wiem nawet, w jaki sposób to zrobić. – Will?

Wzdycha krótko.

– No?

Przystaję w pół kroku, a on razem ze mną.

– Mam coś dla ciebie – zaczynam nieco ciszej i chowam dłoń do kieszeni płaszcza, by odnaleźć w niej mały przedmiot. – Wiem, że urodziny miałeś w tamtym tygodniu, a my nie mieliśmy dawać sobie prezentów, ale pomyślałam, że podaruję ci drobiazg. Coś, co będzie ci się ze mną kojarzyło. Możesz zawiesić to sobie w samochodzie albo przypiąć do kluczy. Upchać głęboko w szufladzie lub wyrzucić, jeśli wydaje ci się żalosne, ale...

Chłopak słucha mnie i nagle prychnął kpiąco.

– Jezu, Harding. Znowu gadasz jak najęta.

– Po prostu... proszę – rzucam naprędce i wyciągam w jego stronę niewielki brelok, który Will zabiera ode mnie, marszcząc przy tym delikatnie brwi. Ogląda go z każdej strony, aż w końcu spogląda na mnie i kiwa głową w podziękowaniu.

– Sztabka złota. Podoba mi się... *Gold*.

– Ale nie wiem, czy spodoba ci się to, co teraz zrobię – odpowiadam z politowaniem i z dłoni, w której nie trzyma breloku, wrywam mu telefon. Zaraz czmycham sprzed nosa zdezorientowanemu chłopakowi i biegnę do naszego bloku.

– Co ty wyprawiasz?! – słyszę jego krzyk.

Odblokowuję komórkę i ciężko oddychając, odpowiadam mu bardzo głośno:

– Piszę, że jesteśmy zainteresowani tym mieszkaniem na obrzeżach Denver!

Will chyba też zrywa się do biegu, bo śnieg pokrywający chodnik, chrupie nie tylko pod podeszwami moich butów. Ja jednak nie zatrzymuję się. Zamiast tego próbuję wystukać na klawiaturze urządzenia sensownie brzmiącą odpowiedź dla właściciela kawalerki.

– Nie możesz podejmować takiej decyzji spontanicznie! – woła Covington.

– Nie? – Udaję zdziwioną. – Kto mnie przed tym powstrzyma?!

Im dłużej biegnę, tym bardziej mróz szczypie mnie w policzki.

– Jesteś szurnięta!

– Jedyne odrobine! – Uśmiecham się.

Po wysłaniu wiadomości zatrzymuję się i robię to akurat przed naszym blokiem. Zaraz dobiega do mnie Will i pierwszym, co robi, jest zabranie mi telefonu. Spoglądam na niego. Włosy ma roztrzepane przez wiatr, oczy z lekka zmrużone, a usta, przez które oddycha, nieco rozchylone. Z chwilą, kiedy orientuje się, co zrobiłam, krzyżuje ze mną spojrzenie.

Wzruszam niewinnie ramionami.

– Za późno. Jutro pewnie odezwie się do ciebie właściciel, uzgodnicie wstępnie szczegóły i jeśli na miejscu wszystko okaże się takie, jak na zdjęciach, przeprowadzamy się niedługo do spokojnego Kolorado – mówię to z przerwami, ponieważ gardło pali mnie od biegu w zimnie, i obnażam zęby. – No dalej, Will. Bądź spontaniczny i z niczego się nie wycofuj.

Patrzy na mnie stuprocentowo poważny i chyba intensywnie nad czymś myśli.

– Chcesz tego? Żebym się nie wycofywał?

– Z całego serca – odpieram szczerze.

– Żebym był spontaniczny? – ciągnie.

– Tego też.

– W takim razie... – Wtem prycha, kładzie ręce na moich biodrach, podnosi mnie bez najmniejszego trudu i dumny wydobywa z siebie niesamowicie głośny krzyk, który jestem przekonana, że słyszy cała dzielnica: – WYNOŚZĘ SIĘ STĄD Z NIEZNOŚNĄ HARDING!

Zarzucam mu ręce na szyję, bo boję się, że w całym tym ferworze, kiedy uśmiechnięty kręci się w miejscu ze mną na rękach, mógłby mnie upuścić. Szalik zsuwa się z mojej szyi, ale nie przywiązuję do tego wagi, bo jestem cała w emocjach, gdy słyszę w głowie echo słów wykrzykniętych w euforii przez Willarda. Na moment zapominam o wszystkim: po prostu krztuszę się płaczem, tkwiąc w ramionach chłopaka, z którym chciałabym być już zawsze.

A on odstawia mnie na ziemię dopiero po dłuższej chwili, mając wypisane w oczach wyłącznie prawdziwe szczęście, na którego widok nie umiem nie rozplakać się bardziej.

– Miałas powiedzieć, że zajebicie mi poszło, a nie mazać się, wiesz? – pyta drwiąco, podnosząc mój szalik i układając naciągnięty materiał za moim karkiem. Następnie Will z jego pomocą przyciąga mnie bliżej siebie i dopiero wtedy zaczyna owijać nim szczelnie moją szyję.

– Przepraszam – dukam cała we łzach. – Poszło ci najlepiej.

Chłopak przewraca oczami i kuca.

– Wdrapuj się. – Klepie swoje ramię. – Tylko nie zalicz gleby.

Posłusznie wchodzę na niego, a następnie przeskakuję przez barierkę najniższego piętra przejścia ewakuacyjnego. Stojąc już na metalowych kratkach i czekając, aż dołączy do mnie Covington, omiatam czujnym wzrokiem opustoszałe ulice Bronxu. Wtedy miły czar pryska, bo przypominam sobie, kto także się nimi przechadza. Jak na zawołanie moje wystawione na niską temperaturę ciało zaczyna bardziej drżeć. Nie mogę tego dłużej odwlekać. Jedyne Will może mi pomóc. Wiedząc o tym, odwracam się do niego z ledwo wydobyłym z siebie pytaniem:

– Gdy już będziemy w domu, możemy o czymś pogadać?

– Masz na myśli sprawę, którą mieliśmy załatwić przed twoim pierwszym występem? – upewnia się oraz wskazuje kiwnięciem na schody, dając mi jasny sygnał, bym nie stała beczynnym na mrozie i ruszyła w końcu do mieszkania.

Zaczynam powolny spacer po stopniach. Odczuwam ogromny opór przed wyrzuceniem z siebie kolejnych zdań, a wynika on z obawy, co pomyśli sobie o mnie Will, gdy dowie się, jaka byłam naiwna i jak

dałam sobą pomiatać mężczyźnie, który prawdopodobnie jest jego przyrodnim bratem. Nie mam pojęcia, jak na to zareaguje. Może... mnie odtrąci? Boże, tak strasznie nie chciałabym, by mnie zostawiał, kiedy potwornie mi na nim zależy.

Zerkam na niego niepewnie i znowu czuję ciepło gromadzące się pod powiekami.

– Tak, to jednak naprawdę ważne – szepczę prawie bezgłośnie, wyginając nerwowo palce. – Domyślam się czegoś, co jeśli okaże się prawdą, może nas zabołec. Dlatego proszę cię... porozmawiajmy o tym jak najszybciej.

– Biegnij na górę.

Zaskoczona marszczę czoło.

– Słucham? – wyduszam pytanie.

Stoimy na trzecim piętrze przejścia ewakuacyjnego, a wyraźnie niespokojny Willard podchodzi do zardzewiałej barierki, opiera na niej wyprostowane ręce i patrzy cholernie uważnie w jeden punkt znajdujący się gdzieś w oddali. Mięsień jego szczęki delikatnie drga, co dowodzi temu, że coś mocno go zdenerwowało.

Ale co takiego?

– Biegnij na górę, Marigold – naciska tonem nieoczekującym sprzeciwu i spogląda na mnie przelotnie w ostrzegawczy sposób. – Jake i Ross wjeżdżają na Bronx.

– S-słucham?

Ciarki przechodzą mnie po plecach na wzmiankę o bandziorach, dla których pracuje Will. Obecność tej dwójki na Bronksie zdecydowanie nie wróży niczego dobrego, ale przecież nie mogę odwlekać dłużej w czasie wyjawienia mu prawdy o mnie i o Hudsonie. On też gdzieś tu jest. Szuka mnie. Na pewno prędzej czy później znajdzie. Will musi poznać prawdę teraz.

Ciągnę go za materiał kurtki, by znowu spojrział w moją stronę.

– Ale ja muszę powiedzieć ci wszystko w tej chwili.

Chłopak odbija się od barierki i kładzie ręce na moich ramionach.

– Nie, w tej chwili musisz wiać do mieszkania. – Zbliża swoją twarz do mojej, tak że nasze usta dzieli może cal, a następnie wypowiada wprost w nie kilkanaście słów: – Ja do nich zejdę, zanim zdążą do niego ruszyć, bo na pewno czegoś ode mnie chcą i tam będą mnie szukać.

Spanikowana potrząsam głową, dławiąc się w pośpiechu nabieranymi oddechami.

– Musisz się czegoś ode mnie dowiedzieć... – powtarzam jak mantrę.

Moje załzawione oczy uparcie gonią za jego, skupionymi i pociemniałymi.

– Dowiem się tego później – odpowiada z zimną krwią i odsuwa się ode mnie na pewną odległość, co kilka sekund wędrując wzrokiem do ulicy, przez której mrok przedzierają się reflektory auta. – Śmigaj na górę, do Rhodesa. Postaram się jak najprędzej do was wrócić.

Mimo że tego nie chcę, poddaję się i bez dalszego protestu ruszam pędem na górę. Potykam się niemalże o każdy stopień schodów, bo co rusz odwracam głowę, żeby sprawdzić, czy Will stoi tam gdzie wcześniej. Za którymś razem zamiast mojego kłamcy dostrzegam na trzecim piętrze wyłącznie pustkę, której widok sprawia, że coś się we mnie kruszy.

Oby rzeczywiście szybko wrócił. Błagam, niech szybko do mnie wróci.

Wpadam do mieszkania przez okno niczym torpeda. Od razu je zamykam i zaciągam zasłony. Do tego sprawdzam, czy drzwi wejściowe aby na pewno są zamknięte. Robię to przynajmniej dwadzieścia razy. Dopiero gdy zyskuję co do tego pewność, zrzucam z siebie płaszcz i przestraszona wchodzę do sypialni, gdzie kładę się na łóżku obok śpiącego Rhodesa.

Staram się go nie obudzić, lecz on i tak otwiera swoje wielkie oczka.

– Goldie? – pyta sennie, pomrugując. – To ty?

– Tak. – Próbuję brzmieć spokojnie.

– A gdzie Will?

Czuję ukłucie w piersi, bo sama chciałabym wiedzieć, dokąd pojechał.

– Niedługo położy się z nami – szepczę załamana. – Dobranoc, kochany.

– Dobranoc... – mamrocze śnięty maluch.

Przez następnych kilka godzin próbuję trzymać panikę na uwierzy i wypierać z głowy każdą jedną okropną wizję, zakładającą, że Maverick Hudson pojawi się w którymś momencie w mroku naszej sypialni. Robię to do samego rana, dopóki w końcu nie zasypiam z wycieńczenia z pewnym kłamstwem na ustach,

które chciałabym, by okazało się prawdą:

To Will pojawi się tutaj zamiast niego.

Z płytkiego snu wrywa mnie podejrzany odgłos przypominający... łkanie? Uchylam powieki i rozglądam się półprzytomnie po pokoju, w którym zdążyło zrobić się jasno, bo na zewnątrz panuje zimowa szarówka. Przebywam tu sama, pościel na drugiej połowie łóżka jest rozwalona. Ktoś, kto się z niej wyplątał, chyba zrobił to w pośpiechu, bo spora jej część leży na podłodze.

Zaskoczona wstaję i ruszam nieśmiało tam, skąd dobiega tajemniczy płacz. Mam złe przeczucia, zwłaszcza widząc stojącego w korytarzu Rhodesa. Chłopczyk ściera z policzków mokre ślady rękawami piżamy. Bezwłocznie do niego doskakuję i padam przed nim na kolana.

– Kochany, co się stało? – pytam zmartwiona, patrząc na jego zasmuconą buźkę.

On wskazuje palcem na coś znajdującego się w salonie. Spoglądając tam, od razu orientuję się, że to wcale nie jest coś, a ktoś... dotkliwie pobity i cały we krwi. Próbujący nieudolnie zetrzeć ją z twarzy starą bluzą, lecz w efekcie bardziej to wszystko rozmazując.

Zrywam się błyskawicznie z podłogi z bezradnym, pełnym udręki jękiem.

– Will... – powtarzam to imię przez ściśnięte gardło. – Boże, Will...

Kłękam przed nim kompletnie przerażona i także mam ochotę rozplakać się od samego patrzenia na siedzącego na obdartej kanapie, w zgarbionej pozycji chłopaka. Wygląda okropnie z podbitym okiem, mniejszym w porównaniu do drugiego. Z czerwonymi smugami spływającymi z nosa. Z nową, ciętą raną biegnącą od żuchwy do czoła. Will wygląda tak paskudnie źle, że dławię się pierwszym szlochom, który rodzi się w mojej piersi.

Próbuję zabrać mu bluzę i jakkolwiek ulżyć, bo widzę, że z dłonią również ma jakiś problem. Nie wiem, czy ktoś mu jej nie zmiażdżył, ale... jest cała sina. On jednak odsuwa się ode mnie z suchym ostrzeżeniem:

– Zabierz te ręce.

Wypuszczam drżący wydech.

– Dlaczego? – Patrzę na niego zapłakana i zagubiona. – Chcę ci pomóc.

– A ja nie chcę, żebyś widziała mnie jeszcze bardziej, kurwa, szpetnego.

Zaciskam powieki, bo jego słowa bolą mocniej, niż sądziłam, że mogłyby mnie zabołec. Will zwiesza bezsilnie głowę i wlepia wzrok w podłogę, sznurując przy tym wargi, a ja wiem, że chodzi mu o najdłuższą ciętą ranę na twarzy, po której na pewno zostanie mu najbardziej obrzydliwa blizna. On nie chce... on nie chce, bym ją oglądała ani przez najkrótszą chwilę.

A ja przełykam łzy, bo wstręt, który odczuwa względem siebie, łamie mi serce.

Nie odrywam od niego pełnego bólu wzroku. Po prostu tkwię w zawieszeniu, wpatrzona wyłącznie w niego. Zraniona i rozbita. Najchętniej sama pozwoliłabym wyciąć sobie na twarzy głęboką szramę, byle tylko jemu nikt nie zrobił kolejnej. Czy nie miał ich wystarczająco dużo? Czy nie cierpiał już dostatecznie bardzo, gdy tworzono mu poprzednie?

Zerkam na Rhodesa i zwracam się do niego półgłosem:

– Hej, artysto. – Posyłam mu uśmiech, który więcej wspólnego ma raczej z grymasem. – Przebierz się w coś odrobinę bardziej wyjściowego, dobrze? Niedługo wyjeżdżamy do szkoły, żebyś zdążył na pierwszą lekcję. Ja w tym czasie posiedzę z wujkiem.

– D-dobrze, Goldie.

Malec szybko czmycha do sypialni. Cieszę się, że chociaż wykonuje moje polecenia bez mrugnienia okiem i jednocześnie jest mi przykro, że musiał widzieć Willa w stanie, w jakim go zastał. Gdybym obudziła się nieco wcześniej i doprowadziła jego wujka do porządku, oszczędziłabym mu nie tylko płaczu, ale też widoku, który zostanie z nim pewnie na długo.

Mając pewność, że jesteśmy sami, znowu spoglądam na Covingtona.

– Nawet dzieciak rozbeczał się na mój jebany widok – mówi rozgoryczony, ciskając z niepokojem zwiniętą w kłębek bluzę w podłogę. – To chyba wystarczający powód, żebym nie oczekiwał od ciebie, że będziesz ze mną siedzieć i znosić to, jak wyglądam.

Wylewam więcej łez i odpieram żałośnie błagalnym szeptem:

– Przestań. – Kręcę pomalą głową. – Proszę cię, przestań...

– Sama zresztą też się mażesz.

Nie uciekam szklistym spojrzeniem od jego osoby. Ciągle szukam też po omacku trzęsącą się dłońią leżącą gdzieś na panelach bluzy. Mogłabym zerknąć w dół i od razu ją chwycić, ale nie chcę, by Will choć przez moment pomyślał, że nie mogę na niego patrzeć, dlatego zamierzam obserwować go przez każdą jedną sekundę.

– Płacę, bo sądzisz, że kolejna blizna na twojej twarzy sprawi, że cię odtrącę – wyznaję zrozpaczona. – Do tego siedzisz na tej kanapie, wyglądając, jakby ktoś porządnie ci przyłożył, a mnie tak okropnie boli sama myśl o tym, jak bardzo musiałeś i nadal musisz cierpieć.

Zaciskam palce na bluzie, którą w końcu udaje mi się chwycić.

– Co wydarzyło się tej nocy, Will?

Moje pytanie przesiąka szczerym zmartwieniem. Chłopak tym razem nie mówi niczego, kiedy wspieram się na klęczkach i zaczynam ścierać posokę z jego rozciętego policzka. Sama będę musiała oczyścić jego ranę, bo domyślałam się, że nie uda się do lekarza. Ostatnim razem, gdy skatowany wrócił do mieszkania z lekami dla Rhodesa, też się przed tym wzbraniał.

Teraz odczekuje dłuższy moment, aż nareszcie streszcza mi przebieg ostatnich godzin.

– Miałem przy sobie za mało towaru. – Przygląda mi się z góry oczami, w których na próżno szukać jakiegokolwiek emocji. – Musiałem się pomylić i dać komuś za dużo. Jake i Ross zawieźli mnie do opuszczonego domu i tam lali jak psa, a ja nie mogłem im oddać choćby raz, nawet gdy w pewnym momencie znowu przecięli mi nożem twarz.

Gryzę wargę, żeby nie wydać z siebie żadnego dźwięku.

– Zrobili to, a ja... pomyślałem wtedy tylko o tobie – zdradza i chociaż nie jest mu łatwo to zrobić, podnosi mnie, po czym wciąga na swoje kolano, a następnie do siebie przytula. – O tym, że akurat wielka, świeża rana na całej mojej i tak paskudnej gębie na pewno cię obrzydzi.

Przebiegam kojąco palcami po zdrowym policzku Willa i obserwuję go z troską.

– To nic – szeptam cichutko. – To nic... ona nie ma dla mnie znaczenia.

– Naprawdę nie?

Zaprzeczam z kolejną porcją łez w ustach.

– Straciłam głowę dla ciebie, nie dla twojej twarzy ze stałą liczbą blizn – dopowiadam, nawet jeśli przez płacz dławię się wypowiedzanymi słowami. – Musisz mi uwierzyć. Musisz mi uwierzyć, że będę wobec ciebie taka, jaka byłam przedtem. Jak mam ci to udowodnić?

Jabłko Adama porusza się delikatnie pod skórą Willa, gdy świdruje mnie zamglonym spojrzeniem. Mknie nim od moich oczu, przez nos, aż w końcu skupia się na nieznacznie rozchyłonych wargach, na których na pewno odznaczają się wilgotne ślady.

– Wiesz jak, Gold... – wydycha dyskretnie. – Tak dobrze to wiesz.

Czym prędzej mocno go całuję. Wyobrażam sobie, że tego ranka mógłby do mnie nie wrócić i skończyć skatowany w opuszczonym domu na obrzeżach miasta. Mimo warg przytkniętych do jego wydobywam z siebie kolejny szloch, lecz szybko tłumi go Will. Zmęczony zamyka dłoń na moim karku i odwzajemnia pieśczęotę. Trwamy tak, póki nie odsuwa się i nie łączy swojego czoła z moim.

A wtedy patrzymy sobie w oczy, nieświadomi, że najgorsze dopiero przed nami.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

MARIGOLD

– Will, prosiłam cię, żebyś nie ruszał się z łóżka.

Obrzucam chłopaka wymownym spojrzeniem. Wychodząc z mieszkania, zwróciłam się do niego tylko z jedną prośbą: by po prostu odpoczął. Tymczasem po odprowadzeniu małego Rhodessa do szkoły, maszerując przez stację metra, widzę go stojącego na schodach prowadzących do wyjścia z rękami włożonymi do kieszeni kurtki oraz z twarzą skrytą w cieniu czapki z daszkiem. Przechodnie zerkają na jego nakrycie głowy ze zdziwieniem, w końcu mamy zimę. Nie mają jednak bladego pojęcia, jak mocno obita twarz się pod nią kryje.

Wchodzę na stopień niższy od tego, na którym stoi on, i sama się o tym przekonuję.

– Musisz przecież wydobrzeć, a odpoczynek na pewno by ci w tym pomógł – dodaję nieco bardziej miękim tonem, przy czym staram się nie skrzywić na widok mnóstwa szram.

Rany Willa nadal wyglądają bardzo, bardzo nieciekawie, mimo że te mniejsze powoli stają się strupami. Największa, ta cięta, wciąż delikatnie krwawi. Z trudem powstrzymuję chęć, by wyciągnąć z torebki swój szalik i zmyć z policzka Covingtona trochę krwi.

Z pewnością nie chciałby, bym robiła to przy ludziach.

– Nie będę ślęczał w mieszkaniu w nieskończoność i się, do cholery, bez przerwy obijał – burczy pod nosem. – Wystarczy, że wyręczyłaś mnie w odstawieniu młodego do szkoły. Teraz ja odstawię cię do domu, a potem znowu rozejrzę się za jakąś dorywczą pracą.

Wzdycham, a obłok ciepłego powietrza wydostaje się spomiędzy moich ust.

– Nie musisz mnie odprowadzać. Ryzyko, że ktoś mnie tutaj zaczepi, jest przecież odrobinę mniejsze w ciągu dnia.

Brunet pomału przytakuje.

– Być może, ale i tak wolę cię mieć na oku.

W myślach stwierdzam, że to, co powiedział, było nawet miłe. Posyłam mu więc niemrawy uśmiech i również ruszam się z miejsca, bo Willard zdążył zacząć marsz po schodach. Zaraz jednak zwraca się do mnie z pytaniem, które zmazuje wszelki spokój z mojej twarzy w przeciągu sekundy.

– Poza tym chyba musimy do czegoś wrócić, prawda? W nocy po raz kolejny chciałaś porozmawiać ze mną o czymś strasznie ważnym. Nareszcie mamy okazję obgadać ten temat, bo zaczynam myśleć, że nam się to po prostu nie uda.

Prędko rozglądam się po podejrzenie cichym dzisiaj Bronksie, ponieważ znajdujemy się już na chodniku, pośród odpychających bloków. Widzę mieszkańców dzielnicy, ale nie dostrzegam wśród nich tej jednej twarzy, którą obawiam się ujrzeć po raz kolejny. Może to nawet lepiej, że Will pilnuje mnie też w ciągu dnia. Nigdy nie czułam się tu mniej bezpiecznie.

Mknąc do przodu, opatulam się szczerlnie rękami. Potem, z ciągle narastającą gdzieś we mnie obawą, spoglądam ukradkiem na idącego przy moim boku chłopaka.

– Śpieszy ci się? Z tym rozglądaniem się za pracą?

Przyłapuje mnie na tym, że się gapię.

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Okej, ja też na lodowisku muszę zjawić się dopiero o pierwszej – rzucam tajemniczo i przenoszę wzrok na swoje przemoczone przez śnieg trampki. – Zapytałam cię, czy masz czas, bo nasza rozmowa na pewno nie będzie należała do najkrótszych.

Will nie odzywa się, a zamiast tego przysłuchuje się temu, co mówię.

– Wiesz, zamierzam opowiedzieć ci sporo o sobie. – Kopię bezcelowo śnieżkę ulepioną pewnie przez jakieś dziecko. – Opowiedzieć ci o swoich niekoniecznie dobrych wyborach i relacjach, w które nie powinnam była się wplątywać. O wszystkim, czego długo się wstydziałam. A potem, na samym końcu, zapytać cię, czy uważasz moje podejrzenia za bardzo głupie.

Ostatnie zdanie wypowiadam z wrażeniem, że zaraz w oczach staną mi łzy.

– Chcę też wiedzieć, na czym stoimy, jak już będziesz znał prawdę.

– Gold... zatrzymajmy się na moment.

Unoszę zagubiony wzrok.

– Dlaczego mielibyśmy?

– Chodź tutaj.

Czuję znajomo duże dłonie zamykające się na moich zmarzniętych policzkach, dlatego posłusznie zastygam w bezruchu na samym środku przejścia, mimo że nie przechadzamy się nim zupełnie sami.

– Nie rozumiem – wyszeptuję, zadzierając w nieśmiały sposób brodę oraz poszukując na twarzy Willa, która znalazła się tuż przede mną, oznaki mogącej odpowiedzieć mi, dlaczego wymusił na mnie przystąpienie w miejscu.

On zagłąda mi w oczy spojrzeniem tak przenikliwym, że mam wrażenie, jakby już poznał każdy mój najgorszy sekret, i zwraca się do mnie z łagodną prośbą:

– Po prostu skup się, okej?

Przesuwa opuszkami po mojej skórze, naznaczając ją przyjemnym ciepłem. Zasmucona odpowiadam mu wtedy niepewnym skinieniem, bo na nic więcej raczej mnie nie stać.

– Czegokolwiek mi nie wyjawisz, będziemy tkwić w tym samym miejscu, w którym znajdujemy się obecnie – zaczyna pewny tego, że ma rację, i unosi poranione kąciki ust. Ten widok potwornie mnie boli. – Będziemy wciąż tymi kurewsko skopanymi przez los ofermami, pocieszającymi się myślą o tym, że zaraz czeka nas życie ze sobą w cholernym Kolorado. Tak jak ty mnie nie skreślasz, tak ja nie postąpię w ten sposób z tobą, a już zwłaszcza nie przez coś, co wydarzyło się bardzo dawno temu. Naprawdę nie widzisz, że przełknę każdą prawdę o tobie? Że zrobię to, bo liczy się dla mnie tu i teraz? Bo liczysz się dla mnie ty?

Przyglądam się mu i czuję się tak, jakbym miała się zaraz rozlecieć. Nie wiem, jak przeżyję moment, który być może nastanie za kilkanaście minut: kiedy Will przyzna mi się do tego, że jednak nie jest w stanie ani na mnie patrzeć, ani mnie dotykać, ani mieć ze mną cokolwiek wspólnego.

Najprawdopodobniej uduszę się własnym płaczem, bo nie umiem już bez niego żyć.

– Zaczekaj z podobnymi zapewnieniami – udaje mi się zlepić kilka słów w odpowiedzi, chociaż strach zaczyna kontrolować także moje struny głosowe.

Chłopak przechyla głowę i mknie spojrzeniem po mojej twarzy.

– Nie chcę czekać – protestuje wciąż spokojny, głaskając opuszkami moje schowane w jego dłoniach policzki. – Zamierzam dać ci je w tej chwili i trochę cię uspokoić, bo jestem przekonany o tym, że nie ruszę się od ciebie na krok, choćby nie wiem co.

– Gdy byłam młodsza i do tego sama jak palec, miałam w głowie tak wielki bajzel, że łatwo było mną manipulować oraz mydlić mi oczy – uprzedzam go i czując pieczenie w płucach, wypuszczam z nich nareszcie płytki oddech, który nieświadomie wstrzymywałam.

Próbuję zebrać myśli. On daje mi na to czas.

– Potrzebowałam troski i poczucia bezpieczeństwa... A kiedy ktoś idealny, komu z czasem zaczęłam ufać, zaoferował mi to wszystko, chwyciłam się swojej ostatniej deski ratunku – ciągnę i próbuję zwiesić głowę, lecz brunet mi na to nie pozwala. – Wykonywałam każdą komendę, z którą się do mnie zwrócono, a to może cię tak strasznie do mnie zniechęcić, Will.

Odsuwam się od niego i tym samym strącam z siebie jego rękę.

– Zapytam – zapowiadam, wiedząc że tak postąpię. – Tak czy inaczej po wszystkim zapytam cię, na czym my tak właściwie nadal stoimy. Chodźmy, bo naprawdę chciałabym to z siebie wydusić. Nie chcę tego robić na chodniku.

Wymieniamy się ostatnimi spojrzeniami i kierujemy w stronę bloku. Wchodzimy do niego z obojętnymi minami, bo chociaż jak zwykle wita nas tutaj upiorna atmosfera, to jesteśmy już przyzwyczajeni do cichego szumu wody przelewającej się przez stare rury albo widoku zdrapanego tynku ze ścian pokrytych przy sufitach grzybem.

Coś oślizgłego unosi się w powietrzu i zdaje osiadać na mojej skórze, przez co drapię się po odkrytych fragmentach ciała. Trzymam się blisko Willa i po paru minutach wkraczamy do jego mieszkania. Jest w nim jasno, ponieważ tego poranka niebo przybrało szary odcień, ale też przygnębiająco. A może dopiero moja opowieść sprawi, że tak tutaj będzie?

Odwieszam płaszcz i przemykam do salonu, gdzie siadam na kanapie. Z plecami przytkniętymi do jej oparcia, podkurczam nogi do klatki piersiowej i próbuję odnaleźć w głowie moment, od którego powinnam zacząć swoją opowieść, ponieważ chłopak siedzi już obok.

Opieram policzek na kolanie i milcząc, bawię się wisiorkiem w kształcie księżycy jeszcze przez jakiś czas. W końcu jednak nabieram wdech ustami i przełamuję się do tego, by wyrzucić z siebie te najgłębiej skrywane wspomnienia.

– Mój tata przegrał walkę z nieuleczalną chorobą, jeszcze zanim przyszedłem na świat, więc wychowywała mnie tylko mama. Mimo to przypominając sobie dzieciństwo, zawsze się uśmiecham, bo granie z nią godzinami na pianinie, tańczenie o wschodzie słońca na jeszcze zimnym piasku i gonienie się po plaży było czymś, co z całego serca kochałam.

Kąciki moich ust i tym razem szybują ku górze. Nie ma siły, która pozwoliłaby mi nad tym zapanować. Zresztą chcę, by inni wiedzieli, że na myśl o mamie, czuję rozpieszczające mnie radość i przyjemną nostalgię. Nie wstydzę się tego, jak mocno byłam z nią zżyta.

Sledzę palcami krawędzie wisiorka, wpatrując się w niego.

– Potem zginęła podczas strzelaniny w banku. Otrzymała kilka strzałów w newralgiczne miejsca, przez co nie miała żadnych szans na przeżycie.

Powaga znowu przemawia zarówno przez mój ton, jak i wyraz twarzy. Mogę tego nie widzieć, ale jestem pewna, że Will mnie obserwuje i do tego uważnie słucha. Ja też kiedyś słuchałam tak jego. Mówił wtedy jak radził sobie będąc dzieckiem i dorastając na Bronksie.

– W wieku piętnastu lat trafiłam do sierocińca w Charleston, bo nie miałam żadnej rodziny, która mogłaby mnie do siebie przygarnąć – kontynuuję. – Tam przez kolejne dwa lata jakoś przygotowywałam się do wejścia w dorosłość. Na moją rutynę składało się wkuwanie okropnej matmy, sprzątanie stołówki i... wymykanie się z sierocińca na pobliską plażę.

Przymykam powieki, przypominając sobie, jak pięknie wyglądała.

– Lubiłam tam przychodzić. Nigdzie indziej nie czułam się bardziej spokojna i wolna. Siedząc o bardzo późnych porach na kamieniach, przypominałam sobie czas spędzany z mamą w podobnych miejscach i od razu mój nastrój trochę się polepszał. Pewnej nocy spróbowałam przedostać się na plażę kolejny raz, lecz wtedy przyłapał mnie na tym pewien mężczyzna.

Otwieram oczy i puszczam wisiorek, by otoczyć kolana rękami.

– Przedstawił się jako nowy opiekun.

Grymas bólu wkrada się na moje wykrzywione usta.

– Zdziwiłam się, bo od razu powiedział mi, że nie zamierza mnie nikomu wydać. Jeśli inni pracownicy dowiedzieliby się o moich nocnych wyskokach... cóż, na pewno bardzo surowo by mnie za nie ukarali. Tymczasem on był dla mnie miły i twierdził, że tym i każdym kolejnym razem weźmie moją stronę, bo wydaję mu się dobrym materiałem na kumpelę.

Odnajduję w sobie odwagę, żeby spojrzeć nareszcie na nieczytelnego Willa. Nie wiem, czy domyśla się, do czego mogłoby prowadzić zainteresowanie dorosłego mężczyzny samotną sierotą, ale ja parę lat temu nie byłam na tyle nauczona życia, żeby przewidywać takie rzeczy.

Może gdybym była, nie czułabym cudzego oddechu na karku.

Coraz więcej wspomnień napływa mi do głowy. Wszystkie powodują nieprzyjemny ucisk w moim sercu oraz napędzają we mnie potrzebę, by się rozpłakać, ale biorę się w garść i po wzięciu oddechu wracam do swojej paskudnej historii:

– Z początku trzymałam się od niego z daleka. Nie mogłam się do niego przekonać. On jednak robił wszystko, by to się zmieniło. Pomagał mi. Wspierał mnie. Oferował mi swoją obecność, kiedy czułam się samotna. Zapewniał, że nawet po tym jak opuszczę sierociniec, on pomoże mi stanąć na nogi i odnaleźć się w dorosłym życiu. To działało. Zaczynałam mu ufać i... coś do niego czuć. Był w końcu taki przystojny, opiekuńczy, idealny pod każdym względem.

Ciemne oczy Willa ciągle wpatrują się w moje. Przyglądamy się sobie z bliska, a on w końcu siada tuż obok, otacza mnie swoim szerokim ramieniem i przyciąga do siebie. Dopiero po chwili orientuję się, że postąpił tak, bo ła zaczęła kreślić drogę po moim policzku.

– Nawet jeśli wiedziałam, że to nieodpowiednie, po cichu wdychałam do swojego sporo starszego opiekuna i nowego, jedyne przyjaciela. – Moja mowa przypomina nieskładny bełkot, dlatego robię

przerwę, po której dodaje: – To trwało kilka miesięcy.

Podłamana wtulam się w Willarda i przełykam wstyd.

– Po nich ten mężczyzna wyznał mi, że się we mnie zakochał. Sama nie wiedziałam, co o tym myśleć. Z jednej strony chciałam skakać z radości pod sufit, ale z drugiej... Przecież nasza relacja była zakazana, w dodatku on był dorosłym facetem, a ja nastolatką. Długo biłam się z myślami, czy *my* w ogóle mamy sens. Jednak ja też zakochałam się w nim po uszy i pewnie dlatego ostatecznie zdecydowałam się na sekretny związek z nim. Poza tym chciałam przekonać się, jak to jest mieć drugą połówkę. Nigdy z nikim nie byłam, a pragnęłam być dla kogoś ważna.

Nie zrywam kontaktu wzrokowego z chłopakiem i pociągam nosem.

– Jedyne problem stanowiła jego żona. Mój ukochany od samego początku powtarzał mi, że ich małżeństwo jest już zakończone i w najbliższym czasie wezmą rozwód. Skoro miało się to wydarzyć, zgodziłam się zamieszkać z nim po opuszczeniu sierocińca i poczekać kilka dni, aż wszystko polubownie załatwią i wykreślą się wzajemnie ze swojego życia.

Naiwna. Byłam taka naiwna. Wiedząc o tym, zaciskam mocno pięści.

– W nowym miejscu mieszkało się nam naprawdę dobrze. – Mknę spojrzeniem do przeciwległej ściany i skupiając się na martwym punkcie, popadam w letarg. – Mój mężczyzna wciąż był chodzącym ideałem, a mnie z każdym miesiącem u jego boku serce rosło tylko bardziej. Świetnie się dogadywaliśmy. Nie istniały między nami żadne nieporozumienia. Miałam wrażenie, że byliśmy dla siebie stworzeni. Trwało to, dopóki on nie zaczął przekładać tematu rozwodu na później. Dopóki także... nie zaczął wymagać ode mnie bycia na każde jego zawołanie.

Drapanie w gardle zmusza mnie do odkaszlnięcia.

– Przynieść ci wody? – pyta troskliwie Will.

Kręcę głową i zaprzeczam.

– Nie, ja... sama ją sobie wezmę.

Wyplątnę się z jego objęć, po czym wstaję na nogi.

– Nie musisz streszczać mi wszystkiego na raz, wiesz?

Jestem mu niesamowicie wdzięczna za to, że nie wywiera na mnie presji. Jednocześnie nie mogę przeżyć myśli, że tak długo go okłamuję i teraz jeszcze odpowiadam słabym uśmiechem na ten jego, w równym stopniu niewyraźny... robię to co najmniej, jakbym nie dusiła w sobie podejrzeń, że tkwiłam w naprawdę chorej relacji z jego bratem.

Czym prędzej przechodzę do kuchni, przecierając palcami oczy.

– Potrzebuję wydusić to z siebie i już więcej nie dotykać przeszłości, więc dokończę resztę możliwie jak najszybciej, nawet jeśli mamy jeszcze trochę czasu – odpowiadam i sięgam po kubek leżący na blacie. – Bo która jest godzina? Dochodzi dopiero dziesiąta, prawda?

Napełniam naczynie zimną wodą z kranu. Stoję przy umywalce, odwrócona plecami do salonu, gdzie zostawiłam chłopaka, dlatego nie mam pojęcia, co robi, skoro mi nie odpowiada. Może rozmyśla nad tym, co zdradziłam mu do tej pory?

– Will? – przywołuję go, marszcząc brwi.

Obracam się na pięcie i zamieram, ponieważ dostrzegam w pokoju nie jedną, a dwie osoby. Kubek wysuwa mi się z ręki. Roztrzaskuje na kawałki na brudnej podłodze, lecz nikt nie zwraca na to uwagi. Przyciskam dłoń do ust, byle tylko mój histeryczny szloch nie przeciął ciszy, jaka nastąpiła nagle w całym mieszkaniu.

Wrócił.

Maverick wrócił.

Wyprostowany stoi naprzeciwko Willarda i wpatruje się w niego nieprzeniknionym żadną emocją wzrokiem. Covington nie pozostaje mu dłużny, lecz jego spojrzenie... jest inne. Wściekle rozbiegane. Przesiąknięte agresją. Żądzą mordy. Pełne czystej, nieposkromionej furii. Chłopak zaciska szczękę tak mocno, że aż zaczyna boleć mnie własna. Jego nozdrza falują, kiedy nabiera straszliwie dużo powietrza nosem i wypluwa obelgę:

– Ty skończony chuju...

Potem wpada w najprawdziwszy szał. W momencie doskakuje do przeciwnika, chwytając go za piaszcz pod szyją i zaczyna nim szarpać. Robi to, a ja nie mam już żadnych wątpliwości, że coś ich łączy, że

Maverick musi być tym najgorszym bratem, który zostawił Willa z ogromnym długiem, małym dzieckiem i problemami, które rozwiązuje do dzisiaj.

A to oznacza, że miałam rację.

Wybucham gorzkim płaczem i nie mam nad tym żadnej kontroli. Po prostu stoję jak wryta w miejscu z ręką zacisniętą na ustach, patrząc na scenę rozgrywaną się w salonie i domyślając się, że prędzej czy później wyniknie z niej prawdziwa makabra.

– Jak śmiesz przyłazić tu po tyłu, kurwa, jebanych latach? – wyrzuca Will, znajdując się w amoku i nie przestając wpatrywać się roziskrzonymi w złości oczami w swojego brata. – Jak śmiesz przyłazić tu, wiedząc, że zjebałeś mi życie i bez najmniejszych skrępowań zostawiłeś własnego syna na pastwę losu? Wypierdalaj z tego mieszkania, rozumiesz?

Rzuca się na niego i uderza go w twarz. Łzy przysłaniają mi obraz, ale i tak dostrzegam pośród rozmytej plamy czerwień krwi, która tryska naokoło z kolejnym ciosem wyprowadzonym przez Willa. Szlocham w trzęsącą się dłoń i modłę, żeby tylko Maverick mu nie oddał. Są podobnej postury, ale młodszy z braci jeszcze rano ledwo kontaktował.

– Masz stąd wypierdalać, zanim wpakuję ci łapę do mordy i się nią, kutasie, udławisz! – wydobywa z siebie przeraźliwie głośny ryk.

Nie przestaje okładać Hudsona pięściami. Leje go i leje, znęca się nad nim jak nad psem, a ja przyglądam się temu i nie mogę złapać tchu. Nie widziałam jeszcze, by coś takiego ogarnęło Willarda. Rzadko kiedy nad sobą nie panował, ale w tej chwili chyba mógłby nawet *zabić*. Odgłosy szamotaniny i zdławione sapnięcia przez kilka sekund roznoszą się po pokoju.

Potem Maverick odpycha brata i wyszczerza pokryte posoką zęby.

Ma mocno obita, gdzieniegdzie pokrytą ranami twarz. Wstrząsa mną natychmiastowa chęć opróżnienia żołądka, bo dociera do mnie swąd krwi, jednak nie ruszam się. Nie jestem w stanie wykonać kroku. Przeraza mnie konfrontacja Willa z bratem. Przeraza mnie też moja konfrontacja z mężczyzną, który dawno temu wyrządzał mi regularnie okropną krzywdę.

Dusi mnie płacz, który nie mija, a ciągle wzbiera na sile.

– Kiedyś myślałem, że tobie też żadna się nie oprze – rzuca kpiąco mój największy koszmar. – W końcu jesteśmy braćmi. Z innego ojca, ale braćmi. Potem zobaczyłem twoją wstrętną, poharataną głowę i szybko doszedłem do wniosku, że każda prędzej poleciałaby na bezdomnego niż na ciebie... Dlatego też ucieszyłem się, że zmieniłem nazwisko i nikt mnie już z tobą nie skojarzy. Maverick Hudson. Co sądzisz? Według mnie bardziej mi pasuje.

Willard dyszy ciężko i przeciera wierzchem zakrwawionej dłoni usta. Widzę to w nim. Widzę, że za chwilę znowu ruszy na Mavericka i zacznie walić go gdzie popadnie. Najchętniej skatowałby go do nieprzytomności albo po prostu pozbawił życia.

Przecucie podpowiada mi, że dzisiaj zdobyłby się na wszystko.

– Mniejsza – ucina starszy z mężczyzn i bez pośpiechu otrzepuje materiał płaszcza z niewidzialnego kurzu. – Nie fatygowałbym się, by wracać na stare śmieci ze względu na ciebie ani tego gówniarza nawet po to, by zaśmiać ci się w tę paskudną mordę.

Covington zwięża złowrogo oczy i prycha.

– Więc na cholerę tu jesteś?

– Przez nią.

Jego spojrzenie pada na mnie.

– Tęskniłaś, moja ślicznotko?

Opuszczam rękę i nie wytrzymuję. Zginam się w pół. Wyrzucam spomiędzy popękanych ust spazmatyczny szloch, który gdyby to było możliwe, pewnie sprawiłby, że rozleciałby się cały blok. Zaczynam dławić się własnymi łzami. Wplątując palce w skołtunione włosy oraz ciągnąc za nie, potwornie mocno pragnę tylko, żeby ktoś to przerwał.

Żeby zabrał ode mnie mężczyznę, który mnie zrujnował.

– Co ty bredzisz? – warczy Will. – Nie waż się do niej podchodzić!

– Zaskoczyłoby cię to, na co mam ochotę pozwolić sobie względem tej cwaniary za zniszczenie mojego małżeństwa i namieszanie w moim ułożonym życiu.

Roztrzęsiona kucam, kulę się w sobie i wbijam załzawione spojrzenie w podłogę. Nie mogę się

uspokoić. Moje serce pędzi w szaleńczym galopie. Zęby szcękają coraz głośniejsze. Oczy pieką, a gardło przepala rwący ból, bo wydziera się z niego udręczony jęk. Natłok myśli chyba rozsadza mi czaszkę, a histeria przedziera się przez każdy skrawek rozdygotanego ciała.

Wariuję. Boże, ja naprawdę wariuję.

– Marigold? – Mój kłamca zwraca się do mnie cichym tonem, a ja dziwię się samej sobie, że jestem w stanie go zarejestrować. – O czym on, do diabła, pieprzy?

Podrywam z wysiłkiem głowę i patrzę na Willa zbolalym wzrokiem. Zaraz jednak pada on na Mavericka, który ponownie obnaża zęby w szyderczym uśmiechu.

– Zataiłaś przed nim prawdę – mówi. – To zabawne, bo obserwując was przez ostatnie dni, podejrzewałem, że jesteście całkiem oddaną sobie parką. A tu proszę... Mari nie przyznała się temu słabemu frajerowi, że zainteresowała się nim, bo szukała kogoś, kto obroni ją przed jego wkurwionym bratem. Naprawdę przeszło ci przez myśl, że on cię przede mną uchroni?

To wydostaje się ze mnie nagle. Ten głośny, pełen protestu, spanikowany krzyk:

– Nie było tak!

Wstaję i koślawym krokiem zbliżam się do Willa.

– Naprawdę tak nie było... – łkam rozpaczliwie, nie mogąc ani oddychać, ani ustać w pionie, ale mimo wszystko jakoś przedostając się do chłopaka, który patrzy na mnie pusto. Zdesperowana wychlipuję kilka żałosnych słów: – Daję ci słowo, że nie...

Musi mi uwierzyć. Musi, musi, błagam, musi.

– Nie miałam pojęcia, że jesteście braćmi. – Niemalże upadam przed nim na kolana, ale w ostatniej chwili ściskam w dłoniach jego bluzę i utrzymuję równowagę. – To znaczy, od jakiegoś czasu podejrzewałam, że moglibyście nimi być, ale proszę cię... Nie przyjechałam tutaj ani nie kręciłam się przy tobie, bo szukałam kogoś, kto mnie przed nim obroni.

Potrząsam głową i połykam kolejną porcję łez.

– Nie wykorzystałabym cię w ten sposób – przekonuję go, niemalże przy tym wyjąc. – Ja... znalazłam się w Nowym Jorku, bo uciekałam przed nim, odkąd zrozumiałam, że mnie krzywdzi. Nigdy, przenigdy nie posłużyłabym się tobą, żeby przetrwać. Szczególnie nie tobą.

Brunet zerka na brata. Później odciąga moje dłonie od swojej klatki i spogląda mi w oczy, w swoich mając jedynie jedną wielką niewiadomą.

– Znaliście się? – pyta jakby wymagał wyłącznie szczerzej odpowiedzi. – Coś was łączyło? Kim dla niego byłaś i dlaczego cię szukał?

Wypuszczam bezradne sapnięcie.

– To mężczyzna z sierocińca, Will.

Pięć słów wystarczy, żeby zapłonął w nim rozrywający mi serce żal. Chłopak przygląda mi się z niepokojem, ale jeszcze tylko przez chwilę, bo po jej upływie odwraca się do mnie plecami i chowa twarz w dłoniach, jakby nie mógł przetrwać tego, czego się dowiedział. Cisza panująca w mieszkaniu doprowadza mnie do jeszcze gorszej rozpacz.

Zraniłam go. Tak bardzo go zraniłam.

– Okłamywałaś mnie przez cały ten czas? – upewnia się i po opuszczeniu bezwiednie rąk znowu staje przodem do mnie. – Nie pisnęłaś słowem, że w przeszłości byłaś z moim bratem, mimo że się tego domyślałaś?

Ledwo wytrzymuję widok zapytania malującego się na jego zawiedzionej twarzy. Zupełnie tak, jakby gdzieś głęboko w nim tlił się słaby załamek nadziei, że jednak odpowiedź, którą ode mnie otrzyma, nie będzie twierdząca.

Ale jest.

– Tak.

Doskakuję do niego i chociaż dusi mnie następny szloch, próbuję się jakoś tłumaczyć.

– Przepraszam cię. – Gonię za jego spojrzeniem, bo tylko ono ma dla mnie znaczenie. – Z całego serca cię przepraszam, ale musisz wiedzieć, że to nie był związek.

Słyszę za sobą złowieszcze parsknięcie.

– Oczywiście, że nie – potwierdza rozbawiony Maverick i zwraca się do Willa: – Wiesz, że zawsze jarały mnie młode i nietknięte dziewczęta, a Mari była jedyną, którą postanowiłem przygarnąć sobie na

dłużej. Dlatego najpierw ją do siebie przekonałem. Patrzyłem, jak zaczyna jeść mi z ręki. Jak zaczyna widzieć we mnie swojego rycerza na białym koniu.

Covington nie mruga. Po prostu obserwuje swojego starszego brata, kiedy ten mówi mu całą prawdę o nas, której wydźwięk sprawia, że mój żołądek znowu zaciska się w wielki supeł.

– A potem zamknąłem ją w swoich czterech ścianach i tresowałem na posłuszną szmatę. Mam nadzieję, że chociaż z tego skorzystałaś. To maleństwo nawet nie protestuje albo robi to bardzo cicho, gdy bawisz się z nią, jak ci się żywnie podoba albo wypychasz fiuta w te zajebiste usta. Poświęciłem sporo czasu, by umiała ładnie obsłużyć dużego mężczyznę, prawda, kochanie?

Czym prędzej zwieszam głowę i raz jeszcze wyrywa mi się bezsilne stęknięcie. Właśnie w tym momencie zostaję zepchnięta przez kogoś na bok.

– Zawsze byłeś pierdolonym zбочeńcem – słyszę tylko warknięcie Willa, zanim wyrywa się on w stronę stojącego nieopodal Mavericka, by mu przyłożyć.

Słyszę świst powietrza, a potem zduszony jęk. Obracam się i chlipię, widząc, że bójka wcale się nie skończyła, a tak naprawdę dopiero zaczęła. Covington wali w przeciwnika na oślep. Biję od niego zawziętość i nienawiść, chęć rozerwania brata na strzępy.

– Jak mogłeś, kurwa?! – wydiera się. – Ona była tylko sierotą, a ty...

Maverick rechocze bardzo głośno.

– Brałem ją, dopóki nie mdlała.

– Sukinsyn.

Wtem dzieje się coś, czego tak strasznie się obawiałam. Hudson odpycha napastnika i uderza go mocno w twarz. Odrzucony do tyłu siłą ciosu chłopak upada na podłogę i zaraz zostaje do niej przyparty przez człowieka, który nam obojgu zgotował z życia piekło.

– Will! – wołam płaczliwie.

Próbuję coś zrobić, lecz nie dostaję na to szansy. W całej tej szamotaninie mnie także się obrywa i ląduję tyłkiem na panelach. Pękam, widząc, że Hudson bierze kolejne zamachy ręką i znęca się nad Willardem, który nie daje rady się przed nimi uchronić. Znajduję się w najgorszej rozsypance, kiedy zbliżam się do nich na klęczkach, łkając przeraźliwie głośno.

– Nie widzisz, w jakim on jest stanie? – zdzieram gardło. – Nie widzisz?!

Chrzęst łamanych kości wyrywa mi z ust paskudny szloch. Próbuję dosięgnąć ręki Hudsona, ale nie mogę powstrzymać go przed katowaniem chłopaka, od którego nikt nie był dla mnie ważniejszy. Zdrzutotana trzęsę się i zawodzę rozpaczliwiej.

– Maverick, błagam cię, on dławi się krwią... – Wiercę się na podłodze i ledwo widzę na oczy chyba nieprzytomnego Willa. – Nie bij go... nie bij go dłużej...

Staram się myśleć trzeźwo, ale przychodzi mi to z ogromnym trudem, bo z każdą sekundą rozsypuję się w coraz drobniejszy mak. W pewnym momencie zwlekam się z podłogi i na miękkich nogach przechodzę do korytarza. Tam zgarniam z wieszaka płaszcz i opuszczam mieszkanie z zamiarem dostania się do swojego i zadzwonienia na policję.

Będąc u siebie, zamykam drzwi na klucz i błyskawicznie wyciągam z kieszeni nakrycia telefon. Urządzenie wypada mi z dłoni przez to, że targa mną ogromna panika. Podnoszę je, przechodzę chwiejnie do salonu i błagam w duchu, sama nie wiem co ani kogo, by Will przeżył atak Mavericka. Nie spodziewam się tylko, że zaraz po mojej kawalerce rozniesie się huk.

Spoglądam przed siebie i zamieram w przeciągu chwili. Moje okno jest wybite. To przez nie do środka wskakuje postawny mężczyzna z krwią na rękach, szerokim uśmiechem i czającą się w spojrzeniu obietnicą, że zamiary, które ma wobec mnie, jeszcze nigdy nie były tak złe.

– Czas na ciebie, ślicznotko – mówi zadowolony i zbliża się do mnie powoli.

Załamana wykrzywiam usta. To się dzieje. Nastaje mój koniec.

– Pokazałaś, na co cię stać, rozwalając mi życie.

Upuszczam telefon i płaszcz, gdy dokańcza:

– Teraz ja pokażę ci, na co stać mnie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

MARIGOLD

Praktycznie każdy mój koszmar sprowadzał się do podobnych okoliczności. Byłam zapędzona w pułapkę, całkowicie bezbronna i przerażona, a on uśmiechał się perfidnie w moim kierunku, wiedząc, że nie mam żadnych szans w starciu z nim. Tym razem także wszystko jest na swoim miejscu... Jednak otulające moje ciało zimno oraz widok kilkuset rozbitych odłamków szyby na podłodze zostawiają mnie z okropnym przeczuciem, że naprawdę zostanę skrzywdzona.

A wraz ze mną ktoś jeszcze.

Nogi odmawiają mi posłuszeństwa, ale jakimś cudem wykonuję pół kroku w tył. Słyszę chrupnięcie. Pod podeszwami moich butów również musiały znaleźć się fragmenty okna. A może to po prostu ja zaczynam rozlatywać się kawałek po kawałeczku, wiedząc, że całe moje i Willa szczęście właśnie sypie się niczym domino popchnięte czynami jednego człowieka?

Spoglądam na Mavericka oczami pełnymi łez.

Gdybym mogła cofnąć czas, nie zaufałabym mu. Nie rzucałabym się w jego ramiona, nie oczekiwałabym, że to on mnie pokocha i się o mnie zatroszczy. Ale skąd mogłam wiedzieć, że pewnego dnia dojdzie do takiej sytuacji, gdzie będzie chciał doprowadzić mnie do ruiny?

Nie mogłam.

Mężczyzna podwija ze spokojem rękawy koszuli. Został w niej w trakcie szarpania się z Willardem. Nie udaje mi się nie zapłakać cicho nad tym, co przydarzyło się jemu. Ciągłe modłę się, żeby wyszedł bez większego szwanku z bójkę, w trakcie której stracił przytomność. Przecież jeśli bym go straciła, nie umiałabym się po tym pozbierać, choćbym ciągle próbowała.

Wtem mój niegdyś ukochany odchrząkuje znacząco.

– Poświęciłem naprawdę dużo czasu najpierw, żeby cię do siebie przekonać, a potem żeby ładnie cię sobie wytresować... czy to więc naprawdę takie dziwne, że gdy uciekłaś, poczułem się z tego powodu bardzo niezadowolony? – zadaje mi retoryczne pytanie.

Odwracam zmęczony wzrok i zaciskam usta do bólu. On wie. On tak dobrze wie, co mi robi, wymieniając po kolei *moje błędy*. Naprowadza mnie tym na pewien trop: wypełnia moje biedne serce świadomością, że za chwilę otrzymam dokładnie to, na co sobie zasłużyłam.

Boję się myśleć, jak mnie upokorzy, jeśli nie uda mi się uciec.

– Jakby tego było mało, posunęłaś się do czegoś, co wkurwiło mnie bardziej – ciągnie z wyraźną pretensją, wwiercając dziurę w mojej twarzy swoim natarczywym spojrzeniem. – Tamtego dnia tak po prostu oznajmiłaś mi, że powiesz o nas Camille. Pomyślałem wtedy, że i tym razem cię uciszę. Sprawię, że odechce ci się raz na zawsze wtrącać w sprawy mojego małżeństwa... ale coś poszło nie tak. Nie zdążyłem tego zrobić, bo wybiegłaś z mieszkania.

Oglądam się powoli przez ramię. Nie zdołam doskoczyć do drzwi, przekręcić klucza w zamku i wyjść przez nie na klatkę schodową. Maverick dorwie mnie już w połowie drogi. Okno też nie wchodzi w grę, bo trasę do niego toruje mi on. Znalazłam się w potrzasku. Coraz więcej łez spływa po moich policzkach i skapuje na podłogę, gdzie porozrzucone jest szkło.

Muszę się przed nim uchronić. Za wszelką cenę.

– Chociaż z początku byłem pewny, że zaraz wrócisz do mnie z płaczem i obietnicą, że to był pierwszy i ostatni raz, kiedy spróbowałaś mnie zaszantażować, nie zrobiłaś tego – mówi surowo. – Więc ruszyłem za tobą. Ty w tym czasie upchałaś swoje rzeczy do walizki. Wyszłaś z domu... i po kilku godzinach wypaplałaś mojej żonie żalostną opowieść o sobie i mnie.

Coraz większe napięcie gromadzi się w chłodnym powietrzu wypełniającym każdy kąt mieszkania. Czuję je dosłownie wszędzie. Oprócz niego wyczuwam też to, jak pocą mi się dłonie z każdą sekundą, kiedy trzymam je mocno zaciśnięte. Długo wraz z Maverickiem patrzymy na siebie bez słów, aż w końcu mężczyzna postanawia bardziej przedstawić mi swój punkt widzenia:

– Cam była tą piękną i ambitną kobietą, z którą chciałem być na dłuższą metę. Za to wy, moje urocze dziewczynki, stanowiłyście wyłącznie temat, którego nie umiałem sobie odpuścić. Z naiwnymi wami, mogłem pozwalać sobie na wszystko, co mi się żywnie podobało, bo nie miałyście śmiałości mi się przeciwstawiać. Nie myliłaś się. Odejście od żony było moim ostatnim zamiarem, a ty miałaś być moją drugą opcją, z którą mogłem zabawiać się do woli.

Szpila, którą wbija mi w pierś, przeszywa ją okropnie głęboko.

– Lecz doprowadziłaś do tego, że moje plany runęły. A kiedy to się stało, powiedziałem sobie, że cię dorwę i wtedy zrewanżuję się za twoją żalną szopkę. Nie było tak prosto, ale w końcu stoimy ze sobą twarzą w twarz i mogę rozmyślać nad tym, jak ci się odpłacić.

– Zastanów się dwa razy, czy tego potrzebujesz – szeptam nareszcie bardzo słabym, wyczerpanym tonem, sama nie wiem, na co licząc. *On mi tego nie podaruje.* – Chociaż spróbuj.

Maverick splata brudne od krwi palce na brzuchu, po czym mi przytakuje.

– Zastanawiam i ciągle dochodzę do tych samych wniosków. – Robi pauzę, lecz zaraz zniża złowroźnie głos i dokańcza: – Jestem na ciebie wściekły i chcę cię zranić, Mari.

Nie udaje mi się zatrzymać w ustach bezsilnego tchnienia.

– Powiedz mi coś – prosi, wskazując kiwnięciem gdzieś w bok. – Czy świadomość tego, że biorę cię bezlitośnie na tym stole, a twoje jęki słyszy z piętra niżej mój ledwie oddychający, żalony brat, sprawiłaby, że pożałowałabyś wyborów, które dawno podjęłaś?

Z chwilą, kiedy udaje mi się przetrwać sens jego pytania przez moje ciało przedziera się druzgocąca panika. Od razu, jakby instynktownie zaczynam się wycofywać, mając szeroko otwarte oczy i rozdziawione usta. Wydaje mi się, jakby świat wirował. Nie jestem pewna, czy za moment nie zemdleję albo przynajmniej nie pozbędę się zawartości żołądka, która podchodzi mi do gardła, kiedy myślę o tym, że Maverick naprawdę chce wyrządzić mi takie okropieństwo.

– Nie... – Silę się na nędzny protest. – Nie możesz mi tego zrobić. Błagam, nie rób. Pobij mnie, skatuj, okradnij ze wszystkiego, paskudnie zwyzywaj, ale nie bądź wobec mnie aż tak okrutny. Proszę. – Krztuszę się niepohamowanym napadem płaczu. – Tak strasznie proszę...

On jedynie zmierza w moją stronę nieśpiesznym, przerażającym krokiem.

– Sprawdźmy, czy zapomniałaś, na czym polega bycie moją małą szmatą.

Idę tyłem do drzwi i zapadam się w sobie, histerycznie łkając.

– Maverick, zrań mnie w inny sposób. – Zrozpaczona połykam mokre ślady, które spłynęły mi do ust, i ciągle próbuję na niego wpłynąć, jednak bez żadnego rezultatu.

Nie przerywa marszu. Wpatrzony wprost we mnie sięga do masywnego pasa swoich spodni i zaczyna go rozpinąć. Brzdęk sprzączki wstrząsa moim ciałem niczym paralizator. Kręci mi się bardziej w głowie, czuję, jakby histeria doprowadzała mnie do utraty zmysłów.

– Pozwól mi wyjść – chlipię na granicy kolejnego wybuchu i dodaję w pośpiechu: – Przyrzekam, że już więcej się nie zobaczymy i nie zatruję ci życia, tylko pozwól mi stąd wyjść...

Hudson wysuwa pas ze szlufek i odrzuca go na bok. Wzdrygam się i prędko zamieram, ponieważ moje plecy nagle spotykają się z lodowatą ścianą. Dotykam jej drżącymi palcami. Nie spuszczam przy tym zaszklonego wzroku z przyglądającemu się mi mężczyźnie.

– Przecież brakowało ci tego, by dobierał się do ciebie twój duży mężczyzna – twierdzi. – Nie kryj się z tym, ponieważ pod nami zdycha chłopak, na którym ci podobno zależy.

Moja pierś unosi się i opada w zawrotnym tempie. Każdy oddech kosztuje mnie niesamowicie dużo wysiłku, zwłaszcza gdy rozbawiony Maverick znajduje się już tuż przy mnie i nawija sobie na palec kosmyk moich splątanych włosów.

– On zrozumie, że wolisz dojrzałych facetów.

– Przestań tak mówić – wypuszczam mizerny szept.

Ciągnie mnie za pasmo i napiera na mnie potężnym ciałem.

– Tęskniłaś za tym, żebym cię sponiewierał – pomrukuje.

– Nie, wcale nie... – Mój głos się łamie.

Nie mówię niczego więcej. Maverick chwyta mnie za kark i popycha na znajdujący się blisko stół. Opadam na niego brzuchem z głośniejszym rykiem. Próbując się podnieść, od razu zostaję pchnięta na niego raz jeszcze i to z większą siłą. Moje ciało przylega do blatu tak mocno, że już bardziej by nie mogło, a ja

zaciskam powieki, zawodząc w pełne ubytków drewno.

– Jest jedna rzecz, za którą dobrze wspominam Bronx – słyszę jego pełen aprobaty ton. Nie przestając płakać, wiercę się i próbuję uwolnić. – Nikogo nie interesuje cudze wycie.

Maverick odpina sprawnie guzik moich spodni. Zsuwa mi je razem z bielizną do samych kostek, a ja znowu się szarpię. Zaciskam nagie uda oraz zaczynam nabierać mimowolnie coraz szybsze, krótkie wdechy, nie widząc nic prócz rozmytych ścian swojego mieszkania.

– Opamiętaj się, jesteś wściekły i...

Nie kończę. Mój rozpadający się krzyk roznosi się chyba po całej dzielnicy. Z twarzą przytkniętą do blatu i zaciśniętymi z bólu pięściami nie wytrzymuję poczucia bycia brutalnie rozpychaną, które nachodzi mnie wraz z następnym posuwistym pchnięciem mężczyzny.

– Czujesz, że jestem? – pyta zasapany, sunąc bezwstydnie dłonią po moim udzie.

Zaraz wycofuje biodra i wdziera się we mnie tym razem do samego końca.

– Czujesz to w sposobie, w jaki cię posuwam, Mari?

Wydobynam z siebie kolejny krzyk przerywany niechcianymi, zdławionymi jękami. Moje ciało bez kontroli przesuwa się po starym stole w przód i w tył. Wprawione w ruch przez agresywne tempo ruchów niezaspokojonego Mavericka zdaje się przesiąkać upokorzeniem.

– O-odsuń się, po prostu odsuń... – skomlę roztrzęsiona, dławiąc się powietrzem.

Odgłos uderzających o siebie ciał pozostawia mnie bez nadziei na to, że moje tortury zostaną przerwane. Mężczyzna raz za razem napiera na mnie porywczco, sapiąc przy tym coraz częściej i coraz szybciej. Jedną z dłoni chowa między moimi nogami i rozsuwa je. Zapłakana ledwo zipię przez otwarte usta, a on poniewiera mną jak mu się podoba.

– Ja pierdolę, opór, który mi tam stawiasz, nakręca mnie tylko bardziej.

Wymyka mi się stęk. Moje mięśnie stają się zastygłe, a ja sama krztuszę się kolejną falą płaczu. W pewnym momencie nie mogę ustać na miękkich nogach. Moje kostki wyginają się dziwnie, ale Maverick przytrzymuje mnie niczym najzwyczajszą kukielkę i spycha bardziej na stół. Pogłębia swoje bezlitosne ruchy i nabiera głębszy wdech nosem. Chociaż bardzo tego nie chcę, oczami wyobraźni widzę zadowolony wyraz jego twarzy, który pamiętam mimo upływu czasu.

– Mam dobijać się do samego końca? – pyta zdyszany, wpychając się we mnie najmocniej jak może w szaleńczym tempie. – Oczywiście, że tak, prawda? Co jeszcze? Narzucić ostrzejsze tempo? Chyba czytam ci w myślach, co?

Nie udaje mi się nie zakwilić, zwłaszcza że drzazgi ze starego stołu wbijają się w mój odkryty brzuch za każdym razem, gdy sweter podwija mi się odrobinę do góry. Poniżana wybucham następnym pełnym cierpienia szlochem i błędzę rozmytym spojrzeniem po swoim obskurnym mieszkaniu. Długo się zapieram, lecz w końcu... wykończona odpuszczam. Przepocona tylko wgapiam się tępo w punkt zlokalizowany w ścianie i pojękując cichutko z kolejnymi bestialskimi pchnięciami, skupiam myśli wokół swoich kłamstw.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

WILLARD

Odzyskując powoli świadomość, czuję, że coś płynnego zalewa mi całą jamę ustną. Nie otwierając zamkniętych oczu, czym prędzej przekręcam się na bok, wypluwam krew i zaczynam nierówno kasłać. Próbuję powstrzymać wyrzucenie z siebie do tego wszystkiego jebanych wymiocin. Dopiero mając jakąś tam pewność, że się nie zrzygam, skrzywiony na powrót opadam na lodowate panele. Chyba jestem, kurwa, jedną nogą w grobie. Głowa nawala mnie jak nigdy. Styrane ciało odmawia mi posłuszeństwa i napierdala, jakby przejechały po nim koła załadowanego tira. Długo tkwię na brudnej podłodze wykończony, aż w końcu moje rozbiegane myśli koncentrują się jak zwykle wokół jednego.

– Gold? – udaje mi się wycharczeć.

Odklejam powieki od siebie w ślimaczym tempie i mam ochotę zakląć na obraz, którego nie mogę wystrzyć.

– Jesteś tutaj?

Zwlekam się pomału z podłogi i przeczesuję półprzytomnym spojrzeniem mieszkanie. Panuje w nim porządek i cisza. Poturbowany, stojąc już na nogach, docłapuję się do stołu, by się go przytrzymać. Opieram na nim wyprostowaną rękę, po czym dochodzę do wniosku, że znajduję się w swoich czterech ścianach zupełnie sam. Przecież gdyby Gold tu była, doskoczyłaby do mnie błyskawicznie, jak zwykła to zresztą robić, widząc mnie w takim stanie.

Zamroczony przesuвам dwoma palcami wzdłuż grzbietu nosa.

Przypominam sobie przebieg poranka oraz prawdę, która wyszła na jaw, i odruchowo miażdżę w drugiej dłoni krawędź stołu. Harding i mój przyrodni brat. Oboje tkwili w jakiejś popierdolonej relacji, w której on regularnie ją wykorzystywał. Potem zwiłała mu i powiedziała o wszystkim, co ich łączyło, jego żonie. Od tamtego czasu ten kutas szuka jej, by się odegrać. Ona musiała stąd uciec, gdy mnie lał, czując, że będzie następna – nie ma innej opcji.

Teraz ja muszę ją dogonić i ochronić.

Mogła mnie okłamywać i robić ze mnie kretyna, ale nie zamierzam pozwolić, by coś jej się stało, dlatego ścieram przegubem krew spływającą do oka i stawiając niedługie kroki, ruszam ślamazarnie do korytarza. Kiedy do niego wchodzę, zaczynam kuśtykać, ale nie przykładam wagi ani do tego, ani do swojego wstrętnego odbicia, które widzę w zawieszonym na ścianie lustrze.

Sukinsyn obił mi mordę naprawdę porządnie.

Wkraczam na szpetną klatkę schodową i dostrzegam starego sąsiada otwierającego drzwi mieszkania obok. Co prawda nigdy nie mieliśmy dobrych stosunków, ale gównu mnie to w tej chwili obchodzi. Bez ceregieli wypowiadam w jego stronę niemrawe pytanie.

– Nie widział pan może naszej sąsiadki z góry? – Dotykam skroni, którą coś mi chyba zaraz rozłupie i gapię się na faceta z kwaśną miną. – Brunetka, raczej małomówna...

On poprawia te swoje bryle, łypie na mnie z niesmakiem i wtrąca:

– Czym zawiniła ta biedna dziewczyna, że się za nią rozglądasz?

– Niczym. Chcę tylko mieć pewność, że wszystko u niej okej – burczę zirytowany, bo dziadek mógłby, u licha, przejść od razu do pieprzonego sedna. – To jak było?

– Nawet gdybym minął ją po drodze, nie zdradziłbym ci gdzie.

– W takim razie pierdol się.

Przewracam oczami i ruszam na górę, nie zawracając sobie więcej dupy wypytywaniem o Harding jakichś pomarszczonych starców. Gdy przechodzę przez półpiętro, wyglądam przez wybite okno i próbuję dojrzeć za nim dziewczynę chociaż przypominającą moją zgubę, ale nic z tego: po zaśnieżonych chodnikach plątają się tylko albo dzieci, albo jakieś podejrzane typy.

Wdrapuję się więc na siódme piętro i podchodzę do właściwych drzwi.

– Hej, kłamczucho – zaczynam łagodnie, uderzając przy tym parę razy zdartymi do krwi piąstkami w

cienkie jak papier drewno. Mija chwila, zanim dodaję do tego ciche: – Jesteś tam?

Nie otrzymuję w zamian żadnej reakcji ani odpowiedzi.

– Mam nadzieję, że się jakoś trzymasz – ciągnę półgłosem. – Na pewno spotkanie z tym frajerem nie było dla ciebie proste, ale jego już tutaj nie ma. Możesz śmiało wyjść. Wtedy porozmawiamy na spokojnie, a potem uznamy, że nie warto pamiętać o tym, co się stało.

Opuszczam rękę, bo jeśli Gold tam jest, na sto procent mnie słyszała.

– Zrobimy to, tylko... otworzysz mi?

Przez kolejne sekundy nic się nie dzieje. Nie słyszę nawet najmniejszego poruszenia po drugiej stronie. Zrezygnowany opieram czoło o zimną powierzchnię drzwi i wyrzucam w nie westchnienie. Później naciskam delikatnie na klamkę, lecz ona nie ustępuje.

Mimo że nie mam ochoty dłużej tak ślęczeć, mój ton pozostaje wyrozumiały.

– Okej, czyli na razie nie.

Przebiegam językiem po rozciętej wardze.

– Chcesz, żebym się najpierw ogarnął? – zgaduję. – Czy po prostu nadal się boisz?

Może Marigold, zanim wyszła z mojego mieszkania, zapamiętała to, jak wyglądałem, i dlatego nie chce mieć ze mną teraz styczności? A przynajmniej nie chce mieć jej ze mną, dopóki nie zrobię czegoś ze swoją pobitą gębą i poszarpanymi ciuchami? Albo też zwyczajnie boi się, że wróci po nią tej chuj. Szlag, nie mam pojęcia, z jakiego powodu się przede mną chowa.

Po namyśle wciąż nie domyślam się, co konkretnie za tym stoi.

– Staram się zrozumieć, dlaczego nie chcesz ze mną gadać. Możesz mnie naprowadzić, czemu tak jest? Będę mógł się w jakiś sposób poprawić albo coś zrobić, bo... cholera jasna. – Przętykam powoli ślinę. – Naprawdę potrzebuję cię teraz mocno przytulić, wiesz?

Wydobycie z siebie tych słów zostawia mnie z beznadziejnym poczuciem bycia żalonym, ale nie mam zamiaru ich cofać. Zamiast tego dodaję coś więcej:

– Na niczym nie zależy mi teraz bardziej niż na tym.

Nigdy nie pomyślałbym, że pewnego dnia będę stał na wycieraczce przed mieszkaniem jakiejś dziewczyny i przyznawał się do czegoś podobnego. Jednak akurat ta jedna namąciła mi we łbie tak bardzo, że teraz, bez niej, czuję się, jakbym był na głodzie. Muszę ją zobaczyć. Przekonać ją, by sama chciała mnie widzieć. Potrzebuję też upewnić się, że jakoś się trzyma.

Ciągle nie podoba mi się fakt, że się o nią, do diabła, martwię. To kurewsko uciążliwe, ale skoro nie mogę przestać tego robić, pozostało mi tylko łązić za nią, nawet niekoniecznie kiedy jest tego świadoma, i nabierać przy tym pewności, że wszystko u niej gra.

Nienawidzę bycia zadurzonym w Marigold Harding. Zwłaszcza gdy roznosi mnie od środka troska o jej zajebisty tyłek.

Sięgam znowu za klamkę.

– Daj mi chociaż jakiś znak, że faktycznie się tu zaszylaś i że radzisz sobie z tym, jak to wszystko się potoczyło – proszę niespokojny. – Jeśli chcesz wiedzieć, ja sobie radzę. Chociaż ostro odleciałem, już przynajmniej nie czuję się, jakby mieli układać mnie w trumnie.

Końcówkę zdania wypowiadam lekko rozbawiony, ale to nic nie daje. Nadal gadam sam ze sobą jak ostatni pojeb, nadal stoję sam na obrzydliwej klatce schodowej w paskudnym bloku na obleśnym Bronksie i słyszę tylko swój przyspieszony przez bezradność oddech.

Mam wrażenie, że za sekundę oszaleję i obwinę za to kłamczuchę.

– Goldie... – Mój jęk przesiąka przekłętą udręką.

Coś podpowiada mi, że ona tam naprawdę jest.

– Możemy się chociaż na coś umówić?

Nie dostaję rzecz jasna żadnego sygnału, ale i tak wychodzę do niej z propozycją.

– Wyjdę na przejście ewakuacyjne. Jeśli tam jesteś i nie chcesz, żebym się martwił, a po prostu przez moment dał ci odetchnąć, poruszaj delikatnie zasłonami. Będę wtedy wiedział, że powinienem podarować sobie sterczenie pod drzwiami, jasne?

Niepewny, czy coś tym w ogóle osiągnę, odsuwam się od drzwi na niewielką odległość. Potem przeczesuję zranioną dłońią okropnie potargane włosy i ciągnę z niemocą za ich końcówki. Wpatrzony cały czas w nierówną powierzchnię drewna zaraz opuszczam rękę.

– Chcę cię zobaczyć – wyznaję przybity.

Kręcę pomału głową i powtarzam znowu:

– Tak strasznie chcę cię zobaczyć.

Nic więcej tu nie ugram, dlatego schodzę na dół i wracam do siebie. Tam od razu kieruję się do okna, przez które przeciskam się na przejście ewakuacyjne. Zwykle zajmuje mi to mniej czasu, ale połamany dopiero po niecałej minucie staję na kratach i zaczynam marsz na wyższe piętro. Myślę o tym, czy za chwilę zobaczę poruszające się zasłony, tymczasem one... falują swobodnie na wietrze, odsłaniając widok na to, co dzieje się w kawalerce Marigold.

Krew w moich żyłach zaczyna wrzeć.

Patrzę szeroko otwartymi oczami na nieregularne kawałki szkła otaczające ramę wybitego okna i mam wrażenie, jakby ktoś przyjechał mi znowu, tyle że o wiele mocniej. Targa mną zbyt dużo emocji naraz: bardzo złe przecucia przedzierają się przez mój umysł i doprowadzają do tego, że nie mogę nabrać choćby znikomej ilości powietrza, a pot zaczyna spływać mi po karku.

Oszołomiony wędruję spojrzeniem w głąb nieswojego mieszkania. Wszędzie widzę w nim bałagan stworzony przez części pokruszonej szyby. Jak w transie zbliżam się do okna i wskakuję przez nie w ten syf. Właśnie wtedy uzmysławiam sobie, że ktoś w nim jest.

To dziewczyna. Skulona w kłębek. Leżąca do mnie plecami obok drewnianego stołu. Znieruchomiła. Z poplątanymi włosami i spodniami opuszczonymi do kostek. Z oddechem tak cichym, że niemalże niesłyszalnym pośród świstu porywistego wiatru.

Przerażenie atakuje zniecka każdy mój nerw. Blednę jak ściana.

– Ja pierdolę, to nie ty – wyszeptuję bezgłośnie sam do siebie.

Z wielgachnym trudem wykonuję każdy krok w stronę zmaltretowanej brunetki i czuję, jak niemiłosiernie zaczynają piec mnie oczy. Im bliżej jej się znajduję, tym lepiej widzę, jak zmasakrowane jest półnagie ciało dziewczyny.

– To nie możesz być ty – powtarzam jak zacięta płyta.

Opadam bezwładnie na kolana i na klęczkach przedostaję się przed nią. Już pierwsze spojrzenie na bladą, zobojętniałą twarz mojej Gold sprawia, że z gardła wyrывa mi się żalony, pełen niepokodzenia szloch. Oczy ma zasnutę mgłą, z jej kącików ust sączy się krew, a kiedy zerkam w dół, widzę, że czerwień spływa także strugami spomiędzy jej ud. Ale nie tylko ona.

Rozpacz wyrывa mi serce z jebanej piersi, gdy wiem już, co się wydarzyło.

Dławi mnie płacz, którego nie jestem w stanie w sobie utrzymać, mając przed oczami swoją Marigold: kompletnie oderwaną od rzeczywistości, brutalnie wykorzystaną i zwiniętą w kłębek. Wygląda, jakby już jedynie wegetowała. Wyciągam rozedrganą dłoń w kierunku jej ramienia, lecz w ostatniej chwili czym prędzej ją zabieram i znowu wybucham.

Skrzywdził ją. On ją tak strasznie skrzywdził, a ja mu w tym nie przeszkodziłem.

– Gold, słyszysz mnie? – Połykam gorzkie łzy, poszukując na jej pozbawionej wyrazu twarzy najmniejszej oznaki, że mnie poznaje. *Lecz na próżno. Ona wcale mnie nie poznaje.* – Jestem przy tobie. Ja, twój Will.

Krztuszę się łapczywym wdechem, który nabieram zatkanym nosem.

– Klęczę tuż obok i nie zamierzam się stąd ruszać, tak? – mówię do niej czule i przebiegam ledwie wyczuwalnie opuszkami drżących palców po wierzchu jej skostniałej dłoni, ułożonej bezwiednie na panelach. – Nie jesteś już sama, maleństwo... Nie będziesz.

Mierzę się z brakiem jakiegokolwiek reakcji z jej strony i wiem, że nie mogłoby spotkać mnie nic gorszego niż to. Ta okrutna świadomość, że nie mogę już w żaden sposób ocalić dziewczyny, która stała się dla mnie ważniejsza niż ktokolwiek inny. Nie mam nawet pomysłu, jak wygonić z jej głowy wspomnienie tego, co się stało, a oddałbym wszystko, by tego dokonać.

Pozwoliłbym nawet skatować się milion razy, byle tylko zapomniała.

Szukam. Bez przerwy szukam w myślach sposobu, który mógłby pomóc mi przebić się przez barierę, jaka powstała w głowie Gold, gładząc przy tym palcami jej drobną dłoń. Z każdą minutą płaczę coraz ciszej, aż w końcu już tylko łkam, co jakiś czas nie mogąc złapać tchu. W międzyczasie wpadam na coś i czuję się zdolny, by spróbować wyrwać dziewczynę z transu.

Wykończony zwracam się do niej z prośbą.

– Przepraszam, że akurat teraz cię o to zapytam, ale czy mogłabyś mi w czymś pomóc? – pytam słabo i troskliwie, a potem przechylam głowę i kręcę nią delikatnie, bo zauważam, że kosmyki włosów opadły na mizernie wyglądającą twarz mojej kłamczuchy.

Ostrożnie je odgarniam, uśmiechając się blado, przez łzy.

– Chciałbym zamienić swoje kłamstwo w prawdę, tylko obawiam się, że sam temu nie podołam – wyjaśniam łamliwym głosem. – To wydaje się bardzo trudne, a nigdy tego nie robiłem, więc czy spróbowałabyś powtarzać ze mną moje kłamstwo, dopóki nie doliczymy do tysiąca?

Niewiele widzę, ale i tak nie spuszczam z niej rozmazanego wzroku, złąkniony głupiej iskry w jej oku albo marnego drgnięcia jej popękanych ust.

– To dla mnie ważne – przekonuję ją błagalnym szeptem. – Naprawdę ważne. Dalej, skarbie, pomóż mi i mów ze mną... – milknę na kilka sekund, a po ich upływie silę się na podzielenie się z nią swoim krótkim, bolesnym kłamstwem: – ...*nic się nie wydarzyło*.

Zaciskam na sekundę powieki i po ich uchyleniu brnę w to dalej.

– *Nic się nie wydarzyło* – powtarzam zachęcająco, zmazując ostrożnie kciukiem z jej brody resztkę zaschniętej krwi. Ta musiała spłynąć z kącika jej ust wskutek przygryzienia wargi, na którą spoglądam. – *Nic się nie wydarzyło*. Absolutnie *nic się nie wydarzyło*.

Nagle dochodzi do cudu. Zamieram, ponieważ pełne usta Marigold układają się w cztery słowa. Być może niewypowiedziane na głos, ale świadczące o tym, że mnie słyszy i rozumie. Teraz nic nie wydaje mi się cenniejsze niż one.

Śmieję się cicho mimo kolejnego napadu płaczu.

– Pięknie, moje kochanie – wykrztuszam niesamowicie dumny, ścierając pojedynczą łzę, która zdążyła spłynąć powoli po skroni dziewczyny. – Jestem ci tak ogromnie wdzięczny, że chociaż strasznie słabo się czujesz, próbujesz mi pomóc.

Poprawiam się na klęczkach i powtarzam z nią nasze kłamstwo jeszcze przez dłuższy czas, niewinnym ruchem dłoni dotykając jej zimnych policzków. Marigold wtula się w moje palce prześlizgujące się po jej skórze i nieprzerwanie szeptu pod nosem, że nic się nie wydarzyło, a ja próbuję rozstrzygnąć w głowie, co, do diaska, powinienem teraz zrobić.

Mimowolnie zjeżdżam spojrzeniem do jej złączonych ud. Śladów palców, które się na nich odznaczają, oraz wszystkiego, co po nich spływa. Wystarczy ledwie moment patrzenia na to i dociera do mnie, że w pierwszej kolejności muszę zabrać ją do jakiegoś szpitala. Ona jednak, gdy tylko o tym napominam, zaczyna się ode mnie z wysiłkiem odsuwać.

Prędko rezygnuję z tego zamiaru i dzielę się nią z innym.

– Zaniosę cię do łazienki, pod prysznic, a ty nie przestawaj mnie zawstydząć, dobrze? – pytam z uniesionymi smutno kącikami ust, obserwując bacznie jej ogromne oczy. – Och, skarbie, nie wyobrażasz sobie, ile bym dał, by być tak dobrym w powtarzaniu kłamstw jak ty.

Marigold przestaje się ode mnie oddalać, co uznaję za zgodę. Najpierw sam wstaję na nogi i w pierwszej chwili się zataczam, jednak w drugiej mogę ustać na nich bez przeszkód. Zabieram więc z podłogi swoją kłamczuchę i nawet jeśli odczuwam niemiłosierny ból w rękach, odkładam ją dopiero pod prysznicem w pozycji siedzącej, na brodziku.

Tam usadawiam się blisko niej, ale zachowuję między nami odstęp.

– Mogę włączyć wodę? – zastanawiam się. – Nie przestraszysz się?

Dziewczyna podsuwa kolana pod brodę i oplata się rękami. Przy tym chyba odpowiada mi bardzo krótkim skinieniem, więc sięgam ręką do kurka i przekręcam go powoli, starając się jej nie spłoszyć. Strumień letniej wody uderza w nas obojga, siedzących prawie że przy sobie. Staje się coraz cieplejszy, zmywa z naszych ciał krew zmieszaną z brudem oraz potem. Moczy nasze ubrania, które stają się bardzo ciężkie i przylepiają do skóry, zupełnie jak włosy.

Czując krople wody spływające po całej twarzy, spoglądam na nią.

– Mówmy dalej nasze kłamstwo – szepczę z krzywym uśmiechem.

Ona znowu powtarza je ekstremalnie cicho, ale wytrwale.

– Ślicznie, moja Goldie – dodaję z uznaniem przez okropnie ściśnięte gardło, ignorując to, że bardziej szklą mi się oczy. – Nikt nie robi tego lepiej od ciebie. Mam co do tego pewność.

Wtem brunetka opiera ciężką głowę na moim ramieniu. Rozmyślam nad tym przez kolejne minuty, aż

w końcu kładę swoją na jej i sznuruję usta, aby nie wymusnęło mi się westchnienie pełne bólu. Cierpię z nią, myśląc o zmianach, które mogą zajść w niej i pomiędzy nami. Nie mogę przestać, bo z całego serca nie chcę, żeby do tego doszło. Pragnę, by nasze kłamstwo stało się prawdą, by *nic się nie wydarzyło*. Potrzebuję widoku jej uśmiechu, który dobrze pamiętam. Odgłosu jej wkurwiającego chichotu, który też wyrwał się w mojej głowie, i słuchania tych jej żalonych, szczeniackich docinek. Łaknę jej dotyku i czułych pocałunków składanych na moich bliznach w chwilach, kiedy czuję się szpetny i bezwartościowy. Marzę o tym, by jak zwykle o poranku zachodzić ją od tyłu, podsadzać na blat i odbierać jej dech.

Nie chcę tego wszystkiego stracić. Nie chcę stracić mojej kłamczuchy.

– Mam też tak ogromne wyrzuty sumienia – wyznaję rozżalony, przecierając palcami na pewno kurewsko zaczerwienione oczy. – Wybacz mi. Błagam cię, wybacz, że się nie podniosłem. Zostawiłem cię na jego pastwę.

Moje usta mimowolnie wyginają się w grymasie.

– Nie chciałem... – zapewniam ledwie słyszalnie.

Ujmuję dłoń Marigold i sunę kciukiem po jej drobnych knykciach.

– Gdybym mógł jakimś cudem odwrócić bieg wydarzeń, przyrzekam, że spośród tych wszystkich błędów, które popełniłem w swoim żalonym życiu, naprawiłbym właśnie ten. – Zerkam niepewny w jej kierunku i czuję się bardziej podłamany. – Zapłaciłbym każdą cenę, byle tylko nie stała ci się krzywda. Każdą jedną, byle tylko... nic nie bolało cię aż tak, jak czuję, że ciągle boli. Jesteś dla mnie najważniejsza i nie mogę znieść myśli, że cierpisz.

Nie mogę się powstrzymać i mocniej przyciskam czoło do czubka jej głowy, zamykając oczy. Sam już nie jestem pewny, czy to woda, czy łzy wytyczają ślady po moich policzkach, ale kiedy wpadają mi do ust, przełykam wszystko, a następnie zadaję liche pytanie w ciemności łazienki:

– Jak mam pomóc ci się pozbierać?

Strach gniecie mnie w klatce piersiowej.

– Nie dość, że nie ocknąłem się w porę, to jeszcze nie mam zielonego pojęcia, jak się z tobą obchodzić, żeby cię ratować, a nie przypadkiem mocniej zranić – dodaję sfrustrowany swoją jebaną nieporadnością. – Jestem taki, kurwa, beznadziejny. Cholernie bezużyteczny.

Zabieram ostrożnie dłoń, w której trzymałem tę Gold, i sięgam nią po gąbkę położoną na niedużej półce pod prysznicem. Wgapiam się w nią z zawahaniem, aż w końcu przenoszę wykończony wzrok na swoją Harding i wystawiam w jej stronę przedmiot.

– Proszę – szepczę. – Mam... mam wyjść za drzwi?

Ona chwyta go drżącymi palcami i zaprzecza prawie niezauważalnym ruchem głowy.

– Niech będzie – zgadzam się, po czym wyginam bez pośpiechu szyję i składam lekki niczym muśnięcie wiatru pocałunek gdzieś w jej zupełnie mokrych już włosach. – Nie wyjdę. Będę przy tobie, dokąd nie opadnę ze wszystkich sił. Akurat to mogę ci przysiąc.

Mija kilkanaście sekund, zanim dopowiadam zmarnowanym tonem:

– Bo tego, że kiedyś wybaczę sobie to, czemu nie zapobiegłem, nigdy nie będę mógł – przyznaję i odwracam zboląły wzrok, wlepiając go w gdzieś tam popękane, brzydkie płytki, którymi wyłożona jest zaniedbana łazienka.

Popadam w letarg, dopóki nie orientuję się, że Gold uporała się ze wszystkim i mogę zabrać ją z tego mieszkania. Od razu zaprowadzam ją do siebie i wręczam jej suche ciuchy, w które w samotności mozolnie się przebiera. Potem kładzie się na łóżku w sypialni, a ja wchodzę do pokoju z kubkiem herbaty w ręce i po odstawieniu jej na stolik nocny, kucam tuż przy dziewczynie, przyglądając się jej ze szczerym smutkiem, kiedy znajduje się na granicy snu.

W pewnym momencie nadal wpatrzony w nią jak w obrazek uśmiecham się słabo, bo coś sobie uświadamiam. Wtedy też zamykam w dłoni jej delikatnie zaciśniętą na pościeli pięść i mam nadzieję, że gest ten wystarczy, by poczuła całą sobą, że zamierzam jej ciągle pilnować.

– Jeśli przez całe życie o coś po cichu błagałem, to była to nadzieja na lepsze dni – zdradzam ledwo żywy, lecz wciąż z blado uniesionymi kącikami ust, bo przecież moja kłamczucha nadal znajduje się tuż obok mnie. – Jesteś moją wyblaganą nadzieją, Marigold.

Zmazuję kolejną łzę, która spływa mi po brodzie, i dokańczam:

– Sprawiasz, że ufam, że one nadejdą.

Po kilku godzinach, które upływają mi na ogarnianiu samego siebie i upewnianiu się, że ze śpiącą Marigold wszystko dobrze, wychodzę z mieszkania, ale tylko po to, by zejść na parter i otworzyć drzwi Rhodesowi. Młody powinien zaraz dotrzeć ze szkoły na Bronx. Wcześniej poprosiłem nauczycielkę, by przekazała mu, że ma dzisiaj korki. To nasz umowny znak, po którym wiedział, że nastąpiła awaryjna sytuacja i musi wrócić do domu sam. Wolałem tego unikać, lecz byłem pewien, że sobie poradzi, a zostawienie teraz Harding bez opieki nie wchodziło w grę.

Nie po tym, co się stało.

Nasuвам daszek czapki na szpetną twarz i opieram się ramieniem o ścianę, wypatrując za szybą drzwi małego bratanka. Chociaż chciałbym na moment oderwać się od myślenia o porannych wydarzeniach, nie potrafię tego zrobić i zaczynam coraz bardziej obawiać się kolejnych dni, które z całą pewnością nie będą łatwe ani dla Gold, ani dla mnie. Musimy jakoś stanąć na nogi i kurewsko przeraża mnie świadomość tego, że w dużej mierze odpowiedzialny jestem za to ja. Mimo wszystko zamierzam dźwigać to na swoich barkach.

A potem wyjechać z nią gdzieś, gdzie będzie nam lepiej.

Widzę dreptającego w stronę bloku Rhodesa i wracam do rzeczywistości. Witam się z nim tradycyjnym żółwikiem, a krasnal nawet jeśli widzi, że mam bardziej obitą mordę niż wcześniej, udaje, że mu to umyka i o nic nie dopytuje. Rusza ze mną po schodach na górę, natomiast ja zastanawiam się, jak przekazać mu, że powinien odpuścić sobie trochę latanie za Marigold.

– Więc nie jesteś na mnie zły, że po ciebie nie przyjechałem? – zagaduję go i zerkam na chłopca z nieznacznie uniesioną brwią.

On macha ręką w powietrzu.

– Nie, przecież kilka razy wracałem już sam. – Odwzajemnia moje spojrzenie. – No i musiałeś mieć pewnie coś ważnego do załatwienia. Rozumiem to.

Przez chwilę zastanawiam się nad jego słowami.

– Miałem – potwierdzam w końcu nieco markotnie, po czym zatrzymuję się na którymś półpiętrze i kucam przed maluchem, który także w międzyczasie przystanął i na razie przygląda mi się z niezrozumieniem czającym się w tych swoich ciemnych oczach.

– Wszystko dobrze? – upewnia się, poprawiając tornister.

– Zanim wejdziemy, muszę ci coś powiedzieć.

– Okej. Ale czemu wydajesz się taki smutny?

Drapię się nerwowo po szczęce.

– Po prostu... chodzi o Goldie.

Nie mogę wyznać mu, co tak naprawdę się wydarzyło. Jest na to za mały. Zresztą nie wydaje mi się, żebym był w stanie mówić wprost o tym, że Marigold została sponiewierana przez pierdolonego zwyroła, który w dodatku jest moim bratem i jego ojcem. Wymyślam więc na poczekaniu w miarę wiarygodny powód, przez który Rhodes miałby się do niej nie dobijać.

Gdy to robię, maluch atakuje mnie mnóstwem pytań.

– O nie. Przeziębła się i źle z nią? – Brzmi na zmartwionego. – Może miała wypadek?

Natychmiast zaprzeczam.

– Nic z tych rzeczy. Zwyczajnie potrzebuje побыć trochę sama i wiesz, odpocząć. Powinniśmy to zrozumieć i poczekać, aż poczuje się lepiej. Przecież każdy z nas miewa czasami dołki, co nie? – Uśmiecham się niemrawo. – To nic strasznego i po czasie przemija.

Mój wyraźnie zasmucony rozmówca wysnuwa pewien wniosek:

– Więc teraz nie będziemy spędzać czasu we trójkę.

Patrzę, jak zwiesza ramiona, i wzdycham.

– Na razie nie.

– Szkoda. Już za tym bardzo tęsknię.

– Ja też, młody – przyznaję. – Ja też.

Zatrzymuję w sobie przekleństwo, które ciśnie mi się na język, bo wstając, czuję, jak wciąż wszystko mnie ostro napierdala. Stwierdzam od razu, że po tym, jak wrócimy na górę, ogarnę jakiś obiad i się położę.

Później będę przynajmniej na siłach pojechać do opuszczonego domu, gdzie znajdę Jake'a i Rossa. Pewnie nie będą już na mnie specjalnie wkurwieni za akcję z towarem, a zwłaszcza gdy powiem im, że szmaciarz, który przed laty ich wykiwał, wrócił na stare śmieci. Maverick jeszcze pożałuje, że tego poranka dorwał moją Marigold.

Najpierw potnę mu ryj. Potem zajebią go jego dawni znajomi. Zdechnie.

– Myślałem, że dzisiaj ułożymy z klocków nasz wymarzony dom – stwierdza nagle Rhodes, a ja odwieszam się i patrząc na niego, rzucam propozycję:

– Możemy zrobić to we dwójkę.

– Ale Goldie zawsze mówiła, że nie mamy gustu i ona musi nadzorować naszą pracę. Nie możemy postawić go bez niej – protestuje chłopiec, kiedy znowu zaczynamy spacer po schodach na szóste piętro rozwalającego się bloku.

Trącam małego delikatnie w ramię.

– A może zrobimy jej niespodziankę? – Udaję zadowolonego ze swojego pomysłu. – W końcu Gold wyjdzie z pokoju i go zobaczy. Może przynajmniej się uśmiechnie na to, jaki jest okropny. Albo też wkurzy... w takim wypadku zburzymy go i wtedy zajmiemy się nim wszyscy.

Szkrab zastanawia się i zaraz pokazuje mi kciuk w górę.

– Okej. Niespodzianka brzmi nieźle.

– Ale w pierwszej kolejności ogarniamy obiad, tak? – Otwieram przed nim drzwi, żeby wszedł do mieszkania pierwszy, i patrzę, jak wlatuje do niego niczym torpeda. Swoją drogą robi to z wesołym piskiem, od którego cierpną mi uszy, ale nie karzę go za to.

– Najpierw bawimy się z Farfoclem – zarządza.

– Nie, zabawę z sierściuchem zostawiamy na potem.

Łapię Rhodessa w salonie i pomagam mu ściągnąć wielki tornister. Później odkładam jego bagaż na bok i widzę, że młody porywa już w ramiona pupila. Kot miauczy głośno, ocierając się szyją o szyję swojego właściciela, jakby naprawdę się za nim stęsknił.

– Goldie zawsze po szkole najpierw pozwala mi się z nim bawić – mówi chłopiec.

Postanawiam odpuścić temat, skoro Harding przyzwyczaiła go do czegoś innego.

– Dobra, niech będzie. Ja zmajstruję coś z tego, co mamy w lodówce.

– Zrobisz naleśniki?

Marszczę czoło.

– Naleśniki?

– Ona lubi naleśniki – wyjaśnia krasnal. – Może poprawią jej nastrój.

Obawiam się, że nic nie będzie w stanie sprawić, by poczuła się lepiej, ale i tak wyciągam z kieszeni telefon ze zbitą szybką, żeby znaleźć w internecie cholerny przepis na cholerne naleśniki. Zanim przechodzę do kuchni, odpowiadam Rhodesowi.

– Spróbuję je zrobić.

Już przy przyrządzaniu ciasta dostaję kurwicy, ale ostatecznie danie, które nasunął mi na myśl maluch, chyba nawet wychodzi. Przekładam kolejny placek na talerz i stwierdzam, że starczy nam kilkanaście sztuk. Później wyciągam z szuflady cukier puder i nabieram potężny wdech, bo śpieszy mi się aż tak, że spora część opakowania łąduje na podłodze.

– Dobrze, że Goldie tego nie widzi – słyszę czyjś komentarz.

Łypię spod byka na bratanka, który zjawił się tu znikąd.

– Co tam mamrociesz?

– Nazwałaby cię bałaganiarzem.

– A ja ją zrzędliwą jędzą.

– Jak to jest, że potem i tak zaczęlibyście się połykać?

Odwracam się tyłem do Rhodessa, po czym rzucam proszek na kuchenny blat. Nie chcę, żeby widział zgnębiony wyraz mojej twarzy. Wcześniej może nasze zaczepki kończyły się w podobny sposób, ale teraz nic nie przemawia za tym, żeby Gold potrafiła niedługo przełamać się, by w ogóle spędzać ze mną czas. To potwornie mnie uwiera, ponieważ uwielbiam spędzać go z nią. Miewam wtedy wrażenie, jakbym wcale nie znajdował się na odrażającym Bronksie i nie wiązał ledwo końca z końcem oraz musiał czekać w nieskończoność, aż będę wolny.

– Dobra, siadaj do stołu – ucinam poprzedni temat. – Skończyłem.

Mały wykonuje moje polecenie i po chwili usadawia się wygodnie na krześle, przyjmując ode mnie talerz z daniem, które sobie zażyczył.

– Smakują? – dopytuję, wracając do kuchni.

– Nie tak okropnie.

Prycham głośno.

– Dzięki, skrzacie.

– Nie jestem skrzatem, Will.

Rezygnuję z wdawania się z Rhodesem w dyskusję, ponieważ czeka mnie zadanie, o którym myśl sprawia, że czuję narastającą suchość w ustach. Zabieram z blatu drugą porcję obiadu i idę z nią prosto do sypialni. Tam od razu zauważam leżącą na łóżku w tej samej, skulonej pozycji Marigold. Przez moment obserwuję ją z daleka oczami, które znowu zaczynają mnie okropnie piec. Później zamykam bezdźwięcznie drzwi niedużego pokoju. Zbliżam się do niej nieprędkim tempem i zawiadamiam ją o swojej obecności łagodnym tonem.

– Hej. Musisz być głodna, co?

Unoszę delikatnie kącik ust i siadam na wolnej połowie łóżka, kładąc obok talerz.

– Zrobiłem naleśniki. – Patrzę z czystą troską na nieporuszającą się, leżącą do mnie plecami dziewczynę. Nawet nie wiem czy mnie słyszy... może śpi? – Rhodes wspominał, że je lubisz. Oby ci posmakowały. Podobno nie są wcale takie złe, dasz wiarę?

Tym razem również nie otrzymuję w zamian choćby słowa.

– Wciąż nie masz siły ze mną porozmawiać, co? – pytam wyrozumiale, spuszczać niepewny wzrok na jasną pościel. Fala bólu przedziera się przez całe moje ciało, kiedy tylko dostrzegam na niej niewielkie wilgotne kropki, ponieważ wiem, czym są. Rzewnymi łzami.

Płakała. Marigold ciągle płakała i nie przestawała.

– Pewnie – dopowiadam z trudem i akceptując, że moja kłamczucha nie prosi o moją obecność ani nie przysuwa się bliżej, podnoszę się pomału z niewygodnego łóżka. – Okej, nie będę naciskał. Wiedz tylko, że... – mój głos cichnie – ...czuwam nad tobą. Bez przerwy.

Smutny nie odrywam od niej zranionego spojrzenia.

– I zamierzam robić to już zawsze, Goldie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

WILLARD

Odkąd pamiętam, byłem kurewsko narwany, ale ten jeden raz musiałem nad sobą zapanować i poczekać z zamiarem sprania Mavericka Hudsona na miązgę do czasu, aż odzyskam siły. Nie pomagał mi w tym widok niktnej w oczach Marigold, który znosiłem od przeszło tygodnia. On raczej ciągle bardziej popychał mnie do tego, żeby od razu wyrwać się z mieszkania i go zajeżdżać. Na szczęście udało mi się przeczekać osiem dni bez podobnych falstartów i kiedy już czuję, że jestem w lepszej formie, przystępuję do wypełniania swojego zadania.

A brzmi ono cholernie prosto: *zapiardol go za to, co jej zrobił.*

Wczoraj przyszedłem do dobrze znanej mi speluny, by wypytać stałych bywalców, czy może nie obilo im się o uszy, w jaki dzień ten chuj zamierza znowu zwać z miasta. Teraz, wiedząc, że ulotni się z Bronxu jutro, znowu przechodzę przez próg okropnej meliny, aby dla odmiany dowiedzieć się, gdzie obecnie przebywa.

Nieistotne, jak daleko będzie.

Dogonię go i zatłukę.

Kieruję się zwawym krokiem do zaniedbanego baru, przy którym siedzi ledwie kilku klientów. Całkiem spory kawałek twarzy schowany mam pod kapturem, ale właściciel knajpy i tak rozpoznaje mnie, gdy tylko wyciągam ręce z kieszeni i kładę je bezceremonialnie na blacie przed nim. Facet łypie w moją stronę z niezadowolaniem, wciąż przelewając piwo do szklanki.

– Nie umawialiśmy się dzisiaj na żaden występ. Odesłaj swoją dziewczynę do domu – mamrocze, na co przewracam oczami, bo czy on gdzieś tu, kurwa, widzi moją Marigold?

Jestem pewny, że akurat ona siedzi w tej chwili zamknięta w pokoju i stara się pozbierać po niedawnych wydarzeniach, lecz robi to z marnym skutkiem. Jej stan od ośmiu dni nie uległ najmniejszej poprawie. Nadal pozostaje tak samo smutna, cicha i niedostępna. Jakby tego było mało, ciągle płacze. Przystając w drodze do łazienki przed jej drzwiami, często słyszę łkanie.

Przypominam sobie o tym i z automatu staję się mniej cierpliwy.

– Przecież wiem, że na nic się nie umawialiście – odwarkuję nieprzyjemnie. – Nie przyszedłem tu z nią ani żeby gadać o jebanym graniu na pianinie.

Właściciel wydaje się zdezorientowany.

– Więc po co?

– Szukam pewnego gościa, który lubi się tutaj pojawiać. Jestem do niego podobny, przyjrzyj się. – Jedną dłonią unoszę odrobinę kaptur. – Nazywa się Hudson. Maverick Hudson. Może ktoś się tak do niego zwracał? Był tu dziś? Widziałeś go?

Mężczyzna bacznie mi się przypatruje. Przez dłuższą chwilę milczy, natomiast mnie wkurwiają wtedy stare, kultowe kawałki wypełniające cuchnący lokal.

– Przyłazi tu od jakiegoś czasu noc w noc – przyznaje w końcu i wskazuje krótkim kiwnięciem w stronę wyjścia z rudery. – Powinieneś znaleźć go gdzieś w okolicy, bo niedawno wyszedł chyba coś zapalić.

– Dzięki.

Zrywam się z miejsca w ekstremalnie szybkim tempie, ale nim zdążę odejść, słyszę jeszcze polecenie wydane przez właściciela:

– Przekaż komu trzeba, że może wpaść tu pojutrze.

Zatrzymuję się nagle i przez kilka sekund wgapiam w widoczny za oknami, zabezpieczonymi metalowymi kratami, pusty o późnej porze Bronx.

– Ona tu nie wpadnie. – Odwracam się przez ramię i odnajduję zaskoczone spojrzenie faceta. – Ani pojutrze, ani już nigdy.

Nie zwlekam dłużej. Ruszam do drzwi i zatrzymuję się dopiero na zewnątrz, na rogu dwóch ulic, otoczony przez wybudowane przy sobie stare kamienice. Śnieg prószy z czarnego nieba w niewielkich

ilościach, a ja rozglądam się naokoło w poszukiwaniu Hudsona, lecz nie odnajduję choćby żywej duszy przechadzającej się chodnikami. Jeśli ten kutas wyszedł palić, nie robiłby tego na widoku. Stwierdzam, że muszę zajrzeć do ustronniejszych miejsc.

Maszerując przed siebie, uciekam spojrzeniem do zaciemnionych zaułków.

Staram się mieć oczy i uszy szeroko otwarte. Wyłapywać każde poruszenie czy szmer. Słyszac jeden podejrzenie brzmiały, uwalniam obłok pary spomiędzy ust i sięgam do kieszeni bluzy, by ostrożnie wyciągnąć z niej długi nóż. Zaciskam dłoń na jego rękojeści, lecz zaraz poluźniam chwyt, bo okazuje się, że był to fałszywy alarm i tylko jakiś szczur albo kot poruszył się w śmieciach.

Maksymalnie skupiony idę dalej i w pewnym momencie pośród ciemności jednej z uliczek dostrzegam stojącego za kontenerem faceta. Po wroście oraz posturze domyślam się, że trafiłem na osobę, której szukałem. Przejeżdżam językiem po wnętrzu policzka.

Nareszcie.

Ostatni raz patrzę w lewo oraz w prawo, by upewnić się, że nikt nieproszony nam nie przeszkodzi. Później wkraczam powolnym krokiem w mrok i odczuwam całym sobą chorą ekscytację. *Skończony pojeb.* Właśnie za kogoś takiego się w tej chwili uważam, bo oszaleję, jeśli zaraz nie przejadę temu frajerowi ostrzem po ryju i nie usłyszę, jak wrzeszczy.

Ma cierpieć jak nigdy.

Hudson wyciąga z kieszeni nieduży, z daleka wyglądający na zapalniczkę przedmiot. Próbując wyłowić ze spodni zapewne blanta, zerka przelotnie w stronę ulicy. Gdy zauważa mnie stojącego kilkanaście kroków od niego, marszczy czoło i zaprzestaje swoich poszukiwań.

– Ach, to ty. – Rozpoznaje mnie, po czym uśmiecha się kącikiem ust w cwany sposób.

Zbliżam się do niego bez pośpiechu, trzymając nóż za plecami.

– Chyba nie powiesz, że zaskoczył cię mój widok?

Sukinsyn prycha drwiąco.

– Nie, czułem, że spróbujesz się na mnie odegrać. Pytanie tylko... za co konkretnie? – zastanawia się i mruży przy tym oczy. – Za to, że kiedyś wyjechałem? Za to, że spuściłem ci niedawno łomot? Czy może za to, że wtedy przeleciałem jeszcze kilka razy twoją dziewczynę?

Ostatnie wypowiedziane przez niego pytanie wystarczy, by zapłonęła we mnie dzika furia. Mam w głowie mnóstwo powodów, przez które mógłbym chcieć go zatłuc, ale ponad nimi zawsze znajdzie się ten jeden: krzywda wyrządzona Marigold. Mojej Gold, która nie zasługiwała na zostanie poniżoną, wykorzystaną, a potem pozostawioną na brudnej podłodze.

Odruchowo miażdżę w dłoni rękojeść noża i nabieram rzeńskiego powietrza.

– Zdechniesz – wypluwam jadowicie, mierząc go lodowatym spojrzeniem.

Dzieli nas może kilkanaście cali.

– Przrzekam, że zdechniesz, ale najpierw podrasuję ci mordę. Staniesz się brzydszy, niż jestem ja. Tak bardzo odrażający, że ludzie będą spierdalać od ciebie na pieprzoną milę. – Przekrzywiam leniwie głowę, rozluźniając kręgi szyjne i z zimną krwią dopowiadam nieco ciszej: – Zobaczysz, jak to jest, braciszku. Być strasznydłem. Monstrum.

On jedynie śmieje się szyderczo.

– Proszę cię. Miałbyś niby dać mi radę, a potem porysować mi twarz?

Robi długi krok i zderza gwałtownie klatkę piersiową z moją, by pokazać jakąś swoją śmieszna wyższość. Stoimy naprzeciwko siebie, w ciemnościach ciasnego zaułka, przypatrując się sobie z równej wysokości przez fakt, że jesteśmy tego samego wzrostu.

A ten chuj znowu parska.

– Ostatnio się nie wykazałeś i teraz też nie pokażesz niczego, a wszystko dlatego, że jesteś słaby. Byłeś taki, odkąd pamiętam. Przypomnij sobie tę jedną sytuację, gdy od matki wychodził kolejny nawalony fagas. Pamiętasz, jak po prostu czekałeś, aż skończy rozbijać ci butelkę na głowie za to, że beczaleś w kącie zbyt głośno przez jej krzyki?

Bez trudu zachowuję kamienną minę, ponieważ dawno przestały ruszać mnie podobne wspomnienia. Chcąc przetrwać na Bronksie, musiałem nauczyć się podchodzić do nich oraz do swojego dzieciństwa bez żadnych emocji i po ledwie kilku miesiącach starań dopiąłem swego.

– Po prostu zmiataj stąd i się nie kompromituj, bo niczego mi nie zrobisz – dodaje mój brat i

machnięciem ręki pokazuje, że mam spierdalać.

Bez zastanowienia chwytam go za tę samą łapę i wykręcam mu ją, że aż głośno sapie. Później z całą siłą spycham Hudsona na brudny grunt. Upada na niego przodem, a ja błyskawicznie siadam na nim i przygniatam go swoim ciężarem. Wolną dłonią dociskam jego łeb do ziemi, drugą zaś przystawiam ostrze do jego mordy, ciężko dysząc.

– No proszę – bąkam kąśliwie.

Nachylam się nad nim i obnażam zęby.

– Jednak mam pole do popisu i mogę zrobić ci cokolwiek zechcę.

Gnój szamota się, ale nie może mnie zrzucić, bo jest w mocno chujowym położeniu. Przypominam sobie, co zrobił Marigold, i pozwalam, by zaślepił mnie jeszcze gorszy szal. Nie zastanawiam się nad swoimi kolejnymi czynami. One nadchodzą same. Najpierw chwytam pomiędzy palce jego włosy, unoszę odrobinę jego głowę i ryję nią o pokryty śniegiem beton.

Trzecie zderzenie zostawia na nim plamę krwi.

Nie czuję się ani trochę usatysfakcjonowany tym widokiem, więc nie przeciągając momentu, na który chorobliwie czekałem, podsuwam krawędź noża do jego policzka. Oczy mężczyzny nagle zaczynają przypominać pięciocentówki, bo Maverick na pewno domyśla się, że wcale nie żartowałem i naprawdę zamierzam sprawić, by stał się brzydszy ode mnie.

Ale to akurat jego najmniejsze zmartwienie.

– Zabieraj nóż, kurwa – cedzi wściekły i jednocześnie spanikowany.

Pierwsza podłużna krecha, którą naznaczam jego policzek, wyrывa mu z gardła wrzask, który przeszywa głuchą ciszę na Bronksie. Mija może sekunda, a czerwień zaczyna spływać mi ciurkiem po dłoni. Czuję, jak się lepi. Czuję też znajomy swąd w nozdrzach przyprowadzający mnie o dreszcze na plecach i pojebaną ulgę przetaczającą się przez wszystkie żyły.

Zasłużył. Zwłaszcza za wszystko, co zrobił Marigold.

– Co? Myślałeś, że mnie to łaskotało? – parskam i przymierzam się do następnego cięcia. – Że śmiałem się do rozpuku, gdy cięli mi gębę? Już przynajmniej wiesz, że nie.

Spluwam na niego, po czym tnę skórę kolejny raz.

Hudson krzyczy.

– Tchórz – bąkam nienawistnie, wpatrzony w dwie, obrzydliwie długie pręgi, zdobiące jego policzki. – Wyjechałeś chuj wie gdzie i zostawiłeś po sobie tylko dług, który zamienił się w moich kilka zmarnowanych lat.

Mężczyznę dusi kaszel. Hudson nie ma już siły się pode mną wiercić, ale ja i tak zdobię jego twarz następnymi niedbałymi nacięciami. Po piątym, niosącym za sobą głośniejsze wrzaski brata, tracę rachubę i przestaję je liczyć.

– Swoją drogą wykiwani przez ciebie Jake i Ross na pewno będą chcieli przywitać się z tobą po długim czasie. – Nachylam się ku niemu bardziej i przesuwam powoli końcówką noża po jego pokrytej warstwą potu skroni. – Zadbam o to, żeby wiedzieli, gdzie cię zostawiłem. Nie dożyjesz kolejnych dni. Jak ci z tą myślą?

Obserwuję, jak charczy.

– Mnie zajebiecie – dorzucam z zadowolonym uśmiechem. On jednak prędko znika z moich ust przez stan osoby, o której właśnie pomyślałem. – Nie tkniesz już Harding. Będzie od ciebie wolna na zawsze. Nie mogę się doczekać, aż powiem jej, że jesteś martwy.

Po dłuższym czasie kończę obchodzić się ze swoim bratem jak jebany świr i wstaję z niego. Wracając w nieustannie padającym śniegu do bloku, wykonuję szybki telefon do Jake'a i zwracam się do niego z jedną prośbą.

Aby go zabrali, a potem zabili.

W mieszkaniu Marigold jest potwornie zimno, ponieważ jeszcze nic nie zrobiliśmy z wybitym oknem, ale i tak biorę tam krótki prysznic: wolę bowiem nie ryzykować, że u siebie natknę się na młodego albo jakimś cudem na Harding. Nie wiem, jak wytłumaczyłbym im krew na swoich ciuchach lub dłoniach, skoro nie chciałbym przyznawać się do tego, że pociąłem gębę brata i oddałem go na pastwę dwóch

bandziorów, którzy na pewno tej nocy go sprzątną. Gdybym to zrobił, zapewne stałbym się w ich oczach większym, niż już jestem, potworem.

Po narzuceniu na siebie swoich ostatnich ubrań znalezionych w prawie że pustej szafie dziewczyny schodzę na niższe piętro i otwieram drzwi własnego mieszkania kluczem. Na brzdęk przyczepionego do niego breloka w kształcie sztabki złota nieco się krzywię. Nie cierpię tego, że wszystko przywodzi mi na myśl chwile, kiedy pomiędzy mną a Gold układało się naprawdę dobrze. Boli mnie niepewność, czy kiedykolwiek do tego wrócimy.

Wkraczam do korytarza i zauważam dolatujące tu z salonu niewyraźne światło. Zdziwiony nie snuję domysłów, po prostu idę do przodu, by sprawdzić, o co chodzi. Widząc siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na kanapie Rhodesa, ściągam z niezrozumieniem brwi.

– Dlaczego nie śpisz?

Chłopiec zerka na mnie znad zeszytu, w którym szkicował.

– Nie mogę.

Nie pokazuję po sobie, że jego odpowiedź mnie martwi. Przez ostatnie tygodnie Rhodes naprawdę dobrze radził sobie ze swoją bezsennością, tymczasem teraz zawisły nad nami jakieś czarne chmury i znowu wszystko powoli idzie się jebać.

– Zasunę zasłony – pomrukuje i tak jak zapowiedziałem, podchodzę do okna, za którym rozprzestrzenia się widok na niebezpieczny Bronx. – W ciemnościach łatwiej będzie ci zasnąć.

Wtem krasnal wystrzela do mnie z propozycją:

– A może coś porobimy?

– O tej godzinie? – Zdziwiony spoglądam ukradkiem na zegarek oplatający mój nadgarstek. *Jest prawie czwarta nad ranem.* – Niby co takiego?

– Mam ochotę namalować obrazek farbami.

Na powrót skupiam się na młodym i dostrzegam w jego oczach delikatne płomyki nadziei. Wiem, że trudno mi będzie im nie ulec, ale muszę spróbować, bo przecież aktualna pora nie jest ani trochę odpowiednia do tego, by bawić się w artystę.

– Rhodes... – Zamierzam go pouczyć i uciąć temat przypomnieniem, że jutro musi wstać do szkoły, jednak on wspiera się energicznie na łokciach i przekonuje mnie dalej.

– Naprawdę nie mogę spać, więc chciałbym przynajmniej się czymś zająć, żeby nie umrzeć z nudów. Zresztą... może jeśli się zmęczę, oczy same mi się posklejają?

Na tym nie kończy się jego próba urobienia cholernie zmęczonego wujka. Rhodes przez kolejne minuty nalega i nalega, aż w końcu przecieram pomału palcami skroń oraz – kto by się spodziewał – poddaję się jego planom na resztę nocy.

– Dobra. Śmigaj po farby i blok.

Ucieszony malec zeskakuje z kanapy i podbiega do stołu. Z prędkością światła zgarnia z niego plakatówki, które dostał na urodziny, oraz pędzel i kubek na wodę, po czym wraca do mnie z raczej zdołowaną miną. Chcę go zapytać, dlaczego posmutniał, lecz sam mi o tym mówi.

– Właściwie skończyły mi się wszystkie bloki – przyznaje z westchnieniem i znowu opada tyłkiem na kanapę, a ja razem z nim, marząc o odpoczynku po naprawdę ciężkim dniu.

– Ogarnę ci coś na jutro – zapewniam i po chwili milczenia, w trakcie której wyrzucam sobie, że nie zaopatrzyłem go w większy zapas przeklętych bloków, dopowiadam szczerze przygnębiony: – Przykro mi, że dzisiaj nici z malowania.

Rhodes nieśmiało przenosi na mnie wzrok.

– A nie mogę malować na czymś innym?

– Na przykład? – dopytuję.

– Na twoich plecach?

Przez moment zastanawiam się nad jego pomysłem. Co prawda nie lubię pokazywać młodemu swojego pokrytego różnej maści bliznami i szramami ciała, ale i tak ściągam po niedługiej chwili czarną bluzę przez głowę. Mam tylko nadzieję, że zmyłem z siebie całą krew Hudsona, bo jej widok mógłby go zaniepokoić, a tego bym nie chciał.

– Co na nich zmajstrujesz? – ciągnę go za język i staram się przyjąć taką pozycję, by było mu wygodnie malować. Chłopiec dotyka pędzlem mojej łopatki, po czym zdecydowanie bardziej uradowany

kieruje do mnie krótką odpowiedź.

– Nas.

– Jednego wielkoluda i jednego kurdupla? – rzucam rozbawiony.

Urażony Rhodes uderza mnie ledwie wyczuwalnie w ramię.

– Nie jestem kurduplem – grzmi natychmiast.

Przewracam z rozbawieniem oczami.

– Tylko się wygłupiam.

– To przestań.

– Malujesz tylko nas czy coś jeszcze? – zastanawiam się i skupiam uwagę wokół prosiącego za oknem śniegu. Teraz pada z nocnego nieba nieco bardziej niż wcześniej... natomiast do mnie dociera, że niedługo nastaną święta, które miałem ogromną nadzieję spędzić z dwiema najważniejszymi dla mnie osobami.

Niestety to się raczej nie uda.

– Maluję ciebie, siebie i Goldie – odpiera skoncentrowany na swoim dziele Rhodes. – Już w innym, bardziej kolorowym miejscu, o którym wspominała niedawno, kiedy opowiadała mi, jak chciałaby spędzić swoje następne urodziny.

Nie mogę nic poradzić na ciekawość, która nagle we mnie kiełkuje. Sam też chciałbym wiedzieć, co siedzi w głowie mojej Marigold, dlatego dociekam:

– Podzieliś się ze mną tym, jak chciałaby je spędzić?

Krasnal milknie i raczej zbiera myśli do kupy, natomiast ja w tym czasie znoszę delikatne łaskotanie postrzępionego pędzla, przesuwanego się po moich plecach wedle wizji małego artysty.

– Marzył jej się piknik na wielkiej polanie z dużą ilością kwiatów, gdy świeciłoby słońce – opowiada nareszcie Rhodes. – Tam chciała słuchać ulubionych piosenek i objadać się słodyczami. Do tego, żeby ktoś czule głaskał ją po włosach i powtarzał cicho, że nigdy nie spotkał i nie spotka kogoś takiego jak ona. Tylko tyle usłyszałem, zanim przysnąłem... Byłem bardzo zmęczony, przepraszam.

– Nic nie szkodzi.

Uśmiecham się ledwie zauważalnie, dochodząc do wniosku, że wizja, którą zdradził mi chłopiec, jest w stylu Marigold. Uświadamiam sobie również, że chętnie bym się w niej odnalazł: ułożył jej głowę na swoich kolanach, czule głaskał ją po włosach oraz powtarzał szeptem, że nigdy nie spotkałem ani nie spotkam już kogoś takiego jak ona.

Sę w tym, że nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek dopuści mnie jeszcze do siebie na tyle blisko, bym mógł robić to wszystko. Od ośmiu dni mieliśmy ze sobą znikomą styczność i to raniło mnie w każdy możliwy sposób, bo potwornie za nią tęskniłem.

– Powodzenia – życzę młodemu, kiedy po upływie kilkunastu sekund odzyskuję rezon. – Mam nadzieję, że będziesz zadowolony z tego, co namalujesz.

Brzdąc nabiera wdech.

– Dzięki. Chciałbym, żeby wam też się to spodobało. Zwłaszcza Goldie, bo mój obrazek będzie przedstawiać jej marzenie. – Robi krótką przerwę, jakby czuł opór przed dodaniem czegoś jeszcze, i dopiero po niej zdobywa się na zadanie mi pytania. – Myślisz... myślisz, że jeśli nie śpi, moglibyśmy tylko zapukać i zapytać ją, co o nim sądzi?

Poprawiam się na siedzeniu.

– Nie wiem, Rhodes.

Nie mogę dopuścić do tego, by wszedł do sypialni. Raz, Marigold mogłaby się przestraszyć, dwa, on sam mógłby mocno przeżyć brak jakiegokolwiek reakcji z jej strony. Ja zdołałem już się przyzwyczaić do takiego stanu rzeczy, lecz maluch najpewniej rozplakałby się przez poczucie, że zrobił coś nie tak, i właśnie dlatego moja kłamczucha nie chce z nim rozmawiać. Pragnę temu zapobiec. Uchronić ich przed czymkolwiek, co mogłoby ich zboleć.

– Może rozchmurzyłaby się na jego widok? – ciągnie moja mała kopia. Chociaż tego nie widzę, myślę, że w oczach Rhodesa ponownie tej nocy zabłysnęły iskierki.

Przebiegam palcami po małych rankach na dłoniach i mimo że nie chciałbym tego robić, rozmyślam, jak w delikatny sposób zgasić jego dziecięcy zapach.

– Lepiej odpuśćmy sobie robienie jej nocnych pobudek, okej? – wyduszam w końcu nieco

przygaszonym tonem.

Nagle dobiega mnie cichy protest:

– Przecież nie śpię. Zresztą nawet jeśli akurat bym to robiła, na docenienie mojego ulubionego artysty zawsze znajdę czas, niezależnie od wszystkiego.

Czym prędzej odwracam się w stronę, skąd dobiegł mnie odrobinę zachrypnięty, wywołujący ciarki na moim ciele głos. Pośród półmroku dostrzegam słabo uśmiechniętą brunetkę, która właśnie siada tuż za mną, obok Rhodesa i obejmuje go mocno. Chłopiec śmieje się radośnie, odwzajemniając uścisk, a ja patrzę na nich, przytulających się, jak zaczarowany.

– Gold. – Nie jestem nawet pewny, czy to jedno słowo wydostało się spomiędzy moich warg, czy też pozostało wytworem mojej wyobraźni.

Dziewczyna całuje Rhodesa w czoło. Nie mogę się na nią napatrzeć. Wygląda mizernie, ale ciągle kurewsko pięknie. Karczę się za to, że gula, która stanęła mi w gardle na jej widok, nie pozwala mi zapytać o nic: czy wszystko okej, czy czegoś nie potrzebuje, czy czegoś ode mnie nie chce... a mocno pragnę, by moja Marigold miała świadomość, że jestem dla niej i na każde jej jebane zawołanie.

Boże, ona znowu z nami jest. Nawet jeśli tylko na chwilę, nie mógłbym poczuć się bardziej wdzięczny, choćby jedynie za nią, krótką, lecz niesamowicie kojącą.

– Już podoba mi się twoje dzieło, kochany – przyznaje miękko, patrząc na moje plecy z uznaniem, ale również czającym się w oczach bólem.

Podejrzewam, że ciągle niełatwo jej przyglądać się temu, jak prezentuje się moje ciało. Ozdobione chyba setką blizn, zadrapań i nieestetycznych szram. Dziwię się, że one nigdy jej nie odpychały, ale prędko dziwię się mocniej temu, że Gold wyciąga dłoń w kierunku mojego ramienia i śledzi opuszkami bieg znajdującej się na nim, gojącej się pomału rany.

Znowu wstrząsa mną znajomy prąd. Nie jestem pewny, czy to zasługa niewinnego dotyku dziewczyny, czy może faktu, że nasze spojrzenia nareszcie się odnajdują. Wiem natomiast, że kiedy przez dłuższy czas nie zrywamy kontaktu wzrokowego, mój mózg staje się coraz większą papką i nie istnieje sposób, który jednak pozwoliłby mi przy niej trzeźwo myśleć.

Marigold naprawdę wywiera na mnie pewien szczególny wpływ. Silny, niezdolny do odparcia wpływ, który sprawia, że ciągle czuję się jej oddany. Nie sądziłem, że pewnego dnia poczuję się taki chociaż w niewielkim stopniu wobec kogokolwiek... do czasu aż pojawiła się przy mnie ta niewyróżniająca się, zadreńczona własnymi demonami dziewczyna.

Rhodes przypomina nam, że nie jesteśmy w pokoju sami, gdy odpowiada Harding:

– Dopiero zacząłem malować...

– Nieważne. – Dziewczyna spogląda na jego buzię i ostrożnie odgarnia mu z czoła pasmo ciemnych włosów. – Jestem fanką każdego twojego obrazu i pamiętaj, co mi obiecałeś.

On kiwa zdecydowanie głową.

– Pamiętam.

– Co to za spisek za moimi plecami? – prychem spod zmarszczonych brwi, przysłuchując się ich tajemniczej wymianie zdań. – W dodatku dosłownie za nimi.

Wyszczerzeni zerkają po sobie. Zaraz jednak bratanek spogląda w moją stronę i raczy mnie wyjaśnieniami, które bardzo chcę otrzymać.

– Dałem Goldie słowo, że pewnego dnia pierwszą wystawę w swojej galerii sztuki poświęcę właśnie jej – tłumaczy, a ja od razu przytakuję, pomimo zaskoczenia wynikającego z faktu, że dopiero zaczynam rozumieć, jak silna więź zdążyła się pomiędzy nimi narodzić.

– To miłe – stwierdzam.

Brunetka zadziera brodę.

– Prawda?

– Choć dla mnie w sumie raczej niefortunne – dodaję po namyśle i nie powstrzymuję swoich kącików ust, wędrujących powoli w górę.

Marigold rozsiada się wygodniej, w tej samej pozycji, w której siedzi Rhodes, i naciąga bardziej na drżące z zimna ciało moją starą, spraną koszulkę z krótkim rękawem, który w jej przypadku, cóż... Sięga do połowy ręki, co wydaje mi się całkiem śmieszne.

– Dlaczego? – pyta. – Czyżbyś chciał dostąpić tego zaszczytu i sam być pierwszą osobą docenioną

przez słynnego Rhodesa Covingtona?

Zaglądam jej prosto w oczy.

– Chciałbym, tyle że nie być stuprocentowo pewnym, że na wystawie poświęconej tobie zostałbym do samego rana, a nawet i dłużej, olśniewająca Marigold Harding.

Dziewczyna spuszcza speszone wzrok na swoje powyginane palce.

– Przestań – prosi delikatnie uśmiechnięta.

Nie przypuszczałem, że ta noc przybierze taki obrót: że będziemy siedzieć we trójkę na obdartej kanapie przy nędznym świetle świecy, posyłać sobie słabe uśmiechy i zerkać co jakiś czas za okno, na padający śnieg. A jednak to robimy i jestem przekonany, że nic nie uspokoiłoby mnie w tym momencie bardziej niż czas spędzony z Marigold i tym małym gnojkiem, który moczy pędzel w farbie, mlaska z pretensją oraz wtrąca się do rozmowy.

– Właśnie. Halo, siedzę tutaj i jest mi przez was niedobrze.

Moje kpiące prychnięcie rozbrzmiewa po niedużym pokoju.

– Słyszałem, że malarze mają stulony dziób, gdy pracują.

Rhodes wlepia we mnie spojrzenie.

– Serio?

– Nie, ale ty mógłbyś się przymknąć.

– Will. – Harding stara się mnie uciszyć, jednakże sama ledwo powstrzymuje parsknięcie i znowu zaczyna sunąć palcami po moim ramieniu w bardzo ostrożny oraz czuły sposób, jakby chciała ukoić mój ból.

– No co? – pytam głupkowato.

Ona tylko kręci głową z politowaniem. Przez następne minuty żadne z nas nie odzywa się słowem. Rhodes pracuje w pocie czoła nad swoim dziełem, a my z Gold zwyczajnie się w siebie wpatrujemy. Trwa to, dopóki nie decyduję się na szczere wyznanie, które wypowiadam ledwie słyszalnie w przestrzeń pomiędzy nami:

– Cieszę się, że do nas przyszłaś.

– Brakowało mi was – przyznaje dziewczyna i składa przelotnego buziaka na policzku zajętego Rhodesa. Trochę mu nawet zazdroszczę, ale domyślam się, że minie sporo czasu, zanim Gold zdobędzie się na podobne czułości względem mnie. – Moich cudownych chłopaków.

Malec prędko jej odpowiada.

– Nam ciebie też, Goldie.

Po może godzinie brzdąc kończy zabawę plakatówkami i przez jakiś czas zachwycamy się wtedy z Harding jego sporych rozmiarów dziełem. Ja rzecz jasna robię to po wcześniejszym obejrzeniu go w odbiciu lustra zawieszonym na ścianie w przedpokoju. Gdzieś pomiędzy kolejnymi pochwałami, którymi obsypujemy Rhodesa, nuży go jednak głęboki sen, dlatego zadowolony z tego faktu, wstaję na nogi, by zrobić dla niego więcej miejsca i ułożyć go wygodnie na kanapie. Gold widzi to i zwraca się do mnie z prośbą.

– Możesz zanieść go do sypialni?

Nachylony nad chłopcem spoglądam na nią ze zdziwieniem.

– Ale ty tam śpisz.

– Już nie – zaprzecza. – Kanapa w salonie jest okropnie niewygodna, a on musi się wyspać do szkoły. Połóż go na łóżku i sam zaśnij obok, dobrze?

– Dobrze – niechętnie się zgadzam, biorę młodego na ręce i kieruję się z nim do sypialni. Tam odkładam go na materac i nakrywam kołdrą, a następnie mierzwię mu delikatnie włosy.

Do salonu wracam lekko podenerwowany, mając na końcu języka kilkanaście słów, na które obawiam się otrzymać odpowiedź od przygotowującej swoje posłanie dziewczyny. Mimo obaw i tego, jak strasznie pocą mi się dłonie, podchodzę powolnym krokiem do Harding i zatrzymuję się tuż przed nią. Ona nieruchomieje. Zbita z tropu obserwuje mnie z dołu bez tchu oraz w którymś momencie upuszcza na podłogę trzymane wcześniej w ręce prześcieradło.

– Marigold? – szepczę, przelękając ostrożnie ślinę nagromadzoną w ustach.

Jej oczy bez przerwy poszukują spojrzenia moich.

– Tak?

– Mogłabyś... poświęcić mi jedną chwilę? – pytam nieco pogubiony i zwieszam przed nią ulegle

głowę. – Chciałbym spędzić z tobą dzisiaj jeszcze chociaż ją. Bardzo mi zależy. Na niej i ogólnie na... na tobie, wiesz?

Chociaż góruję nad nią wzrostem i potężną posturą, nie zatrzymam jej w miejscu ani do niczego nie zmuszę. Mam nadzieję, że o tym wie. Ale chyba tak jest, bo Marigold wyciąga teraz dłoń w kierunku mojej, trąca ją swoją i wprawia w lekkie kołysanie. Mam wrażenie, że tym gestem przekazuje mi, że wciąż mi ufa mimo tego wszystkiego, co się wydarzyło.

– Mogłabym – odpięra równie dyskretnie, zbliżając się pomału i patrząc z dołu na moją poważną twarz. – Mogłabym cię nawet przytulić, tak sądzę.

– Nie chcę, żebyś się do tego zmuszała – protestuję natychmiast, a ona uśmiecha się cholernie nieśmiało i kładzie z lekkim oporem ręce na moich bokach.

– Zmuszam się do wielu rzeczy, ale nigdy do chowania się w twoich ramionach, Will.

Wokół jest ciemno i cicho. Słyszę tylko jak mój oddech przyśpiesza, kiedy Marigold przytula się do mojego ciała i przyciska policzki do mojej piersi. Nie mogę powstrzymać się od pociągnięcia nosem. Robię to i bardzo, bardzo ostrożnie ją do siebie przyciągam, po czym obejmuję. Wydaje mi się, jakbym odżył. Jakbym nagle się w tym wszystkim odnalazł, a to wydarzyło się za sprawą poczucia, że dziewczyna mojego życia znowu znalazła się blisko mnie.

– Tęskniłem za moją kłamczuchą – wyznaję i opieram brodę na czubku jej głowy.

– A ja tęskniłam za moim kłamcą.

Napawam się każdą sekundą, w trakcie której czuję się w końcu wyciszony i uzdrowiony. Prawda jest taka, że od ośmiu dni marzyłem jedynie o tym – o zamknięciu Gold w wyważonym uścisku i nieustannym przekonywaniu jej, że jeszcze wyjdziemy na prostą, a los się do nas uśmiechnie. Mając szansę nareszcie to robić, nie zamierzam tracić czasu na milczenie, dlatego głaskając dłonią tył jej głowy, kieruję do niej łagodne zapewnienie.

– Staniemy na nogi. – Moje palce prześlizgują się powoli przez jej lekko splecione, ciemne włosy. – Zobaczysz, że tak będzie. Tylko... dajmy sobie na to po prostu trochę czasu. Tyle, ile będziemy go potrzebować. W porządku?

Otrzymuję w zamian skinienie, które choć jest niepewne, i tak sprawia, że w mojej klatce piersiowej rozlewa się gorąco. Niedługo potem zmęczeni odsuwamy się od siebie i rozdzielamy. Marigold zostaje w salonie, natomiast ja ruszam najpierw do łazienki, by zmyć z pleców farbę, a potem do sypialni, gdzie padam na łóżko kompletnie wymordowany.

Budzę się o świcie. Wtedy wychodzę z pokoju, by napić się wody w kuchni i w drodze do niej zerkam na kanapę, na której... nikt nie leży. Niespokojny podchodzę do niej i dopiero po pewnym czasie orientuję się, że okno w salonie jest otwarte.

Po kryjomu za nie wyglądam.

Widzę spokojną Marigold siedzącą na najwyższym stopniu schodów oraz wystawiającą twarz ku prószącemu z jasnego już nieba śniegowi. Trzyma dłoń na swoim wisioru w kształcie księżycy i w pewnym momencie pięknie się uśmiecha, jakby wierzyła, że jeszcze będzie lepiej.

Albo... że to ja jakoś sobie niedługo poradzę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

WILLARD

– Wykluczone.

Tym jednym słowem mam zamiar uciąć temat rozpoczęty przez Rhodesa w trakcie drogi, którą odbywamy samochodem do szkoły. Chłopiec nie daje się jednak tak łatwo spławić: próbuje przepchać się za wszelką cenę do przodu i spojrzeć na mnie błagalnie, nawet jeśli widzę w lusterku wstecznym, że cholernie przeszkadzają mu w tym zapięte pasy. Odrywam od niego wzrok i na powrót wbijam go w zatłoczoną dzisiaj jezdnię, powstrzymując westchnienie.

– Ale Will... – zaczyna znowu straszliwie proszącym tonem.

Nie pozwalam mu nawet dokończyć zdania.

– Nie będziesz łąził sam po śmietnikach i szukał tam wyrzuconej przez kogoś, starej choinki – odpieram stanowczo. – Możesz się czymś zarazić albo nie wiem, ktoś może ci coś zrobić. Mało wariatów pałęta się po Bronksie?

– Nasze mieszkanie zrobiłoby się weselsze, gdybyśmy postawili w salonie drzewko – upiera się mały krasnal. – Na pewno znalazłbym jakieś w kontenerach, a jeśli ktoś by mnie zaczepił, uciekłbym prędko do naszego bloku. Wiesz przecież, że mega szybko biegam.

Opieram rękę na drzwiach samochodu i przecieram dłonią usta.

– Nie zmienię zdania. Przykro mi.

Chłopiec siada w końcu na tyłku.

– No dobrze.

Naprawdę przykro mi, że nie możemy kupić choinki w sklepie jak większość ludzi. Na początku chciałem przytargać stamtąd niedużego krzaka do mieszkania, by zrobić przyjemność dzieciakowi, ale w markecie kosztował on zwyczajnie zbyt dużo, a my niedługo będziemy mieć przecież mnóstwo wydatków związanych z przeprowadzką do Denver. Właśnie dlatego Rhodes pomyślał, że zgarnie jakieś drzewo z pobliskiego śmietnika. Nie pozwolę mu na to.

Akurat on nie będzie chodził po jebanych śmietnikach.

Przez dłuższą chwilę w aucie panuje cisza. Każde z nas zajęte jest wtedy czymś innym, ja prowadzeniem samochodu, młody nauką na sprawdzian, a Marigold, która zdecydowała się po raz pierwszy od dawna wyjść z mieszkania, intensywnie się nad czymś zastanawia. Widzę to, kiedy zerkam na nią ukradkiem po zatrzymaniu się przed skrzyżowaniem.

Wtem dziewczyna odwraca się w moją stronę z pytaniem:

– A może inaczej skombinujemy choinkę?

Wstyd pali mnie delikatnie w gardle.

– Jak? Przecież nie mamy kasy.

Harding przez moment wygląda, jakby się przed czymś mocno wzbraniała. Zaraz udaje jej się na szczęście przemóc i przysunąć do mnie na niewielką odległość. Mimowolnie wstrzymuję wtedy oddech w płucach, ponieważ dawno nie byliśmy tak blisko siebie.

– Ukradnijmy jakąś niedużą z lasu za miastem – szepta mi do ucha, bym tylko ja był w stanie to usłyszeć, i gdy już się delikatnie odsuwa, unosi nieznacznie kącik ust.

Patrząc na nią odrobinę zaskoczony. Nie spodziewałem się usłyszeć, że moja kłamczucha chciałaby porwać się na coś nie do końca legalnego... No i że w ogóle chciałaby spędzić ze mną więcej czasu niż kilkanaście minut podczas przejażdżki samochodem. Cieszę się, że od ubiegłej nocy wydaje się chociaż odrobinę weselsza i próbuje wrócić z nami do normalności. Będę ją w tym wspierał, choćby nie wiem co, i robił wszystko, by nie zabrakło jej do tego sił.

Nagle Rhodes podskakuje za nami, na tylnych siedzeniach.

– Też chcę wiedzieć, co robimy!

Odwracam się do niego złośliwie wyszczerzony.

– Jesteś za mały, żebyśmy dzielili się z tobą naszym nielegalnym planem.

Gnojek pociąga nosem i przenosi smutne spojrzenie na Marigold.

– Goldie, on mi dokucza...

Dziewczyna gromi mnie nieprzyjemnym wzrokiem, po czym spogląda o wiele łagodniej na przygnębionego dzieciaka. Sam obserwuję ją przez kilka sekund, aż w końcu dociskam gaz, koncentrując uwagę tylko wokół tego, co dzieje się na oblodzonej drodze. Zima na dobre wkroczyła do Nowego Jorku. Wszędzie jest okropnie biało i nawet wycieraczki auta nie nadążają z pozbywaniem się śniegu z szyby, dlatego muszę mieć się na baczności.

– Zaufaj nam, okej? – słyszę miękki głos, którym posługuje się Gold. – Jeszcze dzisiaj załatwimy choinkę, a ty możesz na kółku artystycznym zrobić do niej ozdoby. Co sądzisz?

Wjeżdżam na teren szkoły, przysłuchując się ich rozmowie.

– Niech będzie – mamrocze niemrawo nasz gadatliwy maluch i odpina powoli pasy. Wiem to, ponieważ dobiega mnie charakterystyczne kliknięcie. – Ale i tak jestem na was zły za wykluczenie mnie z misji.

– O nie. Jak mogę zasłużyć na twoje wybaczenie, mój ulubiony artysto?

Gold chyba przykłada teatralnie dłoń do serca i robi to z radosną miną.

– Uśmiechaj się częściej.

Dziewczyna parska pod nosem.

– Coś jeszcze? – docieka rozbawiona.

– Zostań z nami już na zawsze, Goldie.

Parkuję samochód obok budynku szkoły, a potem wyciągam kluczki ze stacyjki i ponownie spoglądam na dziewczynę. Szybko marszczę brwi, bo sprawia wrażenie potwornie zdenerwowanej. Patrzy na Rhodesa, jakby powiedział coś, czego nie powinien mówić pod żadnym pozorem. Nie mam pojęcia, jaki jest tego powód. Przyglądam się jej nadal, ale nie wpadam na żadną teorię dotyczącą tego, co mogłoby stać za jej dziwną reakcją na zwykłą, dziecięcą prośbę.

Marigold odchrząkuje, siada prosto na fotelu i wbija wzrok przed siebie.

– Chyba słyszę dzwonek na lekcję – odpira. – Nie powinienes już iść?

– Powiniennem – potwierdza młody, krzywiąc się lekko. – Do później?

Czując, że Harding odleciała dokądś myślami i nie odpowie Rhodesowi, sam to robię:

– Do później.

Dzieciak otwiera drzwi auta z lekkim trudem. Następnie zsuwa niezgrabnie tyłek z tylnych foteli, zeskakuje na chodnik i zaczyna dreptać posłusznie do budynku. Odprowadzam go wzrokiem, aż tracę jego niebieską czapkę z pomponem z pola widzenia, bo młody wtapia się w tłum szczyli podjaranych faktem, ile przez noc zdążyło napadać śniegu.

Przynajmniej odstawienie go do szkoły mogę już odhaczyć z listy zadań na dziś.

Zerkam subtelnie na cichą Marigold i nie mogę zrozumieć, z czego wynikało jej nagłe zamknięcie się na cały otaczający ją świat. Mimo że strasznie chciałbym się tego dowiedzieć, postanawiam nie wiercić jej dziury w brzuchu i zaczekać, aż sama przyzna się, że coś ją trapi. Dlatego też zamiast zapytać, czy wszystko gra, pytam ją o coś zupełnie innego:

– Jedziemy po tę choinkę?

Jej spojrzenie odnajduje moje.

– Tak... jedźmy.

Odpalam silnik i zaraz ponownie wjeżdżam na nowojorskie ulice, skąd wydostanie się na pewno zajmie nam sporo czasu. Na szczęście znam drogę do miejsca za miastem, gdzie rozciąga się wielki las i gdzie na bank upatrzymy sobie jakiegoś małego krzaka, który posłuży nam za choinkę. Oby Rhodes ucieszył się z naszego wyboru. To w końcu prezent dla niego.

Przez sporą część trasy nie odzywamy się do siebie z Harding. Cisza panująca pomiędzy nami zmusza mnie wtedy do refleksji nad tym, jak potraktowałem Rhodesa. Rozmyślam, czy może mogłem rozegrać temat jego łązenia po ogromnych śmietnikach delikatniej... no i czy Marigold nie wzięła mnie przypadkiem za rzucającego rozkazami dupka.

Postanawiam się o tym przekonać.

– Gold? – zagajam, zmieniając bieg.

– Słucham?

– Uważasz, że źle postąpiłem, zabraniając mu szwendać się po śmietnikach?

Nie patrzę na nią, bo muszę być w pełni skupiony na śliskiej jezdni. Słyszę jednak, że nabiera krótki wdech ustami, a to wystarczy, bym nabrał pewności, że nie zostawi mnie bez odpowiedzi.

– Nie wiem – przyznaje niepewnie i wlepia we mnie speszone spojrzenie, czuję je na twarzy. – Raczej nie, Bronx jest przecież bardzo niebezpieczny. Zresztą to ty mieszkasz tu od urodzenia i najlepiej wiesz, jak wygląda życie w takiej dzielnicy jak ta.

Przytakuję pomału.

– No właśnie.

Toczę zawziętą batalię z samym sobą, zanim mówię na głos coś więcej.

– Wiesz... nie chciałem mu na to pozwalać z jeszcze jednego powodu. – Stukam powoli palcami ręki, wciąż opartej na drzwiach samochodu, o zimną szybę i patrzę z niesmakiem na długi korek, do którego muszę się włączyć.

– Jakiego? – docieka w międzyczasie Gold.

Zatrzymuję auto i przekręcam leniwie głowę, by móc objąć spojrzeniem jej nieco bladą twarz. Pierwsze, na co zwracam uwagę, to jej oczy, wielkie oraz patrzące na mnie z nieustającą obawą. Kłamczucha na sto procent domyśla się, że powód, który wyjawię, wcale nie będzie najmiłszy. Rzeczywiście taki nie jest.

Po odetchnięciu streszczam:

– Gdy miałem tyle lat co on, moim jedynym sposobem, żeby nie umrzeć z głodu, było grzebanie po śmietnikach w poszukiwaniu resztek jedzenia. – Wciąż wpatruję się w nią spojrzeniem, które nie wyraża zupełnie żadnej emocji. – Nawet takich, których nie powinno się już ruszać, bo zjedzenie ich groziło zatruciem. Od momentu kiedy ostatni raz przejrzałem kontener, żeby mieć co jeść, obiecałem sobie, że już nigdy więcej nie zniżę się do tego poziomu i nie będę wkładał rąk do cudzych odpadów. Ani ja, ani tym bardziej Rhodes.

Chociaż mam w głowie pewne przebłyski tamtych chwil, nadal mówię o swoim dzieciństwie, posługując się bezbarwnym tonem.

– Nie mogłem pozwolić mu na to, na co wszyscy pozwalali mnie – podsumowuję i zauważam, że po policzkach Marigold popłynęło kilka długich łez.

Dziewczyna natychmiast je ściera.

– Boże, przepraszam – mówi przez okropnie ściśnięte gardło i wachluje się w pośpiechu drżącymi dłońmi, by jakkolwiek zapanować nad wilgocią, która wezbrała pod jej powiekami.

Przysuwam się do niej bardzo ostrożnie i dopiero czując, że mogę sobie na to pozwolić, wyciągam rękę w kierunku jej twarzy, którą ostrożnie obejmuję palcami.

– Hej, nie płacz – nalegam łagodnie, zaglądając przy tym prosto w piękne, choć smutne tęczówki dziewczyny. – Nie przyznałem ci się do tego, żebyś płakała. Chciałem tylko nie wyjść w twoich oczach na chuja, który bez powodu rzuca zakazami na prawo i lewo.

Marigold oddycha szybko oraz płytko, czuję, jaka jest rozdygotana.

– Po prostu mi przykro – wydusza szept. – Miałeś tylko sześć lat, Will.

Potrząsam głową.

– To nieistotne.

– To smutne. – Nakrywa swoją dłońią moją, jakby w ten sposób chciała mnie pocieszyć. – Tak bardzo życzę ci, żebyś nareszcie się stąd wyrwał...

Spuszczam wzrok na jej pełne usta i przelitykam, widząc, jak mocno drży jej dolna warga. Zaraz ponownie unoszę go, by dotrzeć nim jej oczu, i uśmiecham się słabo, wyłapując w nich niemą troskę, której nikt nigdy mi nie okazał. Chociaż do wnętrza samochodu przedostają się stłumione odgłosy dochodzące z ulicy, ja i tak mam wrażenie, że słyszę jedynie szaleńcze bicie serca mojej Marigold, kiedy mobilizuje się i po przełknięciu łez kontynuuje:

– Zaslugujesz na to, by wydostać się z Bronxu i zacząć normalne życie z daleka od tej dziury. – Moja kłamczucha mruga pośpiesznie, uśmiechając się ledwie zauważalnie, z dozą nadziei, że słowa, które wypowiada, niedługo się urzeczywistnią. – Na to, by zamieszkać w ładnej, kolorowej chatce w pięknym miejscu, z zapierającym dech w piersi widokiem na góry. Zaslugujesz na to, by uszczęśliwić Rhodessa i samego siebie na milion sposobów. Na... – zawiesza się – ...odnalezienie kogoś, z kim od początku

pomyślisz, że wszystko się ułoży.

Obejmuję śmieiej jej policzek i także pozwalam sobie na delikatny uśmiech.

– Mam ciebie, Gold.

Przybliżam się do niej bardziej. Stykam ze sobą nasze czoła. Trącam w intymny sposób swoim nosem jej, wypuszczając niemalże bezgłośnie wyznanie spomiędzy rozchylnionych warg wprost w zapłakane usta swojej Marigold:

– Z tobą. Właśnie z tobą wiem, że wszystko się ułoży.

Dziewczyna uwalnia bezsilny wydech. Obserwuje mnie oczami pełnymi jeszcze większej ilości łez. Nie ma w nich już śladu po maleńkiej radości, którą przed momentem dostrzegłem. Nie rozumiem dlaczego moja kłamczucha bardziej posmutniała. Czy naprawdę powiedziałem coś nie tak? Coś, czego nie powinienem był mówić?

Może muszę być bardziej konkretny?

– Zresztą przecież wszyscy, we trójkę, niedługo się stąd wyniesiemy, prawda? – pytam spokojnie, sunąc bez pośpiechu palcami po jej mokrym policzku. – A wtedy nic nie będzie stało nam na przeszkodzie, żeby zamieszkać w ładnej, kolorowej chatce w pięknym miejscu, z zapierającym dech w piersi widokiem na góry. Żeby uszczęśliwiać siebie nawzajem i Rhodesa na milion sposobów. – Znowu zderzam czule nasze nosy. – Żeby codziennie utwierdzać się w przekonaniu, że jesteśmy dla siebie kimś, z kim już zawsze wszystko będzie się układać.

Marigold trwa blisko mnie jeszcze przez ledwie kilka niewystarczających mi sekund. Po nich coś w niej pęka: widzę, jak krztusi się kolejnym wybuchem płaczu, zaciska z bólem powieki i odsuwa się ode mnie na bezpieczną odległość.

– Wybacz – mówi żałośnie, otwierając oczy.

Zaniepokojony prostuję się.

– Coś się stało?

Dziewczyna sięga po torebkę, którą rzuciła wcześniej pod nogi, po czym kładzie ją sobie na udach i trzęsącymi się dłońmi przetrząsa jej zawartość. Stara się wyciągnąć z niej zapewne jakąś zgubę, ale nie wiem, co to takiego ani dlaczego oddaliła się ode mnie jak oparzona.

– Muszę... skupić się i napisać ważną wiadomość – tłumaczy i niemalże miażdży ręką odnaleziony przed chwilą telefon. – Chodzi o pracę na lodowisku, miałam wyjaśnić szefowej, dlaczego wzięłam tyle wolnego. Jeśli przeszkadza ci cisza w aucie, włącz radio, okej?

Nagle dociera do mnie pewna myśl, która sprawia, że odczuwam uporczywy ucisk w dołku. Marigold po prostu nie chce ze mną dłużej rozmawiać, dlatego teraz zwiesza głowę i koncentruje się tylko na ekranie komórki, ścierając przy tym ukradkiem łzy.

Odwracam wzrok, by ukryć smutek, który na pewno maluje się na mojej twarzy. Dopiero potem odpowiadam jej krótkim i na pozór niewzruszonym:

– Jasne.

Las, do którego dotarliśmy po niemalże godzinie jazdy samochodem, jest ogromny i cichy. Roi się w nim także od niedużych drzewek, więc teraz, kiedy wraz z Marigold podążamy jego zaśnieżonymi ścieżkami i rozglądamy się za choinką, mamy w czym przebierać. Im dłużej jednak jej szukamy, tym silniejsze ogarnia mnie wrażenie, że tylko ja biorę czynny udział w naszej śmiesznej misji. Harding za to znajduje się w zupełnie innym wymiarze. Znowu.

Nagle zatrzymuję się w miejscu i wskazuję toporkiem na jedno z drzew.

– Co sądzisz o tym krzaku? – pytam, spoglądając na dziewczynę.

Ona dość szybko odzyskuje fason i przytakuje.

– Rhodes powinien być zadowolony.

– W takim razie zaraz go ukradniemy.

Marigold lekko się dziwi.

– Dlaczego zaraz?

Odrzucam narzędzie na śnieg, po czym sięgam po jej dłoń.

– Chodź. – Zaczynam ciągnąć ją w tylko sobie znanym kierunku, do miejsca, które myślę, że może

się jej spodobać. Co prawda widziałem je tylko przez moment i nie w całej okazałości, bo jedynie zerknąłem w jego stronę kątem oka, kiedy tu szliśmy, jednak może właśnie ono pozwoliłoby jej pozbyć się natrętnych myśli z głowy?

Brunetka dotrzymuje mi tempa.

– Ale gdzie? – docieka skołowana.

– Zobaczyłem je, gdy tutaj wjeżdżaliśmy – oznajmiam, kiedy wyłaniamy się zza gąszczu drzew i przystajemy niedaleko zamrzniętego jeziora sporych rozmiarów. Otoczone z każdej strony wysokimi choinkami prezentuje się chyba całkiem ładnie, nie wiem, w zasadzie mam to w dupie. Liczy się dla mnie tylko, by to Marigold była pod wrażeniem.

Raczej tak się dzieje, bo w jej głosie pobrzmiwa zachwyty.

– Jakim cudem ja go nie widziałam? – zastanawia się cicho i przetrząsa oniemiałym spojrzeniem panoramę. Ponad drzewami znajduje się jasne, nieco szare niebo. Swoją drogą przynajmniej przestał z niego nareszcie sypać ten jebany śnieg, który zdążył wleźć mi do butów.

Podchodzimy do drewnianego pomostu i siadamy na nim. Został wybudowany nisko, dlatego dotykamy nogami zamrznętej tafli wody. Lód jest twardy, czuję to, kopiąc w niego piętą. Marigold w tym czasie obserwuje otoczenie i robi to ze spokojem. Nie odpowiada mi, kiedy pytam, czy chciałaby tutaj zostać trochę dłużej, niż początkowo planowałem.

– Zamyśliłaś się – zauważam zmartwiony. – Kolejny raz dzisiaj.

Dziewczyna przenosi spojrzenie na moją twarz.

– Ostatnio... często mi się to zdarza.

Wzruszam niedbale ramionami.

– Nie przeszkadza mi to.

– Dziękuję.

Schylam się i dotykam palcem lodu.

– Co robisz? – dopytuje zaciekawiona Marigold.

– Piszę swoje kłamstwo – odpieram jak gdyby nigdy nic, sunąc żwawo paznokciem po twardej oraz zimnej powierzchni i kreśląc na niej pewne zdanie, którego dziewczyna na pewno nie jest w stanie dojrzeć ponad moim ramieniem.

– Na zamrznętej tafli jeziora? – ciągnie.

Chłodny wiatr uderza w nas, siedzących prawie przy sobie.

– Skoro ty masz swoją metodę powtarzania kłamstw tysiąc razy, ja mam swoją polegającą na pisaniu kłamstwa na lodzie – wyjaśniam i podrywam się do siadu, ignorując całkowicie fakt, że podmuchy wzbierającej wichury zostawiają moje włosy w nieładzie. – Gdy napis się zetrze albo rozmaże, moje kłamstwo stanie się prawdą.

Gold posyła mi nieznaczny, blady uśmiech.

– No co? – Odwzajemniam gest.

Ona unosi ręce w obronny sposób.

– Nic. – Szczerzy się bardziej. – Jakie kłamstwo napisałeś?

Przenoszę wzrok na swoje bazygroły, po czym odczytuję je na głos.

– Że akurat do ciebie i do mnie nie będzie pasować ani jedno pożegnanie więcej – zdradzam, mając nadzieję, że Marigold przypadnie do gustu mój żalony, kurewsko kliwy popis. Tak jak obiecałem, naprawdę ciągle staram się być dla niej lepszy i liczę, że to dostrzeże. Teraz jednak... kręci pomału głową, co widzę, kiedy ponownie skupiam się na jej osobie.

– Co się dzieje? – pytam, bo dziewczyna zwleka się koślawo z pomostu.

Otrzępuje płaszcz oraz spodnie. Zauważam, że robi to nerwowo. Zżera ją stres, ale dlaczego? Również wstaję na nogi i chwytam ją za nadgarstek, by przypadkiem mi nie uciekła.

– Gdzie idziesz? – dociekam.

Gold unika patrzenia mi w oczy, wystrzega się tego jak ognia. Błądzi spojrzeniem po moim torsie schowanym pod czernią bluzy, a ja wierzę, że nie bierze mnie za aż takiego idiotę, który nie zauważy, że odkąd wyjechaliśmy spod szkoły Rhodesa, dziwnie się zachowuje.

– Do samochodu – pomrukuje. – Zrobiło mi się zimno, dasz mi kluczyki?

By brzmieć wiarygodniej, wyswobadza dłoń z mojego uścisku i pociera obiema rękami zamrznęte

ramiona. Zamierza obrócić się na pięcie oraz ode mnie odejść, jednak zrywam się z miejsca i czym prędzej staję przed nią, zagradzając jej drogę.

– Zaczekaj – rozkazuję, przypatrując się jej z góry.

Dziewczyna odwraca głowę i upiera się przy swoim.

– Zimno mi. To wszystko.

Sfrustrowany przeczesuję włosy i wypuszczam ze świstem powietrze.

– Co ja robię nie tak, Marigold? – pytam bez ogródek, wzmacniając ton.

Odrobinę zaszklony wzrok brunetki nareszcie pada na mnie.

– Nie tak? – powtarza szeptem, udając zdezorientowaną.

Robię krok w jej stronę. Nasze ciała się ze sobą zderzają.

– Jeszcze wczoraj i dzisiaj rano byłaś weselsza – odpieram kurewsko zdeterminowany, by dowiedzieć się, o co, do diabła, chodzi. – Teraz, przebywając ze mną, wcale taka nie jesteś. W dodatku kryjesz się z tym, że płaczesz, a ja... nie mam pojęcia, gdzie ciągle popełniam błąd. Nie chcę go popełniać, nie chcę doprowadzać cię do łez, nie chcę sprawiać, że czujesz się gorzej – mówię to na jednym wdechu, bezradny. – Błagam cię, powiedz mi, co robię nie tak.

W przyplýwie emocji nie panuję nad chęcią, by ująć jej twarz w dłonie. Robię to, a Gold chwieje się delikatnie na nogach, nieprzygotowana na taki ruch z mojej strony. Przez chwilę wpatruje się w moje oczy, po czym zamyka swoje, a grymas wpływa na jej usta.

– Nie robisz nic złego – zapewnia mnie, okropnie czymś zraniona, i uchyla mozolnie powieki, pod którymi nagromadziło się więcej mokrych śladów. – Muszę po prostu poukładać sobie w głowie cały bajzel, Will. Moglibyśmy zabrać już choinkę i wrócić do domu?

Słyszę w uszach świst wiatru i drżący wydech dziewczyny.

– Nie – odpieram twardo, nachylając się ku niej.

Nasze wargi dzielą może dwa marne cale.

– Nie?

– Wiesz, co się dzieje. – Zły zamykam w silniejszym chwycie jej zażawione policzki i wystawiam jej napuchniętą twarz ku swojej. – Wiesz, co ci we mnie przeszkadza i wiesz, w którym miejscu pomiędzy nami leży nierozwiązany problem, ale nie chcesz mi o tym powiedzieć. Czy naprawdę ten jeden raz nie zasłużyłem na twoją szczerość, Marigold?

Obserwujemy się z minimalnej odległości. Złowróżbne napięcie krąży wokół nas, stojących ciało przy ciele na drewnianym pomoście, w samym środku lasu, a ja niecierpliwie się coraz bardziej, bo niemiłosiernie wkurwia mnie własna niewiedza i bezsilność.

– Czy ten jeden raz nie możesz być ze mną szczerą, moja cholerna kłamczucho? – pytam delikatniej i odgarniam ostrożnie niesforne kosmyki, które ograniczają jej pole widzenia.

Zaraz dociera do mnie jej niewyraźna, wyplakana odpowiedź:

– Nie mogę.

Ja za to nie potrafię kontrolować narastającej we mnie złości. Nagle po prostu opuszczam ręce wzdłuż tułowia i patrząc na nią, wydobywam z siebie pełen rozżalenia krzyk, który wydaje mi się, że zaraz skruszy lód pokrywający tafelę wody:

– Dlaczego, do diaska, nie?!

Marigold nie pozostaje mi dłużna i też reaguje impulsywnie.

– Bo prawda cię zabol! – wrzeszczy, krztusząc się szlochem.

– Myślisz, że teraz nie czuję, że wszystko mnie boli?!

Zdyszany nie spuszczam z niej wzroku nawet na sekundę i zapominam o tym, że powinienem być wobec niej bardziej wyrozumiały oraz delikatny. W szybkim tempie popadam w ten pojebany stan, którego nienawidzę, i mam wrażenie, że zaraz rozpiardolę wszystko, co znajdę pod ręką, jeśli nie dowiem się, co ta dziewczyna przede mną jeszcze, do kurwy, ukrywa.

– Mów! – ponaglę ją następnym ostrym i nieprzyjemnym rykiem.

Ona wplata palce w ciemne włosy i szarpie za nie z całych sił.

– Nie chcesz tego usłyszeć! – Jej głos nieznacznie się łamie.

– Czy wyglądam, jakbym nie chciał?!

Dziewczyna dławi się nową porcją łez.

– Will, to cię zrani... – Próbuje mnie przekonać, bym odpuścił temat, jednak jedyne, co robię, to cały w nerwach chwytam w dwa palce jej brodę i przyciągam ją za nią do siebie. Chcę wiedzieć, dlaczego zachowuje się jak nie ona, nawet jeśli ma mnie to, ja pierdolę, zabołec.

– Niech będzie – odpieram, po czym wściekły unoszę się: – No mów!

– Jesteś mi obojętny!

Wykrzykuje mi te trzy słowa prosto w oczy, a ja chyba po prostu zamieram ze zdławionym oddechem i wrażeniem, że nie mogę się ruszyć, bo wcale nie jestem pewny, czy wszystko, co dzieje się po jej wyznaniu, rzeczywiście ma miejsce. Czy faktycznie jak w zwolnionym tempie puszczam pomału jej brodę, rozchyłam usta i czuję boleśnie zalegający w gardle żal. Czy znoszę szczypanie oczu i narastające w piersi silne klucie. Czy w ogóle jakoś się trzymam, wiedząc, że jakimś cudem... stałem się dla niej nikim.

Stałem się nikim dla mojej kłamczuchy.

Nikim dla mojej pięknej Marigold.

Przetykam pomału ślinę. Wpatruję się w nią. Błagam ją po cichu, by cofnęła odpowiedź, którą mi podarowała, ale ona tego nie robi, mimo że czas płynie i nie przestaje płynąć. Zamiast tego przeciera zapłakane oczy i uwalnia szloch, spuszczać załamany wzrok na deski pomostu, próbując zebrać się, aby dopowiedzieć coś jeszcze i zrujnować mnie bardziej.

– Nie znaczysz dla mnie już nic – szepta zrozpaczona.

Znoszę wszystko, co robi mi moja Marigold, nawet jeśli nigdy wcześniej nie czułem takiego rodzaju bólu. Znoszę każdą krzywdę, którą wyrządza mi wyjawieniem prawdy o tym, co czuje. Mierzę się z cierpieniem, którego do tej pory nie zesłał na mnie nikt, i myślę, że... Myślę, że tego poranka, gdy staliśmy na pomoście, moja kłamczucha porwała mnie na strzępy.

A wszystko przez szczerłość, o którą sam się upominałem.

– Nie jestem do ciebie przywiązana, nie potrzebuję cię, nie chcę układać sobie z tobą przyszłości – dodaje rozbita, unosząc na mnie zaszklony wzrok. – Nie chcę z tobą wyjeżdżać ani robić z tobą już niczego, skoro przestałam czuć się od ciebie zależna. Cokolwiek mnie przy tobie trzymało... to wyparowało. Przepraszam. Naprawdę przepraszam, że dobiegliśmy końca.

Łka. Cicho łka i patrząc na mnie, ostatni raz przesuwając opuszką po mojej wardze.

– Właśnie teraz dobiegliśmy końca, Will.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

RHODES

Mojemu wujkowi chyba znowu wypada coś przypadkiem z ręki. Myślę, że to jedna z butelek, którą widziałem obok kanapy, gdzie leżał, kiedy jakiś czas temu poszedłem siku, bo odgłos roznoszący się po mieszkaniu przypomina tłuczone szkło. Siedząc na łóżku w ciemnościach małego pokoju, podskakuję na nim w miejscu i jestem na siebie zły, bo przecież twardziele tacy jak Will na pewno nie boją się podobnych rzeczy. Mnie więc też nie powinny one ruszać.

Dziwne dźwięki dochodzące z salonu powtarzają się co jakiś czas. No i raczej potwierdzają, że ten dzień i noc są dla Willa słabe.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio chodził taki zdołowany i nic mu nie szło, ale dałbym sobie połamać wszystkie pędzle, że łączy się z tym ta podejrzana wyprowadzka Goldie. Była dla niego bardzo, bardzo ważna... a wczoraj po prostu spakowała wszystkie swoje ubrania. Potem wróciła do siebie, na siódme piętro. Zostawiła nas bez słowa. Mnie samemu jest teraz strasznie przykro, a Willowi jej decyzja pewnie złamała serce.

Wydaje mi się, że kiedy pojechali po choinkę, mogli się o coś pokłócić.

Huk uderza w moje bębniaki i raz jeszcze delikatnie się spinam. Nic z tego nie rozumiem, smutny Will byłby aż taką ciamajdą, żeby ciągle coś mu wypadło? Zeskakuję z łóżka i dreptam do drzwi. Otwieram je. Patrzę przez szparę na to, co dzieje się w salonie. Widzę swojego wujka i zakrywam usta, bo nie jest już zdołowany, a strasznie zły. Głośno dyszy. Patrzy na wszystko we wściekły sposób i bez problemu przewraca stół, przy którym zawsze maluję obrazki.

Łzy pojawiają się w moich oczach, mimo że chcę pozostać twardzielem.

Co się dzieje z Willem? Nie zachowuje się jak on. Poza tym w nocy zawsze próbował być cicho. Starał się nawet nie chodzić za głośno po korytarzu, żebym tylko mógł zasnąć, bo nie zawsze mi się to udawało, a teraz... coś w niego wstępuje? Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale czuję, że muszę znaleźć Farfocla i szybko stąd iść. Zaczynam się bać. Will głośno krzyczy, przez co mam ochotę zakryć sobie uszy.

Rozglądam się z płaczem. *Farfocel, gdzie jesteś?*

Wychodzę z pokoju, w którym powinienem spać. Trzęsę się, ale szukam swojego kotka. Następny trzask i ryk wujka sprawiają, że mocno zamykam oczy. Otwieram je dopiero po kilku sekundach i niewiele widzę. Serce bije mi bardzo szybko. Nie mam pojęcia, dlaczego Will taki jest... Przecież nigdy tak nie krzyczał i nie robił bałaganu.

Biorę nogi za pas i wbiegam do kuchni.

Czuję ulgę, bo dostrzegam swojego pupila schowanego za szafką. Szybko wyciągam ku niemu rączki i uśmiecham się przez łzy, ponieważ on od razu na mnie wskakuje. Cały drży. Przytulam go do siebie i prędko biegnę do korytarza. Tam stoję na paluszkach, ale i tak nie dosięgam dłonią zamka drzwi, dlatego przynoszę sobie taboret i dopiero z jego pomocą jakoś udaje mi się uciec z mieszkania, które wypełniają kolejne krzyki i odgłosy tłuczonego szkła. Mam tylko nadzieję, że Will nie zrobi sobie krzywdy.

Oby zaraz mu przeszło, oby mu przeszło, oby mu przeszło.

– Na razie nie możemy tam wrócić, Farfocel – mówię do kotka i całuję go ostrożnie w łebek. – Nie, kiedy Will gorzej się czuje. Może pójdziemy do Goldie? Przy okazji zapytamy, czy odeszła dlatego, że się z nim o coś pokłóciła...

Ruszam na wyższe piętro. Staram się nie myśleć, jak upiornie wygląda blok w środku nocy. Wszędzie jest tak ciemno i ponuro... przez całą drogę do właściwych drzwi upewniam się, że nikt za nami nie idzie, a gdy już przed nimi stoję z kociakiem na rękach, uderzam w nie kilka razy piąstkami. Nie słyszę, żeby ktoś zjawił się po drugiej stronie i robi mi się jeszcze bardziej smutno.

– Goldie? – wołam ją cicho, ale jednocześnie wystarczająco głośno, by mieć pewność, że słyszy mnie, jeśli jest gdzieś w środku. Naprawdę chciałbym spędzić z nią dzisiaj czas. No i wiem, że przy niej nic

mi się nie stanie. – To ja, Rhodes.

Zwieszam nieznaczenie głowę i skubię zębami dolną wargę. Nie odpowie mi? A może nie ma jej w środku? W takim razie gdzie ja się podzieję? Zostanie mi do wyboru chyba tylko klatka schodowa, a tutaj jest bardzo zimno i nieprzyjemnie.

Nagle dociera do mnie czyjś szept.

– Proszę, idź do siebie, kochany.

Unoszę błyskawicznie wzrok. Jednak tam jest. Brzmi na przygnębioną, ale gdybym się postarał, na pewno mógłbym ją rozweselić. Goldie w końcu bardzo często uśmiecha się, kiedy rozmawiamy nawet o rzeczach, które nie mają sensu. Muszę tylko jakoś przekonać ją, żeby pozwoliła mi u siebie posiedzieć, dopóki Willowi nie przejdzie.

Przybity przyciągam do piersi spokojniejszego Farfocla.

– Nie mogę iść do siebie, ponieważ troszkę boję się tam zostać.

Przez moment nikt mi nie odpowiada, ale trwa to krótko.

– Dlaczego? Ktoś znowu dobija się do waszych drzwi?

– Nie, chodzi o Willa.

Wzmianka o wujku sprawia, że Goldie ciągnie za klamkę i po chwili mogę dostrzec już jej bladą buzię, chociaż w mieszkaniu jest bardzo ciemno. Przyglądam się jej i myślę, że moja ulubiona opiekunka nie wygląda dobrze. Raczej też nie czuje się zbyt dobrze. Ma podkrążone oraz zaczerwienione oczy i chyba płakała, ale nie zastanawiam się nad tym, ponieważ zmartwiona zadaje mi pytanie.

– Słucham? Boisz się zostać z Willem?

Kiwam powolutku głową.

– Mhm.

– Dlaczego?

Jakoś ciężko mi o tym mówić, ale przypominam sobie, że słucha mnie przecież Goldie. Odstawiam więc najpierw Farfocla na podłogę, a on daje susa do środka, przez co delikatnie się uśmiecham, chociaż nie jestem ani trochę szczęśliwy, bo świetnie pamiętam, jak głośno jeszcze przed paroma minutami Will krzyczał i jak przewracał stół oraz krzesła.

Biorę wdech i spoglądam na Marigold.

– On... nie wiem, co się z nim dzieje. Najpierw leżał na kanapie i coś popijał. Potem wściekł się i zaczął przeklinać, rzucać różnymi rzeczami i uderzać pięściami w ściany, które wcześniej naprawiałem – opowiadał zagubiony i splatam ręce za plecami. – Nie chciałem niczym oberwać, dlatego wziąłem Farfocla i stamtąd wyszedłem.

Goldie opiera głowę o framugę i obserwuje mnie smutno.

– Mogłbym wpaść do ciebie i przeczekać godzinę? – Próbuję nieśmiało przekonać ją, by pozwoliła mi pognać tam, gdzie pognał Farfocel. – Obiecuję, że nie będę ci przeszkadzał. Nawet mnie nie zauważysz, zaszyję się w kącie i będę cichutko jak myszka.

Zaczynam dygotać, ponieważ okna w naszym bloku są wybite, ale trzymam się dzielnie, bo chciałbym pobyć z nią przez chwilę: chciałbym z nią posiedzieć i czuję, że ona tak naprawdę też chciałaby, żebym się stąd nie ruszał, ale coś ją blokuje. Wydaje mi się, że na serio pokłóciła się z Willem i teraz nie wie, co ma ze mną zrobić.

– Może spróbuj pogadać z panią Hamilton, czy nie przygarnęłaby cię na godzinę? – rozmyśla na głos i patrzy na swoje nogi, o które ociera się Farfocel.

– Wolalbym spędzić ją z tobą – przyznaję.

Podchodzę bliżej niej i siąkam krótko nosem, a ona skupia się znowu tylko na mnie.

– Tęsknię, wiesz? – dodaję i zadzieram brodę, żebym mógł wciąż wpatrywać się w nią z dołu. – Nie ma cię z nami dopiero od wczoraj, a mi wydaje się, jakby minęło o wiele więcej czasu, odkąd widzieliśmy się ostatni raz. Ale rozumiem to, że na razie do nas nie wrócisz, bo pokłóciłaś się z Willem i raczej nie chcesz teraz z nim siedzieć.

Marigold naciąga rękawy swetra na dłonie. Chyba się stresuje, bo jej głos staje się jakiś taki cichy, gdy upewnia się, że dobrze mnie usłyszała:

– Powiedział ci, że się pogryźliśmy?

– Nie – odpowiadam jej od razu, gdy kończy mówić, i staję tuż przed nią. – Sam zrozumiałem, że tak

się stało, bo przecież musiałaś mieć powód, żeby się wyprowadzić, więc na pewno się pokłóciliście.

Goldie nie wynosiłaby się od nas, gdyby nadal wszystko było między nimi dobrze. Nie płakałaby i nie wyglądałaby tak źle. Mój wujek też nie zachowywałby się od wczoraj tak dziwnie, jeśli nic nie wydarzyłoby się pomiędzy nim a dziewczyną, którą tak bardzo polubił. Z czasem naprawdę dla niej zwariował, a ja mu się nie dziwiłem, bo akurat ona była super.

Robię słodkie oczy i po raz kolejny staram się namówić ją, by zgodziła się na moje odwiedziny:

– To wpuścisz mnie, Goldie?

Dziewczyna patrzy na mnie przez kolejne sekundy, aż w końcu poddaje się i otwiera szerzej drzwi, by wpuścić mnie do środka.

– Wejść – zaprasza mnie, a następnie odwraca się i kieruje korytarzem w stronę salonu, o ile dobrze pamiętam. – Powinam ci o czymś powiedzieć.

Przekręcam klucz w dolnym zamku i czym prędzej biegnę za przygaszoną Goldie. W salonie siadam obok niej na kanapie i opuszczam nogi, by pomachać nimi niecierpliwie kilka razy w powietrzu.

– O tym, o co się pokłóciliście? – pytam zaciekawiony i zerkam na nadal przygnębioną dziewczynę. – Pewnie chodzi o coś poważnego, skoro Will to przeżywa. On nigdy niczego nie przeżywa. A już na pewno nie tak bardzo mocno.

Marigold wykrzywia usta. Prawie tego nie widzę, ponieważ wszędzie jest ciemno oraz chłodno... Robi mi się przykro, że akurat ona musi siedzieć tutaj sama. Gdyby wszystko między nią i Willem było okej, pewnie tej nocy ozdabialibyśmy choinkę, którą wczoraj przywieźli. Szkoda, że nie możemy tego zrobić, bo wydarzyło się coś, przez co chcą być daleko od siebie.

– Nie pokłóciłam się z twoim wujkiem – przyznaje nagle Goldie, a ja jestem zaskoczony. – Po prostu powiedziałam mu, jaką decyzję podjęłam w związku z wyjazdem do Denver, a on ją uszanował.

Potrząsam głową.

– Nie rozumiem.

Ona patrzy na mnie oczami, w których nie dostrzegam radosnych iskerek. Martwi mnie to, że od dawna ich nie widziałem. Goldie po prostu w którymś momencie przestała być tą samą wesołą Goldie, którą była zawsze, i stała się bardzo smutna oraz zmęczona. Teraz obejmuje mnie ramieniem i przyciąga bliżej siebie. Przy tym cały czas obserwuje moją twarz.

– Wiem, że ustaliliśmy wcześniej coś innego, jednak zaszły pewne zmiany – zaczyna mówić, a ja znowu czuję łzy skapujące z brody, kiedy dokańcza: – Nie wyjadę z wami do Kolorado, Rhodes.

Zaciskam pięści aż do bólu.

– Nie? – szeptałam załamany. – Ale... dlaczego?

Ona opiera policzek na czubku mojej głowy. Nadal obejmuje mnie ramieniem i zaczyna mną kołysać. Przytulam się mocno do niej i wybucham płaczem. Rozklejam się, bo nie chcę, żebyśmy się rozstawali. Inne dzieci miały swoje mamy. Ja miałem dziewczynę, która zawsze okazywała mi wsparcie i we wszystkim mnie dopingowała. Miałem swoją Marigold, która stała się dla mnie drugą najważniejszą osobą zaraz po Willu.

Nagle miałoby jej nie być?

– Coś trzyma mnie w Nowym Jorku, kochany – słyszę jej zdołowany, ale ciągle przyjemny ton i czuję, że jeszcze bardziej mnie do siebie przyciąga. – Dlatego się stąd nie ruszę.

Całuje mnie we włosy, a ja nie przestaję chlipać.

– M-mieliśmy wyjechać we trójkę... bez ciebie to nie będzie to samo – wyduszam z przerwami na złapanie oddechu i odsuwam się na niewielką odległość od Goldie, żeby spojrzeć na nią ze łzami w oczach. Zauważam, że jej też stały się mokre.

Patrzę, jak wstaje, a potem siada przede mną na podłodze na klęczkach.

– Właśnie, żebyście tak nie myśleli, wróciłam do siebie. Jeśli teraz usunę się z waszego życia, prościej będzie nam się rozstać. – Sięga po moje dłonie i kładzie je na swojej niewyraźnej twarzy. Do tego lekko się uśmiecha. – Uwierz, to wyjdzie przede wszystkim na dobre wam. Za kilka tygodni po prostu przeniesiecie się do Denver bez obaw, że coś was tu zatrzymuje.

Zasmarkany wyplułam z buzi łzy, które mi do niej wleciały.

– Nie chcę w takim razie nigdzie się przenosić – protestuję.

Kąciki ust Goldie nadal delikatnie się unoszą.

– Tam będzie wam tak dobrze... – Kręci pomału głową, jakby sama nie mogła uwierzyć, jak dobrze

będzie nam podobno w tym całym Kolorado, jakby nie mogła się doczekać, aż się tam znajdziemy i sami o tym przekonamy.

Ściskam jej policzki i znowu zanoszę się szlochem.

– Nie będzie, bo znajdziemy się daleko od siebie – kłócę się z nią i wiercę na kanapie, a ona siedzi strasznie spokojnie. *Dlaczego tak jest?* – Proszę, przemyśl to. Potrzebujemy cię. Mieliśmy zamieszkać we trójkę, w górach, mieliśmy być twoimi rycerzami, a ty naszą księżniczką, mieliśmy malować wieczorami wysokie wieżowce i razem się bawić...

Dziewczyna przykrywa moje dłonie swoimi i pociera je kciukami. Chociaż czarny kolor wypełnia pokój, widzę w jej oczach, jak dużo dla niej znaczę... ale skoro ja i Will znamy dla niej dużo, czemu zamierza zostać tu, zamiast uciec z nami gdzieś, gdzie będzie nam lepiej? Nie rozumiem, co takiego trzyma ją w tym okropnym miejscu. O czym mówiła?

Długie ślady spływają po policzkach Goldie, ale ona bez przerwy uśmiecha się w bardzo ładny sposób. Jakim cudem uśmiecha się, skoro wie, że niedługo się rozdzielimy i już nigdy się nie zobaczymy?

– Przykro mi – szepcze.

Później daje mi szybkiego buziaka w nos.

– Zostanę na Bronksie, ale wy musicie wyjechać do szczęśliwszego miejsca i wieść tam cudowne życie we dwójkę. – Nie przestaje patrzeć na mnie z maleńkiej odległości z radością, której wcześniej mi w niej brakowało. – Wierzę, że właśnie w Denver poczujecie się jak w domu. Trzymam kciuki, że właśnie tam los się do was uśmiechnie tak szeroko jak ja teraz.

Krzuszę się i opuszczam ręce. Im dłużej na nią patrzę, tym bardziej chce mi się płakać i błagać, by nie robiła nam tego: by nie robiła tego mnie i Willowi. Nie poradzimy sobie bez niej. Jest przecież naszą kochaną Goldie. Naszym ciepłem i światełkiem w ponurą pogodę.

Zeskakuję z kanapy i staję przed nią.

– N-nic z tego nie rozumiem... – jąkam się i głośno oddycham. – Co cię tutaj trzyma? Powiesz mi? Jeśli to zrobisz, znajdziemy z Willem sposób, żeby dać ci to tam. Jestem pewny, że będzie chciał mi pomóc. On przecież też bardzo chce, żebyś z nami jechała.

Dziewczyna poprawia kołnierzyk mojej piżamy, a później patrzy wprost na mnie.

– Tego akurat ci nie powiem. Ale za to ty musisz powiedzieć coś mnie – stwierdza pogodnie i wbija leciutko paznokiec w mój brzusek.

Smutny obserwuję ją dużymi oczami.

– Co takiego?

Marigold siada na klęczkach i cichutko wzdycha.

– *Daję słowo, że cokolwiek się nie zdarzy, będę największym wsparciem dla mojego najlepszego wujka pod słońcem* – mówi tak że ledwo ją słyszę, kiedy patrzymy na siebie w ciemnościach. – *Przyrzekam, że będę robił wszystko, by zawsze dawał radę zbierać się do kupy i iść do przodu z bardzo wysoko podniesioną głową. Obiecuję, że z całych sił postaram się o to, by radził sobie przez każdy moment swojego oby najlepszego życia, na które bez wątplenia zasłużył jak nikt inny* – przerywa, bierze oddech ustami i szczyrzy się tak bardzo, że muszą boleć ją przy tym strasznie policzki. – *Przysięgam, że akurat dla niego i tylko niego dokonam miliona cudów, jakich świat jeszcze nie widział. Bo był i jest tego wart.*

Zaczynam głośno szlochać. Nie umiem się powstrzymać. W pokoju słychać tylko jak dławię się łzami i jak Farfocel miauczy. Próbuję się uspokoić. Marigold przechyla głowę i najwyraźniej czeka, aż coś powiem.

– Zrobię to wszystko, Goldie – dukam w końcu.

– Wiem – potwierdza. – Wiem, że zrobisz, kochany.

Szybko zrywam się z miejsca i przytulam do niej. Ona od razu wspiera się na kolanach i bardzo mocno mnie obejmuje. Pozwala mi się wypłakać, a ja pozwalam wypłakać się jej. Jestem pewny, że zawsze będę za nią tęsknił. Goldie zbyt wiele razy sprawiła, że poczułem się jak najszcześniejszy dzieciak na tej planecie. Będę zawsze myślał o niej jak o osobie, która pokazała mi, że szare i ponure farby też czasem są śliczne. Będę myślał o niej jak o dziewczynie, którą uratowałbym znowu tamtego ranka, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, i którą ratowałbym do końca swojego życia.

Bo ją kocham. Kocham swoją Marigold Harding.

– Więc teraz się żegnamy? – pytam niepewnie po dłuższej chwili. Ona ciągle głaszcze mnie po

głowie i bawi się delikatnie moimi włosami. Jej palce przepływają przez nie. Jest tak samo spokojna jak wcześniej. Można wyczuć od niej tylko prawdziwy spokój.

– Zaufaj mi, to wyjdzie nam na dobre – mówi do mojego ucha. Potem puszcza mnie i znów siada na klęczkach. Patrzy na mnie ślicznie. – Będzie nam potem prościej. Wam wyjechać, a mnie przełknąć wasz brak, Rhodes.

Przytakuję, bo wierzę, że mówi mi tylko prawdę.

– Dziękuję z całego serduszka – dodaję wdzięcznie.

Goldie unosi pytająco brew i posyła mi uśmiech.

– Za te kilka miesięcy?

Zaprzeczam zdecydowanym ruchem głowy.

– Za odmienienie naszego szarego życia. – Łzy szczypią mnie w oczy, a gardło zaczyna piec, więc odchrząkuję. – Za to, że Will był szczęśliwy i za to, że nie czułem się już gorszy, przez to, że nie mam mamy, bo miałem przecież ciebie. Czasami koleżanki i koledzy mówili o swoich rodzicach, a ja zawsze mówiłem im wtedy o moim wujku oraz dziewczynie, która robi ze mną najlepsze naleśniki, zmywa mi farby z rąk i cudownie się śmieje.

Ona zaczyna się właśnie tak ślicznie śmiać, chociaż też cały czas płacze. Patrzę na nią i chciałbym widzieć ją taką szczęśliwą aż do samego rana, bo kiedy jest wesoła, sam jakoś mam lepszy humor. Nagle wpadam na pomysł i wyciągam w jej stronę mały palec.

– Możemy zawrzeć pakt? – pytam tajemniczo.

Marigold marszczy brwi.

– Pakt?

– Tak, pakt.

– Jaki?

Zaciekawiona nie spuszcza ze mnie wzroku. Ja natomiast przełykam potrzebę, żeby po raz kolejny się rozpłakać. Bo wyobrażam sobie coś i mocno się wzruszam... a to tylko moje marzenie, które mam nadzieję, że pewnego dnia się spełni. Kryje w sobie wszystko, czego chce: bycia sławnym artystą oraz kolejne spotkanie się z Goldie, nieważne, kiedy by się miało ono odbyć ani gdzie.

Chciałbym po prostu jeszcze kiedyś zobaczyć się z nią znowu.

– Gdy za kilkanaście lat naprawdę otworzę swoją galerię sztuki i będziesz pierwszą osobą, której poświęcę wystawę, ty w pewnym momencie wyłonisz się z tłumu oraz się uśmiechniesz – zdradzam jej warunki naszej umowy i nadal wystawiam do niej mały palec. – Potem podejdziesz do mnie, mocno mnie przytulisz i powiesz mi coś miłego.

Dziewczyna szczerzy się pięknie i ściera z brody łzy.

– A ty co mi na to odpowiesz? – pyta rozczulona.

– Że nadal cię bardzo kocham.

Goldie przyciąga mnie do siebie ponownie i zamyka w uścisku tak silnym, że trochę boję się, czy mnie przypadkiem nie udusi. Też się do niej przytulam i zapominam o wszystkim. Skupiam się po prostu na niej. Na Marigold i na pożegnaniu, które nigdy nie chciałem, żeby nadeszło. Odruchowo obejmuję ją całym sobą i chlipię pod nosem.

– Osiągniesz wszystko, Rhodes – słyszę jej szept.

Do tego szybkie bicie swojego serca.

– Wszystko, o czym marzysz...

Po chwili odklejamy się od siebie i tym razem to ona wystawia w moim kierunku mały palec, żeby potwierdzić nasz pakt. Chichoczę, choć też cichutko łkam i łączę ochoczo nasze palce. Teraz nie ma odwrotu. Muszę ciężko pracować i stać się strasznie sławny, żeby Goldie, która będzie mieszkać daleko od nas, może nawet w innym kraju, o mnie usłyszała. Wtedy będzie mogła pojawić się w Denver i uściskać mnie z miłością, z jaką robiła to zawsze.

Będę walczył, żeby tak się stało.

– Pożegnałaś się tak samo z Willem? – pytam nagle i liczę, że to zrobiła, bo po naszej rozmowie choć czuję się nieszczęśliwy przez to, że się rozstaniemy, jestem też odrobinę spokojniejszy, skoro nasza kłamaczka jest spokojna. Wie, co robi. Dobrze wie, a ja jej ufam.

Zapłakany biorę na rączki Farfocla, który znalazł się pod moimi nogami.

– Nie – słyszę niewyraźną odpowiedź dziewczyny.

Wydaje mi się, że to dlatego mój wujek mógł się dzisiaj dziwnie zachowywać. Mógł uszanować decyzję Goldie, ale nie dał rady się z nią pogodzić. Ja pewnie też nie mogłbym się z tym pogodzić, gdyby nie pocieszyła mnie tej nocy...

– Może spróbujesz? – mówię. – Zrobiłoby mu się troszkę lepiej, tak myślę.

Ona kiwa niepewnie głową i głaszcze mojego wesołego kotka.

– Może spróbuję – odpiera. – Powinieneś już iść, żeby się nie martwił.

Chyba minęło już sporo czasu, odkąd tu przyszedłem, więc posłusznie przytakuję. Strasznie nie chcę tego robić, ale ze łzami w oczach ostatni raz przytulam Marigold. Uważam, by nie zmiażdżyć przy tym Farfocla. Wiem, że nigdy nie spotkam takiej osoby jak ona. Że akurat ona zawsze będzie dla mnie wyjątkowa i ważna, choć wybierze inne piękne miejsce do odwiedzenia, którym nie jest nasze cudowne Denver w Kolorado.

– Do zobaczenia, Goldie – szepczę w ciemności.

Słyszę przez chwilę, jak oboje szybko oddychamy.

– Do zobaczenia, mój artysto – odszeptuje dziewczyna.

Przyciskam kotka do piersi i wybiegam z mieszkania. W drodze do domu rozklejam się, dlatego robię sobie króciutką przerwę. Siadam na schodach, becząc jak mały dzidzius. Boli mnie wybór Goldie. Ale nie jestem na nią zły, bo jest dorosła i wie, co dla niej dobre... Poza tym może kiedyś się rozmyślić i nas odnaleźć, prawda? Odnaleźć mnie i Willa.

Ciągle będziemy na nią czekać.

Wstaję i ruszam do wujka. Korytarz w naszym mieszkaniu jest długi i ciemny, kiedy idę do przodu. Nie słyszę, żeby Will wciąż niszczył meble oraz głośno krzyczał. Zauważam go w pokoju, gdzie jest czarno i gdzie panuje okropny bałagan. Leży rozwalony na kanapie i cicho chrapie. Coś ściska mnie bardzo nieprzyjemnie i boleśnie w sercu.

Odkładam Farfocla na podłogę i podchodzę powoli do najważniejszej dla mnie osoby. Troszeczkę nieudolnie nakrywam wujka kocem, a potem uśmiecham się i daję mu buziaka w policzek. Chciałbym, żeby Will wiedział, jak bardzo go kocham i jak dużo mu zawdzięczam.

– To odważne, że pozwoliłeś jej odejść – mówię do niego cichutko i ścieram kolejne łezki. – Chciałbym być kiedyś tak odważny, by wypuścić kogoś, bez kogo nie mogę żyć. Podziwiam cię, wujku. Zawsze będę i pamiętaj o tym, dobra?

Po wysmarkaniu nosa w piżamkę patrzę na ściany. Znajdują się na nich nowe dziury. I tak nie mogę spać, więc się nimi zajmę. Biorę swoje farby i pędzle z regału, a następnie siadam na podłodze i zaczynam wypełniać ubytki swoimi ukochanymi plakatówkami, a co jakiś czas uśmiecham się słabo do Farfocla.

Nie wiem, jak znalazłem się w swoim łóżku. Myślę, że Will mógł mnie do niego zanieść i przy okazji zetrzeć mi z dłoni kolorowe ślady po farbach, bo teraz są zupełnie czyste. Prędko odrywam od nich wzrok i przenoszę go na okno. Powoli nastaje ranek, bo niebo staje się szare. Postanawiam zacząć zbierać się do szkoły, ale nie mam pojęcia, co powinienem na siebie założyć. Na zewnątrz jest ciepło czy może zimno?

Wujek raczej już wstał i na pewno podpowie mi, jak się dzisiaj ubrać, dlatego zeskakuję na podłogę i biegnę do salonu. Zdziwiony orientuję się, że jest on pusty. Zaraz zauważam unoszące się zasłony i oddycham z ulgą, bo Will pewnie wyszedł na przejście.

Zbliżam się do parapetu. Opieram na nim łapki i wychylam się. Rzeczywiście widzę osobę, której szukałem, ale nie siedzi ona na schodach sama. Obok niej miejsce zajmuje druga. Zmęczeni Will i Goldie stykają się ramionami i patrzą na siebie. Zupełnie ignorują chłód i mgłę, które ich otaczają. Wspieram się na paluszkach, by nie stracić ich z pola widzenia.

– Wyjedź – prosi chłopak, a jego głos jest niemrawy i słaby. – Niekoniecznie z nami. Ale wyjedź po prostu stąd, kłamczucho. Chcę, żebyś znalazła się gdzieś, gdzie jest bezpiecznie oraz spokojnie. Żebyś uporała się ze swoimi demonami i nareszcie stanęła na nogi.

Patrzę, jak obejmuje palcami policzek dziewczyny i unosi delikatnie kącik ust.

– Żeby tak strasznie poszczęściło ci się w życiu, Gold.

Ona uśmiecha się i wtula w jego dłoń.

– Przecież już mi się w nim poszczęściło – odpowiada i nie spuszcza radosnego, ale wykończonego wzroku z jego smutnej twarzy. Wydaje mi się, jakby właśnie teraz pomiędzy nimi w końcu zapanował *spokój*. Jakby wszystko nareszcie było między nimi *w porządku*. – Spędziłam piękne miesiące z wami. Spędziłam piękne miesiące z tobą, Will.

Obserwuję ich z ukrycia, a moja dolna warga drży.

– Może i teraz patrzę na ciebie tak jak na samym początku, ale nigdy nie zapomnę tego, co wydarzyło się pomiędzy nocą, kiedy się tu na siebie natknęliśmy, a porankiem, kiedy zrozumiałam, że coś się we mnie zmieniło – dopowiada ciszej Goldie i chyba widzę w jej oczach nowe łzy. – Wszystko to było dla mnie niesamowite. Przede wszystkim ty, mój kłamco... – Całuje nieśmiało nadgarstek ręki Willa, którą on cały czas trzyma na jej policzku. – Przede wszystkim ty byłeś dla mnie niesamowity i szczególny. Będiesz dla mnie taki do końca.

Wilgotne ślady spływają jej do buzi, ale ona i tak śmieje się wesoło. Właśnie w tym momencie wujek też się uśmiecha... no i zaczyna płakać. Patrzą więc na siebie radośni, ale jednocześnie przybici. Wiedzą, że rozmawiają ze sobą być może po raz ostatni: że być może już nigdy się nie zobaczą, ale będą pamiętać o sobie już zawsze. Sam też znowu beczę, bo akurat oni nie powinni się rozstawać, skoro są dla siebie stworzeni, dobrze o tym wiem.

Will opiera swoje czoło o czoło Goldie, ale wcześniej je długo całuje.

– Chcesz, bym ukląkł, bylebyś tylko się stąd wyniosła? – pyta, a potem przetyka ślinę i przygląda się jej z jeszcze większą troską. – Przecież wiesz, że zrobię to i będę sterczał tak, dokąd nie stanie się znowu ciemno. Nie musimy być ze sobą, ale ty musisz wyrwać się z tej okropnej dziury. Zależy mi na tym jak na niczym innym. Zależy mi na tobie.

Dokłada drugą dłoń do tej, którą trzyma na jej twarzy.

– Na mojej bratniej duszy.

Marigold odwzajemnia jego spojrzenie i zbliża wargi do warg wujka.

– Przecież nawet na paskudnym Bronksie pewnego dnia wszędzie słońce – odpiera wprost w nie i szczerzy się bardziej mimo tego, że co chwilę krztusi się oddechem. – Chcę je zobaczyć. Dopiero później również i ja gdzieś stąd ucieknę. Jeszcze nie wiem dokąd. Jest tyle miejsc, których boję się odkrywać, ale jednocześnie jestem przekonana, że okażą się piękne...

Chłopak wzdycha i głaszcze palcami jej uniesione kąciki ust.

– Pamiętaj, że Kolorado takie jest – prosi całkiem poważnie, ciągle patrząc jej w oczy. – Że będę tam na ciebie czekał, Gold. Bo jesteś i nie przestaniesz być osobą, dla której zawsze znajdę miejsce w swoim życiu, niezależnie od tego, czy będzie ono poukładane, czy nie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

WILLARD

Nadal trudno mi uwierzyć, że za kilka godzin opuszczę Nowy Jork. Chyba właśnie dlatego stojąc na piętrze opuszczonego domu i opierając wyprostowane ręce na brudnych pustakach, w miejscu, w którym kiedyś znajdowało się okno, zapatruję się zbyt długo w dobrze znany mi widok. Dociera do mnie, że prawdopodobnie już nigdy go nie zobaczę. Nocnego nieba, sypiącego z niego śniegu oraz ogromnej polany otoczonej bezkresną pustką. Jest mi z tym kurewsko dziwnie, bo od kilku lat miałem go przed oczami niemalże codziennie, gdy spotykałem się w ruderze z Jakiem i Rossem. Obaj zresztą i tym razem siedzą gdzieś za mną. Wypalają fajki. Sporo fajek.

– Będziesz tu tak sterczał do usranej śmierci, Covington? – prychnął kpiąco jeden z nich i nie potrafię nawet stwierdzić który, bo głos jest zniekształcony przez głośne kasłanie.

Nie drgam, jedynie gapię się tępo w puch osiadający na słomie i zastanawiam, jak szybko minęły ostatnie dwa tygodnie. Zanim się obejrzałem, mój proces o pobicie Findlaya dobiegł końca. Temat bożonarodzeniowych świąt również odszedł w zapomnienie i to nowy rok znalazł się na językach wszystkich ludzi. Dla mnie jednak nic nie liczyło się bardziej niż dzisiejsza noc. Zerkam ukradkiem na zegarek oplatający nadgarstek. Trzy minuty do północy.

Za dokładnie tyle stanę się wolny i spłacę dług swojego brata.

– No chyba, że jednak chciałbyś popracować dla nas dłużej. – Tym razem na bank odzywa się Jake, więc wcześniej to Ross musiał się do mnie przychylić z tym drwiącym pytaniem. – Przydałbyś się nam na stałe. Przemyśl to, źle przecież z nami nie miałeś, co nie?

Odbijam się od pustaków i z leniwym ociąganiem odwracam do nich przodem. Jestem cholernie zmęczony ostatnimi dniami, a oni na pewno to widzą. Gnoje nie przestają jednak rechotać, jakby te ich próby zatrzymania mnie w tym gównianym biznesie były zabawne.

Zmarnowałem już zbyt dużo lat na bycie ich chłopcem na posyłki. Nie mam zamiaru brnąć w to bagno głębiej, dlatego ściskam mocno w dłoni kluczyki do auta i wodząc obojętnym spojrzeniem po ich rozbawionych mordach, mówię coś odbiegającego od tematu, który zaczęli:

– Zanim stąd odjadę, potrzebuję po prostu wiedzieć.

Jake wydmuchuje dym i drapie się po szczęce.

– Co?

– Co z nim zrobiliście – dopowiadam niewzruszony.

Nie muszę podawać imienia, by obaj wiedzieli, o kogo mi chodzi. Ross, słysząc moje słowa, rozwala się wygodniej na prowizorycznym stole zbudowanym z desek i cegieł. Nogę ma zgiętą w kolanie, zaś drugą opuszczoną w dół i to jej stopą gasi niedopałek papierosa na ziemi.

Potem charczy i wyciera niechlujnie nos o kołnierz bluzy.

– Nauczyliśmy nurkować – przyznaje nareszcie i zerka w znaczący sposób na swojego kumpla, który znowu parska z drwiną. – Zwłoki twojego tchórzliwego brata pływają teraz w rzece za miastem i pewnie trochę czasu minie, aż ktoś go znajdzie. O ile w ogóle.

– Więc nie żyje.

– Nie bądź niekumaty. – Jake poważnieje i zirytowany przewraca oczami. Zaraz rzuca w stronę Rossa zapalniczkę, o którą ten w międzyczasie się upomniał, i dodaje coś więcej: – Pewnie, że zdechł. Nikt nie wygrał na loterii dwóch kręgosłupów, a ten jego trochę się połamał.

Nie czuję nic prócz odrętwienia: po prostu przyjmuję do wiadomości wieść, że mój przyrodni brat został zamordowany przez bandziorów z mojego powodu. Bo prawda jest taka, że gdyby nie ja, oni nie wiedzieliby nawet o tym, że Maverick wrócił do miasta, a tym bardziej nie wiedzieliby, gdzie powinni go szukać, by odwdziżyć mu się za to, że ich wykiwał.

Doprowadziłem do śmierci ostatniej bliskiej mi osoby. Stałem się jeszcze gorszą bestią, niż byłem, tnąc mu mordę w zaciemnionym zaułku i słuchając jego desperackich wrzasków o pomoc. A jednak tego nie

żałuję. Nigdy nie pożałowałbym, że zafundowałem mu to wszystko.

Skrzywdził Marigold. Poniżył ją i zrujnował. Należała mu się najsurowsza kara.

Po chwili wracam do rzeczywistości. Ostatni raz omiatam pustym wzrokiem znajome wnętrze ruiny. Pokryte napisami i pajęczynami ściany, przykrytą warstwą pyłów podłogę. Aż w końcu zaciągam się charakterystycznym, drażniącym powietrzem, które wypełnia cały dom.

– Jasne. – Wydycham je i chowam ręce w kieszeniach. – Tyle chciałem, pójdę już.

Ruszam w stronę wyjścia z pomieszczenia, do zaciemnionego korytarza.

– Zostaniesz na Bronksie? – pyta jeszcze Jake.

Odpowiedź nasuwa mi się sama.

– Nie.

– Dokąd cię wywieje?

– Dokądkolwiek. – Wzruszam ramionami i przystaję na chwilę w przejściu, spoglądając bez emocji ostatni raz na dwóch podejrzanym wyglądających facetów, z którymi już więcej nie będę miał najmniejszej styczności. – Wszędzie będzie mi lepiej niż tam.

Ross ściąga brwi i łypie na mnie z zaciekawieniem.

– Właściwie możesz już wyjeżdżać poza stan?

– Tak – przytakuję z westchnieniem, przypominając sobie sprawę z Findlayem, którą mam za sobą. – Wasz adwokat uratował mi dupę i sprawa procesu została załatwiona.

– Nieźle.

– Więc jak to się mówi? – wtrąca się znowu Jake i unosi ręce do góry, by klasnąć w nie z kolejnym zadowolonym uśmieszkiem. – Powodzenia w nowym rozdziale życia, młody.

Nic na to nie mówię. Jedynie kieruję się do betonowych schodów, po których schodzę z pokerowym wyrazem twarzy i myślą, że właśnie w tym momencie, po kilku latach, zostawiam za sobą własną, chujową przeszłość. Wiem, że zawsze będę spaczony zarówno nią, jak i tym, co zostawiło we mnie dorastanie na popierdolonym Bronksie, ale i tak czuję się odrobinę lepiej.

Lepiej, wiedząc, że mogę nareszcie wyjść na prostą.

Na zewnątrz jest zimno, chłód i śnieg osiadają mi na twarzy. Świeże rany na niej lekko mnie szczypią, ale mam to kompletnie w dupie i wsiadam do swojego grata. Zanim odpalam silnik, jeszcze raz przeczesuję wzrokiem ogromną polanę. Wspomnienia przelatują mi przez głowę w zatrważająco szybkim tempie, a wśród nich to jedno związane z Marigold.

Boże. Minęły dwa tygodnie, odkąd każde z nas ruszyło w inną stronę, a mnie nadal okropnie boli fakt, że tak postąpiliśmy.

Nie mogłem jednak zmusić jej do tego, by trwała u mojego boku oraz wyjechała ze mną i Rhodesem do Denver: żebyśmy stworzyli tam coś na kształt rodziny, którą chciałem z nimi zbudować. A to dlatego, że szanowałem swoją Goldie. Jej wybory i decyzje. To, że pragnęła zacząć znowu wszystko od początku, już beze mnie i bez nikogo innego. Chociaż wciąż nie do końca wierzyłem, że przestała czuć się do mnie całkowicie przywiązana, pozwoliłem na wszystko, co jej zdaniem było dla niej dobre i słuszne... bo chciałem, by się jej poszczęściło.

By pewnego dnia zapomniała o tym, co wyrządził jej mój brat, o tym, co przytrafiło jej się na okropnym Bronksie, i o tym, co złego zrobiłem jej na początku ja. By niedługo wyniosła się gdzieś, gdzie słońce będzie wschodziło jak najwyżej i gdzie natknie się na chłopaka, w którego ramionach pomyśli, że nie potrzebuje niczego więcej niż jego. By wszystko się jej ułożyło. I może którejs nocy jedynie... przypomniała sobie, że istniały chwile, kiedy między nami było dobrze i kiedy uśmiechaliśmy się do siebie jak osoby, dla których liczą się tylko one.

Kąciuki moich ust unoszą się smutno do góry. Szkoda, że wszystko się tak potoczyło, bo naprawdę marzyłem o nas, będących ze sobą do końca życia.

Nie rozmyślałem dłużej, po prostu patrząc przed siebie, przekręcam kluczyk w stacyjce i dociskam pedał gazu. Ścieżka, która prowadzi do drogi, jest gównianie wyboista, dlatego wszystkie graty znajdujące się w bagażniku i na tylnych siedzeniach auta co rusz podskakują. Dwa dni temu musiałem zapakować do auta cały dobytek, bo w zasadzie mieliśmy wyjechać z Rhodesem z miasta przedwczoraj... Nie przewidziałem jednak, że sprawy z procesem zajmą mi aż tyle czasu, dlatego młodym od tamtej pory zajmuje się stare babsko Hamilton, a ja kimam w samochodzie, bo nie mamy już dachu nad głową.

Jebany mistrz organizacji.

Sięgam po telefon. Muszę zadzwonić do tej jędzy, bo już niedługo przyjadę na Bronx, więc krasnal powinien być gotowy w trasę. Mówię to do Hamilton od razu, gdy z łaską odbiera ode mnie połączenie. Ona mamrocze coś o tym, że nie będzie moją sekretarką i mam sam przekazać szczegółły młodemu, któremu po krótkiej chwili przekazuje komórkę.

– Rhodes? – upewniam się, że maluch mnie słyszy.

Najpierw dobiega mnie szum, dopiero potem jego głos.

– Will? – pyta zasapany brzdąc. – Kiedy po mnie przyjedziesz?

Zerkam na zegar elektroniczny znajdujący się na desce rozdzielczej, po czym wracam spojrzeniem do jezdni, na którą właśnie wjeżdżam. Nie porusza się po niej zbyt wiele aut, ale beton jest odrobinę oblodzony. Muszę zachować nieco większą ostrożność.

– Za góra pół godziny, w porządku?

Bratanek nabiera powoli powietrza.

– Skoro dałem radę wytrzymać tu dwa dni, pół godziny też jakoś przeżyję – stwierdza, natomiast ja przejeżdżam palcami wolnej ręki po twarzy.

Trochę dałem ciała, ale wiem, że mi wybaczy.

– Przepraszam – wydycham tak czy siak, obserwując cały czas obecnie pustą drogę. – Miałem cholernie dużo spraw na głowie i dopinałem nasz wyjazd na ostatni guzik. Dlatego przez ten czas zajmowała się tobą pani Hamilton... ale teraz będę cię niańczył tylko ja, jasne?

– Okej – przytakuje mały i milczy, ale jedynie przez kilka sekund, bo po nich docieka: – Zabrałeś już wszystkie rzeczy z naszego mieszkania do samochodu?

– Tak myślę.

– Nie zapomniałeś o moich plakatówkach?

Kręcę głową, nawet jeśli nie może tego widzieć.

– Są w schowku, w honorowym miejscu.

Mam przeczucie, że Rhodes się uśmiecha.

– Cieszę się – mówi. – Przyjeźdź tu szybko.

– Postaram się dotrzeć jak najprędzej – rzucam do słuchawki, po czym kończę połączenie i odrzucam komórkę na fotel pasażera. Staram się nie pamiętać o tym, że dzieciak, którego mam pod opieką, od dwóch tygodni leczy złamane serce po odejściu Marigold.

Naprawdę ją kochał. Wciąż kocha.

Podobno w noc, kiedy czułem się chujowo jak nigdy wcześniej i schlałem się do nieprzytomności, on odwiedził ją w mieszkaniu. Tam odbyli długą rozmowę, której szczegółów mały nie chciał mi zdradzić, ale zamiast nich opowiedział na głos o tym, jak bardzo uwielbia Marigold Harding i jak wiele oddałby, by jednak z nami wyjechała... włącznie z każdym zestawem swoich plakatówek, co oznaczało, że znaczyła dla niego dużo.

Zresztą płakał. Mówiąc o niej, zalewał się łzami, a ja z trudem powstrzymywałem chęć, by iść do niej i błagać ją na kolanach o zmianę zdania: nie tylko ze względu na Rhodesa, ale również ze względu na mnie. Niepogodzonego z wiedzą, że już nigdy nie zajrzę w jej oczy ani patrząc wprost w nie, nie zdradzę, jak potwornie mi na niej zależy.

Mimo wszystko nigdy nie przestało.

Wpół do pierwszej docieram na pogrążony w ciszy Bronx. Nie chcąc tracić czasu, czym prędzej wysiadam z samochodu, zamykam drzwi pilotem i po narzuceniu kaptura bluzy na tył głowy, kieruję się w stronę bloku, w którym spędziłem całe swoje życie. Wygląda jak jedna wielka melina i nie kojarzy mi się dobrze, ale i tak czuję coś dziwnego, przyglądając mu się z daleka. Nie wiem, co to konkretnie jest, jednak to uczucie dość szybko zostaje zastąpione przez wstrząs szoku, który przechodzi mnie od palców stóp aż do głowy, gdy natrafiam spojrzeniem na pewną osobę stojącą po drugiej stronie barierki na siódmym piętrze przejścia ewakuacyjnego.

Zatrzymuję się w pół kroku. Otwieram szeroko oczy i mimowolnie rozchyłam usta. Zupełnie nagle nawiedza mnie silne wrażenie, jakby czas zwolnił, a moje serce przestało pompować krew. Wszystko przez

fakt, że rozpoznaję dziewczynę, która tam stoi.

Ponieważ to Marigold.

Moja Gold.

Ona.

Zaczynam spazmatycznie oddychać, aż pali mnie klatka piersiowa. Jednocześnie nie odrywam przerażonego spojrzenia od dziewczyny. Gdyby nie fakt, że przeczuwam zamiar, który siedzi w jej głowie, pomyślałbym, że nigdy nie widziałem jej w piękniejszym wydaniu niż teraz: gdy stoi nieruchomo z wypiętą piersią i przymkniętymi powiekami, rozwianymi przez wiatr włosami oraz białym materiałem zbyt dużego swetra, wiszącym na jej na pewno drżącym ciele. Gdy wokół niej tańczą płatki śniegu, a ona sama wygląda nierzeczywiście niczym zjawą.

– Nie możesz... – szeptał bezgłośnie pod nosem.

Obserwuję ją z pierwszymi łzami w oczach.

– Nie możesz, Gold.

Cały przesiąkam jebanym strachem, ale i tak w przeciągu jednej głupiej sekundy rzucam się do szaleńczego biegu w stronę najniższego piętra schodów ewakuacyjnych. Próbuję przy tym nie oszaleć przez myśl, że ona w każdej chwili może odepchnąć się i rzucić w przepaść, ale z każdą sekundą jestem bliższy zwariowania i wyrwania sobie wszystkich włosów z głowy.

Pieką mnie pierdolone oczy.

Biegnę, potykam się i dławię wdechami, które łapczywie połykam. Przeskakuję przez barierkę niczym rozpedzone zwierzę, po czym zasuwał na górę, jakby od tego zależało moje życie. Śnieg uporczywie uderza mnie w twarz, ale kompletnie o to nie dbam, bo wiem, że w tym momencie dotarłbym do niej nawet na ślepo, nawet choćbym sam miał zlecieć w dół.

Nie mogę jej stracić. Nie znowu... nie na zawsze.

Zasapano docieram na właściwe piętro, ale zanim pokonam ostatni stopień, zwalniam, przecieram oczy i ogarniam się w pośpiechu, bo muszę sprawiać wrażenie spokojnego. Ona musi mi zaufać. Musi uwierzyć, że nie chcę jej powstrzymać dlatego, że powstrzymałbym w ten sposób każdego.

Chryste, zrobiłbym to z jednego ważnego powodu: tak naprawdę nic nie uległo zmianie przez ostatnie dwa pieprzone tygodnie. Mało tego, jestem przekonany, że nic nie ulegnie zmianie już nigdy: *Marigold Harding pozostanie dla mnie absolutnie wszystkim.*

Jeśli miłość mogłaby się we mnie narodzić, narodziłaby się we mnie dla niej.

Teraz stoję u szczytu schodów i patrzę na nią z bólem miażdżącym serce w każdym tego słowa znaczeniu. A ona, jakby nagle jakaś siła ją ku temu popchnęła, odwraca głowę w moją stronę. Spodziewam się, że się wścieknie i każe mi odejść, lecz ona... uśmiecha się beztrąsko.

I bez trudu sprawia, że coś we mnie roztrzaskuje się w drobny mak.

– Cześć, kłamczucho – wyszeptuję ledwie słyszalnie i za wszelką cenę staram się zdusić w gardle płacz na widok spokoju w jej ogromnych, ślicznych oczach patrzących wprost na mnie: świadomego, jak wiele mogę stracić w przeciągu kolejnych minut.

Marigold przekrzywia głowę i mruży powieki, przypatrując mi się.

– Co ty tu robisz? – pyta cholernie cichym głosem, na co gęsia skórka pokrywa moje wystawione na mróz ciało. – Przecież mieliście wyjechać do Denver przedwczoraj.

Piękna, szepta mi umysł. Piękna i zrujnowana. Jak długo jeszcze moja?

Robię nieśmiały krok w jej stronę, a następnie opieram ręce na barierce, próbując udawać, że nie przeraża mnie widok, który mam przed sobą: jej, jej zaplątanych wokół barierki palców i bosych stóp znajdujących się tak blisko krawędzi metalowych krat.

Pragnę wydobyć z siebie szloch, ale dzielnie go w sobie trzymam.

Nie skoczysz. Nie zostawisz mnie. Nie zostawisz mnie bez siebie.

– Sprawy związane z procesem zajęły mi więcej czasu, niż myślałem, więc musieliśmy spędzić w Nowym Jorku dodatkowe dwa dni – wyjaśniam, przełykając pomalutką ślinę i unosząc słabo kąciki ust. Dociera do mnie, że czekała na ten moment do czasu, aż wyjadę, i dławię się przy próbie nabrania powietrza. – Ale to nieważne. To naprawdę teraz nie jest ważne.

Patrzę na nią ciepło, ze szczerą troską. Ona odrywa jedną dłoń od balustrady i nie przestając się delikatnie uśmiechać, zaczesuje nią kosmyk włosów za ucho. Zamieram wtedy i krtuszę się słowami, które

zamierzałem do niej przed momentem wypowiedzieć.

Po krótkiej chwili udaje mi się względnie otrząsnąć po tym, co zobaczyłem.

– Czy mogłabyś do mnie podejść? – pytam miękko, przez łyży. – Albo nie ruszać się i zaczekać, aż wciągnę cię z powrotem przed barierkę? Wiem, że zawsze lubiłaś patrzeć stąd na Nowy Jork, ale maleństwo... patrzeć na niego stamtąd jest bardzo niebezpieczne.

Radosna dziewczyna kręci głową z politowaniem.

– Naprawdę niczego nie rozumiesz, Will?

Wypluwam wilgoć, którą czuję na języku, a wraz z nią jedno wyplakane zdanie:

– Obawiam się, że rozumiem wszystko, ale tak bardzo nie chcę dopuścić do siebie myśli, że naprawdę chcesz zrobić coś takiego, Goldie.

Nie ma pomiędzy nami ani jednego niedopowiedzenia. Patrzymy wprost na siebie, oboje doskonale wiedząc, że Marigold zamierza tej nocy stać się kolejną osobą, która skoczyła z niesławnego przejścia ewakuacyjnego na Bronksie. Sądzę, że nic nie jest w stanie rozjechać mnie od środka bardziej niż poczucie winy, że niczego wcześniej nie dostrzegłem.

Byłem taki ślepy.

Kurwa, ona odsunęła się od nas, a ja jak głupiec uwierzyłem, że problem tkwi we mnie. Że to ja popełniłem gdzieś błąd, że właśnie przez niego moja kłamczucha przestała mnie potrzebować. Tymczasem ona zapewne wcale nie przestała mnie potrzebować. Pragnęła tylko, by jej śmierć nie dotknęła ani mnie, ani Rhodesa. Żebyśmy za nią nie płakali ani nie rozpaczali, żebyśmy mieszkając w Denver, byli przekonani, że znajduje się po prostu gdzieś daleko stąd: nie pod ziemią, przykryta warstwą błota i ciężkim, zaniedbanym nagrobkiem.

Nie... martwa.

Łzy, nie wiedzieć kiedy, wpływają mi do ust. Chciałem i wciąż chcę z nią być. Z moją Marigold, właśnie z nią chcę iść do przodu, nieistotne, czy los zamierza zafundować nam kolejny koszmar, czy też nareszcie nam trochę odpuścić, nie obchodzi mnie to. Jedynym, co ma dla mnie znaczenie, jest ona. Zdrowa, uśmiechnięta oraz spełniona i moja.

Patrzę, jak zasmucona odrobinę spuszcza wzrok.

– Jestem wrakiem – wzdycha. – Żałosnym, niemożliwym do odbudowania wrakiem. Zostało mi tylko bycie właśnie taką, popsutą, nieszczęśliwą i wykończoną albo... ocknięcie się gdzie indziej, gdzie znowu poczuje się dobrze i zachce mi się gonić za szczęściem.

Opuszczam bezradnie ręce i nie staram się nawet oddychać przez zatkany nos.

– Przestań... – proszę załamany i bez przerwy wychwytyję w ciemnościach widok żalu na jej bladej twarzy. – Nie zostały ci jedynie te dwa wybory. Masz jeszcze mnie i opcję, żeby wyjechać ze mną daleko stąd. Tam pozwolić mi się sobą zaopiekować... Może i minęło trochę czasu, odkąd się pożegnaliśmy, ale ja wciąż nie mam wątpliwości, że pragnę przy tobie być.

Goldie podrywa powoli głowę i zagląda mi w oczy.

– Rany, Will...

Kolejny uśmiech, który mi posyła, jest przygnębiający.

– Nie chcę, żebyś do wszystkich zmartwień, jakie dźwigasz na barkach, musiał doliczać jeszcze użeranie się z wegetującą mną, rozumiesz? – pyta przyciszonym głosem, tak łagodnym, że porusza mnie on bardzo głęboko. – Nie chcę robić ci czegoś takiego, skoro jedyne, czego pragnę, to ciebie, żyjącego pełnią beztroskiego życia, co po tych wszystkich latach spędzonych tutaj należy ci się jak nikomu innemu. Zresztą podjęłam decyzję już dawno. Podjęłam ją pewnej nocy, gdy wciąż próbowałam pozbierać się po tym, co zrobił mi *on*.

Robię krok w jej stronę, czując, że mogę sobie na to pozwolić. Przystaję dopiero, gdy dzieli nas kilkanaście cali. Ona, widząc, że położyłem dłoń na barierce, podsuwa swoją bliżej i dotyka wierzchu mojej opuszkami palców.

Moja grdyka podskakuje.

A Goldie rysuje nieokreślone wzroki na skórze i skupiona na tym, ciągnie:

– Pamiętasz ten moment, kiedy Rhodes malował obrazek na twoich plecach? Właśnie wtedy zrozumiałam, że najlepiej będzie, jeśli postąpię tak, jak postępuję teraz. Wtedy też pomyślałam, że jeśli chcę jakoś spędzić swoje ostatnie chwile, potrzebuję spędzić je z wami.

Wracam pamięcią do tamtej nocy i potrząsam głową, nie będąc pewnym, czy zniosę całą prawdę wypływającą spomiędzy jej ust. Byłem wniebowzięty, kiedy nareszcie wyszła z pokoju po tym, co jej się przytrafiło, a teraz okazuje się, że... że nie powinienem był taki być.

Ponieważ już w tamtym momencie wiedziała, że ze sobą skończy.

Zaciskam z bólem powieki, cierpiąc i wyrzucając niespokojne wydechy.

– Przyszłam więc do was. Do moich ukochanych chłopców. Do mojego małego artysty i cudownego kłamcy, któremu tak pięknie rozbłysły oczy, gdy mnie zobaczył. Ucieszyłam się. Ucieszyłam się, bo przecież nigdy nie miałam kogoś, komu rozbłysłyby na mój widok oczy.

Palce Marigold suną po mojej dłoni w delikatny i czuły sposób, ale dotyk dziewczyny, mimo że zawsze był i będzie wydawał mi się kojący, tym razem nie jest w stanie przynieść mi żadnej ulgi. W dodatku jej przygaszony ton igra brutalnie z moim rozpadającym się sercem.

Wszystko we mnie woła za nią, jakbym już ją tracił. Ale czy tak nie jest?

Czy już teraz jej nie tracę?

– Jednak następnego dnia w drodze do szkoły mały powiedział, że chciałby, bym została z wami na zawsze – dopowiada brunetka. Zdobywam się na otwarcie oczu i odnalezienie w jej wyrzutów sumienia. – W dodatku ty zaczęłaś opowiadać mi o naszym wyjeździe... a ja wiedziałam przez każdą sekundę, kiedy to robiliście, że ani nie zostanę z wami na zawsze, ani nigdzie nie wyjadę. Dlatego postanowiłam się od was odsunąć, mimo że tak strasznie wszystko mnie bolało, gdy patrząc ci w oczy, kłamałam, że nie jestem już do ciebie przywiązana.

Krzyżujemy spojrzenia. Po policzkach Goldie zaczynają spływać łzy. Rozpoznaję je pośród mokrych śladów, będących pozostałością po płatkach śniegu, które w kontakcie z ciepłem jej twarzy zdążyły stopnieć. Mam ochotę je zetrzeć. Wzbraniam się przed tym, ale w końcu nie umiem zdusić w sobie potrzeby i zmazuję ostrożnie wilgotne kreski knykciami wolnej ręki.

Moja kłamczucha zanosí się wtedy szlochom, ale kąciki jej ust ponownie szybują w górę w śliczny sposób, który mnie uskrzydla, ale również rani.

Nie chcę, by odchodziła... nie chcę zostać bez niej.

– Jestem, Will – przyznaje i wybucha coraz większym płaczem, ale przy tym cały czas się uśmiecha i patrzy wprost na mnie. – Ciągłe jestem do ciebie okropnie przywiązana i mam pewność, że nigdy nie przestanę taka być. Nieistotne, jak daleko się od siebie znajdziemy, łączy nas coś, czego nie da się rozerwać, skruszyć ani zabić. Coś, czego może i na początku się bałam i czego strasznie mocno nienawidziłam, a z czego teraz jestem potwornie dumna.

Nie umiem pozbierać się po widoku namiastki szczęścia w jej zaszklonych oczach. Nawet to doprowadza mnie do rozpacz, jaką nie wierzyłem, że kiedykolwiek pocuję, a już szczególnie nie przez tragiczne rozstanie z dziewczyną, której oddałem całego siebie.

– A wiesz dlaczego taka jestem? – pyta mnie przez ściśniętą krtań.

Później chwyta mnie mocno za rękę. Czuję, jak strasznie trzęsie się ta jej. Nie jestem pewny, czy z zimna panującego nocą na zewnątrz i na ogromnej wysokości, czy też przez świadomość tego, co nadchodzi i niepewność, co będzie dalej.

– Bo pośród wszystkich obrzydliwych i paskudnych rzeczy, które zawsze nas otaczały, my jednak daliśmy radę stworzyć dla siebie coś cholernie pięknego. To chyba więź, wiesz? – Śmieje się cicho i pięknie. Mnie natomiast nie dusi śmiech, a żalony, pierdolony płacz. – Niepowtarzalna i cudowna. Nierozdzielna i taka, której nie ma nikt inny. Jestem o tym przekonana.

Goldie odwraca się do mnie przodem. Zabiera dłoń z mojej i przenosi ją na moją twarz. Głaszcze ją czule, wpatrzona w moje rozchylone i pokryte łzami usta. Natomiast ja wpatruję się w jej i pragnę, by poprosiła, abym ściągnął ją stamtąd i do siebie przytulił.

Ale to się nie wydarzy. Ponieważ jest wykończona, jak nigdy dotąd nie była. Widzę to we wszystkim: w jej zamglonym spojrzeniu, powolnym mruganiu powiekami czy ślimaczym tempie, w jakim nie przestaje gładzić opuszkami palców po kąciku moich warg.

Przylapuję ją również na wstrzymywaniu oddechu w chwili, gdy wydobywa z siebie kilka kolejnych raniących mnie słów.

– Boże, mój kłamco... – Ponownie się śmieje i niechcący krztusi łzami. Zaraz zbliża się bardziej i opiera w intymny sposób czoło o moje. – Byliśmy tacy twardzi. Uparci i wytrwali...

Wdycham jej zapach, nasiąkam jej cudowną bliskością i bijącą od niej troską, nie mam wątpliwości, że to wszystko jest i będzie niewystarczające w obliczu mnóstwa lat, które będę musiał przeżyć bez tego. Bez niej. Mojej najcenniejszej Goldie.

Dziewczyna pomrukuje cichutko.

– Ale kosztowało nas to bardzo dużo wysiłku, prawda? Dlatego odetchnijmy. – Nasze wargi ocierają się o siebie, jakby w niewinnej potrzebie. To takie nasze i w żadnym wypadku nieuleczające. – Na jakiś czas odetchnijmy od siebie, a potem, już gdzie indziej, walczmy razem dalej. Kto wie, może nawet nareszcie potrafiąc się kochać.

Skupiamy się wyłącznie na sobie. Na niczym innym. Odpływam wtedy gdzieś daleko, do innej rzeczywistości, w której wcale nie stoimy po obu stronach niestabilnej balustrady: ja po tej bezpiecznej, bliżej ściany, natomiast ona po tej drugiej, gdzie znajduje się jedynie wielka przepaść. Gdybym mógł zamienić nas miejscami, zrobiłbym to bez wahania.

Marigold wypuszcza ciepły oddech w moją brodę.

– Nie było dnia, bym żałowała, że akurat tutaj nie potrafię cię kochać – zdradza i smutnie jeszcze bardziej, o ile to możliwe. – Myślę, że nawet powtórzenie tysięcy razy, że tego pragnę, nic by nie dało. A strasznie chciałabym, by dało, bo wyobrażanie sobie, że budzę się nad ranem z *kocham cię, Will* na ustach, wydaje mi się takie przyjemne...

Ledwo wytrzymuję każdą sekundę, w trakcie której trwamy przy sobie. Przeraza mnie fakt, że w każdej chwili to może się zmienić, Goldie może cofnąć się o krok i zlecieć na pokryty śniegiem beton. Trzęsę się niemiłosiernie, ona razem ze mną. Oboje potwornie się boimy.

Oczy mojej kłamczuchy patrzą na mnie mimo wszystko wdzięcznie.

– Cieszę się, że podszedłeś. – Obejmuje śmieiej mój policzek i dokłada drugą rękę. Odruchowo kładę swoje po jej bokach, ponieważ nie trzyma się już absolutnie niczego. *A jednak wciąż jest radosna.* – Potrzebowałam cię dotknąć. Uśmiechnąć się do ciebie i żebyś ty także uśmiechnął się do mnie... ten jeden raz przed tym, jak się rozdzielimy, wyszeptać ci, że byłeś epizodem w moim życiu, który chciałabym powtarzać ciągle w każdym kolejnym.

Następne porcje łez kreślą ślady po naszych zwróconych ku sobie twarzach.

– Nie rób mi tego, kochanie – wykrztuszam, płacząc. – Nie rób, nie łam mnie...

– Jesteś pełen obaw – odpiera bardzo spokojnie Marigold i ścisza swój głos, by nadać mu aksamitny wydźwięk. – Ja też. Ale pamiętaj, to nie minie ani nawet nie osłabnie. To, co udało nam się stworzyć, do końca będzie trwałe i piękne. Właśnie po tym zawsze będziesz w stanie mnie dorwać. Bo raczej będziesz tego chciał, prawda? Dorwać mnie?

Rozbawienie w jej słowach jest niemalże namacalne. Zamykam jej boki w ciasnym chwycie, a następnie zaglądając jej głęboko w te kurewsko uzależniające oczy, dosięgam jej warg swoimi i wpuszczam w nie krótki szept:

– Daję ci słowo, że będę za tobą gonił. Bez najkrótszej przerwy.

– A ja będę odwracać się przez ramię i śmiać z tego, że nie możesz mnie dogonić – odpiera wesoło dziewczyna i wspiera się na palcach stóp, by pocałować mnie kolejno w czoło, nos i kilka blizn, na których nie trzyma rąk. Uśmiechnięta zapewnia jeszcze: – Bez choćby najkrótszej przerwy.

Kolejny raz tej nocy o czymś sobie przypominam. Także obnażam nieznacznie zęby.

– Tak jak wtedy, gdy goniliśmy się we mgle. Pamiętasz? – pytam, pociągając nosem i czując napływające pod powiekami gorąco. – Pamiętasz to, małeństwo? Ja pamiętam o tym ciągle... O tym jednym popołudniu, kiedy pierwszy raz poczułem się wolny i szczęśliwy.

Tęczówki Goldie nieznacznie jaśnieją.

– Oczywiście, że pamiętam – potwierdza ucieszona, dodając do tego pewny ruch głową. Potem zarzuca mi ręce na szyję i trzyma je swobodnie przez następne sekundy upływające nam w ciszy. – Pocałowałeś mnie wtedy pierwszy raz, a ja pomyślałam, że uwielbiam, gdy robisz to ty.

Nagły głód, który we mnie wzbiera, jest zbyt silny, bym był w stanie go zdusić.

– Mogę to powtórzyć? – pytam niepewnie po chwili. – Proszę cię, Goldie...

Z jej powoli unoszącej się piersi wydobywa się uroczy chichot.

– Możesz.

Nie czekam ani chwili. Natychmiast dobieram się do jej ust i kosztuję ich zawzięcie, w pełni

świadomy, że podobna okazja się nie powtórzy: nie pocałuję już mojej Marigold. Myśl o tym sprawia, że rozlewa się we mnie żal, zwłaszcza że w pewnym momencie czuję na języku słony posmak. Zamiast jednak rozmyślać, którego z nas to łyzy, ściskam mocniej dłońmi boki dziewczyny i silnym szarpnięciem przyciągam ją do siebie w kurewsko zaborczym stylu.

Nasze ciała stykają się ze sobą, mimo że dzieli nas balustrada.

– Moja kłamczucha – wydycham spragniony.

Dyszę i przyjmuję jej urocze westchnienie.

– Moja piękna kłamczucha...

Kąsam jej dolną wargę i robię wszystko, by zawrócić jej w głowie sobą i swoim dotykiem. Ona jednak przeczuwa, że coś jest na rzeczy i kiedy próbuję ją prędko podnieść oraz całkiem przygarnąć w swoje ramiona, odsuwa się ode mnie na pewną odległość. Mój ciężki i płytki oddech łąduje na jej zaróżowionym policzku. Goldie wybucha kolejnym śmiechem.

– Wiedziałaś, że tego spróbujesz – stwierdza i znowu na mnie spogląda.

– Dziwisz mi się? – pytam zasapany, zaczepiając dłonie na jej kształtnych biodrach. – Przecież od zawsze chciałem cię przy sobie zatrzymać i zamierzam korzystać z każdej okazji, która być może pozwoli mi to zrobić.

Brunetka zwiesza wzrok i wpatruje się w czerń mojej bluzy. Przez moment zastanawia się nad sensem mojej wypowiedzi i zbiera myśli do kupy, aż w końcu na powrót krzyżuje spojrzenie z moim, tylko na sekundę wyginając szyję, by wytrzeć niechlujnie łyzy o ramię.

– Nie korzystaj z niej – zaczyna łamliwym głosem.

Wiem, że akurat on nie zwiastuje słów, które chciałbym usłyszeć.

– Korzystaj z każdej szczęśliwej chwili, która dopiero nadejdzie – ciągnie Goldie i powoli zsuwa przedramiona z moich barków w bezsilny sposób. Jej uśmiech przypomina smutek w najczystszej postaci, a odgłos zduszanego płaczu doprowadza mnie na sam skraj. – Odnajdź miejsce, gdzie zawsze dosięgnie cię słońce i gdzie nigdy nie będzie ponuro... Ciesz się wolnością, którą odzyskałeś, i rozglądaj za ciepłem, którym ktoś mógłby cię otoczyć. Bo jeśli moje cię nie dosięgnie, będę wdzięczna każdemu, kto przytuli cię i rozgrzeje swoją miłością.

Ledwo widzę cokolwiek, ledwo daję sobie radę z poczuciem niepokojenia, które się we mnie zadomawia. Miałem to robić z nią. Szukać miejsca, gdzie dosięgnie nas słońce i gdzie nie będzie ponuro. Cieszyć się wolnością i chwytając ciepło, którym otaczałaby mnie ona. A teraz... teraz kończymy się gdzieś, gdzie jest paskudnie i zimno. Gdzie Marigold jest zmarznięta i gdzie to ona potrzebuje, aby ktoś ją do siebie przyciągnął oraz zamknął w szczelnym uścisku.

Wpuszczam łyzy do ust. Czuję, jak przepalają mój przełyk. Ale najgorszy jest ból, niosący za sobą kolejne domysły, z którymi zwraca się do mnie moja spokojna kłamczucha:

– Może innej dziewczynie, której pozwolisz całować i doceniać swoje blizny? A może swoim szkrabom, którym pozwolisz malować farbami po swoich plecach? – zastanawia się i opuszcza do końca ręce w bezradny sposób, wciąż jednak patrząc wprost na mnie ze słabym uśmiechem. – Może ogromnej rodzinie, której kiedyś przyznasz się do tego, że udało ci się wyjść na prostą, choć praktycznie nikt cię o to nie posądzał? Kolorado jest piękne... Tak mówiła mi mama. Ty też możesz mi kiedyś o tym opowiedzieć, a jeśli poczujesz się wtedy słuchany, wiedz, że jestem obok, trzymam się twojego ramienia i patrzę na ciebie z czułością, z jaką robiłam to zawsze.

Goldie kończy mówić i w tym momencie nas oboje dusi szloch. Przyglądamy się swoim zapłakanym twarzom, a ja nie mogę pojąć, dlaczego akurat ja i ona nie dostaliśmy choćby głupiego cienia szansy na to, by przekonać się, jak byłoby nam ze sobą: dlaczego teraz wszystko sypie się zawczasu, skoro nawet nie zdążyło na dobre między nami powstać?

Zapadam się w siebie coraz bardziej przez wiedzę, że już tylko moje ręce ułożone po bokach Marigold trzymają ją na wysokości. Jej ciało balansuje na najcieńszej granicy, bose stopy ledwo dotykają metalowych krat. Natomiast ja dobrze wiem, że jej nie powstrzymam.

Że tej nocy wszystko się zmieni, nawet jeśli nie chcę, by tak się stało.

Po paru sekundach udaje mi się wyłkać zlepek zdań:

– Miałem przyznać ci się do tego w twoje urodziny, wiesz? – Również się uśmiecham, tyle że strasznie krzywo. – Głaszcząc twoje włosy i uśmiechając się do ciebie. Trzymając twoją głowę na kolanach,

gdy byłoby ciepło, a polanę w górach wypełniałyby pachnące kwiaty.

Dziewczyna obserwuje mnie błyszczącymi oczami.

– Do czego?

– Nie spotkałem kogoś takiego jak ty – wyszeptuję, zbliżając usta do jej policzków i scalając z nich kilka na wpół roztopionych płatków śniegu, które bez przerwy lawirują naokoło nas, stojących przy sobie na nocnym mrozie. Goldie parska śmiechem. Jestem przekonany, że ma świadomość, że przywołałem właśnie marzenie dotyczące jej urodzin.

Nagle zaczyna śledzić palcem bieg mojej najświeższej blizny na twarzy.

– Jesteś cudowny – wyznaje łagodnym szeptem. – Z każdą z nich.

Kiwam głową na znak, że rozumiem, co do mnie mówi.

– Ty też. – Mój oddech się rwie. – Ty też, Goldie, po prostu taka jesteś...

Ona rozciąga usta szerzej i nadal mnie obserwując, bardzo powoli się ode mnie odsuwa. Nie wiedząc, co robić, zamykam w żelaznym chwycie jej talię, lecz to nie wystarcza, bo gdy robi krok w tył i traci grunt pod nogami, siła, z jaką ciało zlatuje w dół, pozwala mi złapać w locie jedynie jej drobną i ciepłą dłoń. Panika uderza we mnie niczym huragan. Wyrzucam głośny ryk, wyję jak pies i wychylam się nieznacznie, by móc próbować ją jeszcze ratować.

– Nie, proszę, daj mi jeszcze spędzić ze sobą moment... – Zalewam się łzami i jak najmocniej otaczam palcami przegub jej ręki, jednak czuję, że w ogólnym rozrachunku to nie okaże się wystarczające. Przez śnieg nasza skóra stała się zbyt śliska.

– Will? – pyta cichutko spokojna Goldie.

Dławię się własnym, pełnym udręki szlochem, nie mogąc zmusić się do zapytania, o co chodzi, co moja kłamczucha pragnie powiedzieć mi, zanim stracę ją na zawsze. Cały w nerwach czuję nieprzemijający ucisk w piersi i milion paskudnych emocji, które mnie rozrywają.

A w jej oczach widzę wyłącznie szczerą, niewymuszoną troskę.

– Nie musisz już tego robić – mówi. – Zmywać mojej krwi.

– Nie mów tak – niemalże błagam.

Płaczę niczym jebane dziecko.

– Niech zrobi to ktoś inny.

– Przestań, błagam cię – wydecham nędzny protest i staram się ją wciągnąć.

Marigold nie współpracuje. Jedynie obserwuje mnie w sposób, jakby intensywnie się nad czymś zastanawiała, i zaraz kąciki jej ust ponownie szybują ku górze. Nienawidzę tego, że nie potrafię być na nią wściekły ani jej nienawidzić za to, że skazuje nas na taki los.

Nienawidzę też tego, że nie mogę jej utrzymać, chociaż tak bardzo się staram i ani na beznadziejną sekundę nie przestaję podejmować desperackich prób szarpania jej ciałem ku sobie. Brunetka wzdycha. Jeden mokry ślad kreśli trasę po jej brodzie i skapuje w odmęt.

– Ostatnio prawie mi się udało, dasz wiarę? – zaczyna miękko, przyciszonym tonem. – Powtórzyć moje kłamstwo okrągłe tysiąc razy. Nie było one długie, może dlatego byłam tak blisko? Albo dlatego, że z całego serca czułam, że akurat to jedno musi stać się prawdą?

Dziewczyna mruga parokrotnie, a jej twarz rozjaśnia radość.

– Powtarzałam, że nasz Bronx kiedyś, może na chwilę, stanie się piękny – wyznaje pełna nadziei. – Może nie dla nas... ale za nas, którym udało się stąd wyrwać. Nam obojgu.

– Gold... – szeptam żałośnie, potrząsając głową.

Potem ciężko oddychając, patrzę szeroko otwartymi oczami na to, jak jej dłoń pomału wymyka się z uścisku mojej. Natychmiast wydaję z siebie przecinający ciszę na nocnym Bronksie rozpaczliwy krzyk, widząc, jak moja kłamczucha leci w dół oraz... wiedząc już dobrze, że moment straty kojarzyć mi będzie tylko z uwieszeniem się barierki i wyciem w mroczną przepaść, która pochłonęła wszystko, bez czego nie mogłem później normalnie żyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

WILLARD

Przyciskam spierzchnięte usta do wierzchu chłodnej dłoni, którą przed momentem zabrałem z jasnej szpitalnej pościeli. Złożone przeze mnie na nim muśnięcie jest długie i czułe, ale wciąż nie okazuje się tym przełomowym bodźcem, sprawiającym, że nieprzytomna Marigold otwiera nareszcie oczy. Leżąc nieruchomo na łóżku w niedużym pokoju, gdzie panuje delikatny półmrok, nadal wygląda mizernie: jej twarz zdobi mnóstwo zadrapań, a z nosa ścieka maleńka strużka zaschniętej już krwi. Im dłużej ją obserwuję, tym bardziej bolesny czuję ucisk w piersi.

Ponieważ byłem i wciąż jestem tak bliski utraty dziewczyny, bez której nic nie będzie takie jak przedtem.

Zwieszam bezsilnie głowę i zaciskam wargi w kreskę, ponieważ mój umysł poddaje się wspomnieniom trwającej nocy. Przypominam sobie moment, w którym zobaczyłem Harding na przejściu ewakuacyjnym. To, jak spadła w przepaść, to, jak wyłem rozpaczliwie, zbiegając po schodach w dół. Jak potrząsałem jej ciałem, desperacko prosząc, aby zacisnęła zęby i była silna jeszcze przez chwilę. Później zabrałem ją do najbliższego szpitala, gdzie lekarka oznajmiła mi po prostu, że jej stan jest krytyczny, a sam fakt, że przeżyła, nieprawdopodobny.

Ale przyznała także, że na dłuższą metę, ten wyjątek nie ma prawa zadziałać. Suka była zdania, że ledwie godziny dzielą nas od nieuniknionego. Nie chciałem dopuszczać do siebie tej myśli i wciąż tego nie robię. Zamiast tego trwam dzielnie przy swojej Gold i próbuję wszystkiego, byle tylko ją do siebie przywołać. Być może ja też mam taką moc?

Mam moc, by przywołać ją do siebie choćby najcichszym *zostań*.

Nie wiem tego, ale głęboko w to wierzę, kiedy po niemalże godzinie siedzenia na niewygodnym taborecie i milczenia, chrząkam znacząco oraz wypowiadam beznadziejnie żałośnie prośbę, na którą mam nadzieję, że moja Goldie odpowie:

– No dalej, kłamczucho... ocknij się. – Unoszę wykończony wzrok, by utkwić go w niej, ciągle mimo wszystko pięknej. – Mam świetny pomysł, który koniecznie musimy zrealizować.

Uśmiecham się krzywo, nawet jeśli ten gest ma wiele wspólnego z grymasem, i liczę, że nie umyka to mojej Harding, skądkolwiek na mnie patrzy. Ponieważ wiem, że patrzy. Poczucie bycia obserwowanym i słuchanym jest zbyt silne, bym mógł je zignorować.

Znowu całuję wierzch jej dłoni, a potem przytulam do niego policzek.

– Nie zamierzasz iść w to ciemno? – pytam z dozą smutnego rozbawienia i dodaję do tego skinienie. – Okej. Rozumiem, w sumie zawsze najpierw wolałaś o wszystkim wiedzieć, a dopiero potem się na to pisać... więc umówmy się, że teraz opowiem ci ze szczegółami o tym, co zrobimy, gdy już do mnie wrócisz. Mam ogromną nadzieję, że się do tego przekonasz.

Oblizuję popękana wargę i choć oczy zachodzą mi łzami, gdy tylko mam przed nimi pewną wizję, kontynuuję:

– Moglibyśmy zorganizować małą niespodziankę dla Rhodesa. Odwiedzić go z wiadomością, że jednak jedziemy do Kolorado we trójkę – stwierdzam z odrobinę wyżej uniesionym kącikiem ust, akurat gdy pierwszy mokry ślad sływa mi po brodzie. – Bo musisz wiedzieć, że tym razem zamierzam zaciągnąć cię tam choćby nie wiem co. Nie chcę cię znowu stracić. – Potrząsam pomału głową i dodaję niemalże bezgłośnie, jakby sam do siebie: – Nie, skoro o mały włos straciłem cię bezpowrotnie, Goldie.

Odsuwam jej dłoń od twarzy, po czym ostrożnie odkładam ją na pościel.

– W każdym razie młody na pewno się ucieszy, kiedy oznajmimy mu, że znowu będziemy razem. – Splatam palce na kolanach i przenoszę na moment spojrzenie za szpitalne okno. Widzę za nim ciągle czarne niebo i prószący z niego styczniowy śnieg.

Patrząc w nie, zupełnie mimowolnie popadam w stan zawieszenia.

– Wyobraź sobie jego radość i ten uroczy pisk... To, jak skacze niczym pieprzona mała – dodaję

smutno roześmiany. – Rzuca się w ramiona najpierw mnie, a potem tobie. Chociaż uwielbia cię tak bardzo, że jeśli przysłoby co do czego, ty byłabyś jego pierwszym wyborem – prędko się poprawiam i znowu skupiam wyłącznie na niej.

Zauważam, że kosmyk włosów opadł jej na nos, dlatego z lekkim zawahaniem podnoszę się i odgarniam go troskliwym ruchem ręki. Nasuwa mi się wtedy myśl, że wobec Gold poczułem tę samą potrzebę, którą przed laty poczułem wobec Rhodessa: pragnę opiekować się nią i ciągle zyskiwać stuprocentową pewność, że nic jej nie grozi, choćbym miał nie otrzymywać w zamian niczego.

Opadam z powrotem na krzesło i nakrywam ją szczelniej kołdrą.

– Co sądzisz, maleństwo? – pytam ciepło, z coraz większym trudem siląc się na bycie radosnym. – Przekonałem cię? Ockniesz się i pójdziemy do niego, żeby zrobić mu niespodziankę?

Głos załamuje mi się na końcu i nie potrafię nad tym zapanować, chociaż bardzo się staram. Prawda wygląda jednak tak, że z każdą upływającą minutą tracę siły na udawanie, że nie jestem pełen obaw, załamany i niegotowy na pożegnanie kogoś, na kim strasznie mi zależy.

– Boże, Marigold... – wydecham żałośnie.

Przebiegam pieśczośliwie opuszkami po jej ręce i znowu czuję uporczywy gorąc wzbierający pod powiekami.

– Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, ani trochę nie posądzałem cię o to, że w przyszłości staniesz się dla mnie całym jebanym światem – przyznaję rozbity. – Niech on nie runie... proszę cię, niech tylko on nigdy do samego końca nie runie.

Wpatruję się w nią i widzę coraz mniej, aż w końcu z piersi wyrывa mi się dławiący szloch. Kaszlę i krztuszę się łzami, śledząc spojrzeniem każdy detal jej twarzy: rozcięcie na żuchwie, nieznacznie rozchyłone usta, zamknięte oczy oraz znajdujące się pod nimi ciemne zasinienia. Odnoszę wrażenie, jakby ten widok bolał mnie coraz bardziej, chociaż to niemożliwe.

A może jednak możliwe?

Niczego nie jestem pewny jak tego, że noc jeszcze nigdy nie dłużyła mi się aż tak. Ona trwa, a ja wariuję z przerażenia, które przeszywa mnie na wskroś, bo świadomość tego, że w każdej chwili Gold może umrzeć, jest rozpierdalająca. Zaczynam szeptać pod nosem, że wcale nie umrze, wcale nie umrze, wcale nie umrze... Powtarzam swoje kłamstwo, pragnąc doliczyć tysiąca i zamienić je w prawdę. Wtem tracę rachubę, ponieważ ktoś wchodzi do pomieszczenia.

Odwracam pomału głowę. Dostrzegam tę sukowatą lekarkę. Powstrzymuję się od skrzywienia mordy i podnoszę się z wysiłkiem na nogi, bo skoro tu przyszła, musi mieć dla mnie jakieś wieści. Żołądek natychmiast zacieśnia mi się z nerwów. Nie mam pojęcia, co zaraz usłyszę.

Ale zniosę wszystko, prócz ponownych słów, że jej odejście to kwestia czasu.

– Nie chciałabym przeszkadzać, ale co nieco już wiem, panie Covington – mówi kobieta, wsuwając niedbale długopis do kieszeni w białym kitlu.

Zwilżam gardło przetykając ślinę.

– Tak?

Doktorka zaczesuje siwe pasmo za ucho i wzdycha.

– Będę zupełnie szczerą, gdy przyznam, że jestem zaskoczona faktem, że pacjentce w ogóle udało się przeżyć upadek z takiej wysokości. Niestety skutek niego doznała wielu obrażeń, w tym kręgosłupa, które z każdą upływającą godziną pogarszają stan jej zdrowia – stwierdza ze stoickim spokojem, zerkając kątem oka na wciąż niewyglądającą lepiej Marigold.

Sam też to robię, po czym wracam spojrzeniem do lekarki.

– Musi być pan świadomy, że jeśli uda jej się przeżyć tę noc, a to... mocno wątpliwa kwestia, panna Harding w przyszłości będzie musiała poruszać się na wózku inwalidzkim. Będzie wymagała szczególnej opieki i odpowiedniego traktowania, do tego z pewnością konsultacji z terapeutą.

Wstrząsa mną jebany szok. Czuję, jak przetacza się on przez moje zastygłe mięśnie.

– Na wózku? – upewniam się, że dobrze ją usłyszałem.

Przecieram oczy, które kolejny raz mnie zapiekły.

– Moja Gold została niepełnosprawna?

Mój szept jest słaby i pełen cierpienia.

– Siła, z jaką upadła, musiała być ogromna... – potwierdza kobieta, a w jej tonie można wyczuć

nieznaczne współczucie.

Doktorka masuje dłonią skroń i podchodzi do łóżka, na którym leży jej pacjentka. Nie odzywa się i ja również tego nie robię, bo zwyczajnie nie mogę się otrząsnąć po tym, czego się dowiedziałem. Jeśli moja Harding przetrwa tę noc, będzie poruszać się na wózku i rzeczywiście będzie potrzebowała kogoś, kto się o nią zatroszczy. Ale nie tymczasowo. Przez resztę życia. Kurwa, naprawdę w tej jednej chwili poprzysięgam sobie, że zostanę dokładnie tym kimś.

Bez żadnego zawahania również zbliżam się do dziewczyny i stojąc nad nią z poważną miną oraz dłońmi położonymi na fragmencie łóżka, odnajduję czujny wzrok lekarki.

– Dobrze – odpieram zachrypniętym głosem. – Tak... rozumiem. Zapewnię jej wszystko. Absolutnie wszystko, opiekę, terapeutę, wypruję sobie żyły, żeby była w stanie ruszyć do przodu. Postaram się o to z całych swoich sił. Nie odstąpię jej na krok.

Oddam cokolwiek mam, byle było z nią lepiej.

– Nie zostawię swojej kłamczuchy – wyszeptuję pod nosem i ze słabym uśmiechem kucam przy łóżku. Przybity opieram brodę na jego uchwycie. Chociaż jest mi niewygodnie, obserwuję zawzięcie swoją Gold. Tę jedną zrujnowaną dziewczynę, która od początku miała w sobie coś, przez co nie umiałem jej sobie odpuścić. Może ten zagubiony kawałek mnie, z którym, chociaż to ona była w jego posiadaniu, czułem się kompletny?

Cokolwiek by to nie było, trzymało mnie przy niej do końca.

– Zapewne pan się tego domyśla, ale muszę potwierdzić tę informację na głos – słyszę słowa lekarki i orientuję się, że kobieta jeszcze nie wyszła z sali. Zaskoczony ściągam nieco brwi i spoglądam na nią z niezrozumieniem.

– Czego niby się domyślałam? Co chce pani jeszcze potwierdzać?

– Cięża nie przetrwała upadku – wyjaśnia, robiąc ledwie kilka kroków w tył, zapewne z zamiarem wyjścia z pomieszczenia. – Tu nie było mowy o innym scenariuszu, przykro mi.

Wstaję na nogi jak oparzony i przecieram twarz, by jakkolwiek się ocucić.

– Słucham? – wykrztuszam zamroczony dziwną mieszanką bólu i żalu.

Lekarka unosi brew w sugestywny sposób.

– Panie Covington?

– Jaka, do diabła, ciąża? – pytam konkretniej.

– Nie miał pan pojęcia? – Jej wyraz twarzy zdradza zdziwienie, a ja sam już nie wiem, czy pod moimi nogami znajduje się grunt, bo czuję, jakby w przeciągu chwili usunął mi się spod nich, zwłaszcza gdy kobieta dodała: – Panna Harding była w ciąży. W bardzo wczesnej, tak mi się wydaje... – Wyłączam się. Ktoś chyba wchodzi w międzyczasie do pomieszczenia, bo jak przez mgłę dobiegają mnie pytania raczej nieskierowane do mojej osoby.

Wpatruję się w martwy punkt zlokalizowany gdzieś za oknem i mierzę z czymś, z czym nie sądzę, bym mierzył się kiedykolwiek wcześniej. Uczuciem ogarniającej mnie pustki. To na pewno ono przez dłuższy czas nie pozwala mi wziąć najkrótszego wdechu ani wykonać żadnego ruchu. To na pewno z jego powodu długo stoję odrętwiały w jednym miejscu i nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić. Goldie i ja ponieśliśmy kolejną przegraną.

A ja nie jestem pewien, gdzie kończy się ich limit dla nas.

Pokonany opadam znowu na krzesło i chowam twarz w dłoniach. Może i nie chcieliśmy żadnego dziecka ani nawet ze sobą być, ale jest mi trochę szkoda. Szkoda wyboru, który sądzę, że nie został nam dany. Bo jeśli byśmy go otrzymali, być może wszystko wyglądałoby inaczej. Być może Goldie nie leżałaby teraz na szpitalnym łóżku, a ja bym nad nią nie czuwał. Być może bylibyśmy teraz w Denver i zastanawiali się, jak to wszystko sensownie rozegrać, o ile tylko moja kłamczucha stwierdziłaby, że jest w stanie i chce zostać matką.

Zsuwam powoli ręce z twarzy i przysuwam krzesło bliżej łóżka. Przez chwilę niczego nie mówię, bo nie potrafię wydusić z siebie nawet najślabszego szeptu, ale w końcu pochylam się, opieram skrzyżowane przedramiona na łóżku i uwalniam bezsilny wydech.

– Ja... – Próbuję poskładać myśli do kupy, lecz z marnym skutkiem. Oczy i tym razem szklą mi się bez mojej kontroli, kiedy pytam: – Och, Goldie, jak to się stało? Jakim cudem rósł w tobie mały człowiek, co? Przecież twierdziłaś, że nigdy nie będziesz mogła zostać matką...

Przyglądam się jej z powoli bijącym sercem.

– Zastanawiam się, czy o tym wiedziałaś, ale sądzę, że nie. – Uparcie poszukuję na jej twarzy najmniejszej oznaki, że się ocknie. – Może gdybyś była tego świadoma, uznałabyś małego szkraba za powód, żeby nie robić tego, co zrobiłaś? Może jednak spróbowałabyś ze mną wyjechać do miejsca, gdzie twojego malucha czekałoby lepsze dzieciństwo niż tutaj?

Prędko przyłapuję się na tym, że źle dobrałem słowa.

– Przepraszam. Naszego malucha – poprawiam się.

Następnie zapewniam ją o czymś ważnym.

– Nieistotne, czy było to moje dziecko, bo gdyby wszystko potoczyło się inaczej, i tak trąbiłbym wszędzie, że jest wyłącznie moje. Liczę, że jesteś tego świadoma. Chociaż jego ojcem być może byłby *on*, chociaż ono skomplikowałoby nieco nasze sprawy, nie uciekłbym jak tchórz.

Wyciągam dłoń w kierunku jej twarzy i wpatrzony w jej przymknięte powieki, zmazuję delikatnie palcem brud z jej szczęki.

– Naprawdę stanąłbym na głowie, żeby było wam dobrze – dopowiadam. – Całej trójce. Rhodesowi i moim dziewczynom. Ponieważ mam przeczucie, że byłaby to dziewczynka. – Z chwilą, kiedy wypowiadam koniec zdania, następny blady uśmiech wkrada się na moje usta.

Potwornie boli mnie klatka piersiowa i okolice serca, ale mimo to snuję swoje wizje, które choć na pewno się nie dopełnią, pozostaną dla mnie najpiękniejsze. Będą przypominały mi o tym, że był taki krótki moment, kiedy ja i moja Goldie mogliśmy trwać przy sobie i dać życie małemu człowiekowi. A jemu... cóż. Jemu na pewno dalibyśmy to, czego zabrakło nam.

Połykam łzy i śmieję się cicho.

– Nie wiem sam, czy ten fakt by mi się spodobał. – Myślę o nas i o naszej maleńkiej, uroczej kopii. – Za kilkanaście lat okazałaby się pewnie w równym stopniu piękna jak ty, a ja na starość na bank byłbym w opór leniwy i średnio chciałoby mi się odganiać od niej jebanych adoratorów. No ale robiłbym to... nie oddałbym jej przecież w niedobre ręce.

Kącki moich ust pozostają uniesione ku górze.

– Nie dałbym jej też brzydkiego imienia. Wybacz, ale mam wrażenie, że jeśli zostawiłbym ci w tej kwestii wolną rękę, nasz mały zuch stałby się wśród innych szczyłów gównianym pośmiewiskiem – parskam z rozbawieniem, roniąc więcej i więcej łez.

Czuję, jak spływają mi po dłoniach, na których podpieram brodę, i skapują na jasną pościel. Jednocześnie nie odwracam niewyraźnego spojrzenia od Marigold, wyglądającej tak spokojnie jak wtedy, gdy stała nad przepaścią z zamiarem, który doszczętnie mnie złamał.

To bolało. Rozrywało. Rujnowało. Myśl, że najważniejsza osoba w twoim życiu pragnie ze sobą skończyć. Niepewność, czy jeszcze kiedyś zamkniesz ją w silnym uścisku i wyszeptasz jej do ucha, że wszystko bez niej nie ma najmniejszego sensu.

Tak właśnie się czułem, kiedy na nią wtedy patrzyłem.

– No dobra, akurat tego mam nadzieję, że nie słyszałaś – rzucam ciszej i tym samym dyskretnym szeptem, którym się przed sekundą posłużyłem, zapłakany, z jeszcze szerszym uśmiechem dodając: – Ja nazwałbym ją Maribelle. Ładnie, co?

Echo wypowiedzianego przeze mnie imienia rozbrzmiewa w mojej głowie przez kolejne sekundy i sprawia, że wzbiera we mnie silniejsza rozpacz.

Maribelle. Nasza śliczna, wytrwała Maribelle.

– Szkoda mi go – przyznaję, sunąc nieśpiesznie knykциями po pokrytym zadrapaniami policzku Goldie. – Tego dziecka, które mogłoby nas do siebie zbliżyć. Może mogłoby ci też pomóc jakoś podnieść się na duchu? Nie wiem, czy akurat ono zdołałoby tego dokonać, ale terapia na pewno już tak, dlatego ocknij się, kochanie. Wyjedźmy i tam poszukajmy dla siebie pomocy.

Robię nieumyślną przerwę, by wziąć wdech nosem.

– Tak jak to wcześniej planowaliśmy.

Jakiś czas siedzę z Marigold w ciszy. Trwa to, dopóki w pewnym momencie po sali nie rozbrzmiewa dźwięk mojego telefonu. Zwlekam się powoli z łóżka i prostuję. Mozolnie wyciągam z kieszeni bluzy komórkę. Robię nietęgą minę, widząc na ekranie nazwę kontaktu.

– Cholera, Hamilton dzwoni – oznajmiam z westchnieniem, drapiąc się z tyłu głowy. – Rhodes siedzi

u niej od przedwczoraj, więc na wszelki wypadek odbiorę.

Posyłam dziewczynie pełne czułości spojrzenie.

– Zaraz wrócę, dobra? – uprzedzam ją, nawet jeśli jestem świadomy, że nie otrzymam w zamian żadnej reakcji.

Następnie wstaję niechętnie i połamany po długim siedzeniu w jednej pozycji wychodzę na opustoszały korytarz. Rozglądam się po nim, po czym ponownie zerkam na wyświetlacz urządzenia oraz przesuwam po nim palcem, by odebrać połączenie od starej jędry. Robię to tylko dlatego, że potrzebuję upewnić się, że z Rhodesem wszystko w porządku.

Przykładam komórkę do ucha z niemrawym:

– Halo?

Jednak to nie upierdliwe babsko znajduje się po drugiej stronie słuchawki.

– Will? – duka cichutko krasnal i założę się, że w tym momencie jego wyraz twarzy zdradza wyłącznie szczerzy, dziecięcy smutek. – Dlaczego nie odbierałeś ode mnie telefonu? Musiałem bardzo długo prosić panią Hamilton, by znowu pozwoliła mi do ciebie zadzwonić.

Wydaje mi się, jakby poczucie winy nagle zalało moją krtań. Powinienem był chociaż dać młodemu znać, dlaczego nie wywiązałem się z naszej umowy i nie zgarnąłem go od, pożałuj Boże, opiekunki wtedy, kiedy powiedziałem mu, że to zrobię.

On zresztą sam upomina się o wyjaśnienia:

– Dlaczego po mnie nie przyszedłeś? Przecież mieliśmy dzisiaj stąd wyjechać. Chyba nie pojechałeś nigdzie beze mnie, co nie? – pyta mocno przestraszony, więc żeby bardziej go nie stresować, od razu spokojnie mu odpowiadam.

– Nie, Rhodes. Nigdzie się bez ciebie nie ruszyłem.

Słyszę, jak maluch oddycha z ulgą.

– Więc gdzie jesteś?

– W szpitalu.

– W s-szpitalu? – jąka się.

Odwracam głowę i spoglądam przez szparę w drzwiach na śpiącą pośród półmroku panującego w sali Marigold. Mam przeczucie, że Rhodes zareagowałby bardzo źle na wieść, że jego ukochana Goldie walczy o życie, dlatego pod żadnym pozorem nie zamierzam zdradzać mu szczegółów: ani czemu się tutaj znalazła, ani w jakim jest stanie.

Przesuwam palcami wzdłuż grzbietu nosa i zbieram się w sobie.

– Nie martw się. Mnie akurat nic się nie stało, ale idąc do pani Hamilton, spotkałem Goldie. – Jakimś cudem panuję nad drżeniem głosu. – Chwilę pogadaliśmy, a potem ona miała mały, nieszczęśliwy wypadek, dlatego przywiozłem ją tutaj i siedzę teraz przy niej.

– Ale wszystko będzie dobrze? – docieka szkrab.

– Strasznie chciałbym, żeby tak było.

– Będę trzymał za nią kciuki.

Uśmiecham się smutno.

– Will? – przywołuje mnie Rhodes.

– Mhm.

– Rozmawiałeś z nią chwilę – powtarza moje słowa i delikatnie się wtedy denerwuje, a ja podejrzewam, że boi się mnie o coś zapytać. *Ale o co?* Zaraz już wiem: – Myślisz, że Goldie nadal nas kocha, tak jak my nadal kochamy ją?

Przypominam sobie naszą rozmowę, którą odbyliśmy na przejściu ewakuacyjnym, i przywieram czołem do najbliższej ściany, bo nie mam wątpliwości, że nie przestało jej na nas zależeć. Zależało jej na nas do tego stopnia, że była gotowa odciąć się, byle tylko nasze życie nie było podyktowane „użeraniem się” z nią, będącą zepsutym wrakiem i podobno ciężarem.

Ale przecież wcale byśmy się z nią nie użerali. My... pomogliśmy jej. Jak tylko byśmy mogli. Robilibyśmy to wystarczająco długo, aż poczułaby się lepiej.

– Myślę, że akurat ona nigdy nie przestanie nas kochać, choćby wszystko się waliło – odpowiadam nareszcie, próbując jak najciszej odetchnąć przez zatkany nos.

Odsuwam się od ściany, bo docierają do mnie odgłosy rozmowy. Jakieś pielęgniarki idą korytarzem i

żywo o czymś dyskutują. Wracam więc do sali, w której przebywa Marigold, bo i tak nie pogadam jeszcze zbyt długo z Rhodesem. Hamilton pewnie stoi mu nad uchem.

– Zadzwonisz do mnie rano? – prosi nieśmiało chłopiec.

– Zadzwonię. Dam ci znać, co z naszym wyjazdem.

– A ja dam ci znać, czy nasza pani sąsiadka nie ukręciła karku Farfoclowi.

– Tak bardzo go nie cierpi? – parskam i na powrót zajmuję miejsce na twardym taborecie znajdującym się przy łóżku. Potem wlepiam przygnębione spojrzenie w swoją Gold i dochodzę do wniosku, że wygląda tak samo mizernie jak przed paroma minutami.

– Mhm.

– Pilnuj go. Tak dla bezpieczeństwa.

– Pewnie – rzuca szkrab. – Będę jego stróżem.

Przytakuję krótkim „i to najlepszym”.

– Dobranoc, Will – słyszę po drugiej stronie.

– Dobranoc, młody – odpieram słabo.

Rozłączam się i chowam telefon do kieszeni. Następnie opieram się o łóżko, przybierając taką pozycję jak wcześniej: z przedramionami podłożonymi pod brodę i uważnym spojrzeniem utkwionym w Marigold. Czuwam nad nią, dopóki moje powieki nie stają się odrobinę zbyt ciężkie. Wtedy odpływam gdzieś daleko, wykończony wydarzeniami tej nocy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

WILLARD

Mrużę oczy na oślepiające mnie promienie słońca i ścieram nadgarstkiem pojedyncze krople potu z czoła. Lniana koszula w jasnym kolorze, którą mam na sobie, powiewa wraz z lekkim, orzeźwiającym wiatrem lubiącym wiać w górach, gdzie wraz z Marigold zdecydowaliśmy się kupić starą, rozpadającą się chatkę. Zrobiliśmy to za pieniądze ze sprzedaży mojego rodzinnego mieszkania na Bronksie. Wydaje mi się, że podjęty przez nas wybór był właściwy. Okolica jest naprawdę piękna, a sam domek na pewno zyska na atrakcyjności, jeśli się nim zaopiekujemy, jak robimy to zresztą dzisiaj, kiedy wraz z Rhodesem malujemy ściany w naszej niedużej kuchni.

Teraz zrobiłem sobie krótką przerwę. Chciałem upewnić się, że u wylegającej się na świeżym powietrzu Gold wszystko gra, dlatego idę przed siebie w stronę ogromnej polany znajdującej się nieopodal naszych czterech ścian. Rośnie na niej mnóstwo niebieskich kwiatów. Jeden z nich dostrzegam w dłoni leżącej plecami na kocu dziewczyny. Brunetka wacha pęk i wystawia twarz ku bezchmurnemu niebu z przymkniętymi powiekami oraz perlistym uśmiechem.

Dopiero gdy zbliżam się do niej i zasłaniam jej sobą słońce, wraca do rzeczywistości. Mruga parę razy, sięga dłońią do swojego wielkiego brzucha i głaska go, wpatrując się we mnie z niemym wyznaniem, że nigdy nie była szczęśliwsza, niż jest w tym momencie.

Niż jest w tym momencie z nami.

Swoimi chłopakami.

– Ale bęben – pryham kpiąco, kładąc się obok niej i podpierając głowę na zgiętej w łokciu ręce. Palce drugiej, gdzieś tam pobrudzone białą farbą, kładę na ciężowym brzuchu Gold i wpatruję się jak zaczarowany w jej jasne, przeniknięte radością oczy.

Ona jedynie śmieje się i niezgrabnie przewraca na bok.

– Romantyk jak zawsze.

– No a jak. – Obnażam zadziornie zęby, stykając skroń z jej skronią. – Dajesz sobie jakoś radę z kolejnym Covingtonem?

– Powiedzmy. – Dziewczyna wzdycha, po czym zerka ukradkiem na swój ogromny balon, którego ciągle dotykam. Nadal trudno uwierzyć mi w to, że w środku znajduje się nasze dziecko. Nasza urocza Maribelle Covington. – Mała ma na szczęście dzisiaj sporo drzemek.

Wypuszczam ze świstem powietrze zalegające w płucach.

– Szkoda, że ja nie mogę uciąć sobie nawet jednej.

Gold marszczy śmiesznie nos i dźga mnie paznokciem w tors.

– Nie marudź, tylko wracaj do domu i pomóż Rhodesowi malować ściany.

– Hej, to on mnie pomaga je malować – obruszam się. – Nie na odwrót.

Kręci głową, szczerząc się jeszcze bardziej.

– Och, błagam. Oboje wiemy, jak jest.

Bez zastanowienia odsuwam się od niej tylko po to, by zgarnąć z leżącej obok miski jedno sporej wielkości winogrono i wepchać je do tych cholernie kuszących ust Harding.

– Udław się – rzucam chamsko.

Moja kłamczucha dusi się kolejnym napadem śmiechu i przewraca na plecy, gryząc owoc. Później zerka na niebieskiego kwiatka, którego trzyma, i z lekkim trudem umieszcza go za moim uchem. Gdy tylko przetyka smakotyłk, wyrzuca w moją stronę zgryźliwą odpowiedź:

– A ty poślizgnij na farbie i rąbnij o podłogę.

Przewracam z rozbawieniem oczami i nachylam się nad nią leniwie, dbając, by nie zrobić ani jej, ani małej krzywdy. Uderzają we mnie dreszcze, kiedy obserwuję z bardzo bliska rozchylone wargi Marigold. Pełne, nabrzmiałe od naszych porannych pocałunków w łóżku wręcz proszą się o to, by ktoś się nimi ładnie zajął, więc ocieram się o nie swoimi i w międzyczasie uśmiecham, bo wiem, jak strasznie ich właścicielka

staje się wtedy niecierpliwa.

Zaglądam jej prosto w oczy i mam wrażenie, że odpływam w inny wymiar.

– Przysięgam, że odliczam tylko dni, aż znowu będę mógł szarpać cię za te pieprzone kudły – stwierdzam drwiąco, zamykając w uścisku dłoni jej zarumieniony, nagrзany od promieni słońca policzek. Gold chichocze i uderza prowokująco nosem o mój.

– Też brakuje mi kopania cię w ten skromny interes.

Potrząsam głową i przyznaję się do czegoś:

– Ciągłe nie cierpię cię bardziej.

– Miło, że mamy podobny problem.

– Dobra, przyknij się – mamrocze nisko, zabieram niewielkiego kwiatka zza swojego ucha i wplatam go w jej ciemne włosy, rozsypujące się po całej rozpromienionej twarzy. Następnie zniżam swoją ku jej i zastygam tak nad nią w bezruchu: oczarowany i wdzięczny.

Wdzięczny, że mimo mojej brzydoty Marigold ze mną jest i nigdzie się nie wybiera.

Bo mogłaby ode mnie odejść. Mogłaby zabrać swoje rzeczy, część pieniędzy i wyruszyć gdzieś, gdzie tylko poczułaby, że pragnie się udać. Mogłaby poszukać chłopaka, który nie byłby oszpeconym chujem, nie miałby kryminalnej przeszłości i problemów z utrzymywaniem emocji na wodzy. Który zaopiekowałby się nią i dzieckiem.

A jednak była obok mnie. Codziennie wybierała i pragnęła właśnie mnie.

– Coś do tego? – pyta zaczepnie, gryząc wewnątrz policzka.

– Mogłabyś się bardziej zbliżyć...

– Mhm – przytakuje, powoli kładąc dłonie na moim torsie.

Ciepło przepływa przez moje żyły, kiedy dziewczyna sunie nimi nieśpiesznie w górę, po moich barkach, ramionach, aż w końcu zatrzymuje je na napiętych bicepsach skrytych pod materiałem częściowo rozpiętej koszuli. Patrzymy przez cały czas tylko na siebie. Wiatr igra z naszymi włosami, promienie słońca muskają skórę, a powietrze pachnie niczym wiosna.

I dom. Odnaleziony po latach dom.

– Zadrzeć trochę brodę i wystawić mi te swoje zajebiste usta... – ciągnę spokojny, kiedy otrząsam się z transu. Później odwzajemniam pocałunek, który rozpoczyna Marigold: jej wargi muskają moje w tak delikatny sposób, że praktycznie ich nie czuję, ale litości... Potrafię stracić głowę dla dosłownie wszystkiego, co mi podaruje.

Po chwili rozdziela nasze usta i ściąga brwi.

– Trochę długa jest ta twoja lista życzeń, wiesz? – wydycha szczęśliwa, a jej niezakryta materiałem białej i zwiewnej sukienki pierś unosi się i opada w odrobinę szybszym tempie niż wcześniej.

Uśmiechnięty sięgam kciukiem do jej dolnej wargi i ciągnę ją w dół.

– Zapewniam cię, że tych związanych z tobą mam mnóstwo i uporządkowanie ich w głupią listę jest mało możliwe – mówię to już poważniejszym tonem, będąc stuprocentowo, o ile nie bardziej, szczerym.

Gold zarzuca mi swobodnie ręce na szyję.

– Nie czaruj mnie tak – rozkazuje beztrąsko.

Patrzę na nią z zaciekawieniem.

– Dlaczego?

Ponownie przysuwam usta do jej, by wymruzczyć w nie pytanie:

– Może właśnie zamierzam cię oczarować, Marigold Harding?

Dziewczyna wypełnia policzki powietrzem i zaraz je wypuszcza.

– Dodaj do tego jeszcze: a potem wziąć za żonę... – sugeruje ironicznie, ledwo powstrzymując następną salwę szczerego śmiechu, który zawsze sprawia, że moje wnętrzości zaciskają się z jebanej ekscytacji. – Wtedy pomyślę, że przygrzało ci słońce.

Nie waham się nad dorzuceniem słów, które przywołała:

– Zamierzam cię oczarować, a potem wziąć za żonę.

Szczerzymy się do siebie jak idioci. Rzecz jasna żartujemy, bo akurat my nigdy w życiu nie stanęlibyśmy na ślubnym kobiercu. Przecież nawet się nie kochamy. Po co nam jakiś ślub? Nie potrzebujemy ani jego, ani niczego podobnego. W zupełności wystarczy nam trwanie przy sobie, wzajemne wspieranie się i... ufanie sobie. Bezgranicznie.

Nagle Gold dotyka mojego czoła.

– Zdecydowanie powinieneś wrócić do środka – daje mi do zrozumienia, że na pewno nabawiłem się jakiegoś śmiesznego udaru. – No i pomoc biednemu Rhodesowi, leniu.

– Zaraz.

Zmęczony wzdycham, po czym również opadam plecami na koc, wędrując spojrzeniem ku błękitnemu niebu. Mam wrażenie, że znalazłem ten jeden moment w ciągu dnia, kiedy mogę odetchnąć pełną piersią i nasycić się swoim wymarzoną życiem. Tym, które nie podejrzewałem, że kiedykolwiek okaże się rzeczywistość moje. Mam piękną kobietę. Cudownego artystę pod dachem. No i drugą piękność w drodze. Czego więcej mógłbym chcieć?

Wydaje mi się, że leżąc obok Marigold zerka na mnie z ukosa.

– A jeśli zmaluje nam coś na ścianach?

– Liczę, że będzie to twoja karykatura, żebym mógł patrzeć na nią codziennie – odpieram bez zastanowienia, odwracając się ku niej i unosząc przy tym perfidnie kącik ust.

Brunetka raczy mnie pacnięciem w ramię.

– Pieprz się.

– Ja przynajmniej mógłbym – kpię i wskazuję sugestywnym kiwnięciem na jej wyraźnie zaokrąglony brzuch. – Ty możesz już tylko toczyć się z tym bębniem.

W oczach mojej kłamczuchy pojawia się prawdziwa drwina.

– Twoje bycie czarującym skończyło się, jeszcze zanim się zaczęło.

Wzruszam niedbale ramionami i mrugam do niej.

– Przynajmniej się ze mną nie nudzisz.

Gold odpowiada mi rozbawionym skinieniem.

– Na to akurat nigdy nie mogłam narzekać.

Milkniemy na dłuższy czas. Każde z nas po prostu pogrąża się we własnych myślach i sięga wzrokiem do chowającego się powoli za horyzont słońca. Odnoszę wtedy wrażenie, że zarówno ja, jak i Gold trzymamy w sobie pewne podobne odczucia, ale nie mówię tego na głos. Jedyne obejmują ją szarmancko ramieniem, lecz przed tym składam powolne i czule musnięcie na jej drobnym nosie, za co dostaję w zamian jeszcze jeden rozbrajający uśmiech.

– Ładnie tu – stwierdza nagle Harding. – O wiele ładniej niż na Bronksie.

Tak, stwierdzam w duchu. Nasze odczucia zdecydowanie były podobne.

– To prawda.

Również porównałem słoneczne i ciche Kolorado do obskurnej, szarej i niebezpiecznej nowojorskiej dzielnicy, gdzie kiedyś mieszkaliśmy. Na szczęście to już przeszłość. Nigdy tam nie wrócimy. Bo nasze miejsce jest tutaj. Pośród gór, rozległych polan i rosnących na nich kwiatów. Pośród spokoju, którego nikt nam nie zabierze, i szczęścia, które udało nam się dogonić.

– Cieszę się, że daliśmy radę stamtąd uciec – dopowiada Gold i mocniej wtula się w moją pierś. Zaraz przyryka błogo powieki i pociąga nosem. – Chociaż nie było tak prosto, co?

Z ust wymyka mi się słaby śmiech.

– Zdecydowanie nie było prosto – przyznaję jej rację. – Ale potem już wszystko zaczęło się układać. Udało nam się upolować naszą chatkę, w której widzę spory potencjał... no i nie oszaleliśmy przez Rhodesa wkraczającego w fazę młodzieńczego buntu. Do tego zapewniliśmy Maribelle całkiem dobre warunki, by mogła nam rosnąć jak na drożdżach. – Wciągam wdech do płuc. – A ja zrobiłem całkiem duże postępy w panowaniu nad emocjami.

Marigold kreśli paznokciem wzorki na kawałku mojej odkrytej skóry. Przez chwilę robi to bez słów, aż w końcu podrywa głowę, by spojrzeć wprost na mnie tymi rozkładającymi mnie na łopatki, już otwartymi oczami, i zwraca się do mnie z pełnym spełnienia szeptem:

– Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo jestem przez to szczęśliwa.

Kiwam od razu głową na znak, że jej słucham, i mija kilka krótkich sekund, zanim przyciągam ją do siebie mocniej.

– Dziękuję, kłamczucho – odpowiadam równie cicho, wolną dłoń przenosząc na jej sporych rozmiarów brzuch oraz nie uciekając spojrzeniem od jej pogodnej twarzy. – Dziękuję ci, bo to właśnie ty wprowadziłaś mnie na prostą.

Niespokojny budzę się dokładnie tam, gdzie zasnąłem. Przy szpitalnym łóżku, na którym leży wciąż nieprzytomna Marigold. Patrząc na nią, staram się uspokoić przyśpieszony oddech i po prostu ogarnąć. Koszmar, który mnie nawiedził, może i nie przedstawiał okropnych rzeczy, ale nie musiał, bo wystarczyło, że okazał się moją wymarzoną wizją, jaka nigdy się nie urzeczywistni, abym poczuł, jakby ktoś kilkakrotnie strzelił mnie mocno w pysk.

Dopiero po upływie kilku minut czuję się na siłach, by ponownie ująć skostniałą dłoń dziewczyny, pomasażować ostrożnie kciukiem jej knykcie i z grymasem wymalowanym na twarzy skierować do niej niepewne pytanie, na które tym razem także nie uzyskam odpowiedzi.

– Więc teraz to przeszło na mnie? – wyszeptuję słabo. – Te cholerne koszmary?

One zawsze dręczyły przecież ją, uświadamiam sobie. Nigdy mnie. Do teraz. Myślę o tym i potrząsam pomału głową z niemrawym, pełnym pogodzenia uśmiechem.

– Nie szkodzi – zapewniam ją szczerze i z trudem znoszę coraz bardziej uporczywe poczucie, że oczy szczypią mnie od łez. – Mogę się z nimi mierzyć, jeśli to oznacza, że przestały nawiedzać ciebie. Mógłbym przeżywać każde tortury, byle oszczędzić ich tobie.

Przekręcam głowę i z westchnieniem spoglądam w stronę okna.

– Zaraz nastanie ranek – zauważam wykończony, ale nie fizycznie, choć mój organizm też powoli zaczyna się buntować. Raczej... wymordowany psychicznie z całym bagażem tragicznych wydarzeń, które rozegrały się na przestrzeni zaledwie jednej nocy.

Nie mam pojęcia, na ile starczy mi jeszcze ostatnich energii, ale oby na jak najdłużej. Chcę z nią rozmawiać. Chcę ją do siebie przywoływać. Chcę wciągać ją do świata, w którym czekam na nią z otwartymi ramionami i zapewnieniem, że teraz wszystko będzie już dobrze.

Poradzimy sobie we dwoje.

– Robi się jaśniej – dodaję, skupiony na widoku rozpościerającym się za odrobinę brudną szybą. – Prószy coraz rzadszy śnieg. To głupie, ale mam wrażenie, że gdybyś się obudziła... gdybyś tylko się obudziła, mogłabyś chcieć właśnie teraz wybrać się ze mną na jakiś beznadziejny spacer – zdradzam jej swoją teorię. – Może na polanę obok opuszczonego domu?

Nie przestaję sunąć kciukiem po jej poranionej dłoni.

– Może właśnie tam.

Wyobrażam sobie nas w innych okolicznościach, a kąciki moich ust drgają.

– Potem chciałabyś pewnie robić coś szalonego. Ganiać się po błocie albo tańczyć na mrozie, dopóki nie rozbolałyby cię nogi. Może całować się o wschodzie słońca, dopóki nie powiedziałbym ci, że wyglądasz jak kretyńka z tymi czerwonymi od zimna policzkami? – zgaduję, czując coraz większą dziurę powstającą w miejscu, gdzie powinienem mieć serce.

Chociaż mocno staram się jakoś sobie radzić, kilka łez ścieka mi po nadal wygiętych w niewyraźnym uśmiechu ustach oraz brodzie. Boli. Boli mnie każdy skrawek ciała, gdy myślę o tym, że być może nie powtórzę z Marigold poranków, popołudni i wieczorów, które okazały się dla nas miłe do tej pory i jednocześnie tych, które dopiero mogłyby się takie okazać.

Pogrążony w smutku wracam do niej zaszklonym spojrzeniem.

– Z jakiegoś powodu wydaje mi się, że chciałabyś tego wszystkiego, a ja zgodziłbym się na to, nawet jeśli wolałbym zostać w domu – ciągnę powoli. – Bo chyba już nigdy nie stanę się odporny na wpływ, który na mnie wywierasz. Owinęłaś mnie sobie wokół palca, Marigold.

W dodatku nawet się nie starając.

– Chcesz dowodu? – pytam.

Odkładam jej dłoń i spoglądam na swoje, poharatane oraz mam wrażenie, że bardziej bezużyteczne niż kiedykolwiek wcześniej. W końcu był taki moment, kiedy przed tragedią ją nimi złapałem... ale nie zdołałem wciągnąć do siebie, za balustradę, i ochronić przed upadkiem, chociaż starałem się tego dokonać z całych sił oraz za wszelką cenę.

Rozpacz gniecie mnie mocniej w środku.

– Spójrz, co się ze mną dzieje – proszę, nawet jeśli wiem, że Gold nie obudzi się nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jak w tych wszystkich kurewsko ckliwych filmach, których nienawidzę. – Jestem bliski zwariowania ze strachu, że już nie usłyszę twojego głosu albo nie poczuję, że obserwujesz mnie tymi wielkimi oczami. Jestem rozjebany w każdym tego słowa znaczeniu przez niepewność, czy ze

mną zostaniesz. Jestem całkowicie zależny od ciebie.

Nie mam wątpliwości, że to, co mówię, stanowi czystą, nienaruszoną prawdę.

– Nie chcę i nie zamierzam temu przeczyć – dodaję coraz słabszy.

Nuży mnie uczucie wycieńczenia. Wydaje mi się, że za moment mógłbym ponownie zasnąć, ale tym razem już się nie obudzić, nawet gdyby nawiedził mnie jeszcze jeden koszmar. Mój organizm jest po prostu skrajnie wymordowany. Czuję to w kościach. W świszczącym oddechu, który pobieram z coraz większym trudem do płuc, i w wielu mroczkach, które widzę, gdy mknę mozolnie zasnutym mgłą spojrzeniem do swojej zachwycającej Marigold.

Skupiony wyłącznie na niej połykam krótkie tchnienie.

– Jestem ci też wdzięczny.

To ona. To moja kłamczucha dokonała cudu i sprawiła, że zechciałem się zmienić.

– Tak strasznie jestem ci wdzięczny, Goldie... – szeptam ostatkiem sił i uśmiecham się blado do swojej Harding, która już nigdy nie odwzajemniła mojego uśmiechu. Ale ja do końca pamiętałem każdy jeden raz, kiedy zrobiła to w przeszłości... ponieważ nie pozwoliłem, by upływający czas zatarł jakikolwiek ślad po tym, że kiedyś, w młodości, byłem złym, zepsutym chłopakiem ze słabością do pięknej, zrujnowanej dziewczyny zakochanej w kłamstwach.

Marigold zmarła, kiedy brudny i brzydki Bronx niespodziewanie oblał piękny, złocisty wschód słońca. Ja jednak uznałem, że odeszła ode mnie tamtej chłodnej, zimowej nocy, z wymalowaną na twarzy radością, którą tak uwielbiałem. Chichocząc wesoło oraz rozglądając się po szarym blokowisku, który obsypywał niekończący się śnieg... w pewnym momencie spoglądając mi w oczy z uczuciem, które już zawsze będzie rozgrzewało moje serce, i opowiadając mi o więzi tak silnej i trwałej, że kiedyś to właśnie dzięki niej będę w stanie ją odnaleźć.

Natomiast ja i Rhodes kilka dni po jej pogrzebie, na którym zjawiliśmy się jedynie my dwaj, wyjechaliśmy w końcu z Nowego Jorku. Wyrwaliśmy się z ponurej dzielnicy, w której spędziliśmy całe życie i która zniszczyła mnie do cna. Zostawiliśmy za sobą wiele złych chwil, wypłakanych łez i dokończonych spraw... ale nie wszystkie. Była jeszcze jedna: ta, o której pomyślałem w chwili, kiedy znalazłem się w spokojnym Kolorado. Zanim zdążyłem zastanowić się, co z nią zrobię, byłem już w samochodzie i wyruszałem w trasę, by dotrzeć na obrzeża stolicy.

Nie musiałem rozstrzygać, czy dobrze postępuję. Zamierzałem uszczęśliwić Marigold i byłem święcie przekonany, że decyzja, którą podejmę, na pewno sprawi, że moja kłamczucha, skądkolwiek by mnie nie obserwowała, poczuje się uszczęśliwiona jak nigdy wcześniej.

Bez wahania chwyciłem za klamkę drzwi poradni psychologicznej. Zapisalem się na pierwszą wizytę i udałem do niedużego gabinetu swojego nowego terapeuty. Nie poczułem oporu, gdy usiadłem na kanapie oraz oparłem dłoń na podłokietniku sofy. Najpierw poprosiłem siedzącego przy biurku psychologa o ratunek, bo nie byłem pewien, jak długo dam radę tak żyć. Dopiero potem, na końcu wizyty, poprzysięgłem sobie, że dokonam czegoś niemożliwego:

Powtórzę swoje kłamstwo równe tysiąc razy, by zamienić je w prawdę. Zrobię to dla *niej*. Może jednak dla nas? W końcu moje kłamstwo dotyczyło nas. Tak jak wszystko z mojej paskudnej przeszłości, co jako jedyne już zawsze wydawało mi się warte wspomnienia.

EPILOG

PÓŹNIEJ

Willard przepadał za zimowymi wieczorami. Szczególnie za tymi, kiedy niebo nad pięknym Denver wydawało się ciemniejsze niż zawsze, a sypiący z niego puch przykrywał wszystkie drzewa i choinki otaczające jego drewnianą chatkę, znajdującą się w samym sercu wysokich gór. Zazwyczaj opuszczał ją wtedy ubrany w swój ciężki, czarny płaszcz i wystawiał zmęczoną twarz ku płatkom śniegu. Dopiero po chwili refleksji i ponownym zakochaniu się w widoku zimy otulającej piękne Kolorado wybierał się na powolne, długie spacerunki, by skorzystać z okazji i przemyśleć kilka spraw... albo też w ciszy i spokoju po prostu wrócić pamięcią do namiastki szczęścia zakłętego we wspomnieniach młodości, która już dawno upłynęła.

Nigdy w swoim życiu nie poczuł się już podobnie jak wtedy. Nie poczuł się taki żywy oraz beztroski. Nigdy również się tak nie uśmiechnął, nawet najślabiej. Zupełnie jakby wraz z odejściem pewnej lubiącej kłamać dziewczyny stracił bezpowrotnie jakąś część siebie. Ale czy właściwie nie stało się dokładnie to? Przecież nim zmarła, wyznał jej kiedyś prosto w oczy, że była jego zagubionym kawałkiem. I akurat tych słów nie przestał być pewny do samego końca.

Tak jak przeczucia, że Marigold Harding była jego *jedyną*.

Pogrążony w letargu mężczyzna nabrał powietrza przez nos. Chociaż od lat zapewniał swojego bratanka, że pozbierał się po śmierci Goldie, prawda była inna. Codziennie miał w głowie myśl dotyczącą jej i codziennie wyobrażał sobie, co by było, gdyby ktoś przed laty odwrócił bieg wydarzeń. Czy on i jego kłamczucha mieszkaliby tu we dwoje? A może we troje? Czy byłiby szczęśliwi? A może udałoby im się wzajemnie pokochać? Och, marzył o tym.

Marzył o tym, mimo że jego marzenia nie miały już cienia szans na spełnienie.

Pan Covington szedł przed siebie z nieprzeniknioną miną i sam nie wiedział, dokąd zaprowadzą go nogi. Ostatecznie trafił jednak gdzieś, gdzie jeszcze rano zdecydował, że się nie wybierze. A wszystko dlatego, że bał się trafić do miejsca, w którym czuł, że mógłby oszaleć z tęsknoty za swoją uroczą uśmiechniętą Marigold uwiecznioną przez Rhodesa Covingtona na dziesiątkach obrazów, powieszonych na ścianach nowo otwartej przez niego galerii sztuki.

Naprawdę czuł się przerażony, bo czy był gotowy zobaczyć ją znowu, prawie tak prawdziwą jak kiedyś, i zdołać zdusić głęboko w sobie cały wzbierający w nim latami żal? Willard Covington żałował. Ciągle żałował, że nie zapobiegł także jego życiowej tragedii.

Żałował wspólnej przyszłości, której razem z jego Goldie nigdy nie doczekali.

Przystanął przed budynkiem, wsunął dłonie do kieszeni płaszcza i głośno odetchnął. Wciąż nie do końca wierzył, że ten sam mały Rhodes, który kiedyś malował dziury w ścianach obscurnego mieszkania na Bronksie, dzisiaj był jednym z najśłynniejszych artystów w kraju, a także krytykiem sztuki i właścicielem akademii, gdzie szkolił młode talenty. Wydawało mu się to kompletnie abstrakcyjne, ale im dłużej wpatrywał się w nazwisko wygrawerowane złotymi literami nad wielkimi, dwuskrzydłowymi drzwiami, tym prościej było mu to jakoś zaakceptować.

Zwłaszcza że wiedział, jak wytrwale młody o to walczył.

Willard wszedł do środka i natychmiast pojął, że galeria otwarta wczorajszego wieczora naprawdę cieszyła się ogromną popularnością. Przyciągała okazałe tłumy. Media rozpisywały się o niej, a samo wydarzenie rozniosło się po całym mieście. On sam cieszył się z sukcesu Rhodesa i niezaprzecznego faktu, że akurat jemu *się poszczęściło*. Z uznaniem wędrował spojrzeniem po zaciemnionym korytarzu prowadzącym do pierwszej sali. Nim zdążył do niej wejść, ktoś zabrał od niego płaszcz i chciał poczęstować go szampanem, którego odmówił.

Później wtopił się w grupę zwiedzających wystawę osób i wszedł do środka. Było tam surowo, minimalistycznie i panował półmrok: jedynie przyklepione do czarnych ścian oraz umiejscowione wokół zawieszonych na nich obrazów lampy pozwalały cokolwiek dostrzec. Willard poczuł zapach farby wdzierający się do nosa i nagłe uderzenie gorąca.

Czas jakby zwolnił, a dech w jego piersi zamarł, kiedy zatrzymał się przed pierwszym dziełem bratanka. Jego pierwsza ekspozycja, jak podobno niegdyś zostało to komuś obiecane, została poświęcona pewnej dziewczynie o pięknym uśmiechu i radosnym spojrzeniu. Willard przełknął, bo prędko zrozumiał, że Rhodes namalował Marigold taką, jaką znał ją jako dziecko. Taką, jaką ją zapamiętał. Szczęśliwą, wesołą i czarującą. Niepodobną do marnej wersji siebie, jaką była w ostatnich dniach swojego życia, kiedy spotkali się przypadkiem na wysokości.

Podczas gdy inni goście ruszyli dalej, komentując następny obraz, on zatrzymał się w miejscu i zapatrzył w płótno pokryte farbami. Z trudem powstrzymał chęć wyciągnięcia ręki w jego stronę i przesunięcia opuszkami po idealnych rysach twarzy kobiety swojego życia. Pragnął, tak desperacko pragnął objąć jej zarumieniony policzek, by poczuć pod palcami miękką skórę, ale wiedział, że jeśli to zrobi, bardzo się rozczaruje i nie poczuje niczego prócz zawodu.

Wykrzywił z bólem usta i pokręcił bezradnie głową.

Było mu źle. Paskudnie źle, gdy wpatrywał się niemiłosiernie piekącymi oczami w swoją kłamczuchę ze świadomością, że już zawsze będą skazani na trwanie bez siebie. Bo ona nie żyła. Leżała pod ziemią na cmentarzu blisko nowojorskiego Bronxu, a on przylatywał tam przynajmniej raz w miesiącu z byle powodu, potrzebując tylko nieodwzajemnionej rozmowy z nią. Ukrywał to, ale Rhodes chyba czuł, że jego wyjazdy mają coś wspólnego z nią.

Nawet codzienność Willarda, mimo że bez niej, miała coś wspólnego z nią.

Mężczyzna zaplótł dłonie za plecami i nie spuszczał smutnego wzroku z twarzy Gold. Dzięki temu przez chwilę poczuł się tak, jakby stali w pomieszczeniu zupełnie sami. Jakby ona, namalowana przez Rhodesa w piekielnie rzeczywisty sposób, naprawdę przed nim stała i szczerzyła się ślicznie wyłącznie do niego, oczarowanego jej wdziękiem i urokiem.

Ciepło otuliło jego pokruszone serce. Nadal miał do niej słabość. Nie przestał mimo czasu, który płynął i nie przestawał płynąć.

Podszedł do kolejnego dzieła i drgnął na jego widok, ponieważ dostrzegł na nim nie jedną, a dwie osoby. Goldie oraz... samego siebie. Poczul dziwne skrępowanie. Przeczesał czujnym wzrokiem salę i upewnił się, że nikt na niego nie patrzy, a następnie skoncentrował się na obrazie. Przedstawiał noc, kiedy on i jego kłamczucha siedzieli na przejściu ewakuacyjnym pośród mgły i chłodu. Była to noc ich rozstania. Wtedy siedzieli przy sobie, stykając się ramionami i uśmiechali się do siebie mimo łez, spływających im po twarzach.

Byli piękni... ale zbyt zmęczeni życiem jak na młody wiek, w którym się znajdowali.

Pogodzeni z wiedzą, że się tracą.

Nagle Willard usłyszał szmer. Odzyskał fason, odwrócił się i spostrzegł roześmianą dziewczynkę biegnącą w stronę obrazu, przy którym sam stał. Mogła mieć może siedem lat? Jej dwa długie warkoczyki podrygiwały w powietrzu z każdym radosnym podskokiem, tak samo jak biała sukienka z wymyślnymi falbankami. Balerinki sunęły po parkiecie w zawrotnym tempie i po zaledwie kilku sekundach szkrab zatrzymał się przed podobizną Marigold.

Willard oniemiał, kiedy tylko porównał do siebie dziewczynkę i swoją kłamczuchę. Nie mogły być ze sobą spokrewnione, ale wyglądały tak strasznie podobnie, że oczy znowu zaszyły mu szczypiącymi łzami. Jeśli w przeszłości wyobrażał sobie ich małą Maribelle, wyobrażał ją sobie właśnie w ten sposób. Nieustannie chichoczącą i z łatwością kradnącą cudzą uwagę.

Przy małej po chwili pojawił się tata. Ubrany w białą koszulę i eleganckie spodnie kucnął przy niej, ciężko dysząc. Pan Covington od razu zorientował się, że musiał ją gonić, co nie mogło być prostym zadaniem. Dziewczynka była zwinna i szybka.

A do tego tak strasznie urocza.

– Tatusiu, co przedstawia ten obraz? – Wsparła się na paluszkach, wygięła szyję, wydeła smutno wargę i dopiero potem wskazała na dzieło Rhodesa Covingtona. – Nie widzę...

Mężczyzna zmrużył oczy i spojrzał na płótno. Właśnie wtedy Willard zrozumiał, że go zna. Zna go całkiem dobrze, ponieważ w przeszłości rozmawiali ze sobą bardzo często. Poczul się ciekawy, czy on także pamięta jego i historie, które mu opowiadał.

Ryder Callahan bez trudu wziął swoją córeczkę na rękę.

– Ten? – dopytał i kiwnął w stronę dzieła.

Malutka Dream nieśmiało skinęła. Jej tata rozejrzył się, czy oby nikomu nie zasłaniają widoku i natrafił spojrzeniem na samotnego mężczyznę. Bez trudu go rozpoznał. Swojego pacjenta, któremu wiele lat temu, zanim przeprowadził się do Aspen, pomagał wyjść na prostą. Ale nie przywitał się z nim, jakby wiedział, że nie powinien przerywać mu chwili sam na sam z najważniejszą dla niego osobą. Jedynie posłał mu błady uśmiech i znowu skupił się na córce.

Zapatrzył się najpierw na nią, a potem na obraz.

– Wiesz, kochanie... – zaczął po namyśle, kiedy już odnalazł w pamięci wiele wspomnień związanych z historią pewnego *klamcy* i jego *klamczuchy*. Mając je na myśli, ucałował Dream w czołko i powiedział: – Akurat ten przedstawia więź. Taką, o której ludzie mogą tylko marzyć. Piękną i nierozzerwalną... Najsilniejszą, o jakiej kiedykolwiek słyszałem.

Willard zwiesił głowę, po czym ją poderwał. Jego kącik ust delikatnie przy tym drgnął, ponieważ doskonale wiedział, że taka była prawda. Że akurat ich łączyło coś absolutnie wyjątkowego. I że pewnego dnia odnajdą się właśnie dzięki temu.

Nie był pewny, ile dokładnie czasu spędził w galerii sztuki swojego ukochanego bratanka, poświęcając każdemu obrazowi przedstawiającemu jego Marigold całą swoją uwagę. Czuł jednak, że sporo, ponieważ gdy nareszcie otrząsnął się z transu, pojął również, że stoi na samym środku ogromnej sali kompletnie sam. Światła powoli dogasały. Odgłosy zamykanych drzwi dobiegały go przez kolejne minuty, ale nikt nie zdecydował się wygonić go z budynku.

Mężczyzna czuł, że Rhodes maczał w tym palce. Ale nie chciał jeszcze stąd iść, więc był mu wdzięczny za czas, który mu podarował.

Tej nocy wiele dzieł ujęło Willarda, ale jedno szczególnie skradło mu serce. Marigold uśmiechała się również na nim. Leżała na białym kocu, na polanie wypełnionej niebieskimi kwiatami oraz trzymała jeden z nich, wachając pąk. Ciemne włosy rozsypała miała po rozpromienionej twarzy, a pogodne spojrzenie utkwione w bezchmurnym niebie. Wydawała się najszcześliwsza na świecie. Will domyślił się, że Rhodes namalował jej marzenie o urodzinach, których nie dożyła.

Niewyraźna poświata dogasających lamp muskała jej oblicze, a on tym razem nie mógł się powstrzymać i dotknął opuszkami palców szorstkiego płótna. Jego oddech znacząco wtedy zwolnił, jakby... coś się zmieniło. Willard poczuł dreszcz. Miał wrażenie, że ktoś stanął obok niego, ale to było przecież niemożliwe. Jak również to, że owa osoba położyła dłoń na jego ramieniu, oparła na niej brodę, po czym wpatrując się w niego ze znajomą czułością, zaśmiała się.

Zacisnął wargi, ale spomiędzy nich i tak wyrwał się niekontrolowany szloch. Nie wiedział, ile jeszcze to wytrzyma. Ile spędzonych bez niej dni i nocy będzie w stanie znieść. Każda chwila zostawiała go bez najmniejszych podkładów sił. Teraz płakał jeszcze przez jakiś czas, aż w końcu przetarł niechlujnie przegubem ręki oczy, wypuścił drżący wydech oraz patrząc na wyglądającą niesamowicie prawdziwie dziewczynę, zwrócił się do niej z pytaniem:

– Wiesz co, Goldie?

Przesunął nieśpiesznie palcami po jej rozciągniętych w uśmiechu ustach.

– Przez te wszystkie spędzone bez ciebie lata myślałem, że pośród tych wszelkich naszych *kruchych kłamstw*, które *zderzyły się* ze sobą w najmniej spodziewanym przez nas momencie, istniała ta jedna niezmienna prawda... – Przełknął wilgoć, którą czuł w gardle. – Taka, że ja i ty nigdy nie byliśmy sobie pisani. Ale im dłużej się nad tym zastanawiam, im więcej czasu mija, odkąd cię straciłem, tym częściej nawiedzają mnie wątpliwości.

Już nawet nie mrugał. Wpatrywał się w nią, połykając niespokojne wdechy.

– Co jeśli... co jeśli po prostu nie byliśmy sobie pisani akurat w tym życiu? – zapytał, a niewyraźny uśmiech zagościł na jego twarzy. – W końcu to głupie przeznaczenie nie musiało wcale osiągnąć nas w tamtej chwili. Mogło dopaść nas za jakiś czas, kiedykolwiek, mogło schwytać nas gdziekolwiek... Tak jak ja dałem tamtej nocy słowo, że kiedyś dopadnę ciebie.

Westchnął, jakby z niedowierzaniem i zakrztusił się nową porcją łez.

– A niech mnie... – Zaskoczony przemknął knykciami po jej policzku, jak zwykł go dotykać, gdy jeszcze ją miał. – Ja naprawdę zamierzam to zrobić. Dasz wiarę? Zamierzam dotrzymać tego słowa i cię dopaść, za wszelką cenę.

Głos załamał mu się nieznacznie przez smutny śmiech, który wyrwał mu się z piersi, gdy patrząc

prosto w wyglądające jak żywe, wesołe oczy swojej bratniej duszy, wypowiedział już prawie na sam koniec kilka pocieszających jego samego słów:

– Och, moja najdroższa kłamczucho... dopadnę cię.

Poczucie bycia słuchanym delikatnie koiło samotność, którą odczuwał od lat.

– Choćby miało mi się to udać dopiero za wieczność... – zaniemówił na chwilę i wpatrzony w swoją radosną Marigold, raz jeszcze uśmiechnął się blado, po czym dokończył szeptem: – ...zrobię wszystko, by następną spędzić już tylko z moją tobą.

KONIEC DYLOGII LIES

*Nawet teraz, gdy wszystko skończone,
nie mogę się powstrzymać, by szukać cię na nowo.*

Set Fire To The Rain – Adele

PLAYLISTA

Daylight – David Kushner

Doubt – Twenty One Pilots

Atlantis – Seafret

Never Let Me Go – Florence + The Machine

Someone To Stay – Vancouver Sleep Clinic

Bleed Out – Isak Danielson

Leave a Light On – Tom Walker

Yellow – Coldplay

Wait – M83

In The Stars – Benson Boone

¹ *Will you fix me up? Will you show me hope? – (z ang.) Czy mnie naprawisz? Pokażesz mi nadzieję?*
Cytat pochodzi z piosenki *Someone To Stay* zespołu Vancouver Sleep Clinic (przyp. aut.).